



Luanne
Rice

CYTRYNOWY
SAD



Luanne Rice



CYTRYNOWY
SAD

Przełożyła Alicja Laskowska



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Dla Armando

Podziękowania

Przede wszystkim pragnę podziękować Armandowi, Armandowi seniorowi, Delfinie, Brandonowi, Antoniowi, Elizie oraz Melanie.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec mojej agentki, Andrei Cirillo, oraz całej ekipy Agencji Jane Rotrosen: Jane Berkey, Dona Cleary'ego, Meg Ruley, Annelise Robey, Christiny Hogrebe, Peggy Gordijn, Christiny Prestii, Carlie Webber, Danielle Sickles, Rebeki Scherer, Donalda W. Cleary'ego, Brooke Fox, Ellen Tischler oraz Liz Van Buren.

Dziękuję wszystkim z Pamela Dorman Books/Viking and Penguin, a zwłaszcza Pam Dorman, Kiki Koroshetz, Clare Ferraro, Kathryn Court, Julie Miesionczek, Dickowi Heffernanowi, Normanowi Lidofsky'emu oraz tamtejszym agentom handlowym – Lindsay Prevette, Carolyn Coleburn, Nancy Sheppard, Andrew Duncanowi, Patrickowi Nolanowi, Johnowi Faganowi, Maureen Donnelly, Halowi Fessendenowi, Leighowi Butlerowi, Roseanne Serra oraz Jeannette Williams.

Ogromne wyrazy wdzięczności należą się Deborah Dwyer, która zredagowała już niejedną powieść mojego autorstwa. Dziękuję Jermainowi Rengifowi za sprawdzanie i poprawianie mojego hiszpańskiego. Veronique de Turenne to wspaniała pisarka oraz cudowna przyjaciółka. Jej blog, *Here in (the) Malibu*, pomógł mi zaznajomić się z historią, przyrodą oraz sekretnymi miejscami w Malibu.

Dziękuję też Ashy Randall za niekończące się pokłady życzliwości oraz za to, że pokazała mi Adamson House.

Serdeczne dzięki dla Bernarda Wolfsdorfa za jego dogłębną znajomość prawa imigracyjnego oraz gotowość do dzielenia się wiedzą w tym temacie.

Na wyrazy wdzięczności zasługują również: Jim Weikart, Tim Donnelly, Jay Tsao, Ted O'Gorman, Injae Choe, Lauren Gardner, Elvira de Leon, Delsy Hermosa, Oscar Castillo oraz Nick Chambers.

Pozostaję pod niezmiernym wrażeniem genialnej książki Luisa Alberto Urrea *The Devil's Highway*. Lektura tej pozycji zmieniła sposób, w jaki patrzę na świat – jestem przekonana, że pozostanie jedną z najważniejszych i najbardziej inspirujących książek, które miałam

okazję przeczytać. Luis otworzył mi oczy na blaski i cienie życia wzdłuż granicy i już zawsze będę mu za to wdzięczna.

Pragnę również podziękować Maureen, Oliverowi oraz Mii Onorato; Molly, Alexowi i Willowi Feinsteinom; Robertowi oraz Audrey Loggia, a także Williamowi Twiggowi Crawfordowi.

Na koniec chciałabym podziękować swojej rodzinie, składającej się z imigrantów po obu stronach – za ich wiarę, nadzieję, zmagania i miłość.

Prolog

Luty 2007

Tak to sobie wyobrażam: jedenasta rano w mroźny i słoneczny lutowy dzień, ona za kierownicą, ręce ułożone na za dziesięć druga, bo jest grzeczną dziewczynką i tak chce jej tata, który siedzi obok z dużą czarną kawą z Kendall's w ręku, a ona uważa, żeby jej nie wylał i nie poparzył się. Kombi ma dwanaście lat i cuchnie psem; gdyby spojrzała teraz w lusterko wsteczne, zobaczyłaby miejsce, gdzie zwykliśmy zapinać jej pasy.

Bonnie Blue, nasza siedmioletnia suczka, najnowszy dodatek do długiej listy blue merle¹ border collie, jedzie ze mną, bo wciąż jest hałaśliwa i lubi lizać z tylnego siedzenia uszy kierowcy, co – jak uznaliśmy z Peterem – mogłoby rozpraszać Jenny. Znajdujemy się raptem parę kilometrów za nimi i mamy jeszcze jedną rzecz do załatwienia – odebrać tort czekoladowy z Piekarni Hoffmana, na którym Viola i Norma umieściły dekoracje w postaci słupków i linii pięćdziesięciu jardów, pamiętając, żeby każdą warstwę przełożyć konfiturą malinową, tak jak Jenny lubi najbardziej.

Moja córka, Jenny Hughes. Ma na sobie ten ogromny sweter w skandynawskie wzory, który wydziergała dla Timmy'ego z włóczki zawierającej kawałki rzepów i jeżyn prosto z owczej wełny. Lubiała nosić go w taki sposób, żeby zalotnie odkrywał jedno ramię. To właśnie była cała Jenny – założyła go już w dwa dni po tym, jak Timmy zwrócił prezent w ramach rozstania, razem z teleskopem i wysłużonym egzemplarzem *The Stars* H.A. Reya.

Dzień jest chłodny, ale jasny, i choć zostało jeszcze sporo śniegu po zeszłotygodniowej zamieci, drogi nie są oblodzone. Jenny rozmyśla o imprezie. Żadna z nas nie interesuje się sportem, ale Peter grał w futbol amerykański na uniwerku i co roku pozwalamy sobie zaszaleć z okazji Super Bowl. Jenny kocha gotować, a dziś planujemy przyrządzić razem chili, skrzydełka Buffalo i guacamole. W zeszłym roku wpadł do nas Timmy i młodzi tulili się na sofie, szeptaając sobie do ucha i śmiejąc się, otoczeni przez Petera i naszych znajomych. Nie przypominam sobie, żebym obejrzała choć jedną pełną minutę programu – byłam zbyt

zaabsorbowana widokiem mojej zakochanej córki.

Jenny skończyła szesnaście lat w listopadzie, dopiero co zdała prawo jazdy i podchodzi do prowadzenia auta bardzo odpowiedzialnie, jak do wszystkiego. Same piątki w poprzednim semestrze, talent do gry na skrzypcach, błękitna wstęga w zeszłorocznych zawodach jeździeckich; uwielbia opiekować się naszymi zwierzakami i ma w sobie tak wiele życzliwości – i czystej determinacji, by dostać się na Uniwersytet Browna, jak jej rodzice. Zastanawiam się, czy wybierając to miejsce, próbuje w jakiś sposób zbliżyć Petera i mnie do siebie, przypomnieć nam, gdzie się poznaliśmy, i wiem, że żałuje, że wyszła dziś wściekła z domu, wyzywając mnie od hipokrytek, bo zapraszam ludzi i podejmuję rodzinę właśnie wtedy, kiedy Peter planuje się wyprowadzić. Mamy teraz w domu ciocię i wujka z Californii. Zawitali do Connecticut, bo on jest profesorem i przyjechał na wykłady gościnne do Yale, gdzie uczę antropologii kulturowej jako wykładowca kontraktowy. Jenny obawia się, że wujostwo wyczuło napiętą atmosferę i niesłusznie osądza Petera.

I tak jedzie do domu wzdłuż Shore Road, mija brązowe, połyskujące w słońcu moczary, zmrożone potoki – czysta biel w blasku dnia. Jej ojciec jest tuż obok, sączy kawę i rozwodzi się na temat tego, jak jego córka dobrze prowadzi tego ranka, jak trzyma łokcie przy sobie i pięty na podłodze, jak ładnie omija wszelkie nierówności na drodze.

Odkąd tylko pamiętam, Petera i Jenny łączyła niezwykła więź. Gdy była niemowlakiem i budziła się w nocy, zanosząc się płaczem, uspokajała się tylko wtedy, gdy to właśnie on ją kołysał. Tulił ją mocno i nucił wymyślone przez siebie piosenki, przemierzając tam i z powrotem pokój dziecięcy, z którego widać było łąkę i ten jeden, samotny wiąz, sprawiający upiorne wrażenie w blasku księżyca.

I nawet kiedy Jenny miała dziesięć i jedenaście lat, a ja wreszcie wróciłam na studia zdobyć dyplom magistra, gdy chodziłam na zajęcia w New Haven, uczyłam się i pisałam o antropologii ruchu, a stół w jadalni co wieczór zagracany moje książki i papiery – gdy Peter wracał z biura, razem z Jenny jedli kolację przed telewizorem w salonie, śmiejąc się głośno. Oboje uwielbiali komedie i bajki, zwłaszcza te francuskie – Asterix i Tintin byli przebojem w naszym domu.

A teraz Jenny jedzie do domu i do tej łąki migoczącej od zmrożonego śniegu. Droga jest prosta i pusta, żadnego ruchu w którymkolwiek kierunku, asfalt posypany piaskiem i nieoblodzony, gałęzie drzew splatają się nad ich głowami i rzucają poranne cienie, a jej wiąz – lubi myśleć, że należy do niej – majaczy już na horyzoncie. Shore Road skręca ostro w lewo, zakręt o dziewięćdziesiąt stopni, tuż obok miejsca, gdzie zaczyna się nasz podjazd.

Drogę okalają stare kamienne mury wzniesione przez pierwszych osadników Connecticut, którzy przybyli tu z Anglii koło 1600 roku – kolejny dowód migracji i życia w ciągłym ruchu oraz tego, jak historia świata w dużej mierze składa się z momentów, kiedy ludzie opuszczali jedno miejsce, by udać się gdzie indziej, w poszukiwaniu jedzenia, wolności wyznania, lepszego życia. Jak była mała, uwielbiała chodzić po tych murach do przystanku autobusowego i z powrotem. Czasami zostawiałyśmy sobie tam wiadomości w formie liścików, ukryte w szczelinie pokrytej mchem, którą nazywałyśmy naszą skrzynką pocztową. Jenny pamięta to nasze sekretne miejsce, ten dreszczyk podniecenia, kiedy znajdowała liścik, i ma na sobie sweter Timmy’ego – jego zapach nierozzerwalnie powiązany z uczuciem zakochania. I właśnie w tym momencie naciska pedał gazu.

Słońce odbija się od śniegu, od żyłek jasnej miki i kwarcu wplecionych w granitowe mury, oślepiając Jenny na ułamek sekundy. Droga jest pusta, zna tę trasę, jest naprawdę dobrym kierowcą, tata jest przy niej, sam nauczył ją prowadzić samochód, nigdy by go nie skrzywdziła, nigdy nie skrzywdziłaby samej siebie, kocha swoją rodzinę, kocha swoje życie – nie miałyby więc ku temu żadnych powodów.

Dziesięć minut później razem z Bonnie docieramy w końcu na miejsce, załatwiwszy wszystkie sprawy. Mamy jeszcze parę godzin, zanim znajomi przyjdą oglądać mecz, a mnie bardzo zależy na tym, żeby spędzić trochę czasu z Jenny – poranek należał do jej taty, a teraz ja będę miała wczesne popołudnie, żeby zaopiekować się naszym dzieckiem i jej złamanym sercem, żeby tylko przy niej być, bo wiem, że słowa niczego nie zmienią – nie da się wytłumaczyć, że z czasem wszystko będzie okej, że któregoś dnia przestanie boleć.

Black Hall to małe miasteczko, więc człowiek wstrzymuje oddech,

kiedy słyszy syreny, bo wie, że niezależnie od tego, co się stało, na pewno dotyczy to kogoś znajomego. Jadąc Shore Road, zwalnim, żeby przepuścić straż pożarną. Na tylnym siedzeniu Bonnie niespokojnie drepta tam i z powrotem. Mówię jej, żeby się uspokoiła, wszystko w porządku, zaraz będziemy w domu. Włączam kierunkowskaz, żeby zjechać z głównej drogi i skręcić w nasz podjazd, i nagle zauważam migające światła.

Są myśli zbyt przerażające, żeby dopuścić je do siebie. Widzę, jak lokalny posterunkowy nakazuje wszystkim pojazdom zawrócić, więc opuszczam szybę i tłumaczę mu, że mieszkam tu, zaraz obok – wciąż nie pozwalając sobie na choćby przebłysk myśli, że ten wypadek może dotyczyć naszej rodziny. Ale Bonnie wie i szczeka, a gdy posterunkowy poznaje, kim jestem, i podchodzi do samochodu z wyrazem twarzy, którego żaden człowiek nie chce ujrzyć, moje serce zamiera. Bo on też wie.

Otwieram drzwi samochodu, a on próbuje zatarasować mi drogę, ale nie ma takiej siły na świecie, mogącej mnie zatrzymać. Jestem tuż za Bonnie, która biegiem mija rząd wozów należących do policji, straży pożarnej i służb ratunkowych. Słyszę, jak ktoś mówi: „Nie wcisnęła nawet hamulców, musiała jechać przynajmniej osiemdziesiąt na godzinę...”, na co ktoś inny odpowiada: „Cicho bądź, to jej matka”. Promienie słońca odbijają się od ośnieżonych pól i wód cieśniny Long Island, ale nie oślepiają mnie – widzę wszystko jasno i wyraźnie, a mój umysł rejestruje to, co znajduje się przed nami, i to, co ukryte przed naszym wzrokiem.

Ten widok nigdy nie przestanie mnie nawiedzać, nawet wtedy, kiedy będę pięć tysięcy kilometrów stąd. Odległość nie może się mierzyć z tym, co zobaczyłam. Z wbitym w mur, zgniecionym samochodem, z kłębami czarnego dymu, z ratownikami niemającymi kogo ratować, rozstępującymi się przede mną. Z pajęczynami krwi pokrywającymi twarz mojej córki i mojego męża, leżących na ośnieżonej ziemi. Z Bonnie skamlającą cicho przy ich ciałach. I z ukochanym wiazem i jego nagimi gałęziami odznaczającymi się na tle błękitnego nieba – najpewniej ostatnim obrazem, jaki Jenny i Peter widzieli przed śmiercią.

¹ *Blue merle* – oznacza dosłownie „niebieski marmurkowy” i odnosi

się do umaszczenia sierści psów rasy border collie. Przedstawiciele tej rasy często mają też niebieskie oczy. Imię Bonnie Blue nawiązuje do tego koloru sierści.

Rozdział 1

Roberto

Wrzesień 2012

Tuż przed świtem powietrze pachniało cytrynami. Roberto spędził noc w małej chatce znajdującej się na terenie sadu w Górach Santa Monica – słony wiatr znad Pacyfiku osładzał zapach gorzkich owoców i wypełniał jego sny wspomnieniami rodzinnego domu. Znów był w Meksyku – zanim przybył do Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu dobrych warunków życia dla swojej rodziny – w innym *huerto de limones*. Sad aż tętnił od brzęczenia pszczoł oraz głosów rozmawiających pracowników. Rosa bawiła się swoją ukochaną lalką Marią, która miała przezroczyste skrzydełka anioła. Babcia Roberto zwykła szeptać Rosie na ucho, że Maria posiada magiczne moce i potrafi latać.

Dziewczynka miała na sobie ulubioną sukienkę, białą w różowe kwiaty, uszytą przez jej prababcie. Roberto stał wysoko na drabinie – znacznie większej we śnie, niż to możliwe w rzeczywistości. Mógł stąd zobaczyć krajobraz rozpościerający się ponad czubkami drzew, wodził więc wzrokiem wzdłuż doliny w kierunku Popocatepetl i Iztaccíhuatl – dwóch ośnieżonych wulkanicznych szczytów wznoszących się na zachodzie. Jego babcia opowiadała mu legendę, jakoby góry te były parą kochanków – wyglądały jak chłopak, który osłaniał dziewczynę. Wysoko na swojej drabinie Roberto czuł się najsilniejszym człowiekiem na świecie. Słyszał, jak jego córka rozmawia ze swoją lalką.

Zgodnie z magicznymi prawami, jakimi rządzą się sny, jego koszyk wypełniały dorodne cytryny. Ześlizgnął się z drabiny i wziął małą Rosę na ręce. Miała pięć lat, radosne, śmiejące się piwne oczy, a jej twarz otulały kaskady ciemnych loków. Zarzuciła swoje chudziutkie ramiona wokół jego szyi i schowała twarz w ramionach taty. We śnie Roberto był mądry i wiedział, że nie ma lepszego życia niż to, które właśnie wie, nie ma większego dobra niż to, co już posiada. Przytulił ją i obiecał, że nic złego jej nigdy nie spotka, i gdyby mógł trwać w wiecznym śnie, te słowa stałyby się prawdą. Sen przedłużał wizję. Jego oczy, mocno zamknięte, nie dopuszczały do siebie światła poranka,

a zapach *limones* wzmagał tylko halucynację, w której Rosa była przy nim, teraz i na zawsze.

Kiedy się obudził, nie marnował czasu na rozczulanie się nad wskrzeszonymi emocjami. Zniknęły równie prędko, jak się pojawiły. Jego dzień zaczął się szybko. Mieszkał czterdzieści kilometrów na wschód, w Boyle Heights, ale zostawał czasem na terenie sadu, kiedy było wyjątkowo dużo rzeczy do zrobienia albo w sezonie pożarów. Miał pod sobą trzech pracowników, a w razie potrzeby zatrudniał również dodatkowych robotników ze Społecznego Ośrodka Zatrudnienia w Malibu lub z parkingu Home Depot¹ w Woodland Hills. Zjawiali się na terenie sadu o ósmej rano.

Rodzina Rileyów mieszkała w ogromnym domu, utrzymanym w typowo hiszpańskim, kolonialnym stylu – z łukowymi oknami i czerwoną dachówką – nieco powyżej chatki Roberta, na grzbiecie wzgórza. Żyli na terenie Gór Santa Monica w zachodnim Malibu od połowy XX wieku. Podczas gdy inne rodziny posiadały zaniedbane, stare, mniej dochodowe sady i winnice, Rileyowie pozostawali wierni rodzinnej tradycji uprawiania cytrusów. Roberto szanował ich poczucie lojalności wobec przodków i ziemi.

Gaj zajmował czterdzieści akrów, na każdym akrze rosło po sto dwudziestoletnich drzew, posadzonych w prostych liniach na południowym zboczu, w tych samych rowach, w których stały kiedyś starsze drzewa. Dwadzieścia lat temu wiatry Santa Ana roznieciły pożar, który strawił cały sad, oszczędzając Casa Riley, ale pochłaniając sąsiednie posiadłości po obu stronach wzgórza. Blisko domu i basenu wyłożonego ogromnymi płytami znajdowały się jeszcze wystające skały i trzystuletnie żywe dęby – z pniami o średnicy prawie dwóch i pół metra – które wciąż nosiły ślady tego potężnego pożaru. Ogień był czymś mistycznym i choć w kolejnych latach jeszcze nie raz nawiedził Malibu, posiadłość Rileyów pozostała nietknięta.

Obecnie od Pacyfiku wiała jedynie chłodna bryza, ale Roberto wiedział, że mogło się to w każdej chwili zmienić. Lato dobiegło końca, a to oznaczało, że niedługo zaczyną wiać pustynne wiatry – Santa Any ryczące w górskich przełęczach, nagrzewające się w trakcie swojej podróży z wyższych stref w stronę wybrzeża. Wystarczy najmniejsza

iskra, choćby z elektronarzędzia, i cały kanion stanie w płomieniach. Od dwóch miesięcy nie spadła ani kropla deszczu. Roberto wszedł do stodoły, gdzie mieścił się panel kontrolny, i włączył zraszacze.

Woda trysnęła, łapiąc po drodze tęcze, podczas gdy słońce powoli wyzierało zza gór na wschodzie. Szumiała, miękko i bez końca, a w głowie Roberta formowała się wizja marnowanych pieniędzy. Woda była doprowadzona do sadu kanałem i nie należała do tanich udogodnień. Rileyowie powtarzali mu, że najważniejsza była dobra kondycja drzew i cytryn i ochrona ziemi przed pożarami.

Miał jednak jeszcze ważniejsze zadanie do wykonania, nim pojawią się jego współpracownicy – zabezpieczyć ścieżkę wzdłuż wybrzeża. Chwycił młot kowalski i przeciął zagajnik, kierując się w stronę klifu. Wysuszone przez lato zbocza biegly wzdłuż migotającego basenu i w dół, w stronę Pacyfiku. Turyści przechodzili czasem przez tereny należące do Rileyów, żeby dostać się do Trasy Backbone oraz innych ścieżek turystycznych rozsianych po paśmie górskim. Lata temu ktoś zadbał o słupki i łańcuch – prowizoryczny płot, który miał przypominać ludziom, że zbocze jest tu bardzo strome, a od podłoża kanionu dzieli ich ponad sto pięćdziesiąt metrów.

Sprawdził słupki i odkrył kilka luźniejszych. Lawiny błotne i trzęsienia sprawiały, że podłoże było niestabilne. Chciał, żeby nigdy się tutaj nie zapędzała, żeby wyprowadzała psa na terenie sadu – tym sposobem mógł-by mieć na nich oko. Albo żeby chociaż korzystała ze ścieżek wijących się z dala od oceanu. Ale ona kochała wielką wodę. Widział, jak spacerowała tą trasą w oba poranki od jej przyjazdu, przystawając, by nacieszyć oczy widokiem morza, podczas gdy pies buszował w gęstej dąbrowie i nadmorskiej szaławii.

Przyklepał pierwszy słupek, żeby wycelować, po czym wziął wielki zamach młotkiem. Metal uderzył o metal niczym w gong. Poczuł siłę uderzenia w kościach nadgarstka i ramion. Słupek za słupkiem, wbijał je kilka centymetrów głębiej, do momentu, aż były solidnie osadzone. Wiatr wiał w kierunku domu. Miał nadzieję, że ten dźwięk nie będzie jej przeszkadzał, i domyślił się, że raczej nie powinien. Wstawiała o brzasku, podobnie jak on.

Rileyowie wyjechali na parę miesięcy do Irlandii, zostawiając dom

w rękach siostrzenicy. Przyjechała trzy dni temu – sama, za towarzysza mając jedynie psa z ciapkami w kolorze bieli, brązu i szarości i jednym okiem brązowym, a drugim niebieskim.

Była to kobieta niska i blada. Miała siwe włosy i niebieskie oczy. Zupełnie nie przypominała przedstawicielek płci pięknej, które Roberto widywał w Kalifornii. Wszystkie tu wydawały się pełne szyku, prawie idealne, z piękną, brązową opalenizną i włosami pofarbowanymi na cudny odcień brązu lub jasny blond, z perfekcyjnym manikiurem i makijażem. Nigdy nie udało mu się uświadczyc pani Riley bez szminki na ustach. Ale siostrzenica była zupełnie inna.

Przedstawiła się od razu, jak przyjechała. Był właśnie w szopie, zmieniając ustawienia zraszaczy na cztery litry na godzinę na każde drzewo, kiedy weszła i bezceremonialnie uściśnęła jego dłoń – nie bacząc na fakt, że była tłusta, a jego twarz nie należała do najczystszych.

– Roberto, jak mniemam? Jestem Julia Hughes, siostrzenica Gracieli i Johna. A to jest Bonnie.

– O, hej, Julia. Miło mi – odpowiedział zakłopotany, wycierając ręce o spodnie. Za późno. – Dotarłaś bezpiecznie na miejsce. Długa podróż?

– Tak, dziękuję. Na szczęście Bonnie jest zaprawionym podróżnikiem.

Ich wzrok spotkał się na sekundę czy dwie i, nie wiedzieć czemu, włoski na szyi Roberto stanęły dęba. Próbuąc odpędzić od siebie to krępujące uczucie, przykucnął, żeby pogłaskać Bonnie, i zatopił dłonie w jej aksamitnej szarej sierści. Suczka miała radosną, przyjacielską mordkę, ale przez te nietypowe oczy babcia Roberto z pewnością nazwałaby ją *perra bruja*: psem czarownicy. Błękitne oczy Julii przyprawiły go o jeszcze większy niepokój – kiedy spojrzał w jej kierunku, poczuł się tak, jakby poraził go prąd. Jakby spojrzał właśnie w lustro.

– No, dobrze, nie przeszkadzam już w pracy – odezwała się, wyczuwszy jego zmieszanie.

– Dzięki – odpowiedział. – Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Wyszła. Bonnie poprowadziła ją w stronę ścieżki przy klifie. Po

pierwszym spotkaniu widział, jak wracała tamtędy ponownie. Nie mógł uratować wszystkich na tym świecie, ale mógł zrobić, co w jego mocy, aby trasa była dla niej bezpieczna.

Pracując nad słupkami, doszedł do wniosku, że będzie musiał wzmocnić przy pomocy betonu te, które są zbyt chybotałe. Lekkim kopnięciem buta posłał kamyki i grudki gliny prosto na dno kanionu. Chwytał garść zarośli ze zbocza i zablokował ścieżkę. Zwykł zostawiać ją w takim stanie – czasem nawet używał dodatkowo żółtej taśmy bezpieczeństwa – dopóki nie naprawił wszystkich niebezpiecznych elementów.

W drodze powrotnej do stodoły usłyszał nadjeżdżające ciężarówki i podniesione głosy. Przybyła ekipa do nawadniania i przycinania sadu, ale Roberto myślał wciąż przy niebezpiecznych miejscach przybrzeżnej ścieżki. Były wszędzie. Niektóre niewielkie i zabezpieczone odpowiednimi znakami ostrzegającymi – krótkie odcinki klifu wzdłuż trasy turystycznej, łatwe do naprawienia przy pomocy odpowiednich narzędzi i wiaderka cementu. Inne ciągnęły się całymi kilometrami, od jednego horyzontu po drugi, przez tereny, które przemierzało tysiące ludzi. Ci, którym dopisywało szczęście, uchodzili z życiem.

Najmłodszy z tych, którzy nie przeżyli, był teraz aniołem. Nawiedzali szlak pielgrzymkowy – wyschnięte koryta strumieni i wąskie kaniony – wypełniając powietrze swoimi upiornymi lamentami. Niektórzy z nich zostali porwani przez La Lloronę, legendarną płaczkę, która kradła cudze dzieci, żeby wypełnić pustkę po stracie własnych. Opuszczona przez niebiosa za to, że utraciła swoje pociechy w wodach rzeki Santa Fe, błąkała się po kresach i porwała dzieci, których nikt nie pilnował w nocy.

– *Hola, como estas?* – spytał Serapio, parkując samochód w cieniu.

– *Bien, y tú?* – odpowiedział Roberto.

– *Bien.* Dziś znów pracujemy nad odprowadzaniem wody?

– Tak jest. Kontynuujcie z chłopakami tam, gdzie wczoraj skończyliśmy. Zaraz do was dołączę – stwierdził Roberto.

Serapio przytaknął, nie zadając żadnych pytań. Roberto mógł poprosić ekipę, żeby pomogła mu szybciej zakończyć wzmocnianie

szlaku, ale podświadomie czuł, że to jego robota, jego obowiązek. Raz na jakiś czas doznawał przyływu inspiracji – czy to odpowiednie słowo? Pewnie nie. Uczucie to przypominało raczej ulgę, jaką niesie ze sobą zwolnienie z kary, szansa na to, by uczciwą pracą odkupić swoje grzechy. Nie był już nawet wierzący. Jego matka umarła w trakcie porodu, a babka wychowała go w duchu katolicyzmu. Wciąż nosił w kieszeni jej ręcznie wykonany różaniec z ciemnego drewna, choć to raczej z sentymentu i miłości niż z powodów religijnych.

Kiedy pojawiała się to uczucie – ulokowane gdzieś w jego trzewiach, a nie w głowie – zawsze był mu wierny. Chwycił worek zaprawy cementowej, napełnił pierwsze wiadro wodą i przewiesił spory zapas żółtej taśmy ostrzegawczej przez ramię. Pszczoły brzęczały w ciemnoróżowych bugenwillach, które porastały boki stodoły, a kiedy wracał w kierunku brzegu klifu, czuł, jak chłodna morska bryza muskała szalwzię i przybrzeżne zarośla. Przyjemnie koła jego rozgrzaną skórę, wywołując gęsią skórkę w porannym słońcu.

Pacyfik ciągnął się w nieskończoność, równie błękitny, co niebo, ale zdecydowanie nie tak głęboki. Wiatr smagał powierzchnię wody, tworząc niewielkie białe fale, które pędziły w stronę brzegu, aż w końcu roztrzaskiwały się u stóp klifu. Ich uderzenia były bezlitosne. Ten ciągły hałas sprawiał, że nie mógł spać po nocach, które spędzał na terenie sadu, i budził tęsknotę za jego własnym rolniczym miastem u podnóża gór. Zanim przyjechał do Los Angeles, nigdy nie widział żadnego oceanu. Jeśli upadek z klifu by go nie zabił, zrobiłaby to dzika toń – nie potrafił pływać.

Po wyrobieniu cementu wypełnił nim dziury, które wykopał, i umieścił w nich słupki. Były wykonane z litego metalu, więc po tym, jak zostały porządnie osadzone w ziemi, tworzyły wytrzymały i efektywny łańcuch. To wszystko, co mógł zrobić, by ochronić ją przed tym niebezpiecznym terenem. Słońce wdrapywało się coraz wyżej po nieboskłonie, sprawiając, że krople potu, które formowały się na jego brwiach, spływały mu prosto do oczu. Choć piekły niemiłosiernie, nie tracił czasu na wycieranie czoła – nie chciał przerywać pracy. Uderzał młotem tak mocno, że prąd, który czuł w kościach, nie pozwalały mu myśleć o stracie, niebezpieczeństwie i czymkolwiek innym.

¹ Home Depot – sklep z materiałami do budowy domu oraz wyposażeniem wnętrz; amerykański odpowiednik Obi lub Leroy Merlin.

Rozdział 2

Julia

To Malibu nie ma nic wspólnego z Malibu, o którym mówi się na Wschodnim Wybrzeżu. Żyjąc tam, słyszy się w kółko o gwiazdach filmowych i skandalach, o opalonych blondynkach w najnowszych modelach porsche, na widok których człowiek zachodzi w głowę – czy są to dobrze rokujące młodziutki aktorki występujące w programach telewizyjnych, które nie miały jeszcze premiery, czy może tylko piękne puste lale, utrzymywane przez starszych facetów, którzy są na tyle bogaci i samotni, że godzą się kupować drogie prezenty w zamian za odrobinę uwagi i czułości.

Wiedziała co nieco na ten temat. Odwiedzała te strony już jako mała dziewczynka – choć teraz zawitała tu po raz pierwszy od pięciu lat – i zdążyła się nasłuchać najróżniejszych plotek od Liona, z którym umówiła się tego wieczora na kolację.

Bardzo go kochała, ale nie była dziś w nastroju i wolałaby zostać w domu. Tutejszy krajobraz sprawiał, że czuła się bezpiecznie. Dziwne odczucie, zważywszy że trudno o bardziej nieprzyjazne miejsce niż Malibu – z tymi wszystkimi trzęsieniami ziemi, lawinami błotnymi i niekontrolowanymi pożarami.

Być może to zewnętrzne niebezpieczeństwo w pewnym sensie było dla niej źródłem pocieszenia, może wzmagало u niej przeświadczenie o przemijalności wszystkich rzeczy. Wystarczy popatrzeć na Czumaszów, którzy żyli na tych ziemiach przez dziesięć tysięcy lat, zajmując się zbieractwem, łowiectwem, budową statków i wytwarzaniem koszyków. Julia była antropologiem, więc z łatwością potrafiła sobie wyobrazić żywot, jaki tu pędzili. Życie musiało się wtedy wydawać czymś wiecznym i niezmiennym – aż do roku 1542, kiedy do brzegów przybił Juan Rodriguez Cabrillo i zawłaszczył te ziemie w imię Hiszpanii.

Antropologia okazała się dla niej idealnym kierunkiem studiów – uczyła się tu o kosmologii cywilizacji, które zostały wykorzenione z jednego miejsca, by z czasem osiedlić się w innym. Tak bardzo tęskniła za Jenny – za specyfiką ich wspólnych dni, za konstelacjami,

które znaczyły ważne momenty w ich życiu, za ich własną utraconą kulturą. To, kim były – Julia i Jenny, matka i córka – nigdy nie odejdzie w zapomnienie. Ale to, kim Jenny mogła się jeszcze stać i co jeszcze mogły razem przeżyć – to wszystko obróciło się wniwecz w dniu wypadku.

W swoim zawodzie Julia miała do czynienia z tym, co realne i namacalne, ze śladami, które ludzie po sobie zostawiają. Jeszcze jako studentka uwielbiała chować się w swoim ulubionym kącie w głównej bibliotece na uniwersytecie i przy pomocy niedawno odkrytych artefaktów tworzyć w swojej głowie wizje życia, jakie wiedli niegdyś ludzie. To była jej odwieczna pasja – utrzymywać zmarłych przy życiu poprzez naukę o tym, jak się zachowywali i gdzie musieli zawędrować w poszukiwaniu pożywienia, wody i miłości.

Była wrażliwą i uczuciową dziewczyną – i to się nigdy nie zmieniło. W pierwszej klasie podstawówki chodziła na zajęcia z dziećmi, które mieszkały w domu dziecka – ceglanym budynku stojącym na szczycie wzgórza. Znalazły się tam z wielu powodów: ich rodzice nie żyli, znęcali się nad nimi lub z jakiegoś powodu nie byli w stanie opiekować się dziećmi. Julia widziała ten dom z okna swojego pokoju.

Chłopiec, który siedział z nią w ławce, był tam jednym z podopiecznych. Billy miał piegi i uparty kosmyk włosów, który wiecznie opadał mu na czoło. Kiedy wybrali się na wycieczkę do siedziby lokalnej straży pożarnej, nauczycielka wyznaczyła go, żeby szedł z nią w parze, więc siłą rzeczy trzymali się za ręce. To był sam środek jesieni i, idąc wzdłuż ulicy, przedzierali się przez warstwy czerwonych i żółtych liści. Billy nie rozmawiał z nikim poza wychowawczynią. Przebyli drogę w ciszy, choć cały czas ścisnął ją za rękę, zupełnie jakby chciał jej coś przekazać alfabetem Morse'a.

Miał brudne nadgarstki i dziurę w rękawie swetra. Wystarczyło popatrzeć na tę poszarpaną włóczkę i dodać do tego dojmujące milczenie, żeby zrozumieć, że chłopak nie miał łatwego życia.

W czwartej klasie Julia obejrzała film o Margaret Mead, która pracowała z dziećmi w Samoa. Jednak gdy dostała się do liceum, to Ruth Benedict, mentorka Margaret, stała się jej główną fascynacją, i to ona

sprawiła, że Julia zapragnęła zostać antropologiem.

Ruth badała plemiona na południowym zachodzie i była pierwszą kobietą, która mogła się poszczycić sporymi osiągnięciami w tej dziedzinie. Pisała o związkach pomiędzy kulturą, językiem i osobowością. Interesowały ją schematy ludzkiego zachowania i to, w jaki sposób kształtują je tradycje i rytuały. Julia pragnęła dokładnie zgłębić normy postępowania człowieka, również w odniesieniu do własnej rodziny.

A jak zachowywała się sama Jenny? Była huraganem miłości. Miała to po matce. Często zdarzało się, że gdy Julia wracała z pracy do domu, zahaczając po drodze o sklep spożywczy, Jenny od progu wpadała jej w ramiona i mocno przytulała, pytając:

- Dlaczego tak długo cię nie było?
- Wróciłam z pracy prosto do domu.
- Zapomniałaś? Planowałyśmy zorganizować sobie dzisiaj piknik i podziwiać razem wschód księżyca.

...Albo zachód słońca, albo tasergale¹ w szale żerowania, albo motyle monarchy przygotowujące się do swojej długiej podróży na południe, do Meksyku, albo jaskółki, które każdej nocy o zmierzchu tworzyły formacje przypominające trąby powietrzne.

Tej wrześnie nocy padło akurat na wschód księżyca. Jenny przyszykowała kanapki – przepyszne mieszanki wędzonego tasergala i tego, co było pod ręką w ogródku. Peter był w domu – Julia właśnie sobie o tym przypomniła – ale nie chciał do nich dołączyć. Pracował nad jakąś sprawą albo planował obejrzeć mecz Red Sox. Nie miały zamiaru wykluczać go z tych prywatnych wspólnych chwil, ale on nigdy nie przejawiał większych chęci, żeby w nich uczestniczyć. On i Julia wydawali się wieść dwa osobne życia, i był to główny powód, dla którego zdecydowali się na separację.

Julia i Jenny pospieszyły wzdłuż wijącej się leśnej ścieżki z karłowatymi dębami i sosnami pochylającymi się nad piaszczystą trasą. Dotarły na plażę o zachodzie słońca. Przysiadły na gładkim, szarym pniu drzewa, które lata morskich sztormów, wiatrów i nawiewanego piasku już dawno pozbawiły kory. Skierowały wzrok na wschód.

Starały się organizować taki wieczór każdego miesiąca, kiedy

akurat wypadła pełnia, ale nie zawsze było to możliwe. Tej nocy ujrzały jednak brzoskwinowy księżyc nad wschodnim przylądkiem, który powoli zalewał swoim magicznym światłem cieśninę Long Island – tak pojawiła się jaśniejąca ścieżka wiodąca tuż pod ich stopy.

– Tak się cieszę, że wpadłaś na ten pomysł, Jenny.

– Mamo, przecież to ty wymyśliłaś księżycowe pikniki.

– Naprawdę? – Julia zapytała zdziwiona, choć było to pytanie retoryczne. Odkąd tylko pamiętała, zawsze kochała naturę i magię, którą świat przyrody wnosił do ludzkiego życia. Jako dziecko bardzo przypominała Jenny: była zakochana dosłownie we wszystkim. Nie wierzyła, że miłość może się pojawić z czasem – to musiał być taki wielki „bum!”, niczym narodziny wszechświata.

Entuzjazm, jakim pałała Jenny, był lustrzanym odbiciem pasji, jaką nosiła w sercu Julia. Pod tym względem nie mogła się bardziej różnić od Petera. On z wiekiem stawał się coraz bardziej wyważony i przezorny, przez co coraz trudniej było Julii znaleźć coś, co by ich łączyło – poza wspólnie przeżyтыми latami i córką. Minęło mnóstwo czasu, zanim Julia potrafiła przyznać się przed samą sobą, że była ogromnie nieszczęśliwa w małżeństwie, które wszyscy uważali za wyjątkowo udane. I kiedy tak podziwiała pełnię księżyca i trzymała swoją córkę za rękę, po policzkach zaczęły spływać jej łzy, gdyż zaczęła już nie tylko myśleć, ale podejmować odpowiednie kroki, by rozwieść się z Peterem.

Jak się okazało, rozwód nie był wcale konieczny.

Góry Santa Monica rozciągają się od wschodu do zachodu, na północ od doliny Los Angeles, aż po Ocean Spokojny. Posiadłość tkwiła bezpiecznie w kanionie, z którego rozciągał się widok na niekończący się, migotliwy błękit oceanu. W kilka dni po tym, jak Julia i Bonnie zjawiły się w Connecticut, suczka przejęła rolę królowej domostwa. Miała już swoje lata, więc fakt, że znów wyglądała na szczęśliwą, mocno wzruszył Julię.

Collie są wrażliwe na nastroje właścicieli. Julia wiedziała, że jest panią Bonnie – czy jej się to podoba, czy nie. Wprawdzie była najszczęśliwsza, gdy nikt jej nie zauważał, lubiła być nisko w każdej

hierarchii, ale z czworonogami łączyła ją szczególna więź. Już od pięciu lat były tylko we dwie, Bonnie i Julia, i wiedziała, że należały do siebie. Pogodziła się już z faktem, że suczka była całkowicie od niej zależna – aż do tej podróży ich życie ograniczało się do ścian sypialni i kuchni i do jak najrzadszych wycieczek do sklepu.

Bonnie leżała na łóżku obok niej i patrzyła smutnym wzrokiem, jak Julia wracała myślami do Jenny i kolejny raz panicznie próbowała złapać oddech. Pięć lat po całym zdarzeniu wciąż miała wrażenie, że wszystko wydarzyło się raptem wczoraj. Oddychanie ciągle przypominało próbę połknięcia żyletki – bolesny wdech i równie bolesny wydech. Dlaczego to właśnie Julia mogła nabierać powietrza w płuca, a Jenny już nie? Dziecinna myśl, która nigdy jej nie opuściła. Żałowała, że nie mogła zamienić się z córką miejscami. To Jenny powinna być tu z Bonnie, to Jenny powinna być teraz na studiach, to ona powinna doglądać domu w tym tajemniczym kanionie, który pachniał kwiatami, cytrynami i morskim powietrzem.

Nie znosiła spotykać się z ludźmi. Nie chodziło o żaden konkretny uraz, o nic osobistego – od śmierci córki stała się kimś innym, obcym. Jenny kochała Bonnie. Uwielbiała głaskać suczkę, tulić ją, rzucać jej piłkę do tenisa, podnosić zabawkę, całą obślinioną, i znów rzucać. Biegły razem przez pole aż do martwego drzewa, przez szczyt skarpy prosto na plażę, po czym pływały w wodach cieśniny Long Island, wracały do domu i przy pomocy szlauchu zmywały z siebie piasek, sól i strzępki glonów. Ponieważ Jenny tak często tuliła się do ukochanej suczki, kiedy Julia głaskała Bonnie, wiedziała, że w pewnym sensie dotyka jakiejś części swojej córki.

Spoglądając przez okno, wzdłuż długiej połączy trawnika i ogrodu aż do sadu, zauważyła Roberto wbijającego słupki tuż przy klifie i poczuła wzbierające w niej niezrozumiałe uczucie złości. Dlaczego naprawiał ścieżkę? Z pewnością widział, jak wyprowadzała tam wczoraj Bonnie na spacer i, cholera jasna, mogłaby przysiąc, że odczytał jej myśli w tej ulotnej chwili, kiedy zastanawiała się, jak łatwo byłoby po prostu stanąć na krawędzi i pozwolić sobie zapomnieć o wszystkim, odpuścić i pofrunąć w dół na spotkanie z morzem.

Mimo że unikała kontaktu z innymi ludźmi, niespodziewanie

opanowało ją przeświadczenie, że zaraz pójdzie zobaczyć się z Roberto. Jak to możliwe, że po tym krótkim pierwszym spotkaniu nie klasyfikowała go jako kolejnego spośród „innych ludzi”?

Był najnowszym zarządcą sadu, kolejnym imigrantem na tym stanowisku – a było ich już całkiem sporo. Julia знаła większość z nich, żartowała z nimi, poznała ich rodziny, a jako dziecko pozwalała im podsadzać się do gałęzi, by móc zbierać cytryny. Przybyli z Meksyku w poszukiwaniu lepszego życia.

W swoich najwcześniejszych wspomnieniach pamiętała, jak wujek John tłumaczył jej, że Meksykanie i Irlandczycy – zwłaszcza jej własna irlandzka rodzina – byli spokrewnieni w znacznie głębszy sposób niż przez więzy krwi. Obie liczne grupy wyemigrowały do Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu tego samego: życia wolnego od głodu i biedy, miejsca, w którym mogliby założyć rodzinę i stworzyć dla swoich dzieci warunki umożliwiające budowanie lepszej przyszłości.

Opowiedział jej o Johnie Rileyu, ich przodku, który przybył z Irlandii, by dołączyć do amerykańskich sił wojskowych w trwającej właśnie wojnie z Meksykiem. Będąc jednak świadkiem niesprawiedliwości i krzywd, zmienił strony i uformował Batalion Świętego Patryka, by walczyć w obronie Meksyku. Ostatecznie Amerykanie złapali go i wypalili mu na policzku „D”, co znaczyło: „dezter”, a Meksyk przegrał wojnę.

Wujek John mocno popierał wybór antropologii jako kierunku studiów. Kiedy Julia przyjechała tu z wizytą w wieku siedemnastu lat, podarował jej klasyczną pozycję Reného Grousseta *The Empire of the Steppes*, opublikowaną w 1939 roku. W ten sposób narodziła się jej fascynacja bułgarskimi plemionami żyjącymi na terenie południowej Rosji i tym, jak ruchy migracyjne nomadów stepowych w kierunku wschodnim i zachodnim wpłynęły na rozwijające się społeczeństwa w Europie, Chinach, Azji Środkowej oraz Indiach. Każde miejsce na świecie zawdzięczało swoją tożsamość ludziom, którzy zawędrowali tam, opuściwszy inne miejsce.

Zrealizowała swoje marzenie i dostała się na antropologię kulturową na Uniwersytecie Browna, gdzie planowała zdobyć tytuł magistra. Zamiast pójść od razu na studia doktoranckie, postanowiła

zrobić przerwę. Razem z Peterem nie mogli sobie pozwolić za podwójne opłaty za studia, więc to on pierwszy uzyskał tytuł doktora prawa.

A potem przyszła na świat Jenny. Julia nigdy nie przestała czytać i podsycać swojej ciekawości na temat ruchów migracyjnych plemion oraz diaspor. Kiedy Jenny poszła do czwartej klasy i zaczęła wypytywać o swoich przodków, Julia zdobyła kopię filmu o Margaret Mead i pokazała go córce. Zainspirowało to dziewczynkę do wykonania szkolnego projektu o krewnych Julii, którzy przybyli z Irlandii, oraz o przodkach taty z Anglii.

Julia rozumiała, że nic porozumienia, jaką poczuła, gdy rozmawiała z Roberto, miała coś wspólnego z błyskiem w jego oczach, kiedy zapytała, czy ma dzieci. Wyglądał tak, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć. W końcu stwierdził: „Tak, córkę”, ale odwrócił przy tym wzrok, tak jak to robią ludzie, kiedy kłamią. Ona też tak robiła. Nie potrafiła rozmawiać z nikim na temat Jenny.

Dom przynosił ukojenie. Jej wujek był wykładowcą, ciocia aktorką. Matka Gracieli była Meksykanką, jej ojciec rdzennym mieszkańcem Los Angeles, który miał małe studio tuż za górami w północnym Hollywood. John i Graciela poznali się w barze na plaży kilka kilometrów dalej – John pracował nad naukami o Meksyku na UCLA²; Graciela dostała rolę w westernie, który kręcili akurat na ranczu Paramount.

Oboje dorastali w Wielkim Los Angeles i pomimo dzielących ich różnic od razu połączyła ich wzajemna fascynacja. John oświadczył się, zanim pierwsze zdjęcia na planie zostały ukończone. Pobrali się w cytrynowym sadzie i wprowadzili do domu – Casa Riley – dzieląc go z jego rodzicami do momentu, aż oboje odeszli.

Ta konkretna gałąź rodziny Rileyów uwielbiała hiszpańską architekturę kolonialną, co można było łatwo zauważyć, patrząc na ich posiadłość. Ściany pokryto grubą warstwą szlachetnego tynku, łukowe okna były zbyt małe, aby podziwiać przez nie pełne piękno otaczającego krajobrazu, a czerwone płytki podłogowe wyróżniały się na tle białego gipsu i kolumn oraz framug z ciemnego drewna. Ojciec Julii, William, wychował się w tym domu, ale studiował na Harvardzie, w końcu osiadł na Wschodnim Wybrzeżu i nie oglądał się za siebie. Ignorował

meksykańską część ich rodzinnej historii na rzecz tego, co irlandzkie, pomieszkując i pisząc w Connemara³ tak często, jak to tylko było możliwe.

Wujek John bardzo cenił lokalną historię i przez te wszystkie lata razem z Gracielą udało mu się zebrać całkiem pokaźną kolekcję wyrobów ceramicznych legendarnej i nieodżałowanej Malibu Potteries, fabryki, która znajdowała się na plaży raptem kilka kilometrów stąd, idąc wzdłuż wybrzeża. Niestety, pracowała tylko przez sześć lat, od 1926 do 1932 roku, nim strawił ją pożar. Do ich zdobyczy należały piękne glazurowane płytki w łazienkach i kuchni, podpórki na książki w kształcie psotnych mnichów i wielobarwna fontanna wyścielana płytkami na dziedzińcu, przyozdobiona głową króla plującego stabilnym strumieniem wody. Kolekcjonowanie tak starych i pięknych rzeczy stało się ich wspólnym hobby, które wynagradzało im fakt, że nie posiadali dzieci. Graciela sama się do tego przyznała.

Bonnie była właśnie na dziedzińcu i chłeptała wodę z fontanny.
– No chodź, maleńka. Idziemy na spacer – zaproponowała Julia.

Nie zważając na artretyzm, który zaatakował jej biodra, suczka błyskawicznie czmychnęła z dziedzińca, kierując się w stronę ich zwyczajowej trasy. Julia dotrzymywała jej kroku, co nie było już takie trudne, odkąd Bonnie była coraz powolniejsza.

Spacerowali wzdłuż trawnika, który przywodził na myśl wypielegnowany raj: białe róże rozkwitały przy ścieżkach, tuż obok słodkiej smagliczki i ciemnoniebieskiej lobelii. Koralowe pelargonie wypełniały okrągłe doniczki zrobione z muszelek – tysiące pustych zwójek ułożonych w niekończące się kręgi. Ciemnoróżowe bugenwille zwisały kaskadami z ogrodzenia przy stodole, a jaskrawozielone kolibry unosiły się nad soczyście czerwonymi kwiatami, przelatując ze świstem koło głowy Julii, kiedy przechodziła obok.

Usłyszała metaliczny odgłos, jaki wydawał młot Roberta. Przez chwilę biła się z myślami, rozważając, czy nie lepiej by było, gdyby udała się w przeciwnym kierunku, nie przeszkadzała mu i pozwoliła na kontynuowanie pracy. Przystanęła w cieniu powykrzywianej przez wiatr sosny i patrzyła, jak mężczyzna całkowicie skupia się na swoim zadaniu. Miał na sobie biały T-shirt i workowate, niebieskie jeansy, z kieszeni

zwisał mu ciężki łańcuch na klucze, a na nogach miał zdarte buty. Już chciała się oddalić, kiedy Roberto spojrział nagle w jej kierunku.

Minęła chwila, nim na jego ustach zagościł uśmiech, ale kiedy już tak się stało, dotarło do niej, jak bardzo był przystojny. Miał smutek wypisany na twarzy. Ujęła ją ulga, jaka przepełniła jego oczy, kiedy ją zobaczył – zupełnie tak, jakby jej widok przyniósł mu ukojenie. Jego brązowoczarne włosy były krótko ostrzyżone, a twarz zdobił starannie przycięty wąs oraz dwu-, trzydniowy zarost. Jego skóra była jasnobrązowa, a mięśnie długie i smukłe.

Wokół jego ust i oczu można było dostrzec parę zmarszczek, ale do Julii właśnie dotarło, że mężczyzna był młodszy, niż z początku zakładała. Mógł mieć koło trzydziestu paru lat, nie więcej. Podeszła do niego.

– *Hola, Julia!*

– *Hola, Roberto. Jak się masz?*

– *Bien, bien. A Ty? Cześć, Bonnie...*

Przyglądała się, jak suczka ociera się o jego nogi. Przykucnął, by ją pogłaskać. Jego dłonie gładziły miękką sierść.

– Dziękuję, że naprawiłeś słupki – zaczęła nieśmiało. – Razem z Jenny miałyśmy w zwyczaju... – przerwała, nie mając siły dokończyć.

– Nie ma sprawy – odpowiedział. – Chcę, żebyś czuła się tu bezpiecznie. Obecnie mało osób się tutaj zapuszcza.

– Wybacz, że wyrwałam cię z sadu. Z pewnością masz tam masę do zrobienia.

– Nic się nie stało. Serapio z resztą ekipy mają wszystko pod kontrolą. Niedługo do nich dołączę.

Stał wyprostowany, trzymając w ręku młot, zamiast się na nim opierać, jednak po chwili odłożył go na ziemię i otarł pot z czoła, sygnalizując, że robi sobie przerwę.

– Spragniony? Może skoczę po coś do picia? – spytała, po czym zrobiło jej się głupio. Mogła od razu przynieść ze sobą dzbanek zimnej wody, tak jak to robiła, gdy sadem zajmował się Tonio, a potem Ricardo, poprzednicy Roberto.

– Nie trzeba, dziękuję – odpowiedział.

– Więc teraz to ty tutaj zarządzasz?

– Tak.

– Widać, że świetnie ci to wychodzi – stwierdziła.

Słońce wzeszło już nad górami, a cytryny mieniły się białym światłem. Pył z kanionu pokrył woskowe zielone liście, sprawiając, że wyglądały jak zmatowiałe srebro.

– Dziękuję. Mam szczęście, że twój wujek mnie zatrudnił. To dobra, stabilna posada.

Przytaknęła mu, zaintrygowana doborem słów: „dobra, stabilna posada”.

– I mieszkasz tu, na terenie sadu?

– Nie. Czasami zostaję tu na noc, ale mieszkam gdzie indziej.

– To znaczy gdzie? – spytała odrobinę zaskoczona. Tonio wraz z rodziną mieszkali w chatce. Była to dodatkowa zaleta tej pracy.

Wydawał się zmieszany. Przez chwilę żałowała, że zadała to pytanie, obawiając się, że mógł odebrać je jako niekulturalne czy wścibskie.

– We wschodnim Los Angeles – odpowiedział.

– Aha...

Nie знаła tego miasta zbyt dobrze, ale każdy kojarzył stereotyp związany ze wschodnim L.A. i jego złą reputację – gangi i handlarze narkotyków. Pomyślała o jego córce – jeśli faktycznie takową posiadał – i o tym, kto się nią teraz zajmował. Roberto nie nosił obrączki.

– Sporo myślałam o naszej wczorajszej rozmowie. Twoja córka...

– Rosa – wtrącił.

– Czy ona z tobą mieszka?

– Nie – odpowiedział. – Mieszka w Meksyku.

– Ach, tak. – Może to dlatego zdawał się unikać tego tematu. – Często się z nią widzisz?

– Chciałbym, ale to niewykonalne.

Ta odpowiedź bardzo ją zaskoczyła i sprawiła, że zaczęła rewidować pierwsze wrażenie, jakie zrobił na niej mężczyzna. Myśl, że mogłby mieć dziecko i nie utrzymywać z nim większego kontaktu, błyskawicznie odbiła się na jej opinii na jego temat.

– Dlaczego?

– To nie takie proste – odpowiedział.

- Na pewno bardzo za nią tęsknisz.
- To prawda.
- Nie dogadujesz się z jej matką? – Nie przestawała dopytywać.
- To nie dlatego nie widuję się z Rosą.

I już wszystko wiedziała. Nie była to żadna wielka tajemnica – pod wieloma względami taka właśnie była historia L.A., a przynajmniej robotników, których praca napędzała to miasto.

– Nie masz papierów – stwierdziła. – Nie możesz przekroczyć granicy.

Jego spojrzenie było niezachwiane i pełne dumy. Milczenie oznaczało, że miała rację. Wujek zawsze zatrudniał nielegalnych robotników. Choć w jego przypadku okoliczności były inne, on również był imigrantem i szanował u ludzi pragnienie lepszego życia. Podziwiała empatię, jaką wykazywał się jej wujek, ale w tej chwili potępiała Roberto za to, że wyżej cenił swoją pracę i nowe życie w Stanach niż własną córkę. A jednak, kiedy spojrzała mu głęboko w oczy, dostrzegła bezdenną rozpacz, która przyprawiła ją o gęsią skórę.

- Dlaczego nie widzisz się z Rosą? – spytała ponownie.
- Wydarzyło się coś złego – odpowiedział.
- Kiedy?
- Pięć lat temu.

Ten nieoczekiwany zbieg okoliczności zaparł jej dech w piersiach. Cofnęła się o krok do tyłu, schodząc z zakurzonej ścieżki.

– Kim jest Jenny? – zapytał.

Dźwięk jej imienia wywołał ból, który ogarnął całe ciało. Zupełnie jak schodzące płaty poparzonej skóry. Roberto powtórzył pytanie:

- Kim jest Jenny?
- To moja córka – odpowiedziała.

Odwróciła się. Bonnie odpoczywała w cieniu, ale zauważywszy ruch Julii, podniosła się niezgrabnie i zaczęła człapać wzdłuż ścieżki. Julia bez słowa poszła za nią, znikając wkrótce za zakrętem.

Lion

Lion Cushing mieszkał na szczycie stromego podjazdu wijącego się wzdłuż stoku góry, tuż przy drodze Old Topanga Canyon, i żył tam tak długo, że niektórzy miejscowi nazywali go Dziekanem Topanga.

Przychodzili do niego, by wysłuchać opowieści o Jimim Hendrixie balującym w Świątyni Moon Fire, pogłosek na temat Charlesa Mansona żyjącego w stodole, zanim stworzył swoją Rodzinę, nieprawdopodobnych historii o UFO, które miałyby wykorzystywać kanion jako punkt nawigacyjny – to tu miało wzbijać się w powietrze i lądować, spowite chmurami zielonego dymu. To tutaj można było również poznać pikantne szczegóły na temat tego, kto z kim sypia na plażach dla milionerów w Malibu. Lion nie gardził też plotkami i wspomnieniami z czasów, kiedy żył w Hollywood – starych, dobrych czasów.

Kiedyś przychodzili do niego po trawkę. Przed laty Lion dysponował najlepszą maryską na Wschodnim Wybrzeżu i wszyscy o tym wiedzieli. Kiedy tak stał na swoim kamiennym tarasie pośród majestatycznych, leciwych drzew eukaliptusowych, przygnębiła go świadomość, że najlepsze lata jego życia należą już do przeszłości. Lata wstecz trawka była częścią czegoś znacznie większego i ważniejszego – określonego stylu życia; czasami Lion nie mógł uwierzyć, że takie życie wiódł. Teraz joint to był tylko joint.

Życie upłynęło tak szybko... Pracował kiedyś z najlepszym menadżerem na rynku, który powstrzymał go przed roztrwonieniem zarobionej fortuny, więc choć miał już swoje lata i w zasadzie był na emeryturze, mógł wciąż bezwstydnie wieść dekadentkie życie. Jakimś cudem zachował przystojne rysy twarzy – co było zasługą wyłącznie dobrych genów – przynajmniej jak na siedemdziesięcioletniego staruszka, ale dawno minęły już dni, kiedy „Variety” określiło go mianem „wyrzeźbionego z tego samego granitu, co łańcuchy górskie w jego rodzimym stanie”. New Hampshire. To było wieki temu.

Zadźwięczał gong – relikwiarz pochodzący z buddyjskiej świątyni z czasów dynastii Tang. Dźwięk był miły dla jego ucha, nie tylko dlatego, że oznaczał towarzystwo, ale również dlatego, że przypominał mu, jak kręcił *Two for the East* na rzece Jangcy razem z inną gwiazdą – Gracielą Crawford Riley. Otworzył drzwi i oto stała przed nim siostrzenica Gracieli, Julia.

– Witaj, kochanie – zaszczębiotał, całując ją w oba policzki i tuląc mocno do siebie. – Udało ci się tutaj dotrzeć bez żadnych niechcianych

przygód!

– Warto było, żeby cię zobaczyć – odpowiedziała.

– Mam tu rozpadający się zamek i prywatną drogę, którą hrabstwo chciałoby zamknąć, ale fakt, że takie piękne towarzystwo jest w stanie posunąć się do kłamstwa, żeby poprawić mi humor, sprawia, że mam realną ochotę dożyć jutra.

– Ech, Lion... – uśmiechnęła się.

– I to nie byle jakie towarzystwo – ciebie.

Znał ją, od kiedy była małą dziewczynką. Graciela zwykła przyprowadzać tu Julię, żeby mogła pojeździć konno. Smutek i żal odcisnęły na niej swoje piętno, rozmyły jej rysy, postarzały – może nie dodały jej więcej lat, niż rzeczywiście miała, ale zgasiły błysk w oku, ten niespotykany, dziecięcy entuzjizm, jakim tryskała przed śmiercią córki. Brakowało mu tych żywych emocji, którymi emanowała, a które – czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie – były jej znakiem rozpoznawczym.

Zaprosił ją do środka. Przeszli przez iście magnacki salon prosto na taras. Dom stał na najwyższym szczycie Topanga. Lion czerpał niezwykłą przyjemność z widoku Julii sączącej drinka i otoczonej przez tak spektakularny krajobraz – Ocean Spokojny, Catalina i Wyspy Normandzkie, półwysep Palos Verdes otulający południowy kraniec zatoki Santa Monica, cztery łańcuchy górskie, światła śródmieścia Los Angeles. Otoczenie wydawało się działać na nią odprężająco, a to sprawiało mu jeszcze większą radość.

– Może napijesz się ze mną martini? – zapytał.

– A nie lemoniady? – droczyła się.

– A więc nadal pamiętasz – odpowiedział, zanosząc się śmiechem.

Jako mała dziewczynka Julia przyjeżdżała tu w odwiedziny ze swoją ciotką, a kiedy było to nie do uniknięcia – również z Johnem, z koszykiem pełnym cytryn, które zebrała w sadzie. I podczas gdy dorośli pili gin, ona popijała lemoniadę ze świeżo wyciśniętych cytryn.

– Pewnie, że tak.

– A przyniosłaś dziś wypełniony po brzegi kosz?

– Nie tym razem – odpowiedziała.

Wstrząsnął nim fakt, jak szybko uśmiech zniknął z jej ust, nie

pozostawiając po sobie najmniejszego śladu.

Mieszał drinki w srebrnym shakerze, po czym wylewał do kryształowych kieliszków. Siedzieli na tarasie, obserwując, jak światło zmienia barwę z niebieskiej na pomarańczową – nieziemski blask nieba odbijał się w toni oceanu i zabarwiał pobliskie wzgórza na złoto, przepędzając cienie do kanionów i dolin.

– Opowiedz mi o wszystkim – przerwał ciszę.

– Zawsze tak mówisz – zauważyła.

– Bo zawsze chcę wiedzieć! Wszystkie pikantne szczegóły.

– Cóż, jestem tu – odpowiedziała wymijająco. – To chyba największa nowość.

– Zdecydowanie.

To była jej pierwsza wizyta w Kalifornii od wypadku. Widział ją jeszcze na Wschodzie – na pogrzebach i kiedy grał Agamemnona na deskach Hartford Stage. Nie pojawiła się na przedstawieniu, ale każdego wolnego dnia w czasie tych sześciu tygodni wsiadał do samochodu i jechał do Black Hall, żeby być przy niej i zmusić ją do udawania, że należy jeszcze do świata żywych. Przynajmniej na czas, kiedy ją odwiedzał.

– A jak się sprawy mają w Casa Riley? – spytał.

– Jest równie bajkowe, jak to zapamiętałam. Bonnie też się tam bardzo podoba.

– Bonnie! Dlaczego nie zabrałaś jej dziś ze sobą?

– Chyba wolą zostać w domu. Psina się starzeje, Lion.

– Jak my wszyscy, co? Jestem chyba najstarszym facetem w Hollywood.

– Ty się nigdy nie zestarzejesz – odpowiedziała. – Kiedy byłam małą dziewczynką, czułam, że jesteś bardziej moim przyjacielem niż ich.

– Miło słyszeć, kochanie, ale można być jednocześnie niedojrzałym i przestarzałym – stwierdził.

Zaśmiali się, popijając martini. Lion zaczął się jej przyglądać znad zroszonego brzegu kieliszka. Była równie urocza jak ciotka, kiedy była w jej wieku, choć czerń włosów Gracieli i mroczny latynoski ogień jej matki kontrastowały z bladym pięknem Julii – irlandzkim, nienachalnym. Piegowata cera, szaroniebieskie oczy, wysokie kości

policzkowe, małe usta. Podczas gdy Gracie napędzało pragnienie bycia podziwianą i rozpoznawaną – jak każdą aktorkę, jaką Lion kiedykolwiek poznał – Julia wydawała się wiecznie spokojna, bardziej introwertyczna, z tajemniczym uśmiechem na ustach, który nigdy nie domagał się uwagi.

– Jakież wieści od ciotki? – spytał jakby od niechcena.

– Świetnie się bawią – odpowiedziała. – Dom jest w porządku; misja Johna, by odnaleźć swojego imiennika, idzie całkiem dobrze.

– Jakież to ekscytujące – stwierdził.

– Nie wyglądasz na podekscytowanego – zauważyła, uśmiechając się pod nosem.

Patrzył na nią bez żadnego wyrazu. Zawsze zastanawiał się, jak dużo Julia wiedziała lub domyślała się w kwestii uczuć, jakimi darzył Gracie.

– Tak długo ich nie będzie – stwierdził. – Człowiekowi zaczyna doskwierać samotność, gdy brakuje najlepszych przyjaciół. Jak będę umiał sobie czas, skoro Rileyowie opuścili mnie na rzecz Irlandii?

– Ty się nigdy nie nudzisz – zauważyła. – Wiem, że każdy wieczór spędzasz poza domem. Mam szczęście, że nie muszę się dziś tobą dzielić. Tutaj każdy jest w tobie zakochany.

– Cóż, to prawda. Choć jeśli mam być szczery, wolę spędzać wieczór przy kominku, grając w kanastę⁴ z twoją ciotką, niż na kolejnym czerwonym dywanie, uczepony czyjegoś ramienia.

– Czyjegoś – powtórzyła szyderczo. – Widziałam cię w magazynie „People” z tą panią z filmów kręconych w Shady Lake.

– A, tak. Bee Sting⁵, jak mam w zwyczaju ją nazywać. Te usta, których każdy teraz pragnie. Jeśli o mnie chodzi, nic nie przebije ciebie i twojej ciotki. Prosta elegancja jest znacznie bardziej pociągająca niż całuśne, wulgarne usta. Kobiecość to zapomniana sztuka.

Julia przytaknęła, a szczery uśmiech rozpromienił jej twarz. Bardzo dobrze. Lion odniósł dziś sukces. Rozparła się wygodnie w fotelu i spuściła wreszcie gardę. Jej wzrok powędrował w kierunku migających świateł śródmieścia. Biedne Los Angeles nie mogło się pochwalić oświetloną sylwetką miasta na tle wieczornego nieba. Wszystkie budynki gnieździły się w jednym punkcie, przypominając raczej wielką

plamę światła.

Ana Guzman, jego gosposia, ugotowała i zostawiła na małym ogniu *mole poblano* – jeden z przysmaków, których nauczyła się od swojej matki – więc teraz cudowny zapach chili, czosnku, miechunki pomidorowej oraz kminu rzymskiego, wymieszany z indykiem i głębokim aromatem meksykańskiej czekolady, unosił się kusząco w całym domu. Lion kochał ten zapach. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na Julię, wciąż łypiącą na wschód, by zrozumieć, że coś ją trapi.

– Drażnią cię światła śródmieścia, kochanie? – zapytał.

– Nie, są piękne.

– Graciela nazywa je naszą galaktyką. Naszą własną kolekcją wieczornych gwiazd.

– To bardzo romantyczne – odpowiedziała miękko, a serce Liona zamarło.

Po tych wszystkich latach wciąż odczuwał potrzebę rozmawiania na temat swojej ukochanej, chciał, by ludzie wiedzieli, co ich łączyło. Ale Graciela zawsze była wyjątkowo dyskretna – podczas gdy inne aktorki karmiły się plotkami, by pchnąć swoją karierę do przodu, nawet w dawnych latach, niezależnie od tego, co mówiły na ten temat wytwórnie filmowe – i trzymała ich związek w tajemnicy.

– Znasz Roberto? – spytała.

– Rossellini? Wyprzedzał nieco moje czasy, ale znałem Ingrid. Darzyła go wielkim uczuciem, pomimo wyrzeczeń i poświęceń, jakie musiała ponieść jej kariera w imię tego związku, ale dla Roberto to wciąż było za mało. Nie potrafił trzymać zapiętego rozporzka.

– Nie, nie, Roberto od Gracieli i Johna. Zarządza teraz sadem.

– Myślałem, że to zadanie Tonio – odpowiedział wyraźnie zaskoczony.

– Tonio odszedł, a na jego miejsce przyszedł Roberto.

– A dlaczego pytasz?

– Ot, zastanawiałam się, czy wiesz, co mu się przydarzyło.

Kto znał historie robotników? – zastanawiał się Lion.

Pracodawcom zależało na nich, stawali się częścią ich rodziny, ale te ich opowieści o biedzie i przybywaniu do Stanów w poszukiwaniu lepszego

życia, gdzie szybko musieli zderzyć się ze smutną rzeczywistością, jaką było harowanie za trzydzieści dolarów dziennie – to już zbyt ciężki bagaż. Szybko się nauczył, zwłaszcza mieszkając w L.A., że nie da się zbawić świata, a próby dokonania tego łamały człowiekowi serce.

– Niestety, nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedział.

– Dlaczego mieszka nadal we wschodnim L.A., skoro chatka na terenie sadu jest taka przytulna? Musi codziennie pokonywać szmat drogi, żeby dojechać do pracy.

To wyjaśniało ten smutny, zmartwiony wzrok wbity w siatkę świateł Wielkiego Los Angeles. Spoglądała w stronę wschodniego L.A., ale w jakim celu? Lion nie zauważył choćby cienia uśmiechu na jej ustach czy w jej oczach – więc nie chodziło o zauroczenie zarządcą sadu. Być może w jakiś sposób ją uraził.

– Chciałabyś, żebym zamienił z nim słowo? – zapytał wprost.

– Nie, czemu?

– Coś cię trapi. Tak jakby Roberto sprawił ci przykrość.

Lion czekał na odpowiedź, ale Julia jedynie sączyła swoje martini, nie przerywając milczenia. Jej wyraz twarzy świadczył o tym, że Roberto faktycznie czymś ją zdenerwował. Ale nie prosiła o pomoc. Jego ukochana Julia była myślicielką, podobnie jak wszyscy intelektualiści po stronie Rileyów. Najpewniej zastanawiała się nad antropologicznymi implikacjami tego czy tamtego w odniesieniu do pracowników sadu.

Dopili drinki i weszli do środka. Ana zostawiła wszystko przygotowane: nakryty stół, kuchenkę na małym ogniu, *mole* lekko pyrkające na gazie, tortille kukurydziane w garnku do gotowania na parze. Julia zachwycała się cudownym zapachem, pomagając Lionowi podać do stołu. Była tu z nim, rozmawiali i śmiali się, ale co jakiś czas spoglądała na wschód, na ścianę pozbawioną okien, jakby próbując przewiercić wzrokiem gips i dosięgnąć okolic wschodniego L.A.

Julia

Droga wiodąca z domu Liona w dół zbocza była jeszcze bardziej zdradliwa po zmroku, z ostrymi zakrętami i niewybrukowanymi odcinkami. Kanion Topanga pachniał szałwią, a powietrze – ciężkie od oceanicznej wilgoci – przypominało czarny aksamit. Gdy Julia dotarła

wreszcie do domu, była przepecona i miała dreszcze.

Posiadłość czekała na jej powrót. Drobne, niskie światła znaczyły podjazd, a frontowy ganek oblewało ciepłe światło. Wilgoć w powietrzu tworzyła niezwykle aureole wokół zapalonych latarni – dziwny widok, zwłaszcza że Julia nie pamiętała, żeby przed wyjściem zostawiła je włączone. Noc była gorąca i duszna, a jej skóra lepka. Zaparkowała na okrągłym podjeździe, pogrzebała w torebce w poszukiwaniu kluczy i weszła do środka.

– Cześć, małeńka – przywitała się z Bonnie, która czekała na nią w przedpokoju i nie kryła radości z widoku ukochanej pani. – Idziemy na spacer?

Ale kiedy szukała latarki, jej uszu dobiegł szmer fontanny i rozmarzyła się na myśl o dotyku chłodnej wody na rozgrzanej skórze. Wskoczywszy błyskawicznie w swój niebieski jednoczęściowy strój kąpielowy, nacisnęła przycisk przy kuchennych drzwiach i zobaczyła, jak podwodne światełka oświetlają ogromny basen. Razem z Bonnie ruszyły ścieżką w głąb sadu – gładkie kamienie chrzęściły im pod stopami.

Wujek z ciotką nauczyli ją w dzieciństwie rozkoszowania się nocnym pływaniem, a ona zaraziła tą miłością Jenny. Zwykły razem pokonywać czterysta pięćdziesiąt metrów do plaży, żeby zanurzyć się w wodach zatoki Long Island, wiedzione jedynie światłem księżyca i gwiazd.

Pogoda nie miała znaczenia. Pływały w burzowe noce równie chętnie, co w te pogodne. A teraz spieszyła w kierunku trasy nad klifem i zastanawiała się, jak zejść do oceanu. Słyszała, jak wzburzone morze uderza o skały, widziała białe, pienne krawędzie ogromnych fal tworzących się w czarnej toni – i nagle zapragnęła znaleźć się w wodzie.

Obie z Jenny kochały niespokojne wody, w których zwykły pływać po burzy. Musiała się straszliwie natrudzić, żeby zatrzymać córkę w domu, dopóki nie minie najgorsze – a kiedy już było po wszystkim, biegły na plażę i cieszyły się silnym wiatrem, odczuwając na własnej skórze potęgę ogromnych fal, jakie opanowywały przeważnie spokojną cieśninę.

W ostatnie lato przed śmiercią Jenny huragan Noreen uderzył we

Wschodnie Wybrzeże. Oglądały w telewizji, jak ogromne fale rozbijają się o dachy domów w Outer Banks, przewracając kominy i zmywając niektóre budynki do morza. Mieszkańcy Black Hall i synoptycy prognozowali, że może to być godny przeciwnik dla wielkiego huraganu z 1928 roku – ostatniego żywiołu, który spustoszył wybrzeże Connecticut.

Jenny i Timmy wybrali się do miejscowego sklepu metalowego, żeby uzupełnić zapasy – tak na wszelki wypadek. Kupili dodatkowe świece, latarki, dzbanki na wodę i deski, żeby zabezpieczyć okiennice. Peter przebywał w Denver, gdzie spisywał zeznania, ale zadzwonił, żeby się upewnić, że łódź została odholowana, a meble tarasowe schowane bezpiecznie w garażu.

Rodzice Timmy'ego potrzebowali go w domu, znajdującego się niedaleko rzeki Connecticut. Julia obserwowała, jak młodzi tulili się do siebie, jakby huragan miał ich na zawsze rozdzielić. Byli nierozłączni, a kiedy z jakiegoś powodu nie mogli się spotkać, pisali do siebie i dzwonili. Wszystko wskazywało na to, że czeka ich awaria prądu, i Julia widziała już w wyobraźni, jak Jenny dostaje ataku paniki. Jednak potajemnie cieszyła się z faktu, że będzie miała córkę tylko dla siebie.

Razem z córką zamknęły szczelnie okiennice i przybiły dodatkowo deski, żeby wzmocnić po wschodniej i południowej stronie domu żelazne kraty, które były najbardziej zagrożone. Julia pozwoliła Jenny wspiąć się na drabinę i wbijać gwoździe. Wdrapały się również na lekko opadający dach pokrywający oszkloną werandę, która wychodziła w kierunku morza. Oczyszczyły rynny, żeby ulewny deszcz mógł spływać bez przeszkód.

Zmiany w ciśnieniu najpierw zauważyła Bonnie, która zaczęła szczerkać i pędziła na plażę i z powrotem. Temperatura wzrosła, a powietrze zrobiło się wilgotne, niemal tropikalne. Niebo było błękitne, z rzadkimi, sunącymi wysoko chmurami. Kiedy pojawił się pierwszy wiatr, zrywał jedynie liście klonu i dębu, a niebo powoli przybierało kolor żółknącego siniaka.

Julia i Jenny wskoczyły w stroje kąpielowe i pobiegły długą, piaszczystą ścieżką w stronę morza, z Bonnie szalejącą na przedzie. Ten fragment plaży był dziki, stanowił część rezerwatu przyrody. Okalały go

mokradła, gdzieśgdzie poprzetykane długimi, zielonymi trawami.

Tu i ówdzie spośród traw wystawały ogromne pnie drzew, które przetrwały już tyle burz i sztormów, że z czasem nabrały siwego koloru. Julia potrafiła wymienić każdy huragan i każdą wichurę, za sprawą których morze wyrzucało na plażę kolejne fragmenty drzew.

Zastanawiała się, czy Noreen powyrywa z korzeniami dęby i sosny, czy zniszczy przystanie i chatki i czy zostawi po sobie szczątki wzdłuż wybrzeża – znaki na mapie zniszczenia. Jenny miała rację – burze i huragany przemieszczały nieraz piasek i ziemię, odsłaniając artefakty z czasów Indian, a na plaży, na której właśnie stały, odkryto swego czasu ważący trzysta pięćdziesiąt ton XIX-wieczny statek wojenny, który brał udział w bitwie w 1812 roku po stronie Brytyjczyków i który został tu zatopiony podczas huraganu.

Póki co żywiły dopiero się budziły – średniej wielkości fale przybierały na sile, zmieniając się w ogromne bałwany, które rozbijały się na falochronach i docierały do brzegu w formie pienistych przypływów.

Julia i Jenny pozbyły się ręczników i wskoczyły do wody. Powietrze było strasznie gorące, ale taka też była woda – zupełnie jakby tropikalny sztorm już tu dotarł, ale jeszcze się w pełni nie ujawnił.

Któregoś roku morze wyrzuciło na brzeg list schowany w butelce. Jenny od razu go przeczytała.

Cześć, nazywam się Willa i mam dwanaście lat.

Zbliża się huragan.

Moja rodzina mieszka w Wirginii, w Chincoteague.

Jeśli znalazłeś tę wiadomość, proszę, odpisz.

Jenny oczywiście odpisała i przez ładnych parę lat przyjaźniły się z Willą, ale z czasem znajomość wygasła. Od tamtego czasu za każdym razem, kiedy zbliżała się potężna burza, Jenny wysyłała w świat własne listy zamknięte w butelce i dwa razy udało jej się otrzymać odpowiedź – raz od dziewczyny z Bass Harbor w stanie Maine i raz od weterana

drugiej wojny światowej mieszkającego w Devon, w Anglii.

Julia i Jenny pływały przez dłuższy czas, po czym wysuszyły się i wróciły z powrotem do domu. Julia wstąpiła wcześniej do sklepu spożywczego, żeby niczego im nie zabrakło, w razie gdyby awaria prądu się przedłużała. Dysponowały ogrodowym grillem, na którym mogły piec, oraz staroświecką dębową skrzynią na lód, która stała w domu od początku. Na wszelki wypadek Julia kupiła dwa bloki lodu na targu rybnym, żeby jedzenie się nie zepsuło.

Tasergale się rozmrażały, więc Julia postanowiła przyrządzić klasyczny letni obiad: grillowaną rybę, sałatkę ziemniaczaną z winegretem oraz musztardą z ziarnami, kolbę kukurydzy z masłem oraz lody brzoskwińowe Paradise Ice Cream na deser. Siedziały teraz na ganku, przy blasku lamp naftowych. Wiatr zaczął trząść drzewami, a z daleka dało się słyszeć ogromne fale uderzające o falochron.

– Chcę wziąć ślub w trakcie huraganu – stwierdziła Jenny.

– Z ogromnym namiotem w ogrodzie, który w każdej chwili mógłby zostać zdmuchnięty?

– Dokładnie tak! I razem z Timmym założymy stroje do nurkowania zamiast sukni ślubnej i smokingu, i wszyscy pójdziemy pływać w najgorszym momencie burzy! Może nawet złożymy przysięgę w wodzie.

– To bardzo romantyczny pomysł.

– Chciałabym, żeby już zawsze tak było – powiedziała Jenny.

Julia przytaknęła, bo doskonale wiedziała, co córka ma na myśli.

– Za parę lat wyjadę na studia – stwierdziła. – Los nas rozdzieli.

– Słucham? A to ty myślałaś, że nie przeprowadzę się z tobą? – zapytała Julia.

Jenny zaniósła się śmiechem.

– Nawet tak nie żartuj.

– Nie żartuję.

– Jeśli dostanę się na uniwersytet Browna, nie ucieknę znowu tak daleko. Providence jest jakieś półtorej godziny drogi stąd.

Julia przyznała jej rację. Jenny wszystko już przemyślała. Wciąż trzymały się za ręce, a ona nie chciała puścić. Julia była przekonana, że największym zmartwieniem córki był Timmy. Nie miał raczej szansy

dostać się na tak dobrą uczelnię, ale dyskutowali już na ten temat i zdecydowali, że będzie również aplikował do innych szkół na Rhode Island.

– Mamo, a co, jeśli postanowię nie wyjeżdżać?

– Na Uniwersytet Browna? Po pierwsze, tam jest tak trudno się dostać – myślę, że masz spore szanse, ale nie chcę, żebyś robiła sobie zbyt wielką nadzieję i potem się rozczarowała. Poza tym to, że oboje z tatą ukończyliście tę uczelnię, wcale nie oznacza, że ty też musisz. Są jeszcze inne godne uwagi uniwersytety.

– Nie o to mi chodziło. Co, jeśli w ogóle nie będę chciała iść na studia?

– Skąd taki pomysł?

Jenny wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. Nie mogłabym po prostu zostać w domu i zahaczyć się gdzieś do pracy?

– Myślę, że w takim wypadku przepuściłabyś szansę na lepsze życie i dowiedzenie się czegoś więcej na swój temat. Wybacz, jeśli brzmię teraz trochę sztywniacko i jak typowa mamuska, ale takie jest już moje zadanie.

– Kocham to, co nas łączy – stwierdziła Jenny. – Uwielbiam być tu, w domu. A co, jeśli coś ci się stanie, gdy ja będę daleko?

– Jestem okazem zdrowia. Dożyję późnej jesieni życia i będę genialną staruszką. Nie będziesz musiała się mną martwić jeszcze przez całe dziesięciolecie.

– Obiecujesz?

– Z ręką na sercu.

– Ale i tak...

– Jenny, wiem, jak się czujesz. Przypominasz mi właśnie, jak to było lata temu. Ja też uwielbiałam swoich rodziców. Pamiętam noc, kiedy leżałam w łóżku, wiedząc, że leżą bezpiecznie za drugą ścianą, że nic im nie dolega, i tak bardzo chciałam, żeby już tak zostało, żeby ta chwila trwała wiecznie.

– Dokładnie tak się teraz czuję – zaśmiała się Jenny.

W sekundzie pozbyła się czarnych myśli i odskoczyła znad stołu. Posprzątały naczynia, a potem Jenny zniknęła w swoim pokoju, żeby

zadzwoić do Timmy'ego. Burza zaczęła przybierać na sile i z kierunku morza dochodziło już niepokojące wycie wiatru. Z nieba runął pierwszy deszcz, bombardując zamknięte okiennice. Światło od czasu do czasu mrugało, ale nie gasło.

– Już jest! Huragan! – Jenny krzyczała, biegnąc do kuchni.

– Może zadzwonimy do taty, póki linie telefoniczne nie są jeszcze pozrywane – zaproponowała Julia.

Wykręciły numer jego komórki, ale od razu włączyła się poczta głosowa. Jenny zostawiła mu wiadomość, że omija go cała zabawa. Julia pomyślała, że spróbuje dodzwonić się do jego pokoju w hotelu Brown Palace. Operator przekierował ją pod odpowiedni numer i Peter wreszcie odebrał.

– Chciałyśmy cię tylko pozdrowić, zanim huragan pozbawi nas prądu – powiedziała.

– Jak to póki co u was wygląda?

– Mocno wieje.

Jenny pobiegła sprawdzić wiatromierz.

– Mocne czterdzieści, w porywach do sześćdziesięciu pięciu! Mogę porozmawiać z tatą?

– Jak idą zeznania? – spytała Julia.

– Dobrze, ale jestem bardzo zalatany. Przepraszam, że nie ma mnie teraz przy was – stwierdził, ale Julia dobrze wiedziała, że mówi tak, bo czuje, że powinien, a nie dlatego, że naprawdę tak uważa. Mocno ją to zasmuciło.

– Dzięki. Mam nadzieję, że jutro wszystko pójdzie jak z płatka. Daję ci Jenny.

– Cześć, tato! Strasznie tu wyje, słyszysz? Zaraz pójdziemy znowu pływać.

Wypowiadając te słowa, przyglądała się Julii w oczekiwaniu na jej reakcję.

– Tak, tak, jest ciemno, a fale są naprawdę ogromne. Będziemy ostrożne. – Uśmiechnęła się. – Okej, dobrej nocy, tato. Szkoda, że cię tu nie ma. Bardzo za tobą tęsknię.

Odłożyła telefon i spojrzała na matkę.

– Dobra. Zróbmy to – stwierdziła Julia.

To była dopiero pierwsza faza sztormu – miało się zrobić znacznie, znacznie gorzej. Założyły suche stroje kąpielowe, ale tym razem Jenny zatrzymała się na chwilę, nim wybiegła z domu. Napisała szybko krótki liścik i znalazła pustą butelkę po winie.

– Mamuś, ty też coś napisz – poprosiła.

Julia przeczytała, co córka zdążyła napisać:

Pozdrowienia z Black Hall w stanie Connecticut w USA! Moja mama i ja lecimy właśnie popływać w wodach cieśniny Long Island w samym środku huraganu Noreen. Mamy nadzieję, że ta wiadomość dotrze do Ciebie, gdziekolwiek jesteś... Prądy huraganowe sięgają w dalekie strony. Odpisz nam na adres: Julia i Jenny Hughes, skrzynka pocztowa 198, Black Hall CT 06371.

Julia dopisała:

Dzisiejszego wieczora jesteśmy syrenami i morze należy do nas. Jesteśmy siłą, z którą należy się liczyć. Matki i córki na zawsze razem!

Włożyły list do zielonej butelki po winie, wcisnęły korek tak mocno, jak to tylko było możliwe, i pobiegły ścieżką w stronę oceanu, z latarkami w rękach i Bonnie tuż obok, szczekającą na wiatr.

Kiedy dotarły na plażę, poczuły, jak huragan na nie naciera. Trzymając się za ręce, stały po kolana w wodzie – trafiły akurat na odpływ, więc zabrnęły jeszcze kilka metrów dalej, zanim się zanurzyły. Jenny trzymała butelkę. Fale były miarowe, potężne i piękne, z białymi krawędziami, które lśniły nawet w ciemności nocy. Julia zauważyła, jak Jenny wypuszcza z dłoni butelkę. Kołysała się na powierzchni wody – fale i prądy porywały ją Bóg jeden wie gdzie.

Pływały, nurkowały i bawiły się we wzburzonych falach. Bycie plażową dziewczyną nie miało metryki – Julia ubóstwiała burzową energię równie mocno jak jej córka. Nawet nie zabrały ze sobą ręczników. Wracając do domu, czuły, jak deszcz zmywa sól z ich włosów i ciał.

Kiedy dotarły na miejsce, nie było już prądu. Zapaliły świece i siedziały na ganku, nasłuchując, jak huragan rośnie w siłę.

Julia kurczowo trzymała się tego burzowego wspomnienia.

Podczas gdy Bonnie wędrowała pomiędzy drzewami cytrynowymi, udała się w stronę basenu i wreszcie zanurzyła rozgrzane ciało w chłodnej wodzie, która przyniosła jej wytchnienie i uspokoiła serce. Spotkanie z Lionem wyprowadziło ją z równowagi w sposób, jakiego się nie spodziewała. Fakt, że odwiedziła jego dom bez żadnego towarzystwa, sprawił, że poczuła się znów jak mała dziewczynka – jakby nigdy nie urodziła Jenny. A widok tego, jak bardzo się zestarzał i jak wciąż pałał miłością do Gracieli, i tęsknił za nią, mocno ją zasmucił. Na dokładkę ciągle czuła się zdenerwowana rozmową, jaką przeprowadziła wcześniej z Roberto. Pięć lat bez Jenny, a u niego – pięć lat bez Rosy. Nie oszczędzała sił, orała ramionami i nogami wodę, żeby wyrzucić z siebie te wszystkie emocje. Był to basen z soloną wodą, więc gdy zamknęła oczy, niemal mogła sobie wyobrazić, że pływa w oceanie.

Wynurzywszy się, by zaczerpnąć powietrza, rozglądała się dookoła za Bonnie. Ponieważ nie mogła jej dostrzec, gwizdnęła. Powietrze delikatnie muskało jej skórę. Czuła zapach dojrzałych cytryn i sosny i nasłuchiwała odgłosów swojej collie buszującej gdzieś w zaroślach. Zamiast tego usłyszała kroki. Umilkły tuż poza zasięgiem światła i poczuła, że ktoś ją obserwuje.

– Kto tam? – rzuciła w przestrzeń.

– Nie chciałem cię niepokoić. – Rozpoznała głos Roberto, zanim pojawił się w zasięgu jej wzroku, z Bonnie przy nodze.

– Spokojnie – odpowiedziała, choć czuła się nieco skrępowana w jaskrawym świetle basenu. Było już późno, dobrze po jedenastej w nocy, a ona wiedziała, że Roberto wcześniej wstawał.

– Światła cię obudziły?

– Nie. Czekałem... – Zawahał się. – Jeszcze się nie położyłem. Usłyszałem Bonnie blakającą się koło mojej chatki.

– Wybacz.

– Mną się nie przejmuj – odpowiedział. – Ale Bonnie... W nocy łatwo tutaj spotkać kojoty. Obawiam się, że wystarczyłby jeden, żeby ją powalić.

– Dziękuję, że ją tu przyprowadziłeś.

– Żaden problem. Może odprowadzę Bonnie do domu, żebyś mogła jeszcze w spokoju popływać?

– Dzięki, nie trzeba – stwierdziła. – I tak już skończyłam.

Podszedł odrobinę bliżej basenu, a migające światło oświetliło jego spaloną słońcem twarz. Ciemne włosy, choć krótko ostrzyżone, wyglądały na trudne do ujarznienia. Julia podpłynęła do schodków i okryła się ręcznikiem.

– To ty zapaliłeś światła na ganku? – spytała.

– Tak. Widziałem, jak wyjeżdżasz, i pomyślałem, że pewnie wrócisz już po zmroku.

Przytaknęła. Nauczono ją strzec swojej prywatności i niezależności – przez te wszystkie lata była na tyle samo-wys--

tarczalna, wiecznie ukrywając się przed światem, że nigdy by się nie spodziewała, że ktoś zostawi dla niej zapalone światło. Ale jego głos był miękki i miły dla ucha, a ona bardzo się ucieszyła, że go widzi. Zastanawiała się, czy on również odnosił wrażenie, że po ostatniej rozmowie mają sobie kilka rzeczy do wyjaśnienia.

– Myślałam, że pewnie pojechałeś dziś na noc do domu – powiedziała. – Wiatr się uspokoił.

– To prawda – przytaknął.

Otoczała ich cisza – drzewa stały nieruchomo, gałęzie i liście zamarły. Nawet fale u stóp klifu wydawały się przytłumione.

– Więc dlaczego nie pojechałeś do domu? – drążyła temat.

– Chyba po prostu chciałem zostać na terenie sadu, póki nie przyzwyczaisz się do nowego otoczenia. To miejsce potrafi wydawać się straszliwie puste, jak człowiek siedzi tu sam w nocy. – Uśmiechnął się. – Poza tym ktoś musiał mieć oko na Bonnie.

– Nie puszczę jej już samej po zmroku, obiecuję – odpowiedziała. – Kojoty to jedyne drapieżniki, na które trzeba uważać?

– W nocy jest ich tu całkiem sporo. *Búhos*... sowy, ale Bonnie jest dla nich zbyt dużym kąskiem. Co innego pumy, rysie, *cascabeles*...

– *Cascabeles*?

– Tz, tz, tz – zasyczał, potrząsając rytmicznie palcem wskazującym. – *Serpientes*...

– Grzechotniki. Widzieliśmy kilka na pustyni.

– Na pustyni? – powtórzył.

Wzruszyła ramionami.

- Badania w terenie potrzebne do mojej magisterki.
- Cóż. Żerują w gorące noce.
- Dzięki, będziemy uważać – rzuciła, kierując się w stronę domu.

Odprowadził ją do drzwi. Jego ramię było niebezpiecznie blisko jej, czuła ciepło jego skóry.

– Powinieneś pójść popływać w drodze powrotnej do chatki – zaproponowała. – Woda była bardzo przyjemna.

– Dziękuję, ale... – zaczął.

Dotarli do drzwi. Julia czekała, aż skończy zdanie, ale wszystko wskazywało na to, że nie zamierzał tego robić. Miała gonitwę myśli od ich ostatniej rozmowy przy klifie, ale pływanie skutecznie ją uspokoiło.

– Roberto, zostałeś tu dziś na noc, bo chciałeś pogadać? – spytała wprost.

Nie odpowiedział, więc usiadła na najwyższym stopniu. Nie miał wyboru, musiał zająć miejsce obok niej.

– Całkiem możliwe – odpowiedział, kiedy Bonnie przestała wreszcie kręcić się w kółko i ułożyła się im pod nogami.

– Dzisiaj, na ścieżce przy klifie – zaczęła. – Jenny i Rosa.

– *Sí*. Nasze córki. Spytałem, choć podejrzewałem... że to dla ciebie zbyt trudny temat.

– Dokładnie tak samo pomyślałam o tobie – odpowiedziała.

– Rosa przepadła.

„Przepadła” można odczytać na wiele sposobów. Rodzice mawiają, że ich dzieci przepadły: uzależnione od narkotyków, wciągnięte przez uliczne życie, podburzane przez złe towarzystwo.

– Możesz jej jeszcze pomóc, prawda? – zapytała. – Jesteś jej ojcem. Potrzebuje cię.

– Nie sądzę, żeby potrzebowała takiego ojca – odpowiedział.

– Pewnie, że potrzebuje!

Potrząsnął głową i odwrócił wzrok. Jego twarz była schowana w cieniu, ale i tak wiedziała, że rysują się na niej zmartwienie i wstyd.

– Nic nie rozumiesz. To ja jestem tym, przez którego przepadła.

– Jak to?

– Wspomniałaś o pustyni. Którą konkretnie miałaś na myśli?

– Pustynię Sonora – odpowiedziała.

– Znasz te tereny?

– Nie bardzo. Byłam tam z profesorem badającym schematy migracyjne... zresztą to mało ważne. Dlaczego pytasz, Roberto? Co się stało?

– Przekraczaliśmy granicę z Meksyku do Arizony. Przez pustynię. Puściłem jej rękę, tylko na chwilę – pomyślałem. Była zgrzana i zmęczona, więc poprosiłem, żeby poczekała w cieniu wielkiego głazu, a sam poszedłem dalej. Byliśmy umówieni z kierowcą, który miał nas zawieźć do bezpiecznego lokum, więc chciałem znaleźć drogę, na której miał czekać.

Słuchała uważnie, czując zimny pot na plecach.

– Zgarnęli mnie – powiedział. – Straż graniczna.

– Ale powiedziałaś im o córeczce, prawda? Chybaby po nią wrócili?

– Z początku nikt mi nie wierzył. Myśleli, że kłamię, żeby odwrócić ich uwagę, może nawet uciec, nie wiem. W końcu, kiedy zabrali mnie do aresztu dla cudzoziemców, udało mi się rozmówić z funkcjonariuszem policji. Był tam szefem, *Señor* Jack Leary. Pojechał we wskazane przeze mnie miejsce – powiedział. – Ale jej już tam nie było.

– O Boże, nie...

– Po tym, jak zostałem przesłuchany i deportowany z powrotem do Meksyku, wróciłem tam na własną rękę. Żadnego kojota, żadnych wskazówek, sam znalazłem drogę do tego samego głazu. Ale Rosa przepadła bez śladu.

– Nie, to niemożliwe... Gdzie? Nie mogła tak po prostu zniknąć!

– Nie mam pojęcia. Minęło pięć lat i wiem, że Rosy już nie ma, ale nocami śni mi się, że moja córka mnie szuka, okrąża ten przeklęty kamień i czeka, aż wrócę.

– Kiedy pierwszy raz o nią spytałam, powiedziałaś, że jest w Meksyku – powiedziała Julia.

– Czasami taką właśnie mam nadzieję – odpowiedział. – Że przeżyła i jest teraz w dobrych rękach, że może liczyć na jakąś kochającą rodzinę.

– A co z rodziną w Meksyku? Co na to wszystko jej matka?

– Byliśmy bardzo młodzi, gdy Rosa przyszła na świat. Jej matka zostawiła nas. Rosa nigdy jej nie poznała. Moja babka zastępowała jej matczyną miłość.

– Czy Rosa nie powiedziałaaby napotkanym osobom, skąd pochodzi?

– Miała raptem sześć lat, kiedy ją straciłem. Nauczyłem ją, jak się nazywa nasze miasto, ale nie próbowała się skontaktować z nikim z mojej rodziny. Słuch o niej przepadł.

– Jezu, sześć lat...

– A Jenny? – Wymówił jej imię „Yenny”.

– Szesnaście.

Chwycił ją wtedy za rękę, czekając, aż będzie gotowa podzielić się z nim swoją historią.

– Zginęła w wypadku samochodowym pięć lat temu. Razem ze swoim ojcem.

Mocno ścisnął jej drobną dłoń.

– To ona prowadziła. Do wypadku doszło na naszej drodze, na końcu naszego podjazdu. Była dobrym kierowcą, ale nie wyrobiła się na zakręcie. Policja twierdzi, że zrobiła to celowo.

Roberto chwycił ją w ramiona. Wtuliła się w jego ciało i poczuła zapach jego potu. Pozwoliła mu się pocieszyć – nikt od dłuższego czasu tego nie robił. Nie potrafiła już znieść bliskości drugiego człowieka, ale w przypadku Roberto czuła nic porozumienia, którą mało kto byłby w stanie zrozumieć – historie ich córek przepływające z jednego serca do drugiego i z powrotem.

Zapadło tak głębokie milczenie, że Julia słyszała ćmy latające wokół rozkwitającego nocą jaśminu, który wspinał się po kolumnach domu. W oddali fale rozbijały się o skały u stóp klifu – nieustające i pozbawione jakiegokolwiek harmonii. Nie mogła się powstrzymać przed prostą matematyką, dodawaniem lat, więc kiedy zamknęła oczy i oparła głowę na ramieniu Roberto, czuła, jak dwudziestojednoletnia Jenny i jedenastoletnia Rosa siedziały na schodach tuż obok nich.

Roberto trwał w tej pozycji przez bardzo długi czas. Julia nie chciała się poruszyć. Im dłużej tam siedzieli, tym mocniej wyczuwała obecność ich córek, zupełnie jak w jej starym śnie o Lunie i Marii,

i mężczyźnie z blizną wypaloną na twarzy. Spojrzała na Roberto, odszukała palcami jego policzek. Był gładki w dotyku, żadnych śladów po oparzeniu słonecznym.

– Kiedyś często nawiedzał mnie pewien sen – przerwała ciszę. – Od czasów, kiedy byłam dzieckiem. Dwie małe dziewczynki w Meksyku, wiecznie w niebezpieczeństwie, i mężczyzna w pobliżu, który ma ich strzec.

– Nie ma już kogo strzec... – zaczął.

– Ale we śnie wydawał się taki prawdziwy. Taki dobry. Bałam się o los dziewczynek... Kto wie, może byłam jedną z nich. Ale wiedziałam, że on je ochroni. Nas.

– Śniłaś o Meksyku? – spytał. – Dlaczego?

– To miejsce coś dla mnie znaczy, dla naszej rodziny. John nigdy ci nie powiedział?

– *Señor* Riley? Nie.

Przez moment wahała się, czy powinna opowiadać mu historię swojej rodziny – miało to nawet związek z obecnym wyjazdem Johna do Irlandii – ale ostatecznie zdecydowała, że tego nie zrobi. Obrońca był tylko wytworem jej wyobraźni. Nie pomógł Jenny i nie pomoże Rosie. Wyjaśnianie tego wszystkiego Roberto sprawiłoby, że spojrzaliby na nią jak na jakąś wariatkę – to uczucie nie było jej zresztą takie obce...

Samotny kojot zawył gdzieś w okolicy pobliskich wzgórz i szybko dało się słyszeć odpowiedź następnego. Bonnie zawarczała, wstała z trudem na cztery łapy, ale Roberto w porę złapał ją za obrozę.

– Lepiej zabiorę ją do środka – stwierdziła Julia.

– Masz rację. Dbaj o nią.

– Dziękuję, będę – odpowiedziała, otwierając drzwi.

Przytaknął i odprowadził je wzrokiem, aż znalazły się w bezpiecznych ścianach domu i zaryglowały drzwi. Julia obserwowała przez okno, jak wracał do swojej chatki. Dopiero kiedy zniknął w ciemnościach nocy, zgasła światła na ganku.

¹ Tasergal – jeden z najbardziej drapieżnych gatunków ryb oceanicznych; tasergale poławia się m.in. na zachodnim Atlantyku.

² Skrót od ang. University of California, Los Angeles (Uniwersytet Kalifornijski, kampus Los Angeles).

³ Region znajdujący się w zachodniej Irlandii.

⁴ Gra karciana dla dwóch graczy lub dwóch par. Celem jest tworzenie meldunków, tzn. trzech lub więcej kart tej samej wartości.

⁵ *Bee sting* (ang.) – żądło pszczoły.

Rozdział 3

Julia

Tygodnie mijały powoli. Julia była rozleniwiona i milcząca, zupełnie jakby molekuly jej ciała znów łączyły się w jedną całość, lecząc rany, które pozostawały otwarte, gdy była w domu, w Connecticut. Podczas gdy wrzesień zamieniał się w październik, dużo czasu spędzała, śpiąc gdzie popadnie – tylko nie we własnym łóżku: w wiklinowym szezlongu na tarasie z widokiem na ocean, na kocu na plaży Leo Carillo.

Po tamtej pamiętnej rozmowie oboje z Roberto dystansowali się od siebie. Tak długo trzymała gardę, że teraz czuła się dziwnie naga, odarta z prywatności – nie tylko opowiedziała mu o Jenny, ale wysłuchiwała też jego zwierzeń na temat Rosy. Nie dawało jej to spokoju – nie chodziło tylko o koszmar, jakim było jej zaginięcie, ale również fakt, że sprawa pozostawała nierozwiązana. Nie było żadnego ciała, które Roberto mógłby pochować, żadnej pewności, że dziewczynka nie żyje.

Julia spędziła kiedyś całe lato na pustyni, na południe od miejsca, w którym Roberto ostatni raz widział swoją córkę. Skupiła się na tej części świata z powodu wujka Johna, czasu, który spędziła w Kalifornii, i swojej wiedzy na temat rodzin, które opuściwszy Amerykę Środkową, udały się na północ. Spotkanie z Roberto przywołało wspomnienia tamtych „pustynnych” czasów – dni i tygodni spędzonych z Jenny.

Julia przetrwała już pięć lat, cierpiąc na bezsenność, ale tym razem było inaczej. Zazwyczaj przeżywała na nowo ten ostatni poranek – śniadanie z Peterem i Jenny, plany dotyczące nauki jazdy konno oraz ustalenia związane z wieczornym oglądaniem Super Bowl, prostotę tego wszystkiego, niezwykłą zwyczajność tego ostatniego dnia. I bolesną prawdę, która po tych wszystkich latach wciąż była trudna do zniesienia – że nie było żadnych znaków ostrzegawczych, że oto zbliża się koniec, że życie, które znali, właśnie dobiegało końca. Jenny była uśmiechnięta. Julia przypominała sobie ten widok każdej bezsennej nocy: śliczną, nieco zmęczoną, ale uśmiechniętą buzię córki przy śniadaniu.

Peter twierdził – albo lubił sprawiać takie wrażenie – że pierwsza miłość nie była czymś wyjątkowym, Jenny szybko poradzi sobie ze złamanym sercem, wyrośnie z uczuć, jakimi darzyła Timmy’ego,

wyciągnie z tego wszystkiego nauzkę na przyszłość. Julia chciała, żeby wspierał córkę – rozmawiał z nią do późnych godzin nocnych, tak długo, jak tylko będzie potrzebowała, pokazywał, że jest po jej stronie, nie bronił i nie usprawiedliwiał Timmy'ego. Jenny przeżywała trudne chwile i bardzo potrzebowała swojego taty. Tymczasem Peter pędził codziennie do pracy, uzbrojony w swoją teczkę, a gdy wracał do domu, zdawał się nie wyczuwać, czego potrzebują. Nie tylko Julia i Jenny, ale cała trójka, razem, jako rodzina.

Peter lubił myśleć, że Jenny nic nie dolega, że jazda konno oderwie jej myśli od bólu związanego z rozstaniem. Kiedy Julia patrzyła tego ranka na swoją córkę znad talerza, spodziewała się, że zobaczy ciemne podkopy pod oczami, wzrok pełny zmartwień i niepokoju oraz nieartykułowane pragnienie, żeby zadzwonił telefon – ciągłe wyczekiwanie i nadzieję, że Timmy wróci. Zamiast tego zobaczyła, jak Jenny się uśmiecha, niejako z ulgą.

Przez te wszystkie bezsenne noce, kiedy Julia przypominała sobie uśmiechniętą córkę, zastanawiała się: jeśli Jenny potrafiła sprawiać takie wrażenie przy śniadaniu, nawet przez kilka sekund – uśmiechnięte oczy i niewymuszony dobry humor – jak to możliwe, że raptem dwie godziny później czuła w sercu taką niepohamowaną rozpacz, że wdepnęła pedał gazu i uderzyła w mur, jadąc przynajmniej pięćdziesiąt mil na godzinę?

Ostatnie tygodnie spędzone w Malibu pozwoliły jej odpocząć od tych myśli. Historia Roberto i jego córki trafiła w czuły punkt w sercu Julii. Sprawiała, że nie mogła spać w nocy, myśląc o Rosie i zastanawiając się, gdzie może się teraz podziewać. Rozmyślała również o tym momencie, kiedy siedząc z Roberto, wyraźnie czuła przy sobie obecność Jenny.

Wydawała się taka prawdziwa, na wyciągnięcie ręki. Zupełnie tak, jakby opowieść o tej małej dziewczynce sprawiała, że Jenny zmaterializowała się i na krótką chwilę była tam z nimi. Przez te wszystkie lata nic nie przyniosło jej większego ukojenia niż ten ulotny moment. Julia miała nadzieję, że istnieje sposób, by i Roberto zaznał odrobiny spokoju.

Tego ranka zerwała się o świcie. Nakarmiła Bonnie i stała w kuchni, czekając, aż kawa się zaparzy. Wyglądając przez okno, nie

potrafiła nawet dojrzeć fontanny, która znajdowała się kilka metrów dalej – mgła była tak gęsta, że pochłonęła dom i każde drzewo w sadzie, sprawiając, że stały się kompletnie niewidoczne.

Kuchnia należąca do jej wujostwa była utrzymana w starym stylu, aż do przesady – wszystko pamiętało czasy, kiedy jej wujek i ojciec byli jeszcze małymi chłopcami. Znajdowały się tu rustykalne, drewniane meble, z turkusowymi i jaskrawożółtymi wstawkami – pomalowanymi tak, by współgrały z małymi, kwadratowymi, kwiecistymi płytkami, umiejscowionymi pomiędzy większymi, z terakoty.

Pieczek i lodówka były typowymi przedstawicielami stylu vintage Maytag – jasnożółta emalia z zaokrąglonymi bokami. Otwarte półki nad wykafelkowanym zlewem wyłożone były talerzami i miskami ceramicznymi w czerwonym, niebieskim i zielonym kolorze. Zmatowiałe, pięknie zdobione srebrne tace leżały odpowiednio wyeksponowane na kredensie, kryjącym sprzęt do gotowania oraz szuflady pełne srebrnych sztućców.

Julia stała przed narożnymi półkami z książkami. Od podłogi do sufitu wypełnione były pozycjami kucharskimi oraz plastikowymi segregatorami. Podczas gdy Bonnie kończyła jeść swoje śniadanie, Julia stała z kubkiem kawy w ręku i przyglądała się książkom. Pochodziły z różnych dekad, jeśli nie całego stulecia – niektóre błyszcząły i wyglądały na dopiero co kupione, inne miały już wytarte tytuły, a wiele z nich napisano w obcych językach.

Jako że nie była to jej pierwsza wizyta w tym domu, Julia wiedziała, że cała kuchenna biblioteczka dotyczyła cytryn. Były tam teksty na temat rozplanowania oraz utrzymania sadów cytrynowych. Znalazła albumy z reprodukcjami przedstawiającymi cytryny autorstwa takich znanych artystów jak Matisse, Picasso, Cézanne, Cassatt, Sargent, Velásquez czy Goya.

Wuj i ciotka mieli nawet całą półkę poświęconą surrealistycznym malarkom, głównie pochodzenia meksykańskiego, które zwykły malować cytryny. Znalazła się tam Frida Kahlo, Louise Bourgeois, Leonora Carrington, Dorothea Tanning oraz Remedios Varo. A to wszystko w towarzystwie powieści, książek historycznych i przede wszystkim kucharskich ze słowem „cytryna” w tytule, w najróżniejszych

wersjach językowych: *limón, citron, limão, citrom, λεμόνι, limone...*

Julia w pierwszej kolejności przyjrzała się technicznym publikacjom dotyczącym struktury oraz projektów sadów cytrynowych, w tym omawiających wykopaliska archeologiczne związane z indiańskim plemieniem Czumaszów – muszle uchowców pokryte obrzędową farbą z czerwonej ochry, petroglify wykute w skalnej półce, steatytowy kamień przyspieszający gotowanie.

Sięgnęła po mocno już zużytą książkę kucharską. Zieloną, płócienną okładkę zdobiła złota czcionka, która zmatowiała i zbrązowiała z biegiem lat. Wertując kartki, zauważyła piękne odręczne pismo swojej babci na wyklejce i gdzieniegdzie na marginesach.

Stojąc w tej magicznej kuchni, zapragnęła przyrządzić coś prostego, ale pysznego – Jenny uwielbiała piec słodkości. Ciało Julii przeszedł dreszcz, zupełnie jakby Jenny była tuż obok i pomagała jej wymyślić jakiś sposób, żeby pomóc Roberto i Rosie. Wyjrzała przez okno, sprawdzając, czy nie ma go gdzieś w pobliżu, ale gęsta mgła wciąż zalewała okolicę.

– Chodź, Bon – zwróciła się do suczki. – Idziemy na zewnątrz.

Bonnie, jak zwykle, zdawała się uśmiechać. Julia zapięła smycz i zarzuciła na ramię płócienną torbę. Powietrze było wilgotne, ale nie zimne jak w przypadku mgły w Nowej Anglii – delikatny chłód szybko ustępował ciepłu bijącemu od nagrzanej ziemi, która wyciągała kropelki wody prosto z oceanu. Słońce nie wyłoniło się jeszcze zza gór, ale rozproszone światło poranka przenikało warstwę chmur wiszących nisko nad oceanem, sprawiając, że wydawały się srebrzyste.

Razem z Bonnie spacerowały po sadzie, kierując się starą, wyboistą, niebrukowaną drogą dojazdową, która zataczała koło wokół stodoły i chatki Roberto. Błądząc tak w upiornej mgle, czuła obecność zmarłej córki. Zdezorientowany królik przeciął im nagle drogę, na co Bonnie zareagowała ostrym i krótkim szczeknięciem.

Robocze ciężarówki stały zaparkowane w zatoczce, ale Julia nie dostrzegła wśród nich starej czarnej toyoty tundry należącej do Roberto. Przez chwilę myślała, że wybrała się tu nadaremno, ale zaraz potem usłyszała, jak ktoś otwiera drzwi stodoły. Odwróciła się z uśmiechem na ustach, spodziewając się, że go zobaczy.

- *Hola*, proszę pani – przywitał ją Serapio.
- Dzień dobry – odpowiedziała. – Jak tam dzisiaj?
- W porządku.
- Kręci się tu gdzieś Roberto? – zapytała.

– Nie. Pracował wiele dni z rzędu, a skoro mamy dziś takie zamglenie i żadnego powiewu wiatru, postanowił wrócić do domu.

- No tak, rozumiem – odpowiedziała, zawiedziona.
- Czy mogę pani w czymś pomóc?
- Nie, dziękuję.

Ruszyła dalej, ale po chwili stanęła w miejscu. Pieczenie muffinek z pewnością pomogłoby podtrzymać wrażenie, że Jenny jej towarzyszy, a Julii na niczym bardziej nie zależało.

- Chciałabym pożyczyć jeden zbierak – powiedziała.

Serapio zniknął w stodole i po chwili wrócił z długim, wysuwającym kijem zakończonym małym obcinaczem i koszykiem.

– Jak dotrze tu reszta ekipy, możemy zbierać dla pani tyle cytryn, ile tylko sobie pani życzy.

– Dziękuję, nie trzeba – odpowiedziała. – Gdy byłam młoda, całkiem dobrze sobie radziłam ze zbieraniem owoców. Zobaczymy, czy upływ czasu zmienił coś w tej kwestii.

Serapio zaniósł się śmiechem, nie bardzo pojmując, dlaczego dorosła kobieta miałaby sama zbierać cytryny, skoro ma do dyspozycji całą grupę robotników. Przedzierała się przez warstwy szarych chmur, mijając po drodze skarłowaciałe, powyginane drzewa, które rosły po obu stronach ścieżki – ich cierpkie owoce zwisały nisko na gałęziach. Odłożyła smycz, żeby móc swobodnie zerwać pierwszą cytrynę.

Kolejny królik wystrzelił w stronę zarośli, ale tym razem Bonnie udawała, że niczego nie dostrzegła. Jej artretyzm był zbyt daleko posunięty, a poza tym nawet bez wymówki, jaką była smycz szarpiąca ją za gardło, nie miała najmniejszej ochoty gonić za zwierzęciem, z którym i tak nie wygra.

Roberto

Roberto Rodriguez przebywał w mieszkaniu na tyłach domu należącego do jego ojca, na North Boyle Avenue. Nie miał w zasadzie żadnego z góry ustalonego wolnego dnia, ale kiedy wiatr zamierał,

przekazywał swoje obowiązki Serapio, a sam wracał do domu, żeby zobaczyć się z rodziną. Rodzina była dla Roberto najważniejsza – to właśnie dla niej i przez nią przybył w ogóle do Stanów Zjednoczonych. Nie była to łatwa sytuacja, zważywszy na to, jak bardzo tęsknił za babcią, która go wychowała – podobnie jak jego córkę – i za wszystkimi *tíos*¹ i *primos*² mieszkającymi w wiosce, w której dorastał, ale przecież był tu dla nich i ze względu na nich. Pieniądze, które wysyłał do domu, pomagały im przetrwać. Jego babcia chorowała na raka, więc *tía* woziła ją co tydzień na chemię do szpitala.

Zrzucił z siebie zakurzone ubrania i wziął prysznic. Ściany były tu cienkie i choć w łazience lała się woda, Roberto i tak słyszał telenowelę *La Reina del Sur* lecącą w telewizji w domu taty. Wytarł się do sucha i założył parę czystych jeansów i biały T-shirt. Z przyzwyczajenia chlusnął na twarz wodę kolońską Polo i wyszedł na zewnątrz, żeby wejść głównymi drzwiami.

– *Hola, Esperanza!* – zawołał do żony swojego ojca, po czym schylił się, żeby ją ucałować.

– *Su papá está durmiendo*³ – odpowiedziała, ściskając go na powitanie, po czym wróciła do robótek ręcznych i serialu.

Roberto porozumiewawczo kiwnął głową. Usiadł na sofie obok Esperanzy i postanowił zaczekać. Nawet teraz, choć miał już trzydzieści pięć lat, myśl, że zobaczy swojego ojca, ogromnie go cieszyła. Roberto był niezależnym i samowystarczalnym człowiekiem, to nie ulegało wątpliwości, i liczył się na tym świecie z opinią tylko jednej osoby. Jego ojciec opuścił Meksyk w poszukiwaniu lepszego życia, kiedy Roberto miał pięć lat.

Pochrapywanie ojca, dające się słyszeć z sypialni – jednego z dwóch pokoi w tym mieszkaniu, nie licząc kuchni – działało na niego kojąco. W pokoju było ciemno – dzień zaczynał się robić nieznośnie gorący, więc Esperanza zaciągnęła zasłony, żeby nie wpuszczać słońca. Żółte ściany przyozdobione były starymi fotografiami, a na nich młodziutki ojciec Roberto, Esperanza i jej matka, babcia Roberto, sam Roberto i oczywiście Rosa. W kącie stał posążek Matki Boskiej z Guadalupe otoczony świecami, które Esperanza zapalała jedynie w niedzielę i święta.

Mrok panujący w pokoju, odgłosy chrapania, dźwięk, jaki wydawały stykające się ze sobą druty do robótek ręcznych oraz odgłosy dochodzące z telewizora sprawiły, że Roberto poczuł się śpiący. Te wszystkie dni spędzone w sadzie bez żadnej przerwy na odpoczynek bardzo go wymęczyły. Spojrzał na zdjęcie Rosy – zrobiono je w szkole, w pierwszej klasie, tuż przed tym, jak rozpoczęli swoją podróż na północ. Babcia je zachowała i wysłała do Roberto, kiedy ten dotarł do L.A.

Duchota panująca w pomieszczeniu i jednostajny szum w tle sprawiły, że jego powieki stały się ciężkie. Przypomniawszy sobie pierwszy wyjazd ojca, Roberto poczuł się wtedy tak, jakby jego świat runął w posadach – bez ojca, który by mu pomagał i który całowałby go na dobranoc, równie dobrze mógłby nie istnieć. Chodził do szkoły, ale nie potrafił się już uczyć – a może bardziej nie chciał – i nic nie wzbudzało już w nim większego zainteresowania. Jedyne, o czym myślał, to przerażająca pustka w miejscu, w którym kiedyś była niezwykła więź łącząca ojca i syna.

Roberto ciężko pracował na polu, przed szkołą i po szkole. Ręce pokryte miał odciskami, a nogi nieznośnie bolały, bo wyrósł już ze swoich butów, a na nowe, większe, nie było ich stać. I choć ojciec przysyłał ze Stanów pieniądze, w domu zawsze brakowało jedzenia. Roberto mocno wyrósł i był bardzo szczupły. W wieku jedenastu lat wstydził się już swojego wzrostu. Fakt, że dzieciaki w szkole przezywały go „Flaco” – chudzielec – nie pomagał.

Ojciec wracał do domu co drugi rok, a każda taka okazja sprawiała, że Roberto od razu odżywał. Wyraźnie wyczuwał radość i ekscytację, jakie narastały w rodzinie. Jego babcia pierwsza dowiadywała się o planowanym powrocie i wkrótce cały dom wypełniały cudowne zapachy. Nie musiała nawet mówić o niczym Roberto – rozpoznawał ten czas po liniach wokół jej oczu i ust, które nagle stawały się miększe i mniej widoczne. Jego *tías* – siostry ojca – pojawiały się u drzwi z koszykami pełnymi pysznego jedzenia i wszyscy czekali na tego jednego wyjątkowego gościa.

Nikt jednak nie czekał tak niecierpliwie jak Roberto. Potrafił popędzić na sam skraj miasta, gdzie biegła jedyna droga do Puebla,

i usadowiwszy się na ogromnym kamieniu, wypatrywać tumanów kurzu w oddali – znaku, że zbliżał się samochód lub autobus. Serce coraz mocniej dudniło mu w klatce piersiowej, aż prawie nie był w stanie złapać oddechu. A potem dostrzegał wreszcie ukochaną twarz w oknie samochodu należącego do wujka albo wielkiego niebieskiego autobusu i pędził za nim aż do domu babci, żeby mieć pewność, że pierwszy przywita ojca.

– *Papá!* – wołał na jego widok, co było mylące, ponieważ pod nieobecność ojca zwracał się tak do swojego dziadka. Było to prawie jak posiadanie dwóch ojców – jednego, który był na miejscu, i tego prawdziwego, który jedynie tu bywał. Ten prawdziwy był w oczach Roberto królem. Jego ojciec przytulał i całował wszystkich, którzy na niego czekali, rozdawał skromne prezenty przywiezione z L.A., czasami nawet coś wyjątkowego, jak sukienka dla babci. Potem wszyscy siadali do wspólnego posiłku.

Nie mogło zabraknąć świec i muzyki, a przede wszystkim jakiegoś rodzaju mięsa oprócz zwyczajowej fasoli i ryżu. Jego dziadek lubił sobie popić, więc na stole musiało się również pojawić *cerveza*⁴. A po całej serii piw starszerek zazwyczaj robił się nieprzyjemny i mówił rzeczy typu: „Dlaczego nie wysyłasz więcej pieniędzy? Wydajesz je na kobiety? Zostawiasz tu swojego syna, na naszym wychowaniu, więc przynajmniej mógłbyś wysyłać nam wystarczające sumy pieniędzy”.

Babcia próbowała go uspokoić, ale nic to nie dawało. *Cerveza* przejmowała nad nim kontrolę i ostatecznie dziadek przysypiał przy stole, co było jasnym znakiem, że najwyższa pora położyć go do łóżka. Po uprzątnięciu kuchni ciotki rozchodziły się do domów. Babcia mówiła wszystkim „dobranoc” i zniknęła w swoim pokoju, a Roberto zostawał ze swoim ojcem na kanapie.

Za każdym razem czuł, jak silne ramię taty tuli go do siebie, a ukochany głos opowiadał o lepszym życiu niż to, które Roberto znał. Ojciec pytał go o postępy w szkole, o pracę w sadzie i na polach kukurydzy oraz o to, jak rodzina radziła sobie pod jego nieobecność. Czasami mówił też inne, ważne rzeczy.

– Masz w sobie wielką siłę – lubił powtarzać. – Nikt nie może cię do niczego zmusić.

– Nikt? – Roberto spytał pewnego razu z niedowierzaniem.

Ludzie często próbowali wymóc na nim różne rzeczy. Jego najstarszy kuzyn, Hernandez, był raczej leniwy i kiedy pracowali na polu, kazał Roberto wykonywać część jego obowiązków, podczas gdy sam wygrzewał się na słońcu lub wspinał na wzgórze w poszukiwaniu złota. Carlos, jeden z chłopaków ze szkoły, nosił ze sobą marihuanę i agawę i wiecznie straszył Roberto, że jeśli z nim nie zapali i się nie napije, powie wszystkim, że jest *flaco* – ciotą. Trudno było przeciwstawić się tego typu presji otoczenia.

– Żadna osoba na tym świecie – odpowiadał jego ojciec.

Zdawało się, że wyczuwa, przez co Roberto przechodzi, ale nie pytał o konkretne nazwiska czy opowieści.

– Jesteś silniejszy, niż ci się wydaje, synu. I nie ma takiego drugiego jak ty. Nawet ja nie mogę ci powiedzieć, co masz robić.

Roberto chciał powiedzieć, że to nieprawda. Jego ojciec mógł kazać mu zrobić dosłownie wszystko, a on spełniłby każde jego życzenie. Miał ciemniejszą karnację niż Roberto i był nieco przysadzisty. Jego włosy były gęste i czarne, podobnie jak wąsy; czasami zapuszczał również brodę. Jego oczy były czarne, a Roberto – brązowe, a jednak nie było najmniejszej wątpliwości co do poziomu spokrewnienia.

Kiedy ojciec był w domu, pracował na polu i w sadzie, jak przed wyjazdem. Roberto chciał odpuścić sobie szkołę, żeby móc spędzić z nim jak najwięcej czasu, ale ojciec był przeciwny takiemu rozwiązaniu. Chłopak nigdy nie powiedział tacie o *Señor* Tedoro – nauczycielu, który lubował się w darciu jego wypracowań i ośmieszaniu Roberto przed całą klasą, bo chłopak nie radził sobie z zadaniami domowymi. Roberto wiedział, że to z powodu braku czasu – pracował fizycznie przez tyle godzin, że wieczorami nie miał już ani chwili, by odpowiednio przygotować się do zajęć. A poza tym nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc w nauce.

Inne dzieci miały matki. Nawet jeśli ich ojcowie wyjechali do Stanów, matki zostawały na miejscu, żeby się nimi zaopiekować. Roberto nie pamiętał nawet jej uśmiechu, dotyku dłoni czy głosu – umarła przy porodzie. Jego babcia nie ukończyła nigdy szóstej klasy.

Jego dziadek nie potrafił napisać własnego imienia, a wszelkie dokumenty podpisywał: „X”.

I tak siedzieli razem na kanapie – ojciec opowiadał Roberto o życiu, trzymając rękę na jego ramieniu. Potem, kiedy chłopak robił się już śpiący, tata poklepywał go lekko po torsie – dokładnie tak, jak to robił, kiedy Roberto był jeszcze małym dzieckiem – i powtarzał cicho: „Ćśśś, ćśśś, ćśśś”. Robił tak, aż chłopak nie był już w stanie odróżnić głosu swojego ojca od szumu krwi płynącej we własnych żyłach, i wtedy zasypiał na dobre.

Kiedy miał dwanaście lat, a Geraldo – starszy kolega ze szkoły – zaczął rozstawiać go po kątach, ojciec powiedział mu, że musi nauczyć się bić. W trakcie tamtego pobytu w domu wyszkolił syna w robieniu pompek, po sto za jednym razem, skupili się również na szybkim bieganiu i wspinaniu się na drzewa. Powiedział Roberto, że najważniejszą rzeczą jest niespuszczanie oczu z oponenta, nawet na sekundę. Trzeba poruszać się szybko, wyprowadzać silne ciosy i wykorzystywać impet przeciwnika. Nigdy nie udawać, nigdy nie myśleć, że to tylko zabawa, zwykle wydurnianie się – jeśli człowiek walczy, to walczy, żeby wygrać. Po kilku starciach Geraldo i jego kumple zostawili Roberto w spokoju.

Roberto nie lubił się bić, ale robił to, jeśli zaszła taka konieczność. Ojciec nauczył go, że człowiek często musi robić w życiu rzeczy, na które nie ma ochoty. Ale trzeba żyć i przetrwać, a żeby tego dokonać, należy dbać o swój honor.

A teraz, w salonie z *La Reina del Sur* wypełniającym ekran telewizora, Roberto wpatrywał się w zdjęcie Rosy i zastanawiał się – jak za każdym razem, kiedy je widział – dlaczego nie wziął sobie do serca najważniejszej lekcji, jaką zafundował mu jego ojciec, i nie zostawił swojego dziecka w Meksyku, aby samemu udać się do Ameryki za pracą. Dlaczego nie chciał po prostu wysłać do domu pieniędzy i przyjeżdżać w odwiedziny, kiedy to tylko było możliwe. Z biegiem lat przekraczanie granicy stało się znacznie bardziej niebezpieczne, a zdobycie zielonej karty – jak zrobił to jego ojciec – było już praktycznie niemożliwe.

Ale Roberto nie był w stanie znieść myśli, że będzie musiał rozstać

się z ukochaną córeczką. I tak jak miłe były dla niego powroty ojca, tak koszmarnie okazywały się te wszystkie miesiące i lata, które spędził bez jego opieki i miłości. Za każdym razem, kiedy tata przyjeżdżał ze Stanów, pachniał wodą kolońską marki Polo. Któregoś roku zapomniał zabrać butelkę z łazienki i każdego wieczora Roberto stawał przed lustrem i wdychał zapach, który nieodmiennie przypominał mu jego ojca.

Rosa zasługiwała na znacznie więcej niż tych kilka wizyt i zamknięty w buteleczce zapach, który pomagałby jej czuć bliskość ukochanego taty. Chciał, żeby miała go na wyciągnięcie ręki, żeby byli razem, nierozłączni. To właśnie okazało się ich przekleństwem – z wyjątkiem babci Roberto wszystkie kobiety w rodzinie prędzej czy później odchodziły.

Adriana uciekła do stolicy Meksyku – była zbyt młoda i niezależna, żeby poświęcić swoje dotychczasowe życie i zostać pełnoetatową mamą Rosy i żoną Roberto. A matka Roberto umarła w połogu. Kiedy jego babcia wściekała się na matkę Rosy za to, że ich zostawiła, często przywoływała klątwę, którą rzekomo miała zesłać na ich rodzinę *bruja*⁵ mieszkająca na wzgórzach wysoko ponad wioską.

Nie było dnia, żeby Roberto nie zastanawiał się, czy nie porzucić wszystkiego w Ameryce i nie wrócić do domu. Kiedy był mały, chodził do szkoły i na pole ze swoimi kuzynami, ale w wolnym czasie wspinali się razem na wzgórza i szukali złota. Siedząc w ciemnym salonie ojca, Roberto żałował, że nie mógł tam teraz być, z Rosą. Że nigdy nie znaleźli złota, nie zbudowali porządnego domu i nie zapewnili godnego życia reszcie rodziny.

– Cześć, *hijo*⁶ – powiedział ojciec Roberto na przywitanie, wchodząc do salonu.

Miał na sobie podkoszulek i luźne jeansy, a jego twarz była wygnieciona od poduszki. Nie tulił już syna, odkąd ten wyrósł na dojrzałego mężczyznę. Ale dźwięk słowa „syn” był jak miód na serce Roberto, który wstał, żeby przywitać ojca.

– *Bien, bien, y tú, papá?* – zapytał.

– Dobrze, dziękuję. A ty nie w pracy?

– Niedługo wracam – odpowiedział Roberto. – Wróciłem tylko do

domu, żeby coś zjeść i zabrać parę rzeczy.

– Chodź, zjedz z nami – zaproponowała Esperanza, odkładając swoje robótki i znikając w kuchni.

Roberto poczekał, aż jego ojciec usiądzie, po czym sam zrobił to samo. Powieki taty były wciąż ciężkie od snu – mrugał, kiedy przełączał programy w poszukiwaniu czegoś ciekawszego do oglądania. Zatrzymał się na programie o tygrysach, który leciał na Discovery Español. Patrzyli, jak samiec chował się w cieniach dżungli, a jego pasy sprawiały, że był niewidoczny dla gazeli. Roberto rzucił okiem na ojca. Postanowił poczekać na reklamy, żeby zacząć rozmowę.

Spojrzał znów na zdjęcie przedstawiające Rosę. Fakt, że wisiało tu, otoczone wizerunkami reszty rodziny, bardzo go cieszył. Widział błysk w jej oku i czystą, niepohamowaną radość życia, a to sprawiło, że ponownie uwierzył, że musi gdzieś tam być. Że po prostu czeka, aż jej tata ją znajdzie.

Co było łatwiejsze, wiedza czy jej brak, nieodwracalna ostateczność czy szalona nadzieja? Pomyślał o Julii, o tym, co wiedziała na temat Jenny, i dotarło do niego, że nie chciałby zamienić się z nią miejscami.

Choć minęło już kilka tygodni, Roberto wciąż pamiętał ich rozmowę. Siedzieli na frontowych schodach, aż mgła rozlała się od strony morza, a gwiazdy zniknęły za górami. Julia była *gringa*⁷, *Americana*, a jego angielski pozostawiał wiele do życzenia. Ale oboje stracili swoje córki i oboje rozumieli, przez co każde z nich przechodziło. To, co Julia czuła do Jenny, on czuł do Rosy.

Wyobraził sobie jej niebieskie oczy. Pierwszy raz znajdował się tak blisko osoby o równie niezwykłym kolorze oczu i uważał, że są cudowne na swój sposób. Zastanawiał się, jakiego koloru musiały być oczy Jenny.

Ciekawiło go również, czy Julia spojrzała w jego brązowe oczy lub czy zauważyła ich splecione ręce. Czy zwróciła uwagę na to, jak blada była jej skóra na tle jego ogorzałego od słońca ciała? Mieszkał w tym kraju już od pięciu lat, ale tylko ułamek tego czasu spędził, pracując dla rodziny Rileyów – całą resztę przeżył u boku innych Meksykanów, tutaj, w Boyle Heights, pracując dla Amerykanów, ale nie spoufalając się z nimi, a już na pewno nie przytulając ich i nie czując, że ich serca

mówią tym samym językiem, że znają się na wylot. Nie pocałowali się, nic w tym stylu. Po długim czasie spędzonym w swoim towarzystwie powiedzieli sobie „dobranoc”. Odprowadził ją wzrokiem, poczekał, aż zgasną światła na ganku, i dopiero wtedy wrócił do swojej chatki.

Od tamtej pory trzymali się od siebie z daleka. On dlatego, że uczucia, które nim targaly, były zbyt silne. Ona pewnie dlatego, że czuła się zawstydzona faktem, iż otworzyła serce przed mężczyzną, który pracował w sadzie należącym do jej wuja.

W telewizorze pojawiły się reklamy – głośna muzyka i kobieta mówiąca, że kurczak Popeye’a był najlepszy. Jego ojciec ziewnął. Roberto chciał go o coś zapytać. Dopadła go gonitwa myśli, ale kiedy próbował ubrać je w słowa, usłyszał w głowie pouczający głos ojca: *Nie popełniaj błędu, nie narażaj dobrej posady, nawet sobie nie wyobrażaj, że ona kiedykolwiek coś do ciebie poczuje.*

– O co chodzi, synu? – zapytał ojciec.

– W Casa Riley zatrzymała się pewna kobieta – odpowiedział.

– Podczas gdy Rileyowie są w Irlandii?

– *Sí*. Ich siostrzenica.

– I jaka ona jest?

– Bardzo sympatyczna.

– Nie zapominaj, że na pewno jest w stałym kontakcie ze swoim wujostwem. Dopilnuj, żeby w sadzie wszystko szło jak po maśle.

– Tak zrobię – zapewnił go Roberto.

– To bardzo dobra posada – stwierdził ojciec, nie pierwszy raz przypominając mu, jak ważną sprawą był fakt, że miał pracę – nie tylko dla Roberto, ale dla całej rodziny, która czekała na niego w domu. Nie krytykował go, tylko upewniał się, że wciąż posiada słuszne priorytety.

– Najlepsza na świecie – odpowiedział Roberto.

– Ładna ta siostrzenica?

– Piękna.

– I bogata – dodał ojciec bez ogródek. – Bądź ostrożny i zachowuj się, jak na dżentelmena przystało.

Roberto przytaknął. Wiedział, że ojciec chciał dla niego jak najlepiej. Nigdy by nie zrozumiał, co wydarzyło się między nim a Julią, i Roberto nawet nie próbował mu tego tłumaczyć.

Po chwili Esperanza zawołała ich do kuchni na lunch – kurczak z ryżem.

Zjedli, nie zamieniając ze sobą zbyt wielu słów. W pewnym momencie Roberto spojrzął na ojca i zobaczył, że on również się mu przygląda. Poczuł się nieswojo. Jego ojciec próbował rozgryźć, o co w tym wszystkim chodziło. A potem obaj skupili się na swoich talerzach, podczas gdy w drugim pokoju lektor w TV opowiadał, jak jeden tygrys w przeciągu kilku minut zabił siedem gazeli.

¹ *Tíos* (hiszp.) – wujkowie.

² *Primos* (hiszp.) – kuzyni.

³ „Twój tata śpi”.

⁴ *Cerveza* (hiszp.) – piwo.

⁵ *Bruja* (hiszp.) – wiedźma, czarownica.

⁶ *Hijo* (hiszp.) – syn.

⁷ *Gringa* (hiszp.) – cudzoziemka.

Rozdział 4

Julia

Minął kolejny tydzień. Do Malibu zawitała już jesień, więc opieka nad sadem wymagała znacznie większego nakładu pracy. Julia widziała, że Roberto i jego ekipa mają pełne ręce roboty – likwidują zagrożenia pożarowe, przycinają zarośla na stokach wzgórz, ucinają nisko wiszące gałęzie w sadzie, grabią suche liście i opadłe płatki bugenwilli.

Każdego ranka mężczyźni – Roberto, Serapio i od dwóch do pięciu robotników – pracowali w pocie czoła, po czym w południe robili sobie przerwę na lunch, zjadany zazwyczaj w cieniu stodoły. To Roberto był zawsze tym, który pierwszy wstawał, otrzępywał się i wracał do sadu. Zarządzał całą ekipą, ale sam również wykonywał najcięższe zadania. Kiedy Julia wyprowadzała Bonnie, machała do niego i wołała „cześć”, a Roberto zawsze odmachiwał. Był jednak bardzo zajęty, więc nie chciała mu przeszkadzać.

Poza tym jej plan powoli nabierał kształtów. Podeszła do niego w dokładnie taki sam sposób, jak do swojej pracy dyplomowej – zebrać informacje z jak największej liczby źródeł, sporządzić zarys i poszukać wsparcia. W tym przypadku jej wsparciem była Jenny. Córka robiła jej czasami wyrzuty, że Julia postanowiła wrócić na uczelnię i któregoś lata zawlokła ją nie wiadomo gdzie, by wykonać potrzebne badania w terenie, ale w głębi serca Jenny była dumna i wcale tego nie ukrywała.

Teraz, siedząc przy biurku wuja, Julia przeglądała mapy pustyni Sonora, przywołując w myślach upalne miesiące, które spędziła tam z Jenny oraz z doktorem Christopherem Bartonem i jego ekipą badawczą. Niemalże czuła, jak jej córka siedzi na blacie i namawia ją, żeby jak najszybciej odszukała Chrisa w Internecie. Nadal uczył w Yale, ale większość czasu spędzał w terenie – obecnie pracował nad projektem w Hondurasie. Julia wysłała do niego e-mail, aczkolwiek wiedziała, jak bardzo strzegł swojej pracy i jakim potrafił bywać odludkiem, dlatego nie spodziewała się szybkiej odpowiedzi.

W trzecim tygodniu października Julia zauważyła, że tym razem Serapio zarządza robotnikami, a to oznaczało, że Roberto wyjechał. Wrócił dwa dni później, wczesnym rankiem. Jego zakurzona, czarna

ciężarówka podjechała pod stodołę – poranna mgła delikatnie rozmyła blask przednich świateł. Obserwując całą scenę z okna w kuchni, Julia czuła, jak bije jej serce. Na razie nie pisnęła ani słówka na temat tego, co planowała, ale coś jej podpowiadało, że nadszedł czas, aby to zmienić.

Kiedy tylko usłyszała włączające się zraszacze i zobaczyła, jak Roberto przemierza sad, opuściła mieszkanie i pomachała mu. Bonnie wyszła mu na spotkanie, merdając radośnie ogonem.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Cześć. Widzę, że obie jesteście rannymi ptaszkami – zauważył.

Wciąż było dosyć ciemno, światło poranka ledwie przebijało się przez mgłę.

– Lubimy wczesne poranki – odpowiedziała. – Pewnie się cieszysz, że udało ci się odwiedzić wczoraj rodzinę?

– *Sí*.

– Jesteś żonaty? – zapytała.

– Nie. Mieszkam w domu mojego ojca. To znaczy... we własnym mieszkaniu.

Uśmiechnęła się, nie kryjąc zadziwiająco dobrego humoru.

– Masz chwilkę na kawę?

– *Sí, gracias* – odpowiedział. – Tylko... – Spojrzał na swoje buty, mocno już znoszone i oblepione błotem i trawą.

– Spokojnie, nic nie szkodzi – uspokoiła go. – Razem z Bonnie non stop znosimy coś z podwórka do domu.

Przez ułamek sekundy zawahał się nad progiem. Julia zastanawiała się, czy czuje się nieswojo, ale potem wszedł do środka. Wskazała ręką, aby usiadł przy kuchennym stole, a sama nalewała właśnie gorącą kawę do niebieskich kubków. Piła zawsze czarną, ale postawiła na stole śmietankę i cukier, w razie gdyby Roberto nie podzielał jej preferencji.

– Wydawałeś się ostatnio bardzo zajęty.

– To prawda. O tej porze roku mamy zawsze pełne ręce roboty.

Rozglądał się po kuchni, zatrzymując wzrok na zdjęciach, belkach, książkach i miedzianych patelniach. Widać było, że poczuł się już nieco swobodniej.

– Nie zaglądasz tu zbyt często? – zapytała.

– Zazwyczaj rozmawiam z *Señor* Rileyem w sadzie. Nie ma

powodu, żebym wchodził do domu.

– Rozumiem.

Posłodził kawę trzema łyżeczkami cukru, dodał śmietankę i wypił pierwszy mały łyk.

– Przepyszna – stwierdził z błogim wyrazem twarzy.

Miał piękne białe zęby, choć brakowało mu jednego z tyłu po prawej stronie.

– Bardzo ci dziękuję – dodał. – Naprawdę nie musiałaś mnie zapraszać.

– Ale chciałam.

– Jesteś moją szefową, kiedy nie ma tu Rileyów. Nie musisz tyle dla mnie robić. – Być może zauważył, jak uśmiech znika z jej ust, ponieważ dodał szybko: – Ale ogromnie się cieszę, że możemy czasem spędzić parę chwil sam na sam. *Gracias*, Julia.

Opuściła wzrok, zdając sobie sprawę, jak nieprzekonywający był jej plan. Póki co był to tylko pomysł, który zagnieździł się w jej głowie – sposób na to, by czuć bliskość Jenny. Tak właśnie zachowują się wariatki – rozmawiają ze swoimi zmarłymi dziećmi i nie pozwalają im odejść.

– Powiedziałem coś nie tak? – zapytał.

– Chciałam o czymś z tobą porozmawiać – zaczęła.

– Okej.

Ich oczy się spotkały. Czy to, co robiła, było niekulturalne? Wścibskie? Straciła już dystans do całej sprawy.

– Roberto, opowiedziałbyś mi nieco bardziej szczegółowo o swojej córce i tym dniu, kiedy przekraczaliście granicę?

Zmarszczył brwi, a w jego oczach można było dostrzec ból i konsternację.

– Przecież już ci powiedziałem.

– Wiem. Ale chciałabym dowiedzieć się więcej na ten temat.

– Myślałem, że... – zaczął.

– Że co?

– Że sprawiłem ci przykrość, dzieląc się z tobą tamtymi koszmarnymi przeżyciami. Że musiałaś się bardzo rozczarować facetem, który zgubił własną córkę na pustyni.

– To nie była twoja wina – stwierdziła.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytał ze złością w głosie.

Julia milczała. Myślała o Jenny i Rosie, ich dwóch utraconych córkach, i o śledztwie, które powoli, ale metodycznie zamieniała w czyn, stale motywowana przez Jenny. O misji, która miała jeden cel – odnaleźć Rosę.

– Po prostu wiem – odpowiedziała w końcu.

– Chcesz usłyszeć, co tam się naprawdę wydarzyło? – zapytał. – Dobrze. Ale... ale to najgorsza z możliwych rzeczy.

– Roberto, ja już przeżyłam najgorszą z możliwych rzeczy.

Kiwnął głową i dotknął jej dłoni, jakby składając Julii nieme kondolencje.

A potem zaczął opowiadać swoją historię.

Roberto

Maj 2007

Roberto i Rosa przejechali autobusem z Puebli do stolicy, potem do Hermosillo, a następnie do Altar, leżącego na południe od granicy ze Stanami Zjednoczonymi. Autobusy były duszne i przeładowane, a Rosa cierpiała na chorobę lokomocyjną. Przyciskała do piersi swoją ukochaną lalkę, Marię. Uszyła ją dla niej babcia Roberto – na koniec odczepiła jej skrzydła anioła i wytłumaczyła, że Maria posiada magiczną moc i będzie strzegła Rosę i jej ojca.

Podczas gdy dziewczynka tuliła Marię, Roberto tulił Rosę – usadowiwszy ją bezpiecznie na swoich kolanach, przez całą podróż wspominał czasy, kiedy jako dziecko razem z kuzynami zapuszczał się na pobliskie wzgórza w poszukiwaniu ukrytych skarbów.

– I znaleźliście je! – wykrzyknęła, bo była to jej ulubiona opowieść.

– Fakt, było tam parę złotych monet. Wyobrażaliśmy sobie, że kamienie też były ze złota. Któregoś razu trafiliśmy na starą figurkę przedstawiającą starca, niewielką i okrągłą. Mój dziadek stwierdził, że miała jakieś tysiąc lat.

– Dlaczego nigdy nie zabrałeś mnie ze sobą? – spytała.

– Zawsze pracuję, *preciosa*, brakuje wolnego czasu – odpowiedział, tuląc ją mocniej do siebie.

Roberto pracował po osiemnaście godzin dziennie za psie pieniądze, więc ledwo był w stanie wyżywić siebie i córkę czy finansować opiekę medyczną babci.

– Czy tam, gdzie jedziemy, będzie inaczej? – zapytała.

– El Norte – odpowiedział.

Mógł jedynie marzyć o tym, jak bardzo zmieni się ich życie. Dorastał, pracując na polach od świtu do ósmej rano, kiedy to zaczynały się lekcje, a po szkole znów do zmierzchu, nie mając nigdy wystarczająco dużo czasu, żeby odrobić zadania domowe. Roberto był bystry, podobnie jak Rosa, ale nie chciał, żeby i ona musiała się wstydzić, przychodząc nieprzygotowana na zajęcia i mimowolnie zasypiając na ławce ze zmęczenia.

Członkowie jego rodziny, tak jak wszyscy mieszkańcy ich malutkiego *pueblo*, pracowali w sadach i na polach należących do bogatych ludzi. Będąc dziećmi, Roberto i jego kuzyni sadzili nasiona – jego dziadek szkolił już Rosę, by niedługo poszła w ich ślady. Kiedy nieco podrośli, obsługiwali pług, nauczyli się, jak zbierać plony, i przygotowywali produkty na sprzedaż. Patrząc teraz na swoją malutką córeczkę, wiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by nigdy nie musiała tak ciężko harować i rezygnować ze szkoły w wieku szesnastu lat, tak jak jej ojciec.

Autobus telepał się naprzód, wypluwając tlenek węgla przez kabinę. Ludzie pootwierali okna, ale nie było ucieczki od drażniącego zapachu potu, piwa, kur i brudnych stóp.

– *Papá*, niedobrze mi...

– Gdzie schowałaś zdjęcie? – zapytał, próbując odwrócić jej uwagę od niedogodności podróży.

– Do kieszeni – odpowiedziała słabym głosem.

Wyciągnął je i pokazał córce: oto Roberto, Rosa i jego babcia stojący pod drzewem cytrynowym. Dziewczynka dotknęła fotografii i uśmiechnęła się.

– To my – powiedział. – I *Abuela*¹. Czujesz zapach cytryn, Rosa? Ten cudowny aromat? Przypomnij sobie, jak pomagałaś tatusiowi zbierać owoce, jesteś taką grzeczną dziewczynką...

– *Sí, papá*. Ale tęsknię za babcią.

– To zdjęcie pomoże nam zachować ją w pamięci – odpowiedział.
– I za każdym razem, jak na nie popatrzysz, poczujesz, jak bardzo babcia nas kocha i ile dla mnie znaczysz.

– *Gracias, papá, te amo.*

– *Te amo, Rosa.*

– Ale nadal mi niedobrze.

Wsunął jej zdjęcie z powrotem do kieszeni.

– Więc pomyślmy o miejscu, do którego się wybieramy. Tam wszystko będzie lepsze. Łatwo dostać pracę, dobrą pracę, i będę wracał do domu każdego wieczora, i odbierał cię ze szkoły.

– Nie pomaga – wydusiła z siebie, zieleniejąc na twarzy.

Roberto przyłożył jej ręce do ust, na wszelki wypadek, gdyby chciała zwymiotować.

– Opowiedz o tym, co miłe, nie o pracy.

– No dobrze. – Zamknął powieki; przesuwająca się przed oczami wizja była niczym sen. Nigdy nie widział tego wszystkiego, a jedynie słyszał od ojca. – Będziemy mieszkali blisko najbardziej wyjątkowego i magicznego placu w całym Los Angeles. Ale zamiast aniołów i wróżek można tam spotkać...

– *Mariachi!* – wykrzyknęła.

– Dokładnie tak. W tych swoich czarnych strojach i kapeluszach, z białymi aplikacjami na ramionach, miedzianymi guzikami i wszystkimi tymi ciekawymi instrumentami. Oni zawsze tam stoją.

Rosa uśmiechnęła się i zamknęła oczy, próbując przypomnieć sobie, ile razy Roberto opowiadał jej o miejscu, gdzie mieszkał dziadek. Uwielbiała historie o *mariachi*, którzy w jej oczach jawili się niczym archaniołowie, a nie zwykli pracujący ludzie.

– Dlaczego ciągle tam stoją, *papá*?

– Czekają, aż ktoś ich zatrudni. Restauracje i ludzie organizujący różne imprezy i uroczystości potrzebują *mariachi*, więc zespół czeka w jednym miejscu, aż ktoś podjedzie i ich zabierze.

– Zagrają dla nas muzykę?

– Dziadek mówił, że będziemy ich słyszeć każdego ranka i każdego wieczora z naszego ganku.

– Chciałabym usłyszeć, jak grają – stwierdziła Rosa, podskakując

mu na kolanach. – I zobaczyć dziadka. Czy on wie, że do niego jedziemy?

Wyczekiwała nieczęstych wizyt pradziadka w Meksyku prawie tak samo niecierpliwie, jak jej ojciec.

– O, tak. Pomógł zaaranżować wszystkie formalności. Czeka na nas dobry kojot, skarbie. Dziadek się o to zatroszczył.

Przytaknęła, opierając głowę na piersi Roberto. Autobus podskakiwał na wybojach i kiwał się we wszystkie strony, ale Rosa przestała już z tym walczyć i pozwoliła ukołysać się do snu. Nie dopytywała się o tego legendarnego „kojota” – podświadomie rozumiała jego znaczenie. Chociaż pola i wzgórza otaczające ich miasteczko pełne były tych zwierząt – wyjących w nocy i zakradających się do stodół, by zabić kury – odkąd tylko Rosa zaczęła mówić, wiedziała, że „kojot” to inaczej przewodnik, osoba, która pomoże im przekroczyć granicę ze Stanami Zjednoczonymi, minimalizując szanse, że zostaną złapani przez straż graniczną lub amerykańskie służby imigracyjne i celne ICE.

Autobus wtoczył się do kolejnego miasta. Na zewnątrz panował jeszcze zmrok, kiedy Roberto wnosił córkę na rękach do kolejnego pojazdu, i choć dzwony kościoła były im nad głowami, Rosa się nie zbudziła. Nowy autobus był jeszcze mniejszy i bardziej zatłoczony od poprzedniego. Trzeba było bić się o miejsca siedzące.

Roberto chwycił mocno Rosę i ich skromny bagaż i próbował nieco odpocząć. Podróż trwała przez całą noc. Siedzieli blisko tyłu autobusu, gdzie czuć było spalinami, a silnik nieznośnie nagrzewał powietrze. A jednak wiedział, że powinien się zdrzemnąć. Kolejne dni będą długie i ciężkie, więc musiał odpocząć i uzbierać siły, by bezpiecznie przeprowadzić córkę przez granicę.

Myślenie o ukochanej Rosie pozwalało trzymać nerwy na wodzy i oddalać strach. Nigdy wcześniej nie przeprowadził się nielegalnie do innego kraju. Zrobili to już jego ojciec, ciotka oraz kilku kuzynów. Niektórzy, jak jego ojciec, więcej niż raz. Roberto nosił w sercu te wszystkie opowieści niczym magiczne baśni, ale teraz sen miał przemienić się w wymarzoną rzeczywistość – lepsze życie dla niego i jego córeczki. Jutro, kiedy dotrą do Altar, spotkają się z jego kuzynem Miguelem, który poprowadzi ich przez następny etap.

Sięgnął znów do kieszeni Rosy po rodzinną fotografię. Meksyk, dom, miejsce, które znali i kochali. Ścisnęło go w gardle i usilnie próbował nie płakać. Ta podróż musiała być słuszną decyzją. Nie mógł znieść myśli, że jego córka mogłaby dorastać, cierpiąc głód, tak jak on lata temu. Odłożył zdjęcie na swoje miejsce i tuż przed świtem zmorzył go sen.

Altar było ich ostatnim przystankiem na terenie Meksyku. Roberto i Rosa obudzili się w momencie, kiedy usłyszeli pisk hamulców i poczuli, jak autobus się zatrzymuje. Wyszli razem z tłumem, zatrzymując się na rynku i mrużąc oczy przed pierwszymi promieniami słońca. Równie dobrze mogliby mieć doczepione karteczki z napisem *pollos* – bo tak potocznie nazywani są nielegalni imigranci. Kojoty kręciły się w pobliżu. Roberto szukał wzrokiem Miguela.

– Atlanta, Chicago, Nueva York, z moją pomocą dotrzecie w każde z tych miejsc.

– San Diego, Los Angeles, San Francisco, jestem najlepszy.

Rosa trzymała go mocno za szyję. Zatrzymywali się już na kilku rynkach w drodze na północ, żeby napić się wody i zmienić autobusy, ale tym razem było całkiem inaczej. Roberto czuł, jak Rosa podchwycą tę nową energię, zafascynowana grą w drapieźników i ofiary. Wypatrzył Centro Comunitario de Atención al Migrante y Necesitado, darmowe schronisko dla imigrantów i potrzebujących, o którym opowiadał mu ojciec. Wszędzie porozstawiane były stragany z plecakami, wodą i jedzeniem.

– Cześć, stary – odezwał się niski, przysadzisty, ciemnoskóry Meksykanin z gęstym, sumiastym wąsem w stylu Emiliano Zapaty, podchodząc do nich dwojga, nieco zdezorientowanych. – Cóż za śliczna mała dziewczynka. Jeśli chcesz ją bezpiecznie przeprowadzić przez granicę, potrzebujesz kogoś takiego jak ja. Znam najlepszą trasę. Nie wszystkie kojoty są dobre w tym, co robią, a nie brakuje wśród nich również bandytów, którzy wypatrują tylko pięknych dziewcząt. Przy mnie będziecie bezpieczni. Gdzie chcecie się dostać?

– Czekam tu na mojego kuzyna – odpowiedział Roberto. – Ale

gracias.

Patrzył, jak wąsik w stylu Zapaty znika w tłumie, dołączywszy do trzech innych mężczyzn. Spojrzeli w stronę Roberto, ale kiedy zorientowali się, że mężczyzna bacznie się im przygląda, od razu odwrócili głowy. Udało mu się zachować kruchą równowagę pomiędzy okazaniem szacunku mężczyźnie, któremu nie ufał, a posłaniem w jego stronę spojrzenia, które sugerowało, że posiekałby ich na kawałki, gdyby on i jego *amigos* spróbowali tknąć Rosę.

Na środku placu stał kościół z krzyżem na środku kopuły, Nuestra Señora de Guadalupe – wielu pielgrzymów wchodziło do środka, przeżegnawszy się wodą święconą. Wybrzmiały dzwony kościelne – wkrótce miała się zacząć msza. Chwycił córkę za rękę i skierowali się w stronę schodów.

– Cześć, *primo* – zawołał Miguel. Wyściskali się na powitanie, po czym mężczyzna odezwał się do Rosy: – Ależ ty wyrosłaś! Ostatnim razem, jak cię widziałem, byłaś zaledwie małym bobasem na rękach taty. Teraz jesteś prawdziwą księżniczką.

– *Gracias* – odpowiedziała dziewczynka, zerkając na swojego tatę, żeby sprawdzić, czy wszystko gra. Roberto kiwnął głową.

– Miguel to nasz kuzyn – powiedział. – Dorastał w tym samym mieście, co my.

– Ale teraz jesteście w drodze do Stanów, a ja już tu wszystko przygotowałem.

Miguel zniżył głos, a Roberto posadził Rosę na ziemi, żeby mogli swobodnie porozmawiać. Wiedziała, że ma trzymać się blisko taty. Zauważył, że znalazła patyk i zajęła się rysowaniem obrazków na piasku.

– Masz pieniądze? – zapytał Miguel.

– Cztery tysiące dolarów amerykańskich. Połowa teraz i połowa po przekroczeniu granicy.

– Tylko tyle przygotowałaś?

– Mam w zanadrzu dodatkowe pięćdziesiąt dolców.

– Dobrze je schowaj – jeśli je znajdą, na pewno zabiorą.

– *Gracias, primo.*

– Dobra, to teraz kup sobie zaopatrzenie. Potrzebujesz na dzień

dwa galony wody na osobę. I suche wędliny. To spory bagaż do noszenia, zwłaszcza z dzieckiem na rękach...

– Poradzimy sobie.

– W ciągu dnia jest tam gorąco jak w piekarniku, ale nocą robi się nieznośnie zimno. Masz na to odpowiednie ciuchy?

– *Sí*, *papá* już mnie uprzedził.

– Może was czekać nawet czterodniowa podróż piechotą przez pustynię.

– *Sí*. *Yo lo se tambien*². Gdzie jest kojot?

– Zapłacę mu – poinformował go Miguel. – Daj mi kasę, a ja was przedstawię.

– Dlaczego nie mogę mu sam zapłacić?

– *Primo*, załatwiłem ci najlepszego kojota. Od razu was zabierze, bez żadnego nocowania w zapchlonych *casa de huéspedes*³.

Roberto słyszał już o tych miejscach – kryjówkach, w których kojoty przetrzymywały *pollos*, do pięćdziesięciu osób w jednym pokoju. Ojciec mówił, że darmowe schronisko było przyjemniejsze i czystsze, ale lepiej trzymać się blisko swojego kojota i być w każdej chwili gotowym do wyjazdu.

– Pieniądze, *primo* – powtórzył Miguel, trzymając wyciągniętą dłoń.

Nie dawało to Roberto spokoju. Miguel był pośrednikiem, który kontaktował ludzi z kojotami. Otrzymywał jakiś procent zapłaty i nie faworyzował członków własnej rodziny. Jedynym plusem było to, że Roberto miał pewność, że ktoś się nimi zajmie, że razem z Rosą trafią pod skrzydła najlepszego i najlepiej zorientowanego przewodnika – kogoś, kto na tyle dobrze znał pustynnych bandziorów, żeby zniechęcić ich do ataku.

Roberto i Rosa zaopatrzyli się w potrzebny prowiant, podczas gdy Miguel niecierpliwił się, czekając. Roberto wydał połowę dodatkowych funduszy na zapas wody, suszoną wołowinę, filtr przeciwsłoneczny oraz okrycie głowy dla Rosy, a także specjalny temblak, który miał mu pomóc nieść ciężkie butle z wodą na plecach i wokół szyi. Wypróbował ten sposób noszenia ciężarów, idąc za Miguelem przez plac w żarze lejącym się już z nieba, i stwierdził, że czuje się jak jeden z dziadkowych

wołów. Mimo wszystko starał się nie martwić noszeniem tylu kilogramów przez pustynię.

– Mogę pomóc? – zapytała Rosa.

– Ty, skarbie, zaopiekuj się Marią – odpowiedział. – To będzie twoje zadanie.

– Okej – odpowiedziała, tuląc mocniej ukochaną lalkę.

Miguel zaprowadził ich do ciężarówki, która w normalnych warunkach przewoziła żywy inwentarz. Kabina była zniszczona i stara, a tył ogrodzony, ale otwarty. Już teraz pojazd był praktycznie cały wypełniony ludźmi. Niektórzy pasażerowie pochodzili z Hondurasu i Gwatemali, ale zdecydowana większość z Meksyku. Zaczęli się schodzić w ciągu ostatnich kilku dni, ale kojot chciał zaczekać, aż ciężarówka będzie pełna, nim ruszą na północ.

– Dobra, teraz chodźcie ze mną – powiedział Miguel.

Ominąwszy samochód, podeszli do niewielkiego baru z frontowym gankiem. W bujanych krzesłach siedzieli dwaj mężczyźni, bacznie przypatrujący się całemu placowi. Jeden miał mniej więcej tyle lat, co Roberto, drugi na oko był bardziej zbliżony wiekiem do jego ojca. Mieli na sobie wyblakłe czerwone koszulki i błyszczące buty z gadziej skóry. Przyjrzał się ich ciemnej karnacji, haczykowatym nosom i gęstym brodom i był już w zasadzie pewny, że ma przed sobą ojca i syna.

– Hej, *cholo* – starszy odezwał się do Miguela – Co mi przyprowadziłeś?

– *Dos pollos – mis primos*, pamiętasz? Tu masz kasę – odpowiedział, wertując zawiniątko pełne banknotów, jeszcze wilgotne od potu Roberto.

Przekazał pieniądze z dumą, zupełnie tak, jakby należały do niego i symbolizowały lata ciężkiej pracy i wyrzeczeń.

– Dwa tysiące, tylko tyle masz? – ojciec zwrócił się do Roberto.

– *Sí, Señor*. Za mnie i za moją córkę. Połowa teraz, połowa później.

– Dwa tysiące za ciebie i trzy tysiące za *la niña* – odezwał się syn.

Na twarzy Roberta zarysowały się gniew i panika. Spojrzał na swojego kuzyna.

– Miało być cztery za wszystko.

Wszyscy poza Roberto i Rosą zanieśli się śmiechem.

– On się tylko z ciebie nabija, *primo* – uspokoił go Miguel.

– To prawda, ten śliczny aniołek podróżuje za trzy tysiące.

Liczymy sobie więcej za dzieci, bo wymagają dodatkowej opieki, którą im zapewniamy. Od niektórych kasujemy więcej, ale zważywszy że jesteś *primo* Miguela, cóż. Dajemy obniżkę, więc całościowy koszt to cztery tysiące. Kiedy dotrzesz już do L.A., być może postanowisz przesłać nam prezent, może jakieś dodatkowe pięć setek.

– Nie z góry? – dopytywał podejrzliwie Roberto.

– Nie. *En serio* – odpowiedział ojciec. – Staramy się nie rozdzielać rodzin. Dlatego właśnie jesteśmy najlepsi. Znamy drogę przez pustynię, przez granicę, wiemy, jak omijać wszelkich *pinche* – bandytów i patrole przygraniczne. Wybacz brzydkie słowo, *preciosa* – zwrócił się do Rosy. – Zaprowadzimy was aż do drogi, gdzie będzie czekał samochód, który zawiezie was prosto do Los Angeles, do domu twojego ojca.

– Znasz mojego ojca?

– Mój brat pomagał mu przejść przez granicę. Tak jak mówiłem – rodzina jest dla nas najważniejsza. Pomogliśmy wielu członkom rodziny Rodriguezów przez te wszystkie lata. Zapytaj, jak się nazywam.

– *Como te llamas?* – zapytał Roberto.

– Alberto Rodriguez. A to jest mój syn, Benito Rodriguez. Być może łączą nas więzy krwi, a łączy nas czterocyfrowa suma, którą płacisz, żebym przedostał was na drugą stronę. Masz moje słowo.

– *Gracias*.

– A teraz zbieramy się, aby pokonać pierwszy etap podróży.

Ciężarówka jest pełna, już czas.

– Okej – przytaknął Roberto. Zrobiło mu się nieco lżej na sercu. Słowa Alberto brzmiały szczerze i prawdziwie. Ojciec opowiadał mu już o tej rodzinie kojotów, ale jednocześnie ostrzegał, żeby syn nigdy nie odwracał się do nich plecami, nigdy nie ufał. Wszystkie kojoty, nawet te najlepsze, były przemytnikami, którym chodziło tylko o pieniądze.

„Nigdy nie zapominaj, *hijo* – ojciec powtarzał – kiedy znajdziesz się już na pustyni i trzeba będzie wybrać: twoje życie czy jego, wybierze to drugie.”

Alberto, Benito i jeszcze jakiś trzeci mężczyzna wdrapali się do kabiny. Roberto podsadził Rosę na pakę ciężarówki, potem zrobił to

samo z butlami wody i obdarzył kuzyna pożegnalnym uściskiem.

– *Buena suerte*. Zadzwoń, jak będziecie już w Los Angeles – powiedział na pożegnanie Miguel, a uśmiech, który nie schodził z jego twarzy, pomógł rozwiać wątpliwości Roberto.

– *Gracias, primo. Adiós!*

Ciężarówka zapaliła z głośnym rykiem – kabina być może sprawiała wrażenie leciwej, ale ktoś porządnie podrasował silnik. Roberto objął Rosę i poczuł pierwszy mocny zryw pojazdu, który już po chwili sunął główną drogą. Ich współpasażerowie również zdążyli się usadowić na swoich miejscach – zamknięci w sobie, unikający kontaktu wzrokowego. Pomimo panującego ścisku Roberto zdołał policzyć wszystkich ludzi.

Było tam w sumie dwadzieścioro jeden podróżników, łącznie z nim i Rosą. Miał przy sobie dwadzieścia pięć dolarów schowanych bezpiecznie w obcasie buta. Razem z płóciennym workiem oraz ubraniami były to jedyne rzeczy materialne, które zabrali ze sobą. Słońce dawało im się we znaki, nieznośnie paląc ich głowy oraz ramiona.

Roberto zasłaniał Rosę swoim ciałem. Jeden mężczyzna, nie mogąc już wytrzymać upału, wyciągnął z za pasa nóż i odciął długie rękawy swojej koszulki. Rzucił je niedbale za siebie, na tył ciężarówki, ale Roberto udało się je złapać i schować do plecaka. Nigdy nie wiadomo, co może ci się przydać. Spojrzał wtedy na błękitne niebo i wyszeptał: *suerte* – „szczęście” – podczas gdy ciężarówka wytaczała się właśnie z miasta i kierowała w stronę granicy z Arizoną.

Julia

Siedzieli w kuchni, a Julia była tak pochłonięta opowieścią, że kiedy Roberto wypowiedział słowo *suerte*, niemal wierzyła, że los im sprzyja, że przenieśli się właśnie pięć lat wstecz i obie ich córki były jeszcze z nimi. Obejmowała się mocno ramionami, wiedząc, że to dopiero początek historii.

– Znam te rejony – odezwała się.

– *Mande?* – spytał. – Słucham?

– Pustynię Sonora.

– Wspominałaś już coś na ten temat. Trudno uwierzyć, że postawiłaś tam kiedyś stopę.

– Wykonywałam badania do mojej pracy naukowej.

Patrzył się na nią zdezorientowany. Napełniła ponownie kubki świeżą kawą, żeby tylko zająć czymś ręce. Trzęsły się, bo przypomniała sobie tamto lato, które spędziła na pustyni, kiedy Jenny miała dziesięć lat. Postawiła kubki na stole i zaczęła opowiadać, jak to było.

Jenny nie była przesadnie szczęśliwa, że musi spędzić lipiec i część sierpnia z dala od Black Hall i swoich kolegów i koleżanek. W dodatku przeważnie smażyła się w namiotach w towarzystwie innych naukowców; tylko raz na jakiś czas udawało jej się spędzić weekend z mamą w przytulnym hotelu w Santa Fe w Nowym Meksyku, Marfa w Teksasie czy San Miguel de Allende w Meksyku.

– Mamo, powinnam być teraz na plaży! – powtarzała w kółko. – Plażowe dziewczyny nie powinny spędzać wakacji na pustyni. Jest lato, a gdzie woda?

– Wiem, Jen – odpowiadała cierpliwie Julia. – Masz pecha, że trafiła ci się matka, która tyle czekała, żeby pójść na studia.

– Ja po prostu chcę wrócić do domu, do morza i plaży...

– Ten wyjazd jest częścią moich uczelnianych obowiązków.

Mogłam przyjechać tu sama i zostawić cię z tatą, ale chciałam, żebyś mi towarzyszyła. Chciałam, żebyś zobaczyła pustynię.

– W sumie to całkiem fajne miejsce – Jenny stwierdziła niechętnie.

– Tata też chciał, żebym pojechała?

– Oboje chcemy mieć cię przy sobie – odpowiedziała Julia. – Ale ostatecznie tata zgodził się, żebyś towarzyszyła mi w te wakacje.

Jenny była rozsądną dziesięciolatką. Kochała swojego ojca, ale dobrze wiedziała, że na okrągło pracował. Jako najlepszy prawnik w małym, zamożnym mieście ciągle siedział nad jakąś sprawą lub spotykał się z potencjalnymi klientami na rundkę golfa czy tenisa. Jeśli Jenny zostałaaby w domu, codziennie musiałyby się użerać z opiekunkami.

– Rozumiesz, kochanie? – spytała Julia.

Namiot, w którym mieszkały, zrobiony był z zielonego płótna. Julia bardzo go lubiła – to, jaki był rustykalny, jak blisko spały w nim z Jenny; do tego ten obłądny baldachim gwiazd rozciągający się nocą nad ich głowami. Cieszyła się, że pokazuje córce, jak być

samowystarczalną i jak ekscytująca może się okazać kariera naukowa. Zasmuciła ją ta myśl, ale w gruncie rzeczy nie żałowała, że nie ma z nimi Petera.

Wciąż łączyło ich głębokie uczucie, ale to tylko pogarszało całą sprawę. Byli dobrymi rodzicami i przyzwoitymi partnerami. Kłócili się, ale tylko gdy byli na osobności, tak żeby córka niczego nie usłyszała. Zależało im na sobie, ale przypominało to bardziej relacje, jakie łączą przyjaciół czy rodzeństwo.

Bywały noce, kiedy – leżąc w łóżku obok Petera – pragnęła znacznie więcej niż tylko luźnej rozmowy i szybkiego buziaka na dobranoc czy seksu, który był w zasadzie bezosobowy, bardziej obojętny niż pełny namiętności. Julia chciała go zaatakować – nie tylko w kontekście seksualnym, ale tak normalnie, ze złości. Gniew był dla niej czymś potężnym, niemal świętym.

Ekipa prowadziła wykopaliska na terenie płaskowzgórza, które było niegdyś siedzibą cywilizacji. Znajdujący się tam kopiec krył pozostałości kultury uto-azteckiej: narzędzia i przyrządy służące do polowania, budowania oraz gotowania, jaskinie pełne skalnych malowideł przedstawiających drogę, jaką przebyło to plemię, polowania na zwierzynę oraz najazd Hiszpanów. Podczas gdy archeologowie odkopywali i katalogowali artefakty, Julia i towarzyszący jej antropologowie studiowali kulturę, z jaką mieli do czynienia – próbowali poznać liczne plemiona, które odwiedziły ten obszar, by zrozumieć, co sprawiło, że opuściły dotychczasowe miejsce zamieszkania i osiedliły się na tym płaskowzgórzu.

Jenny zabrała z domu kilka lalek i odgrywała sceny walk pomiędzy rdzenną ludnością a konkwistadorami. Przypatrując się tym rozgrywkom, Julia nie miała wątpliwości, że lalki Barbie zwyciężą nad uzbrojonymi mężczyznami na koniach. Nocami rozświetlały namiot przy pomocy przenośnych lampionów i bawiły się na drewnianej podłodze, wzniesionej jakieś piętnaście centymetrów nad ziemią. Próbowaly nie zwracać uwagi na nieprzyjemne dźwięki, jakie dochodziły z dołu – widziały już jednego grzechotnika na terenie obozowiska, w odległości około stu metrów, ale Julia wiedziała, że nocą pustynia pełna była najróżniejszych jadowitych wężów i insektów.

– Hiszpanie mieli wszelką możliwą przewagę – powiedziała Julia.
– Wjechali na koniach, strzelając z pistoletów, więc Indianie musieli wykazać się wielkim sprytem i wykorzystać znajomość terenu, żeby ochronić swoje rodziny.

– Ta dziewczynka – Jenny przyłączyła się do zabawy – znalazła miecz jednego z Hiszpanów. – Użyła do tego długiego kolca, który ucięły wcześniej z kaktusa. – A kiedy najeźdźcy zjawiają się pod osłoną nocy, o, tak z nimi walczy! – Wymachiwała energicznie kolcem nad głową swojej lalki. – Dziewczynki są za małe, żeby samodzielnie odeprzeć atak, więc używają magii. Wszystkie czarownice zlatują z góry, by stanąć do walki ze złymi ludźmi, i w końcu wygrywają! Najeźdźcy nie żyją i nie mogą już nikogo skrzywdzić.

Julia przytaknęła i choć pomogła córce uformować kurhan grobowy z brudnych ubrań, wiedziała, że w rzeczywistości było zupełnie odwrotnie. Mieszkańcy tego płaskowzgórza zostali wymordowani w przeciągu niecałego miesiąca. Zaprzyjaźnieni archeologowie odkryli groby wypełnione kośćmi i czaszkami – nie tylko dorosłych osób, ale również dzieci, a nawet niemowląt. Dokładała wszelkich starań, by Jenny nie zbliżała się do miejsc pochówku, ale córka była uparta i przebiegła, więc któregoś dnia udało jej się zobaczyć, jak naukowcy badali i mierzyli maleńkie kości udowe, piszczele i żebra.

– Gotowa do spania? – zapytała, widząc, że Jenny ułożyła już swoje lalki w łóżeczku.

– A co, jeśli oni wrócą?

– Kto?

– Żli ludzie. Konkwistadorzy – odpowiedziała cicho Jenny.

– Nie wrócą. Nie żyją już od wielu stuleci.

– Więc ich duchy.

– Po to mamy nasze kaktusowe miecze, by posłać ich tam, skąd przyszli – odpowiedziała Julia.

– Poradzimy sobie – stwierdziła Jenny. – Nawet bez taty.

– Oczywiście, że tak.

– Wiem, że nie chciał tu przyjechać, ale szkoda, że nie chciał też, żebyśmy zostały z nim w domu.

Julia starała się nie reagować na słowa córki. Czyżby Jenny – tak

wrażliwa na myśli i humory matki – wyczuła, że Julia cieszy się z paru tygodni wolności od męża? A może zauważyła, że Peter też nie kwapi się, by zacieśniać więzi rodzinne? Tak czy siak, mocno to Julię zasmuciło.

– Może narysujesz tacie coś ładnego i obie napiszemy do niego listy? Możemy je wysłać choćby jutro.

– Na pewno bardzo się ucieszy, że o nim pamiętamy.

– Też tak myślę – stwierdziła Julia.

Nazajutrz obie napisały listy do Petera i przekazały je Lupe Alvarez, asystentce dr. Chrisa Bartona, by ta wrzuciła je do worka z pozostałą korespondencją. Chris kierował projektem jako główny archeolog i zabrał ze sobą wielu swoich studentów z Yale, w tym Julię. Towarzyszyła mu również żona, Maxine, oraz dwójka ich pociech, więc nie miał nic przeciwko, by i jego uczniowie zabrali ze sobą członków rodziny.

Starsze dzieci na zmianę zajmowały się młodszymi, prowadząc coś w stylu letniego obozu. Kopiowały malowidła jaskiniowe w piasku, rysowały petroglify na małych kamieniach, a nocami siedziały wkoło ogniska i opowiadały sobie historie o duchach. Niebo zdawało się nie mieć końca, a gwiazdy były na wyciągnięcie ręki, więc każdej nocy Jenny wypowiadała w myślach to samo życzenie – żeby rodzice się nie rozwiedli. Julia wiedziała o tym, bo dostrzegłszy pierwszą gwiazdę na niebie, córka poruszała zawsze lekko ustami.

Chciałaby móc zapewnić Jenny, że nigdy do tego nie dojdzie, ale w głębi serca nie była pewna, czego tak naprawdę pragnęła. Przyglądanie się Chrisowi i Maxine obudziło w niej tęsknotę za dobrym, udanym małżeństwem – dwójką ludzi, którzy nie tylko są dla siebie oparciem, ale których łączą te same marzenia, cele i zainteresowania. Nie było to coś, czego mogła zaznać u boku Petera. Nocami, kiedy dzieci wpatrywały się w niebo i wymyślały historie na temat konstelacji, Julia widziała, jak Chris obejmuje czule Maxine, a ona opiera głowę na jego ramieniu.

Pewnego wieczora usłyszała muzykę dochodzącą z ich namiotu,

a kiedy wyjrzała, żeby sprawdzić, co się dzieje, zobaczyła, jak małżonkowie tańczą w ciemności, przekonani, że nikt ich nie widzi. Julia poczuła się naprawdę nieswojo, ale nie potrafiła odwrócić wzroku. Mimo że noc była wyjątkowo chłodna, Maxine miała na sobie tylko jedwabną halkę, która połyskiwała w blasku księżyca. Chris założył jedynie jeansy. Tańczyli tak jeszcze przez dłuższy czas i każdy, kto obserwowałby tę scenę, wiedziałby, że tę dwójkę łączy coś naprawdę wyjątkowego. Jednak ich pocałunki były nie tylko czułe, ale i niezwykle namiętne, więc Julia schowała się z powrotem do namiotu, licząc, że nie usłyszeli, jak zasuwa zamek.

Kiedy tak leżała sztywno w namiocie, z Jenny oddychającą spokojnie kilka metrów dalej, czuła, jak łzy spływają jej po policzkach. Przypomniała sobie pierwszą uczelnianą potańcówkę, na którą zaprosił ją Peter – pod nocnym niebem, z kolorowymi papierowymi lampionami tworzącymi magiczny nastrój. W pewnym momencie zaczęło intensywnie padać i już po chwili zarówno jej sukienka, jak i jego marynarka były kompletnie przemoczone. Pozbyli się butów i tak mocno przyłgnęli do siebie, że czuli się niemal nadzy w samym środku ulewy.

Podobnie jak Chris i Maxine, Julia i Peter zakochali się w sobie na studiach. Dlaczego więc małżeństwo Bartonów było wciąż tak udane, podczas gdy jej zamieniło się z czasem w coś tak oschłego i nudnego? Peter zwykł gładzić ją czule po twarzy i tak głęboko patrzeć jej w oczy, jakby chciał wnikać do środka i stać się jedną osobą w jednym ciele.

– Na zawsze – powtarzał.

– Na zawsze – odpowiadała.

Wiedziała, że to wszystko jej wina. Próbowwała być zbyt dobrą żoną i partnerką – odkładając na bok własne zainteresowania i ambicje, żeby Peter mógł spokojnie skończyć studia. Z czasem zaczęli się zachowywać tak, jakby jego kariera zawodowa była ważniejsza niż jej. Peter w naturalny sposób kontynuował edukację, aplikując na wydział prawa, podczas gdy Julia marzyła o Yale, podróżowaniu po świecie i wcielaniu w życie nauczaiń Ruth Benedict i Margaret Mead. Ot, chciała do końca swoich dni poznawać inne kultury i ich zwyczaje.

Peter rozumiał pragnienia i ambicje żony, ale w momencie kiedy Julia zaczynała wreszcie studia, on żył już życiem prawnika na wybrzeżu

– chciał, żeby grała z nim w golfa i tenisa, żeby towarzyszyła mu na kolacjach z innymi prawnikami i ludźmi, którzy należeli do elitarnego Black Hall Beach Club. Zamiast tego Julia oddawała się nauce.

– Przecież już dawno z tego wyrosliśmy – mawiał. – Harowaliśmy jak woły na studiach i wreszcie możemy odpocząć.

– O czym ty mówisz? Ja z niczego nie wyrosłam, to jest właśnie to, co kocham.

– Wiem, że uwielbiasz czytać książki z dziedziny antropologii i nie ma absolutnie żadnego powodu, dla którego nie możemy wybrać się na ekskluzywną wycieczkę do Machu Picchu czy na Samoa, czy gdzie tam prowadziła badania pani Mead. Możemy pojechać, gdzie tylko zechcesz. Ale nie musisz nikomu niczego udowadniać.

– Wiem – odpowiedziała.

– Więc dlaczego uparłaś się na te studia, skoro sama widzisz, że niczego nam nie brakuje?

– Bo kiedy mówiłam ci, że chcę zostać antropologiem, doskonale wiedziałam, na co się piszę. Luksusowe podróże to nie to samo.

– Daruj sobie ten sarkazm – odpowiedział.

Przyznała mu rację i przeprosiła. Ale nie rezygnowała z kariery naukowej, choć wiedziała, że Peter uważa to za coś niepotrzebnego, a wręcz niewygodnego – i tak powoli zaczęli tworzyć zupełnie inne małżeństwo niż w pierwszych latach po ślubie.

Teraz, siedząc w kuchni z Roberto, opowiedziała mu o wakacjach spędzonych z Jenny na pustyni i o tym, jak bardzo wpłynęło to na jej związek z Peterem.

– Nie rozstaliśmy się, ale nie byliśmy szczęśliwi.

– Ale przecież życie było dla ciebie takie łaskawe – stwierdził.

– Może się tak wydawać. I faktycznie pod pewnymi względami nie mieliśmy na co narzekać. Sęk w tym, że zabrakło tego, co najważniejsze.

– Czyli? – Roberto zapytał.

– Nie wiem, jak to ubrać w słowa. Ot, pogubiliśmy się gdzieś po drodze. Byliśmy dobrymi rodzicami dla Jenny, ale nie byliśmy dobrymi partnerami. Przestaliśmy darzyć się równie głębokim uczuciem, co

kiedyś. Jeszcze zanim Peter umarł, planowaliśmy wziąć rozwód.

– Nie wierzysz, że więzy małżeńskie są wieczne?

– Nie, jeśli ludzie zbyt mocno cierpią.

Pokiwał głową, jakby właśnie coś do niego dotarło.

– A ty? – spytała, żeby przełamać swoje zmieszanie. – Spotykasz się z kimś?

– Nie. W moim życiu nie ma nikogo takiego.

Sączyli kawę, podczas gdy słońce wspinało się coraz wyżej po niebie, wypełniając cały sad złocistym światłem. Julia poczuła, jak kurczy jej się żołądek. Zboczyli z tematu i wciąż nie powiedziała mu o swoim planie. Tymczasem Serapio wyłonił się zza stodoły, ewidentnie szukając Roberto. Rozklekotana honda zatrzymała się w zatoczce.

Trzech robotników wygramoliło się ze środka i zaczęło się przeciągać.

– Pora brać się do roboty – stwierdził Roberto.

Julia zawahała się. Wiedziała, że mogłaby go zatrzymać – znała już trochę Roberto i na pewno nie wyszedłby, nie dokończywszy rozmowy. Ale przywoływanie wspomnień o Peterze wyprowadziło ją trochę z równowagi. Teraz marzyła już tylko o długim spacerze z Bonnie wzdłuż plaży. Będzie jeszcze okazja, żeby zdradzić Roberto, nad czym ostatnio pracowała.

– Dziękuję za kawę – uśmiechnął się.

– Dziękuję za zaufanie – odpowiedziała.

Zatrzymał się w progu, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zamiast tego odwrócił się i ruszył w stronę sadu.

Lion

Lion wiedział, że ostatni tydzień października to było w Malibu istne szaleństwo. Od kiedy ludzie zaczęli dekorować swoje domy, jakby oczekiwali na jakąś wypaczoną, pomarańczowo-czarną wersję Bożego Narodzenia, robiąc wyścigi – kto kupi więcej szpetnych, masowo produkowanych duchów i goblinów? Gdzie podziała się oryginalność? Połowa miasta pracowała w biznesie filmowym – jeśli mieli ochotę zrobić coś spektakularnego, trzeba było zatrudnić Industrial Light and Magic i zainwestować w porządne efekty specjalne.

Jako że Lion mieszkał w pięknej, choć podupadającej już posiadłości pełnej zakurzonych marzeń, nie widział sensu

w dekorowaniu czegoś, co i tak posiada swój niezaprzeczalny urok. Te halloweenowe wygłupy nie były dla niego. Mógł sobie pozwolić na zatrudnienie profesjonalnego dekoratora planu filmowego i stworzenie nawiedzonego domu z prawdziwego zdarzenia, ale wydawało mu się to jedną wielką stratą pieniędzy. Jeśli będzie miał ochotę, przebierze się w Halloween za Draculę i będzie wręczał dzieciakom włoskie czekoladki. Bardzo możliwe, że w tym roku wreszcie zrealizuje ten plan. Ostatnio jego nastrój uległ zmianie.

Fakt, że Julia przebywała tuż za górami, sprawił, że Lion znów poczuł się młody. Być może z powodu tych wszystkich szczęśliwych dni, które spędziła z nim jako mała dziewczynka, kiedy on był jeszcze dziarski, zaczepny i nieustraszony – tak jak to potrafią tylko niektórzy młodzi gwiazdorzycy ekranu.

W tamtych latach mógł być pewny, że kiedy przechadza się wzdłuż plaży w Colony, wszystkie oczy zwrócone są w jego stronę, a każdy szept dotyczy jego osoby. Ale był z niego pretensjonalny dupek! Patrząc wstecz i wspominając ten niespotykany poziom pychy – Chryste, przecież wtedy kieliszek wódki w południe to była codzienna norma. Nalał sobie Grey Goose do szklaneczki Steubena i wznosił toast do odbicia w lustrze – siwych włosów i reszty oznak upływu czasu.

Julia zawsze sprowadzała go na ziemię – w pozytywnym sensie. Dla niej Lion był tylko ukochanym wujkiem. Fakt, że jego twarz pojawiła się czasem w jakiejś gazecie czy na wielkim ekranie, był dla niej ekscytujący, ale nigdy nie zasłaniał jej obrazu osoby. Możliwe, że Julia nie zdawała sobie z tego sprawy, ale była dokładnie tym, czego Lion teraz potrzebował. Graciela była daleko, a z roku na rok jego sława coraz bardziej gasła. Kiedy zaczynał się sezon nagród, Lion obserwował, jak młoda krew zgarnia wszystkie nominacje i siłą rzeczy odbijało się to na jego poczuciu wartości, i sprawiało, że zaczynał kwestionować swoją absurdalną profesję.

Ale wystarczyło tylko, że zadzwonił, a Julia zjawiała się u jego drzwi lub zapraszała go do Casa. Było to naprawdę miłe – tak właśnie Lion wyobrażał sobie swoje życie, gdyby miał z Gracielą dorosłą córkę. Dzisiejszy dzień był szary i dosyć chłodny. Aż chciało się napalić w kominku, który zresztą sam zbudował – efekt dorastania w New

Hampshire. Przekręcił do Julii z pytaniem, co porabia, i dowiedział się, że jest właśnie w trakcie prac nad nowym projektem.

– Brzmi jak coś bardzo ważnego i skomplikowanego! – stwierdził.

– Bo w pewnym sensie tak właśnie jest – odpowiedziała.

– Ech, ci intelektualiści. A może posiedzisz nad tym tajemniczym projektem u starego dobrego wuja? Poczuję się strasznie mądry od samego patrzenia, jak pracujesz.

Zaśmiała się i powiedziała, że zaraz przyjedzie.

Julia przytaszczyła ze sobą laptopa oraz cały stos książek i map i rozłożyła się w jego gabinecie. Ogień przyjemnie strzelał w palenisku. Bonnie leżała na dywanie w swoim własnym psim niebie, wpatrując się w migoczące płomienie. Być może wyobrażała sobie, że są to zwinne borsuki, które należałoby przegonić po lesie. Lion przyglądał się tym samym językom płomieni i wyobrażał sobie, że są to jego wrogowie w piekielnych czeluściach – aktorzy, którzy niesprawiedliwie otrzymali wszystkie role i nagrody, jakie należały się jemu.

Westchnął cicho ze szczęścia.

– O czym myślisz? – zapytała Julia.

– Aaa, o niczym. Takie tam niecności.

Uśmiechnęła się i wróciła do pracy, klikając namiętnie w klawiaturę laptopa. Nie zauważyła nawet, jak rozłożył planszę do tryktraka.

– Nie jesteś ani odrobinę ciekawa, co też roi się w tej mojej przebiegłej głowie?

– A chcesz mi to zdradzić? – spytała, opierając się na łokciach, wreszcie gotowa poświęcić mu odrobinę uwagi.

– Owszem. Jestem bezlitosny. Noszę w sobie żal i odrazę do każdego, kto ma więcej niż ja, i wyobrażam sobie, jak każdemu takiemu człowiekowi przytrafia się coś okropnego.

– Kto ma więcej niż ty, Lion? – zapytała życzliwie i wyczuł, że mówi poważnie. Poczuł nagle ukłucie wstydu.

– Oj, nie słuchaj mnie, skarbie. Użalam się nieco nad sobą.

– Rzeczy materialne nie przynoszą ci szczęścia, prawda?

– Prawda. A czym innym są te wszystkie nagrody... – Spojrzał w stronę kominka, gdzie stał jego jedyny Oscar, tuż obok kilku Złotych

Globów i jednej Złotej Palmy oraz całej serii oprawionych fotografii przedstawiających najróżniejsze aktorki odgrywające główne role kobiece. – ...jeśli nie rzeczami, które przeżyją nas wszystkich?

– Dlaczego jesteś taki smutny, Lion?

– Nie wydaje mi się, że bym był smutny – odpowiedział. – Fakt, że jesteś tu przy mnie, bardzo mnie uszczęśliwia. Ale jednocześnie przypomina mi również o tym, kogo mi brakuje.

– Wypowiemy na głos jej imię? – spytała.

– Nie. Pozwól, że zachowamy pozory i poudajemy, że niczego się nie domyślasz. Ale możemy wznieść toast za jej zdrowie.

Uniósł swoją szklaneczkę z wódką, podczas gdy ona uniosła kubek z kawą, i oboje wypili za Gracielę.

– Miłość we wszystkich swych formach to wciąż miłość – stwierdziła Julia.

Zdarzało się, że go zaskakiwała. Wiedział o jej głębokim żalu i żalobie, widział, jak ta wylewa się ze wszystkich porów jej skóry, i dotarło do niego, że zamknęła swoje serce przed wszystkimi poza rodziną i najbliższymi przyjaciółmi. I nagle potrafiła powiedzieć coś takiego.

– Co ty tam właściwie robisz? – spytał, wskazując na książki i komputer.

– Głównie odświeżam sobie stare materiały. Pamiętasz to lato, kiedy wybrałam się z Jenny na pustynię na terenie Meksyku?

– Oczywiście. Twój wujek był bardzo dumny, że pracowałaś na tytuł magistra. Martwiłem się, że skorpiony mogą wpełznąć wam do śpiworów.

Julia zaniósła się śmiechem.

– Pisziesz artykuł?

– Nie, raczej przypominam sobie, jak to było na pustyni Sonora. Na swój sposób odtwarzam własne kroki.

Lion zamyślił się, patrząc, jak Julię pochłania jej nowy projekt. Odtwarzanie własnych kroków – dobrze znał tę czynność. Tyle że on nazywał to obsesją. No, może było to dosyć dramatyczne określenie, ale czasami łapał się na tym, że przeżywa znów chwile spędzone u boku Graciel. Jeśli zamknie teraz oczy, czy poczuje przy sobie obecność

ukochanej kobiety? Czy będzie mógł znów dotknąć jej twarzy, pocałować szyję? Czy usłyszy, jak Graciela szepcze: „Dlaczego żadnemu człowiekowi nie jest dane nosić w sercu dwóch wielkich miłości w tym samym momencie, w tym samym czasie?”

– Dobry Boże – wypowiedział na głos, sprawiając, że Julia przerwała zdziwiona i wlepiła w niego wzrok. Uśmiechnęła się, bo wiedziała, że musiał odpłynąć na chwilę do świata marzeń i snów. Prawda była taka, że Lion miał dość poetycznych słów Gracieli na temat podzielności serca. John i Lion, rozumiał. Ale zawsze chciał być tym jednym jedynym. Nie czuł jej obecności, nie słyszał głosu, nie mógł się z nią śmiać.

Zastanawiał się, dlaczego Julia wracała myślami do dni spędzonych na pustyni. Czy przeżywanie na nowo tamtego wyjazdu przybliżało ją w jakiś sposób do Jenny? Lion bacznie przyglądał się, jak siedziała pochylona nad ekranem komputera, i wiedział, że oboje są ocalałymi na pokładzie tego samego statku, żeglującymi na otwartym morzu bez ludzi, których najbardziej kochali.

Julia

Julia poczuła, że było już po Halloween. Musiała ukryć się gdzieś na cały dzień. Jenny kochała to święto i przez ostatnie lata swojego życia zwykła wieszać na martwym wiązcie pośrodku łąki małe duszki zrobione ze starych, zużytych poszewek na poduszki.

Malibu było w świątecznym nastroju, a ludzie celebrowali Halloween, wieszając światełka i dekoracje na domach wzdłuż autostrady Pacific Coast oraz w centrum handlowym Malibu Country Mart. Wokół silosów paszowych u podnóża kanionu Topanga zalegały całe stosy dyń. Julia kupiła zapas cukierków i innych słodkości, ale żadne dzieci nie zapuściły się aż do Casa Riley.

Od około tygodnia panowały niskie temperatury, ale słońce nie dało za wygraną i znów pięknie przyświecało. Julia otrzymała list od Johna, w którym pisał, jak bardzo podoba mu się Irlandia o tej porze roku – zimny deszcz inspirował go do spędzania dużej ilości czasu w bibliotece, gdzie mógł swobodnie pisać. Dostała również list – a nie tylko e-mail – od Chrisa Bartona.

Napisała mu o Roberto i jego córce, przekazała wszystko, co jak

dotąd wiedziała w tym temacie, i zapytała, czy orientuje się, kto mógłby posiadać informacje o dziecku imigrancie, które przepadło bez śladu na pustyni.

Droga Julio,

nawet nie wiesz, jak się ucieszyłem, kiedy przeczytałem Twoją wiadomość. Czekam i czekam, aż wpłynie twój wniosek o posadę w wydziale, ale póki co niczego takiego nie uświadczylem. Wybacz, że tak długo zajęło mi napisanie odpowiedzi. Przeniosłem się z pustyni do dżungli, a urzędnicy elektroniczne są tu równie mało przydatne, co na terenie Sonory. W pewnym sensie mijam się z głównym celem naszej ekspedycji i zapędzam w kulturę Majów i jej liczne pochodne, ale to nie są badania do uczelnianej dysertacji, więc na razie zostawię to tak, jak jest.

Istnieje parę miejsc, które możesz sprawdzić w poszukiwaniu Rosy. Przykro mi to pisać, ale pierwsze z nich jest dosyć oczywiste: Biuro Patomorfologa Okręgu Pima. Można założyć, że twoi imigranci przekraczali granicę na zachód od Nogales w Arizonie; pustynia jest tam brutalna i groźna i co roku pochłania wiele ofiar. Kostnica ma straszne zaległości, ale jestem przekonany, że jeśli dostarczysz im odpowiednich informacji, okażą się pomocni.

Minęło już pięć lat – to bardzo długi czas bez żadnych wieści o dziecku, jeśli faktycznie dziewczynka przeżyła. Biorąc pod uwagę najlepszy scenariusz, status nielegalnego imigranta jej ojca znacznie utrudniłby lub nawet uniemożliwił władzom poinformowanie go o losie Rosy.

Pomocne byłyby również imię i nazwisko policjanta straży granicznej, który zatrzymał Roberto i wyruszył w poszukiwaniu dziecka. Człowiek ten będzie dysponował aktami sprawy i być może zgodzi się je udostępnić. Wybrałbym się do niego lub jego przełożonego i sprawdził, co ma do powiedzenia.

Kolejną opcją – która może brzmieć bardziej obiecująco, niż bywa to w rzeczywistości – jest Projekt Reunion z siedzibą w La Jolla w Kalifornii. Skontaktuj się tam z moim kolegą, dr. Juanem Riosem. Specjalizuje się w antropologii stosowanej i wybrał kryminalistykę po tym, jak dowiedział się, ilu nielegalnych imigrantów umiera na pustyni

i w górach. Juan zbiera dane z kostnic, patroli straży granicznej oraz osób, które szukają informacji na temat członków rodziny lub przyjaciół. Jego celem jest łączenie ludzi – żywych, jeśli to możliwe, lub umarłych. Jeśli doszło do tragedii, rodzina powinna mieć możliwość pożegnania się z ukochaną osobą, a ta – zostać godnie pochowana.

Mam nadzieję, że choć trochę pomogłem.

Maxine jest teraz w Connecticut, ale planuje dołączyć do mnie na święta. Wiem, że to pewnie tylko myślenie magiczne, ale jeśli zatęsknisz nagle za majestatycznym widokiem majańskiego grobowca z siódmego wieku naszej ery, wpadnij w odwiedziny. Dzieciaki też tu będą. Nie uwierzysz, ale Henry pracuje ramię w ramię ze swoim starszym bratem. Pamiętasz, jak bardzo był znudzony tym wszystkim dobre jedenaście lat temu? Nigdy nie zapomnę, jak Jenny zmusiła go, by wydrapał petroglif na jednym z jej kamieni – narysował orła, z którego był całkiem dumny. Była to jedyna chwila, kiedy wydawał się naprawdę szczęśliwy tamtego lata – zwykle robił wszystko, co w jego mocy, żebyśmy pożałowali faktu, że wzięliśmy go ze sobą. Zeszłej wiosny ukończył studia na Harvardzie i robi sobie teraz rok przerwy, żeby zdecydować, co dalej.

Ale wracając do tematu – zadzwoń do Juana. Uprzedzę go, że będziesz chciała z nim porozmawiać.

Serdeczne pozdrowienia

Chris

Posłuchała rady Chrisa i wysłała e-mail do Juana Riosa. Skontaktowała się również z amerykańską Strażą Graniczną i dowiedziała się, że Jack Leary odszedł już na emeryturę. Postanowiła, że poczeka, aż dowie się czegoś od dr. Riosa, zanim opowie o wszystkim Roberto.

Machali zawsze do siebie, witali się i odbywali krótkie pogawędki na temat pogody, Bonnie czy posiadłości. W tygodniu, w którym pogoda była wyjątkowo chłodna, widywała go, jak przechadza się po sadzie w ciepłej kurtce i sprawdza każde drzewo. Stawał tuż przy pniu, kładł na nim rękę i wpatrywał się uważnie w gałęzie, zupełnie jakby chciał obejrzeć każdy listek, każdą cytrynę.

Nie mieli na razie przymrozków, ale jeszcze z dzieciństwa pamiętała, że cytrusy są wyjątkowo wrażliwe na zmiany temperatury, więc Roberto obserwował owoce w poszukiwaniu ewentualnych szkód. Robił taką oficjalną rundkę każdego poranka tuż po wschodzie słońca oraz każdego wieczora o zmierzchu, więc przyzwyczaiła się do tego widoku – mężczyzna dotykał drzew, jakby witał się ze starym przyjacielem i sprawdzał, jak się miewa.

Z jakiegoś tajemniczego powodu dwumetrowy kamienny mur otaczający pompę pękł u podstawy. Być może miało miejsce jakieś trzęsienie ziemi, którego Julia nie wyczuła, a może beton był już stary. Któregoś listopadowego poranka, kiedy słońce grzało znów mocno na niebie, wybrała się z Bonnie na spacer wzdłuż wybrzeża i usłyszała charakterystyczny dźwięk piły mechanicznej.

Udawszy się w kierunku, z którego dochodził hałas, zobaczyła Roberto budującego drewnianą ramę dla podparcia muru. Skonstruował już podstawę, która będzie opierała się stabilnie o ziemię, do tego dochodziło parę rzędów desek ułożonych pod kątem, tak aby zabezpieczały ściany muru. Kiedy mężczyzna skończył przybijając ostatnią deskę, wytarł czoło bandanką i zaczął szperać w narzędziach, które sobie przygotował.

Julia kucnęła w cieniu z Bonnie, głaszcząc ją po grzbiecie i rozmyślając o Jenny, która zawsze pomagała wyczesywać kołtuny i wyciągać gałązki, które zaplątały się w pięknej, gęstej sierści suczki. Siedząc tak w ciszy, Julia pozbywała się kawałków jeżyny, podczas gdy Bonnie dyszała szczęśliwa u jej stóp. Patrzyły, jak Roberto pracuje w samotności. Julia zastanawiała się, gdzie byli Serapio i reszta ekipy.

Roberto był wysoki i miał szerokie ramiona, które pięknie wypełniały jego biały T-shirt, a krótko przycięte włosy i broda wyglądały, jakby były czarne w jaskrawym świetle dnia. Pracował równym tempem, raz po raz zatrzymując się, by ocenić, co udało mu się już zrobić, sprawdzić drewniane podpórki, aby mieć pewność, że wytrzymają, czy zbadać sam mur.

Julia czerpała sporą przyjemność z obserwowania go ukradkiem. Mieszał teraz beton, wsypując piasek i cement z ogromnych worków do pojemnika na zaprawę murarską i dolewając srebrzystej wody

z ogrodowego szlauchu. Otaczał ją intensywny aromat cytryn. Głaskanie Bonnie było jak przytulanie Jenny. Pomyślała o niciach, które wiążą wszystkich ze sobą, i o krokach, które wykonała, by dowiedzieć się czegoś na temat Rosy – choć tak naprawdę czuła, że to Jenny kieruje każdym jej ruchem i chce odnaleźć zaginioną dziewczynkę.

Słońce wspięło się wyżej ponad wschodnie góry, przeganiając poranne cienie. Roberto spojrzął w jej kierunku i zobaczył, jak razem z Bonnie siedzą na trawie kilkanaście metrów dalej. Pomachał do nich, co Bonnie odczytała jako zaproszenie – pobiegła szybko na spotkanie mężczyzny, a Julia za nią.

– Cześć! Trochę się rozleniwiliśmy, patrząc, jak ciężko pracujesz.

– Nie aż tak ciężko – stwierdził, śmiejąc się. – La, Julia...

– Gdzie jest cała reszta?

– Matka Serapio zachorowała, więc został, by się nią opiekować.

– Przykro słyszeć. Czy to coś poważnego?

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedział Roberto. – W sierpniu przeszła zawał serca. Wszyscy się o nią martwią.

– Rozumiem. Ona też mieszka w L.A.?

– We wschodnim L.A., tak jak Serapio i ja. Mają całkiem sporą rodzinę, więc opiekują się mamą na zmianę. Dziś akurat wypadła kolej Serapio.

– A pozostali robotnicy? – zapytała. – Trafiłeś na poważną fuchę, więc pewnie przydałaby ci się pomoc.

– Nawet ich nie szukałem, bo to moje zadanie. – Uśmiechnął się. – To z mojej winy mur wymaga naprawy, więc to ja go naprawię.

– Z twojej winy?

– W poniedziałek padła pompa i w trakcie naprawy przez przypadek uderzyłem w mur jakąś miedzianą rurą.

– Przecież mógł się na ciebie zawalić!

– Jestem na to za szybki – odpowiedział z uśmiechem.

– To dobrze...

– Tak czy siak, mur nadal stoi. Pęknięcie nie jest bardzo groźne, ale wolę go naprawić, zanim się pogorszy.

– Jestem pewna, że wykonasz kawał dobrej roboty – stwierdziła. – Nie przeszkadzam już.

Zawahał się.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak. Obie z Bonnie uwielbiamy to miejsce. Nie chcemy już nigdy stąd wyjeżdżać.

– Mam nadzieję, że nie wyjedziecie.

Ta uwaga mocno ją zaskoczyła i wypełniła nieoczekiwanymi pokładami radości. Nie potrafiła tego ukryć, więc poczuła, jak rumieniec zalewa jej twarz. To było dziwne uczucie – żyli obok siebie w Casa Riley i łączyły ich utracone córki, ale tak poza tym nie miała bladego pojęcia, jakimi uczuciami darzy ją Roberto.

– Serio? – spytała.

Kiwnął głową, wykonując krok w jej stronę. Patrzył na nią tymi złocisto-brązowymi oczami i przez chwilę miała wrażenie, że zaraz ją pocałuje. Chciała, żeby tak było. Uniósł dłoń, jakby zamierzał dotknąć jej twarzy, ale zorientował się, że obie ręce ma pokryte grudkami cementu. Oboje wybuchnęli nerwowym śmiechem.

– Lepiej pozwolę ci wrócić już do roboty – powiedziała – zanim zaprawa całkiem wyschnie.

– Dobry pomysł.

– Do zobaczenia później! – rzuciła na odchodne. Bonnie nie była jednak taka zdecydowana i kręciła się jeszcze przy nogach Roberto.

– Julia, muszę cię o coś zapytać – powiedział.

Odwróciła się i zobaczyła jego poważny wyraz twarzy.

– Jasne... A o co?

– Lubisz meksykańskie jedzenie?

– Uwielbiam.

– Dałabyś się zaprosić na kolację?

– Dałabym – odpowiedziała, uśmiechając się. – Byłoby super.

Roberto

Gdyby ktoś mu powiedział tamtego ranka, że wieczorem czeka go kolacja z Julią, wyzwiałby tę osobę od kłamców. Nie wiedział nawet, co w niego wstąpiło – myślał o niej całymi dniami, śnił o niej w nocy, ale przepaść pomiędzy wyobraźnią a rzeczywistością była ogromna.

A jednak zgodziła się i za parę minut opuszczają razem Casa Riley.

W pierwszej kolejności umył samochód, odkurzył go w środku,

potem udał się do swojej chatki, żeby wziąć prysznic i wyszorować paznokcie. Założył czyste ciemne jeansy i czarną koszulkę. Wybrał też czarny skórzany pasek ze srebrną sprzączką i najlepsze buty – parę czarnych trepów roboczych, których nie zdążył jeszcze zedrzeć.

Julia pojawiła się na końcu podjazdu ubrana w niebieską sukienkę i miękki biały szal. Patrzył, jak się zbliża, i ledwo mógł złapać oddech. Ojciec zabiłby go, gdyby wiedział, że przekroczył granicę profesjonalizmu, zapraszając siostrzenicę szefa na romantyczny wieczór w mieście, ale nawet jeśli przyszedłoby mu dzisiaj umrzeć, Roberto nigdy nie zapomniałby tego widoku – Julii wprost promieniejącej ze szczęścia.

Przytrzymał jej drzwi od samochodu.

– Pięknie wyglądasz – powiedział.

– Dziękuję. Ty też wyglądasz dziś niczego sobie – stwierdziła, całując go w policzek przy wsiadaniu.

Jadąc stromą drogą, wciąż czuł jej usta na swojej skórze i nie mógł pozbyć się wrażenia, że głowa zaraz mu eksploduje. Musiał się bardzo wysilać, żeby patrzeć na drogę, a nie na siedzenie obok.

Restauracja, którą wybrał, była spory kawałek drogi stąd. Nie chciał zabrać jej do żadnego z typowych miejsc dla *gringos* w Malibu czy Santa Monica, więc ostatecznie zdecydował się na specjalną miejscówkę serwującą autentyczne jedzenie, które pamiętał jeszcze z czasów spędzonych w Meksyku.

Sunęli na południe wzdłuż wybrzeża, a potem wjechali na autostradę nr 10, biegnącą na wschód. W radio leciała hiszpańska stacja. Kiedy dotarło do niego, że być może Julia preferuje swój rodzaj muzyki, sięgnął do pokrętki, ale kobieta go powstrzymała.

– Nie zmieniaj. Podoba mi się.

– Ale to chyba nie twoje klimaty, co?

– Wychowałam się, słuchając latynoskiej muzyki – odpowiedziała.

– Moja rodzina ma do niej słabość, podobnie jak ja.

Roberto kiwnął głową. To mogła być prawda – często słyszał głos Juana Gabriela dochodzący z głośników w Casa Riley.

Noc była ciepła, więc jechali przy otwartych oknach. Wiatr bawił się jej włosami, a do Roberto docierał zapach jej perfum, przywodzący na myśl soczystą trawę i polne kwiaty. Klucz do samochodu był

w stacyjce, ale cała reszta zwisała z długiego łańcucha. Julia pochyliła się i dotknęła chłodnego metalu – znalazła mały plastikowy breloczek z doczepionym wyblakłym różowym serduszkciem.

– Śliczne – stwierdziła.

– Też tak uważam.

– Dostałeś to od kogoś wyjątkowego?

Przytaknął.

– Od Rosy.

Pamiętał ten dzień – to były jego urodziny rok przed tym, jak opuścili Meksyk. Jego babcia zabrała Rosę na targ, gdzie mała kupiła ten mały breloczek. Poniżej serduszka znajdowała się inskrypcja „Te Amo Papá”.

Julia przeszukiwała intensywnie torebkę. Po chwili wyciągnęła coś niewielkiego i położyła Roberto na dłoni. Zobaczył srebrny breloczek z napisem „Najlepsza Mama na świecie”.

– Od Jenny – zgadł.

– Tak.

Czy myślała o tych malutkich przedmiotach w taki sam sposób, jak on – że miały je kiedyś w ręku ich córki i podarowały je z miłości? Każdego dnia Roberto powtarzał sobie, że miłość to prawdziwa, realna siła. To niewielkie plastikowe serce było tylko pamiątką – fakt, że trzymały je kiedyś malutkie rączki Rosy, sprawiał, że było takie wyjątkowe.

Światła centrum L.A. migotały im przed oczami, a wysokie budynki mieniły się różnymi kolorami. Roberto zależało na tym, by Julia zobaczyła dziś ten romantyczny widok, ale kiedy spojrzał w jej stronę, ich oczy się spotkały i wrócił szybko, speszony, do kontrolowania drogi.

La Casita de la Flores znajdowała się na alei North Evergreen, niedaleko rodzinnego domu Roberto. Zaparkował przy krawężniku, mając świadomość, że jego ojciec może przejeżdżać w okolicy i zajrzeć do knajpy – ani on, ani Esperanza nie kryli nigdy faktu, że chcieliby, żeby Roberto znalazł sobie nową kobietę. Nie byliby zadowoleni z faktu, że wybrał akurat Julię, ale w jakimś sensie marzył, żeby zjawili się w trakcie kolacji, tylko po to, aby mógł im ją przedstawić.

Przeszli przez ogród pełny kwiatów do głównego wejścia do

restauracji, która składała się z jednego skromnego pomieszczenia z około dziesięcioma stolikami. Ściany pomalowane były na czerwono, a stoliki z żółtymi krzesłami nakryto turkusowymi obrusami.

– *Hola*, Roberto – przywitała ich Isabel, żona właściciela. Patrzyła na Julię z przyjacielską ciekawością.

– Julia, to jest Isabel. Isabel, to moja przyjaciółka, Julia.

– Bardzo mi miło – powiedziała Isabel. – Mam nadzieję, że rozsmakujesz się w naszym jedzeniu.

– O, na pewno tak będzie – odpowiedziała Julia.

Zaraz po tym, jak usiedli, przy stole zjawiała się kelnerka z koszykiem pełnym ciepłych chipsów kukurydzianych i dwoma miseczkami z pikantnym sosem. Isabel wtoczyła specjalny stolik na kółkach, przy którym przygotowała świeże guacamole z awokado, czerwonej cebuli, pomidorów i garści kolendry.

– Ależ to pachnie! – Julia skomplementowała wysiłki kobiety.

– Poczekaj, aż spróbujesz – stwierdził Roberto.

Nałożył porządną porcję guacamole na chipsa i podał swojej towarzyszce.

– O, wow...

Przygotowując sobie kolejnego chipsa, Julia zanurzyła całość w najostriejszym sosie, a Roberto tylko czekał, aż oczy zajdą jej łzami.

– Powinienem był cię ostrzec – stwierdził.

Ale Julia już szykowała sobie następną porcję.

– Uwielbiam ostre jedzenie – rzuciła jakby od niechcienia.

Kiedy jednak spojrzała na menu, zorientowała się, że nazwy wszystkich potraw są po hiszpańsku.

– Może pomogę? – zapytał.

– A może po prostu zamówisz mi swoje ulubione danie, co?

– Zaproponowałbym ci *ropa vieja*, czyli pyszną, soczystą, wolno gotowaną wołowinę. Pamiętam to danie jeszcze z czasów dzieciństwa.

– Brzmi trochę jak duszone mięso – zauważyła. – Idealny wybór na listopadowy wieczór.

Roberto zamówił więc dwa razy *ropa vieja* i dania szybko pojawiły się na ich stole. Mięso było dobrze przyprawione i wyjątkowo aromatyczne – dało się wyczuć wyraźny posmak rozmaitych ziół i chili –

podane w towarzystwie żółtego ryżu i czarnej fasoli. Roberto czekał na reakcję Julii, która smakowała właśnie pierwszy kęs, i bardzo go ucieszyło, kiedy zobaczył, że zamyka oczy i uśmiecha się pod nosem.

– Genialne – stwierdziła.

Po chwili postanowiła pójść w ślady Roberto i dodała do swojego dania kilka łyżek ostrego sosu.

– Naprawdę tak ci smakuje?

– Oj, bardzo. I to nie tylko mięso...

– Nawet fasolka? – zapytał, nie dowierzając.

– Oczywiście. Sam nie przepadasz?

– Nie jest to coś wyszukanego – odpowiedział. – Kiedy byłem dzieckiem, nie było dnia, żeby fasolka nie wylądowała na stole.

Pomyślałem więc, że może tobie też nie przypadnie do gustu.

– Wszystko bardzo mi smakuje.

Sposób, w jaki na niego patrzyła, sprawiał, że ciarki przebiegały mu wzdłuż kręgosłupa. Nie ufał sobie na tyle, żeby uwierzyć w to, co widział i co czuł. Niebieska sukienka Julii podkreślała nieprzebrany błękit jej oczu.

– Nigdy bym nie pomyślał... – zaczął nieśmiało.

– Że?

Nie potrafił dokończyć myśli, więc tylko kiwnął głową. Jego uczucia były zbyt wielkie i wspaniałe, żeby móc ubrać je w słowa – a przynajmniej w słowa, które znał i rozumiał. Jedli więc w ciszy, a kiedy skończyli, Isabel przyniosła kawę i tradycyjny meksykański pudding. Julia nabrała na łyżkę odrobinę puszystego kremu i poczęstowała Roberto, który poczuł na języku niezmierną gładkość i słodycz karmelu.

Julia

Listopad przypominał piękny sen. Niezależnie od tego, co robił danego dnia, odwiedzanie Roberto w trakcie pracy stało się codzienną tradycją. Przynosiła mu wtedy dzbanek z wodą lub zapraszała na kawę. Ogromnie cieszyła się z tej przyjaźni, mimo że żadne z nich do końca nie wiedziało, co tak naprawdę ich łączyło. Francuzi posiadali wyrażenie, które idealnie opisywało to, co Julia czuła – *amitié amoureuse*. Przyjaźń z romantycznym podtekstem.

Czuła, że Roberto zawsze poświęca jej pełną uwagę, kiedy przebywają w swoim towarzystwie. Nie spuszczał z niej oka, gdy zapuszczała się w okolice klifu, jakby chciał uratować ją od ewentualnego upadku. Myślała o nim, kiedy siedziała przy swoim biurku i pisała kolejne wiadomości do osób poleconych przez Chrisa.

– Sądziś, że zwariowałam? – zapytała Liona w ostatni listopadowy poniedziałek, kiedy wstąpił do niej z koszykiem jabłek.

– Oczywiście, że tak! Kompletnie ci odbiło, złociutka. Nie kochałbym cię równie mocno, ba, nie wiedziałbym nawet, jak przebywać w twoim towarzystwie, gdyby było inaczej. To ci całkiem normalni spędzają mi sen z powiek.

– Poważnie pytam.

Lion miał na sobie jaskrawożółtą bluzkę oraz granatową, kaszmirową, dwurzędową marynarkę, a na szyi prezentował się jego ulubiony długi, biały szal od Hermès'a z jedwabnymi frędzlami. Siwe włosy przydawały mu aury przemijającej dostojności, którą podtrzymywał na wiele subtelnych sposobów. Mrużąc oczy, przyglądał się uważnie Julii.

– Gdybym miał cię opisać jednym słowem, byłoby to „szczęśliwa”. Szczęśliwsza niż byłaś od lat. Mam rację?

Przytaknęła, wiedząc, że Lion ma rację. Ale jeśli miałyby mu wytłumaczyć, jakie jest źródło tego uczucia – nieodparta fascynacja Roberto, jej nierealistyczna misja poszukiwawcza i jakaś mistyczna alchemia w tym wszystkim, która sprawiała, że coraz wyraźniej wyczuwała obecność Jenny – na pewno uznałby ją za pełnoprawną wariatkę.

– Cóż, bardzo mnie to wszystko cieszy – stwierdził. – A teraz pozwól, że wrócimy do Święta Dziękczynienia.

Od pięciu lat każde święta napawały Julię strachem i odrazą, i nic się w tej kwestii nie zmieniło.

– Zaprosiłem zwyczajową bandę na naszą wieczerzę – powiedział. – Oczywiście poza Johnem i Gracielą, którzy – jak zapewne wiesz – postanowili zostać w Connemarze. Jednak zjawi się tu kilku niedołączonych aktorzyn mojego pokroju, trochę młodziaków, aby rozweselić towarzystwo, kilku krnąbrnych surferów, jeden czy dwaj

rozpustni rockmani, paru reprezentantów naszego lokalnego plebsu oraz zdecydowanie za dużo Brytyjczyków. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu ciągną do mnie jak muchy do lepu. Jeśli tylko sobie życzysz, skombinuję też kilku intelektualistów, żebyś poczuła się tu jak w domu.

– Przy tobie zawsze czuję się jak w domu – stwierdziła Julia. – Niezależnie od tego, kto jeszcze nam towarzyszy. Ale nie jestem pewna, czy to taki dobry pomysł, Lion. Może powinnam pomyśleć o nieco spokojniejszym i bardziej kameralnym Świącie Dziękczynienia.

Zaśmiał się pod nosem.

– Masz na myśli siebie, Bonnie i otaczającą przyrodę, tak? Nawet ten twój cały zarządca sadu wróci na ten czas do domu, zobaczysz. John zawsze daje pracownikom wolne na długi weekend.

– Serio?

– Mhm.

– No cóż, zastanowię się – odpowiedziała. – Mogę kogoś ze sobą przyprowadzić?

– Julia, co ty mówisz! Partnera?

– Można tak to nazwać.

– Jak to...? Poznałaś kogoś i miałaś czelność zataić ten fakt przed wujkiem Lionem?

Roześmiała się.

– Nie, nie. Chodzi o Roberto.

– Zarządcę sadu?

– Tak.

– Spotykasz się z nim?

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi – stwierdziła.

– No tak. Z chęcią spędzimy z nim święta.

– Dziękuję. Wybadam, czy zdoła się pojawić – powiedziała.

Kiedy Lion zebrał się już do domu, Julia przyniosła do stodoły kilka pysznych jabłek. Roberto stał przy stole warsztatowym i rozbierał traktor na części. Ręce miał całe w smarze, ale widząc, że ma gościa, szybko wytarł je w ścierkę.

– Co porabiasz? – zapytała.

– Wymieniam zużyte części, żeby oszczędzić nam zakupu nowej maszyny.

– Jestem pewna, że John to doceni – stwierdziła.

Przez okna wpadało do środka mnóstwo światła. Zobaczyła, jak drobinki kurzu i kawałki siana unoszą się delikatnie w powietrzu.

– W czwartek wypada Święto Dziękczynienia.

– *Sí* – odpowiedział.

– Pewnie chcesz spędzić je w gronie rodzinnym, ale tak się zastanawiałam – może zechciałbyś potowarzyszyć mi przy kolacji w domu wujka Liona? Nie musimy zostać tam zbyt długo. Spokojnie zdążysz jeszcze spędzić czas z rodziną.

– *Señor Cushing?* – zapytał, marszcząc brwi. – Czy on wie, że planujesz mnie zaprosić?

– Wie, wie. Sam nas zaprosił.

Roberto tak długo wahał się, co odpowiedzieć, że Julia poczuła się, jakby popełniła jakieś faux pas. W czym tkwił problem? Zabrał ją przecież na kolację, myślała, że mają się ku sobie, ale może właśnie przekroczyła niewidzialną linię? Święto Dziękczynienia było typowo amerykańskim wymysłem – może Roberto i jego rodzina w ogóle go nie obchodzą?

– Co się stało? – spytała.

– Nic.

– Przecież widzę, że coś cię trapi. Wolałbyś, żebym poszła sama?

– Nie, nic z tych rzeczy. Z miłą chęcią pójdę tam z tobą.

– Super – odpowiedziała.

Wykonała krok w jego kierunku, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek. Chwycił ją jedną ręką w pasie, a jego rozbijające spojrzenie sprawiło, że poczuła się, jakby miała nogi z waty. Wtulił się mocno w jej twarz, ledwie muskając usta.

– Hej, *el piche inspector es...* – Serapio wpadł nagle do stodoły. – *Ai, lo siento.*

Roberto i Julia odsunęli się od siebie.

– Przepraszam, ale inspektor już tu jest. Dokonaliśmy zmian w układzie pompującym i nawadniającym i teraz ktoś nam to musi oficjalnie zatwierdzić.

– Rozumiem – odpowiedziała Julia.

– Ale w czwartek...

– Tak. Święto Dziękczynienia.

Poranek w Święto Dziękczynienia był ciepły i słoneczny – tak różny od typowej pogody w Nowej Anglii, jak to tylko możliwe. Julię bardzo to cieszyło. Wszelkie święta, które musiała spędzać bez Jenny, były dla niej potwornym przeżyciem. Dosłownie wszystko przypominało jej o przeszłych szesnastu Świętach Dziękczynienia, które obchodziła razem z córką – pogoda, specyficzne listopadowe światło w Black Hall, aksamitna czerń toni w zatoce Long Island.

W kuchni Casa Riley Julia pokroiła resztę jabłek, które przyniósł Lion. Wyrobiła kruche ciasto i odłożyła na bok kilka małych skrawków – przydadzą jej się do wycięcia listków klonu, którymi potem ozdobi wierzch ciasta. Jenny zawsze tak robiła. Roberto zostawiał jej zawsze miskę pełną cytryn na progu, więc postanowiła wykorzystać jedną z książek kucharskich babki i upiec dwa bochenki cytrynowego chleba.

Była już gotowa do wyjścia, kiedy Roberto przyjechał po nią o trzeciej po południu. Nie miała pojęcia, w co ubierze się jej towarzysz, więc założyła czarne spodnie i białą jedwabną bluzkę.

Roberto świetnie wyglądał w czarnych jeansach, białej koszuli i znoszonej skórzanej kurtce. Przytulili się na powitanie i zaczęli zmierzać w stronę starej, ale świeżo woskowanej szarej hondy civic.

– A gdzie twój samochód? – zapytała.

– Pożyczyłem auto od żony Serapio, żeby móc godnie zawieźć cię na kolację z okazji Święta Dziękczynienia.

– To bardzo miło z twojej strony – stwierdziła, wsiadając do środka.

Podróż nie była długa – musieli pokonać jeden kanion, potem kierować się przybrzeżną autostradą, przez kanion Topanga i wzdłuż stromej, krętej drogi, która wiodła prosto do posiadłości Liona. Wszyscy zjawili się w jednym momencie. Roberto przymierzał się do zaparkowania z boku drogi, ale jakiś człowiek w czarnej marynarce pomachał mu, żeby jechał dalej, w głąb podjazdu.

– Usługi parkingowe... – zauważyła Julia. – To bardzo w stylu wujka Liona.

- *Mande?* – spytał Roberto, nie rozumiejąc, co Julia ma na myśli.
- Czysta ekstrawagancja – odpowiedziała.

Jeden parkingowy otworzył drzwi dla Julii, podczas gdy drugi witał się z Roberto, zwracając się do niego w języku hiszpańskim. Wydawało się, że odbyli miłą, przyjacielską pogawędkę, po czym Roberto dołączył do Julii, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Oboje są Meksykanami. To dla nich bardzo dobra fucha – stwierdził.

– To twoi znajomi?

– Nie. Po prostu meksykańscy pracownicy, tacy jak ja.

Wspinali się po kamiennych schodach w towarzystwie całego tłumu zaproszonych gości. Roberto niósł szarlotkę w jednej ręce, a drugą trzymał swoją partnerkę pod ramię. Julia zapakowała chleb cytrynowy w folię aluminiową i włożyła go do płóciennej torby z wyszytym rodzinnym herbem Gracieli – wiedziała, że Lion doceni ten drobny akcent.

Wewnątrz pałacu, który Lion nazywał domem, Julia ujrzała pół tuzina młodych aktorów, których rozpoznawała, kilku najbliższych przyjaciół Johna, Gracieli i Liona i około dwudziestu ludzi, których kompletnie nie kojarzyła. Roberto wydawał się zrelaksowany, choć czujny niczym kot: gotów wziąć nogi za pas, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Wszystko okej? – zapytała.

– Ci wszyscy sławni ludzie...

– Większość z nich nie jest wcale taka sławna – stwierdziła.

Lion wyłonił się z grupki wysokich, szczupłych kobiet z asymetrycznymi fryzurami i uścisnął Julię, a potem podał rękę Roberto.

– Bardzo mi miło, Roberto. Cieszę się, że zdecydowałeś do nas dołączyć – stwierdził Lion.

– Dziękuję za zaproszenie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Może napijemy się czegoś mocniejszego? – zapytał gospodarz domu.

Skierowali się w stronę baru, gdzie czekało na nich dwóch latynoskich mężczyzn. Roberto przyjaźnie się do nich odnosił. Lion zamówił martini dla siebie i dla Julii, niepewny, czy Roberto podziela

ich gusta.

– Martini?

– *Cerveza* – odpowiedział, odbierając piwo z rąk barmana.

– To za co pijemy? – zapytał Lion, wznosząc kieliszek.

– Za to, co dał nam los – zaczęła Julia, gdy nagle aktor znany z roli Jamesa Bonda pochwycił Liona w iście niedźwiedzim uścisku.

Ostatecznie Julia i Roberto byli zmuszeni sami wnieść toast.

– *Salud* – powiedział Roberto.

– *Salud* – odpowiedziała.

Dom wypełniał aromat pieczonego indyka, nadzienia i pyszności, które kojarzyły się z typowym Świętem Dziękczynienia w Nowej Anglii. Para zaczęła przechadzać się po pokojach, a Julia pokazywała Roberto wszystkie rzeczy, które kochała jako dziecko – broje, koła rydwanów, posążki Buddy z brązu i kamienia, gong z dynastii Tang, fontanny umieszczone praktycznie w każdym pokoju, paleniska tak potężne, że można by piec w nich woły, galerię ujęć z filmów, w których zagrał Lion, w tym wiele przedstawiających Gracielę.

– *Doña Graciela* – powiedział na głos Roberto, schylając się, żeby lepiej przyjrzeć się fotografii Gracieli i Liona na planie *The King Goes Rowing*.

– Byli tu jeszcze młodzi – stwierdziła. – Kręcili ten film w Cambridge, a on grał króla Anglii, który udawał przeciętnego obywatela i który zakochał się w studentce. Widziałeś któryś z ich wspólnych filmów?

– Niestety nie.

– Musimy to kiedyś nadrobić – powiedziała Julia.

– *Claro*. Często zdobywali role w tych samych produkcjach?

– Tak. Byli znani ze swoich filmowych dorobków, ale również z faktu, że byli przyjaciółmi poza ekranem.

I właśnie wtedy poczuła, jak ktoś chwytą ją w swoje ramiona. Obróciwszy się, żeby zobaczyć, co się dzieje, zobaczyła przed sobą grupkę ludzi, których ledwo kojarzyła z wcześniejszych wizyt w domu wuja. Doug Longwood, mężczyzna, który ośmielił się na taki niespodziewany gest spoufalenia, był brytyjskim producentem filmowym, który mieszkał w Colony.

– Cóż za miła niespodzianka! Witaj, Julio – przywitał się.

Przedstawił ją swojej towarzyszce, Melindzie, oraz wysokiemu, ciemnowłosemu chłopcowi imieniem Magnus, po czym odświeżył jej pamięć w kontekście reszty gości.

– Miło was wszystkich widzieć – stwierdziła. – A to mój przyjaciel, Roberto.

Kilkoro z nich przywitało się z nieznanym i podało mu rękę, ale Doug nawet nie zwrócił na niego uwagi, zupełnie jakby nie dosłyszał jego imienia. Julia spojrzała na Roberto, ale ten wrócił już do podziwiania fotografii.

– Właśnie mówiłam Roberto – zaczęła – że Lion i Graciela wystąpili wspólnie w wielu filmach.

– Który najbardziej przypadł ci do gustu? – spytał Doug.

– Roberto jeszcze nie miał okazji zapoznać się z żadnym z nich, ale planujemy obejrzeć...

– Miałem na myśli ciebie – sprecyzował mężczyzna.

– Wszystkie mi się podobają, trudno wybrać.

– Ten wygląda ciekawie – stwierdził Roberto, wskazując na ujęcie z *The Washington Affair*. Graciela i Lion grali tam amerykańskich szpiegów, którzy odkryli, że grupa blisko związana z Białym Domem porwała pierwszą damę. Fotografia przedstawiała ich ze strzelającymi karabinami maszynowymi w rękę. Twarz Liona pokrywała blizna – pamiątka po konfrontacji z jednym z porywaczy.

– Lubi strzelanki – stwierdził Doug z tym swoim wschodniolondyńskim akcentem, zaśmiewając się do rozpuku. Mówił o Roberto, nawet na niego nie patrząc, zupełnie jakby go tam nie było.

– Strzelanki? A co to takiego? – zapytał Roberto.

– Bang-bang – odparł Doug.

– Pracujesz w biznesie filmowym?

Doug pocałował Julię w oba policzki, po czym ulotnił się razem ze swoją świtą, nie racząc odpowiedzieć Roberto. Dla Julii to był cios poniżej pasa. Ruszyła w jego kierunku, ale Roberto przytrzymał ją za rękę.

– Nic się nie stało – powiedział.

– Guzik prawda. Stało się. Co za bezczelny cham!

- Julia... Nie przejmuj się. Wszystko jest okej.
- Chcesz już iść? – spytała.
- Zostanę, jeśli i ty zostaniesz.
- Nie chcę tu zostać ani sekundy dłużej.

Roberto zachowywał się tak, jakby Doug go nie uraził, ale Julia wiedziała, że było inaczej. Pędząc jak burza przez kolejne pokoje, nie zatrzymała się nawet, żeby poszukać Liona. Ten dopadł ich w ostatniej chwili, kiedy byli już u drzwi wyjściowych.

– Co się stało? – zapytał z wyrazem zdziwienia rysującym się na twarzy.

- Nic – odpowiedział szybko Roberto.
- Skąd w ogóle wiesz, że coś się wydarzyło? – spytała Julia.
- Doug Longwood rzucił jakiś komentarz. Roberto, najmocniej cię przepraszam.

– Nie ma sprawy – odpowiedział.
– Dla tego człowieka różnice klasowe są wiecznie żywe – stwierdził Lion. – To kawał aroganckiego, ignoranckiego Anglika, który od lat nie zagrał w żadnym kinowym hicie. Najpewniej sami dojdziecie, dlaczego zachowuje się tak, jak się zachowuje.

– Ma niskie poczucie wartości – stwierdziła Julia. – Co nie zmienia faktu, że jest skończonym dupkiem.

Lody zostały przełamane. Wszystko było w porządku, z wyjątkiem tego, że nie było. Parkingowy przyprowadził hondę i Roberto odwiózł Julię do domu. Czowała się taka smutna, taka pokonana... Myśl, że Roberto tak się wystroił i specjalnie pożyczył auto na tę okazję, sprawiła, że Julii chciało się płakać. Odszukała w ciemności jego rękę.

– W sumie to nie byłam w nastroju na dużą imprezę – stwierdziła.
– Święta nie są dla mnie najłatwiejszym czasem.

- Brakuje ci Jenny.
- Dokładnie tak. A ty tęsknisz za Rosą.
- *Sí*. Może nie aż tak bardzo w Święto Dziękczynienia, bo to amerykański twór i raczej nie miała nawet pojęcia o jego istnieniu. Ale wielkimi krokami zbliża się *Navidad*⁴ i Trzech Króli...

– Roberto – zaczęła, wciąż trzymając go za rękę, kiedy podjechali pod Casa Riley. – Pracuję nad czymś, o czym już dawno chciałam ci

powiedzieć. Może wejdiesz na chwilę? Czy musisz już wracać do rodziny?

– Mogę wejść – odpowiedział.

Znalazłszy się w środku, Julia pozapalała wszędzie światło – chciała, żeby dom był nastrojowo rozświetlony, biorąc pod uwagę temat, który zaraz mieli poruszyć. Gdy weszli do salonu, Julia zapaliła lampki na stole, oświetlenie nad kominkiem oraz małe mosiężne światełka, które John zawiesił nad każdym obrazem.

Usiedli na niewielkiej sofie, każdy na osobnym krańcu. Julia pozbyła się butów i podkuliła nogi, żeby móc patrzeć Roberto prosto w oczy. Okna wychodzące na morze były otwarte, wpuszczając do środka ciepłą, słoną bryzę.

– Parę tygodni temu opowiedziałeś mi o tym, jak razem z córeczką przekroczyliście granicę.

– Przepraszam... Wiem, że ciężko ci było tego słuchać.

– To prawda – stwierdziła. – Bo nie potrafię sobie wyobrazić, przez co musiałeś przejść.

– *Gracias*, Julia.

– I chcę ci pomóc.

Na jego twarzy zagościł nikły uśmiech, który musiał go wiele kosztować.

– Wiem. Ale w tym przypadku nie da się nic zrobić.

– A ja myślę, że wręcz przeciwnie – powiedziała.

Serce biło jej jak oszalałe, kiedy podeszła do biurka i wróciła ze stertą papierów w ręku.

– Robiłam małe dochodzenie na własną rękę. Bycie antropologiem ma swoje niepodważalne atuty. Znam ludzi, którzy mogą zdobyć dla nas cenne informacje.

– Ale co tu zmieniają jakieś informacje? – zapytał. – Rosa przepadła bez śladu!

– Skontaktowałam się z kolegą z uczelni Chrisem Bartonem – kontynuowała. – Ten z kolei umówił mnie z dr. Juanem Riosem, który stoi na czele czegoś, co się nazywa Projekt Reunion. Zapamiętałam również nazwisko, które wymieniłeś – Jack Leary. Wprawdzie jest już na emeryturze, ale są sposoby, żeby go odnaleźć.

Roberto zeszywniał – jego szczęka była zaciśnięta, a plecy wyprostowane, jakby zaraz miał wybuchnąć i opuścić w gniewie progi Casa Riley.

– Po co? – zapytał w końcu. – Po co miałabyś z nim rozmawiać? Z którymkolwiek z tych ludzi?

– Żeby odnaleźć Rosę.

Spojrzał na nią wzrokiem, w którym można było dostrzec mieszankę rozpacz i czystego gniewu.

– Odnaleźć ją? Mnie się to nie udało, więc dlaczego z tobą miałyby być inaczej?

– Chcę tam pojechać.

– Gdzie? Na pustynię, gdzie przekroczyliśmy... Nie masz pojęcia, o czym mówisz. To nie jest kolejna *expedición antropológica*, Julia. Tu nic już nie pomoże. Dziękuję, że zapytałaś, ale moja odpowiedź brzmi: nie.

– Ale dlaczego? – zapytała.

– Nie znasz nawet całej prawdy – odpowiedział. – Opowiedziałem ci tylko fragment tego, co się wtedy wydarzyło. Gdybyś знаła całą historię, nie zastanawiałabyś się nawet nad odwiedzeniem tego miejsca.

– Więc powiedz mi to, czego jeszcze nie wiem – powiedziała, podczas gdy bryza morska kołysała zasłonami. – I pozwól, że sama zdecyduję, czy chcę tam jechać, czy nie.

¹ *Abuela* (hiszp.) – babcia.

² „Tak. To też już wiem”.

³ *Casa de huéspedes* (hiszp.) – pensjonat.

⁴ *Navidad* (hiszp.) – Boże Narodzenie.

Rozdział 5

Roberto

Jak wytłumaczyć to Julii? Uczucia były wciąż równie żywe, jakby jechał właśnie na pace tej przeklętej ciężarówki i czuł w kościach każdą dziurę na drodze, każdą koleinę. Oparł Rosę bezpiecznie o swój tors i podawał jej co chwilę wodę, przeklinając kojoty, Alberto i Benito Rodriguezów za to, że postanowili wyruszyć w najgorętszym momencie dnia.

Pustynia była płaska i zdawała się nie mieć końca. Nie mógł uwierzyć, że jakikolwiek teren może być taki bezkresny – na jego tle rodzinne pola, otoczone wzgórzami i drzewami, wydawały się mało imponujące. Gdzie by nie spojrzeć, fale gorąca rozlewały się po ziemi.

Rosa się pochorowała i Roberto nie wiedział, co robić. Jeśli odmówi podawania jej wody, dziecko z pewnością się odwodni. Jeśli wciąż będzie ją poił, mała nie przestanie wymiotować. Widział, jak Rosa ściska mocno Marię, błagając lalkę, żeby rozłożyła swoje anielskie skrzydła, użyła magii prababki i doprowadziła ich bezpiecznie do celu. Roberto zastanawiał się, który cel miała na myśli – dom jego *papá* czy zdezelowaną rudere babci w Meksyku? Ciężarówka toczyła się do przodu, kilometr za kilometrem. W końcu Roberto również zaczął odczuwać mdłości i zrobił się śpiący, ale walczył z tym, jak mógł.

Część imigrantów spała lub straciła przytomność, opierając się bezwładnie jeden o drugiego. Roberto potrząsnął mężczyzną, który był wyjątkowo blady. Kiedy ten się obudził, zwymiotował od razu na zewnątrz ciężarówki. Spaliny przyprawiały wszystkich o zawroty głowy. Słońce zaczęło wreszcie wędrować w dół nieboskłonu – czerwona kula pojawiła się na zachodzie.

Rosa płakała, więc Roberto próbował ją ukołysać.

– Tam – powiedział, wskazując na słońce. – Tam właśnie jedziemy. Los Angeles, tak daleko na zachód *El Norte*, jak to tylko możliwe, aż nad samo wybrzeże Pacyfiku.

– Chce mi się pić! – dziewczynka zawołała rozpaczliwie.

– Pij, *niña* – powiedział, wylewając trochę wody na swoją dłoń i pozwalając jej chłeptać niczym kot.

Kiedy słońce zniknęło już za horyzontem, pustynia zaśniła wszystkimi odcieniami różu, fioletu i bursztynu. Jego babka miała bursztynowe kolczyki i wisiołek z uwięzionym w nim niebieskim *mariposa* – motylem. Roberto nie spał, ale wydawało mu się, że widzi tysiące, a nawet miliony niebieskich motyli migrujących na północ, tak jak oni.

Nagle ciężarówka zatrzymała się. Choć nikt nie uraczył ich żadną informacją, Roberto wiedział, że są już blisko granicy. Napięcie i niepokój udzieliły się grupie ludzi – wszyscy budzili się nawzajem, pomagali sobie wstać, przygotowywali bagaże do dalszej podróży.

Kojoty wyszły z kabiny. Pierwsze, co Roberto zobaczył, to ich broń – pistolety w kaburach na biodrach i automatyczne strzelby przerzucone przez plecy. Starszy, Alberto, wykrzykiwał rozkazy.

– Macie się trzymać grupy, nie zostawać w tyle, pijcie dużo wody – powtarzał.

Benito i trzeci kojot, Pedro, mieli poprowadzić *pollos* na północ, a Alberto miał wrócić do Altar.

– *La Migra* mają gogle z noktowizorem, więc widzą lepiej niż sam Bóg w niebiosach. Poza tym na pewno usłyszycie, a potem zobaczycie ich samoloty, całe podświetlone. Kiedy wychwycicie ten dźwięk, schowajcie się w najbliższych zaroślach czy za jakimikolwiek kamieniami. Każdy walczy tu o własne przetrwanie. Jeśli zobaczą nas z nieba, wyślą swoje ciężarówki. I pamiętajcie – zawsze można tu spotkać ruchome patrole.

– Ale to nie wszystko – dodał Benito. – Musicie jeszcze uważać na grzechotniki, skorpiony, kojoty – te innego rodzaju, z ostrymi zębami – nietoperze, szczury, szopiki pręgoogonowe. Te ostatnie może i wyglądają słodko, ale gryzą jak cholera. Mamy tu też pająki i helodermy arizońskie, bardziej jadowite niż *cascabeles*. Grzechotniki.

– Możliwe, że nie zobaczycie granicy. *La Migra* wybudowali ogrodzenie, ale to dalej na wschód. Stawiają potężne, wytrzymałe ogrodzenia wokół miast, robią wszystko, żeby sprawiały dobre wrażenie, i właśnie dlatego jesteśmy na pustyni. Jesteśmy sprytni. – Dotknął ręką głowy. – Wybieramy znacznie dziksze rejony, gdzie nie ma zbyt wielu dróg. A teraz słuchajcie. Będziemy mijać ziemie należące do Tohono

O'odham. Nie myślcie, że członkowie plemienia ucieszą się na nasz widok. Jeśli ktoś spojrzy w waszym kierunku, schowajcie się.

W przeciwnym wypadku tubylcy wykonają jeden krótki telefon i w ciągu kilkudziesięciu minut mamy służby graniczne na karku. *Suerte*.

Zacząli iść. Roberto niósł Rosę, która mocno wtuliła się w jego szyję. Wszyscy szli pojedynczo albo dwójkami. Roberto poczuł nagły przypływ siły – w trakcie długiej i niewygodnej podróży często łapały go skurcze, więc dobrze było je teraz rozruszać, wykonując długie kroki.

Grupa szybko natknęła się na pierwszą niespodziankę od *La Migra* – szeroki, gładki pas ziemi, dzieło ciężarówek ciągnących za sobą łańcuchy, by stworzyć równą powierzchnię. Każdy ślad, nawet ten należący do myszy i kukawki srokatej, był idealnie widoczny.

Benito szedł z tyłu, niszcząc dowody ich obecności przy pomocy prowizorycznej miotły zrobionej z gałązek. Wszyscy wiedzieli, że *La Migra* byli ekspertami w tropieniu na podstawie pozostawianych śladów. Przejęli tę sztukę od plemion Siuksów oraz Tohono O'odham. Zatrudniali nawet Cieniste Wilki – specjalną jednostkę służb celnych, składającą się w całości z rdzennych Amerykanów.

Kiedy zgasł wreszcie nieziemski blask, jaki zostawił za sobą zachód słońca, grupa przemierzała pustynię w kompletnych ciemnościach, noga za nogą, pokładając nadzieję w płaskości tych ziem. Temperatura zaczęła gwałtownie spadać, więc Roberto wyjął z plecaka dwa polary – dla siebie i dla Rosy. A potem na niebie pojawił się księżyc: czyste, białe światło, miększe od słonecznego, ale oświetlające każdy ślad na piasku, każdą osobę i każdy kamień. Rosa szła tuż obok, uczepiona jego ręki. Pomyślał, że lepiej będzie, jeśli mała przejdzie się o własnych siłach teraz, niż gdyby miała to zrobić jutro, w pustynnym upale. Jednak po pewnym czasie Rosa zaczęła się potykać. Próbowwała być dzielna i silna, ale w rzeczywistości była kompletnie wyczerpana, więc musiał ją wziąć na ręce.

Czarne włosy Rosy połyskiwały w świetle księżyca. Roberto musiał zmieniać pozycję i raz nieść ją opartą o prawe, a raz o lewe biodro. Im dłużej szedł, tym cięższe zdawały się baniaki z wodą, które niósł na plecach. Dziewczynka w końcu zapadła w głęboki sen. Maszerując po twardej ziemi, Roberto słyszał różne dźwięki –

nieustanne bzyczenie, jakby z każdej strony otaczały ich grzechotniki. Kątem oka rejestrował coś w ciemnościach, czasami zdołał wypatrzeć charakterystyczne zygzakowate ruchy gada usuwającego się z pola widzenia.

Nietoperze krążyły im nad głowami. Odganiał je znad włosów córki. Temperatura znów spadła. Podczas gdy w ciągu dnia można było smażyć się w ponad trzydziestu ośmiu stopniach Celsjusza, w nocy powietrze wypełniał nieprzyjemny chłód. Rosa drżała mu w ramionach. Roberto pogrzebał chwilę w swoim plecaku, wyciągnął jeansowe rękawy, których pozbył się wcześniej jeden z imigrantów, i nałożył je na ręce córki, na wierzch polara.

Brnęli przez pustynię już od ładnych paru godzin. W końcu przewodnik stwierdził, że trzeba zregenerować siły przed dalszą podróżą. Znaleźli odpowiednie miejsce niedaleko wyschniętego koryta strumienia – pobliskie głązy i kępki zarośli oferowały odpowiednią osłonę przed niepożądanym wzrokiem. Kojot poinformował ich, żeby nie zbliżali się do gęstych krzaków, bo to idealna kryjówka dla węży, aczkolwiek jeśli natkną się na służby graniczne lub Cieniste Wilki, powinni zapomnieć o grzechotnikach i szukać szybko jakiegoś schronienia.

Roberto leżał obok córki. Noc była tak chłodna, że oboje zgrzytali z zimna zębami. Górną część jej ciała grzały polar i dodatkowe rękawy, ale Roberto zupełnie nie pomyślał o jej nogach. Nawet jego kostki marzły w nocnym powietrzu. Zdjął kurtkę i opatulił nią wychłodzone kończyny.

Parę metrów dalej mężczyzna, który oderwał sobie rękawy, tak głośno trząsał się z zimna, że odgłos, jaki przy tym wydawał, przywodził na myśl tętent kopyt. Roberto zrobiło się go żal, ale nie mógł zaoferować mu żadnej pomocy. Wszystko, co miał, przeznaczone było dla jego córki.

Próbując zasnąć, wracał myślami do swojego ojca, który odbył już tę podróż – choć sam, bez dziecka na rękach – i próbował sobie wyobrazić, jakie to musiało być podłe uczucie zostawić tak syna w innym kraju. Roberto wiedział, że ojciec bardzo go kochał, jak zresztą całą rodzinę, i że nie podjąłby takiej decyzji, gdyby nie wierzył z całych

sił, że w ten sposób zapewni nowe, lepsze życie swoim bliskim.

A teraz jego ojciec posiadał zieloną kartę – nadawał w ten sposób sens tej podróży i podsycił nadzieję. Poza tym mieszkał tuż obok placu z *mariachi*. Żeby podnieść na duchu siebie i swoją śpiącą córeczkę, Roberto zanucił *Contigo* i wyobraził sobie, jak siedzi na werandzie ojca we wschodnim L.A., delektując się melancholijną, choć pełną pasji muzyką płynącą z rogów *mariachi*. I tak zastał go upragniony sen – tulącego ukochaną Rosę w jasnym świetle księżyca.

Dzień zaczął się dla nich jeszcze przed wschodem słońca. Grupa wypila spory zapas wody i posiliła się suszonym mięsem oraz owocami, po czym wróciła na szlak, zanim dosięgły ich pierwsze promienie słońca. Bezlitosny upał przedzierał się przez szary poranek. Ziemia parzyła Rosę w stopy przez jej limonkowe sneakersy, więc Roberto musiał znów nieść ją na rękach. Spytał, czy pamięta księżyc, który wspiął się zeszłej nocy na niebo, ale pokręciła tylko przecząco głową, więc zaczął jej opowiadać, jak cała pustynia połyskiwała w srebrzystym świetle, nawet opuncje i okrągłe głązy.

Zazwyczaj uwielbiała słuchać tych opowieści, ale tego dnia nie mogła skupić się na jego słowach. Mijały godziny, a głowę Roberto zaczął rozsadzać tak potężny ból, że miał wrażenie, jakby ktoś zaciskał metalową obręcz wokół jego czaszki. Rosa trochę popłakiwała, wzywając w malignie babcię Roberto. Postawił ją na ziemi i zmusił do wypicia wody, ale – jak przewidywał – od razu wszystko zwróciła, więc poprosił, żeby tym razem piła małymi łydkami, mniejszymi nawet niż te, którymi częstowałyby Marię.

W ciągu jednej nocy i połowy dnia spędzonych na pustyni wykorzystali już całe dwa galony wody. Roberto rozejrzał się dookoła. Ziemia przypominała tu wysypisko śmieci pełne plastikowych butelek, opakowań po batonach, ludzkich ekskrementów oraz kobiecych podpasek. Jego ojciec i inni imigranci mieli rację – pustynia była nie tylko nieużytkiem, ale również do głębi złym miejscem, usłanym śladami po gwałcie. Zostawił plastikową butlę przy drodze, podniósł znów Rosę i dołączył do reszty grupy. Pedro czekał na niego i kiedy

tylko Roberto go minął, kojot zaczął zacierać trop, jaki zostawił, przy pomocy swojej prowizorycznej miotły.

Nikt się nie odzywał. Oszczędzali siły na podróż. Roberto obserwował, jak mężowie pomagają żonom, a żony pomagają mężom. Usta jakiegoś starszego mężczyzny zrobiły się trupio blade i usiadł ciężko na ziemi. Jacyś ludzie próbowali mu pomóc, ale ten chwycił się tylko za ramiona i wydał ostatnie tchnienie. Roberto szedł dalej, żeby oszczędzić córce traumatycznego widoku. Nikt nie został z tyłu, by pochować biedaka. Nie dysponowali ani łopata, ani siłami, by to zrobić.

Dwie godziny później, gdy słońce stało już w zenicie, Benito zarządził kolejny odpoczynek. Tylko gdzie? – Roberto miał ochotę zapytać. W jakim cieniu? Niczego tam nie było – żadnego drzewa, kaktusa czy kamienia. W oddali rysował się masyw górski, ale zdawało się, że to setki kilometrów stąd.

Imigranci wypili kolejną porcję wody i próbowali odsapnąć gdzieś na chwilę, w desperacji przykrywając się kurtkami i torbami, by stworzyć choćby iluzję cienia. Roberto leżał na boku na parzącej ziemi i próbował tak ułożyć ciało, żeby osłonić nieco Rosę od piekących promieni słońca.

Jej usta były blade, zupełnie jak u starca, który nie przetrwał podróży. Chciała wypić całą butelkę wody, ale nie pozwolił na to. Kiedy mała płakała, Roberto powoli racjonował jej picie. Zmierzył córce puls i zauważył, że była oblana potem. Kiedy wypła cztery pełne zakrętki, ułożył ją delikatnie na ziemi, tak że cała leżała w jego cieniu.

– *Abuela* – wzywała babkę w gorączce. – Delfina, Alma... – Jej najlepsze przyjaciółki. – Tino. – Oswojoną kózkę, o której swego czasu opowiadał jej Roberto. Tino był jego kompanem na długo przed tym, zanim Rosa przyszła na świat – dziadek podarował mu jednego z maluchów ze stada, kiedy Roberto był jeszcze małym chłopcem. Rosa знаła również historię, jak Roberto zdecydował się na takie, a nie inne imię, wiedziała, jak się bawili, słyszała nawet opowieść, jak Roberto wrócił ze szkoły w swoje siódme urodziny, poczuł smakowity zapach prawdziwej uczyty dla całej rodziny, tylko okazało się, że na talerzu podany został Tino – jedyne mięso, na które mogli sobie wtedy pozwolić.

Roberto zrobiło się słabo, kiedy słuchał, jak córka wzywa Tino. Tulił ją mocno do siebie, czując, jak jego spocone ciało klei się do jej drobnego ciała, i rozmyślając o tej małej kóźce – o tym, jak bardzo ją kochał, i o tym, jak musiał udawać przed swoim dziadkiem, że cieszy się z urodzinowego posiłku. Przypomniał sobie również, jak musiał ukrywać nienawiść, którą poczuł do dziadka za to, że zabił jego ukochane zwierzątko.

Jack Leary

2007

Dziadek Jacka ze strony matki był Strażnikiem Teksasu, który patrolował wzgórza wzdłuż granicy między Teksasem a Oklahoma w poszukiwaniu wszelkich możliwych przestępców ukrywających się po dziurach i jaskiniach. Jack nadal posiadał należące do niego colta .44, pałkę, która przypominała bardziej kij baseballowy, oraz giętki, piętnastocentymetrowy bicz z plecionej czarnej skóry, przesiąknięty krwią wielu zbirów, których zdzielił nim po łbie.

Podczas gdy dziadek Tecumseh Shane był prawdziwym twardzielem z gór oraz doświadczonym tropicielem, drugi dziadek Jacka, Brendan Leary, był agentem FBI w Bostonie, zajmującym się papierkową robotą związaną z oszustami, którzy naciągali łatwowiernych ludzi – głównie członków grup kościelnych oraz imigrantów. Stąd wzięło się pragnienie Jacka, by pracować dla rządu – idealne połączenie władzy oraz pozytywnych korzyści. Małżeństwo z Louellą oraz życiorys dziadka Brendana wbiły mu do głowy szlachetną intencję: możliwość pomocy ludziom.

Przemierzając pustynię w swoim explorerze tamtego popołudnia, Jack wypatrywał jakichkolwiek śladów, które naruszałyby gładką powierzchnię szlaków pułapek, które przygotowali na wypadek nielegalnych imigrantów. Jeszcze niedawno sunęły tą drogą ogromne maszyny ciągnące za sobą łańcuchy i rury, które wygładzały ziemię i piasek – tak żeby każdy ewentualny trop był wyraźnie widoczny. Termometr na desce rozdzielczej pokazywał ponad czterdzieści osiem stopni w słońcu. Nie pierwszy raz uratowałyby kogoś przed murowanym udarem słonecznym. Bywało, że ślaniający się na nogach imigranci stawali mu na drodze i błagali, żeby się zatrzymał.

Jego SUV wyposażony był w radio zamontowane przy siedzeniu kierowcy oraz uchwyt na shotguna za zagłówkiem, dla bezpieczeństwa odgradzony od tyłu samochodu przy pomocy siatki. Był to ciężki sprzęt z napędem na cztery koła, który spokojnie mógłby wyciągnąć z piasku ciężarówkę z przyczepą. Klimatyzacja pracowała na pełnych obrotach, pod ręką czekała już świeża kawa, a w tyle telepały się baniaki z wodą na wypadek, gdyby spotkał dziś jakichś wędrowców.

Jack pracował dla Straży Granicznej USA od dwudziestu pięciu lat i na horyzoncie rysowała mu się już emerytura. Jego zadaniem było strzeżenie granicy pomiędzy Stanami a Meksykiem oraz aktywna współpraca z ICE, czyli służbami imigracyjnymi i celnymi. Kiedy zaczynał, ICE było jeszcze INS – Urzędem Imigracji i Naturalizacji. Zamiana słowa „urząd” na „służby” idealnie obrazowała najnowsze podejście do sprawy.

Niektórzy jego koledzy w sektorze Tucson nazywali nielegalnych imigrantów „mokrymi” ze względu na ich przemoczone ubrania – dowód na to, że próbowali przekroczyć granicę przez rzekę Rio Grande. Teraz, kiedy drogi wlotowe do miast były pilnie strzeżone, a na desperatów czekały ponadtysiąc kilometrowe ogrodzenie, liczne reflektory, czujniki oraz patrole powietrzne, imigranci zaczęli przeprować się przez najbardziej niebezpieczne i mniej kontrolowane rejony pustyni.

Jechał wytyczoną trasą, omiatając wzrokiem okolicę. Miał talent do tropienia po dziadku – Strażniku Teksasu, choć wyczucie i wrażliwość odziedziczył raczej po dziadku Learym. Jego irlandzcy przodkowie walczyli i umierali, przeprowając się przez Atlantyk – wielu z nich zmarło wskutek choroby na wyspie znajdującej się na Rzece Świętego Wawrzyńca w Kanadzie, nie zrealizowawszy nigdy marzenia o „lepszem życiu”.

Asymilowanie się nie sprawiało Irlandczykom zbyt wielkich trudności, zważywszy na ich jasną cerę i niebieskie oczy. Wygląd się zgadzał, więc szybko dopasowywali się do społeczeństwa i znajdowali pracę – w przypadku jego przodków w Chicago i Oklahomie były to posady po znajomości. Zaczynali jako dozorczy w Urzędzie Miasta i wspinali się po drabince. Kolejnym szczeblem po bezpiecznej posadce

policjanta była praca w FBI.

Zabijała ich miłość do rodziny. Ci ludzie zrobiliby dosłownie wszystko, żeby być razem i żeby wykarmić swoje dzieci i swoich niedomagających rodziców, zupełnie tak jak jego przodkowie. Jack wiecznie polował na terrorystów i handlarzy narkotyków, ale w większości przypadków zgarniał biedne rodziny. Jego żona, Louella, przypominała mu o tym każdego dnia. Mówiła, że więcej łączy go z Meksykanami i innymi Latynosami, których zatrzymywał, niż z własnymi szefami.

Prawda jest taka, że nie obnosił się zbytnio ze swoimi poglądami. Straż Graniczna i ICE nie narzekały na deficyt agentów, którzy mieli poukładane w głowach i sercach, ale z drugiej strony tego typu służby coraz częściej przyciągały fanów serialu *Border Wars*, którzy chcieli ścigać Meksykanów i odsyłać ich tam, skąd przybyli – najlepiej z pamiętkami w postaci guzów i siniaków, żeby żaden nie odważył się ponownie spróbować przekroczyć granicę.

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Zdjął swoje ray-bany i w ostatnich promieniach dnia ujrzał to, czego szukał – odcisk obcasa, niepozorny półksiężyc na brzegu szlaku. Zatrzymał się i wysiadł, żeby zbadać znalezisko. Kojot zacierał ślady, to pewne. Był sprytny, ale i odważny – był to bardzo nieprzyjazny teren i mało kto próbował przekraczać w tym miejscu granicę. Patrole nie zapuszczały się zbyt często w te rejony, o czym kojot zapewne doskonale wiedział.

Gdyby dokładnie zatarł wszelkie ślady, Leary niczego by nie podejrzewał. Omiótł wzrokiem rozciągającą się przed nim pustynię, po czym zamknął auto i udał się pieszo w kierunku, który wskazywał odcisk buta. Nie zabrał tym razem shotguna, ale miał przy sobie swój niezawodny pistolet i zapas pocisków typu hollow point¹.

Pomimo że zbliżała się noc, panująca na zewnątrz ściana upału nie ustępowała. Tylko najbiedniejsi wędrowcy byli wystarczająco zdesperowani, żeby ryzykować przeprawę w tak nieludzkich warunkach. Podążając wzdłuż szlaku, natrafił na kolejne nieuważnie zatarte ślady – tym razem niewielkich rozmiarów. Myśl, że gdzieś tam dogorywa niewinne dziecko, sprawiła, że przyspieszył kroku.

W oddali dostrzegł podejrzaną wzniesienie, które zdążyły już

obsiąść kruki i sępniki różogłowe. Wyciągnął krótkofalówkę i połączył się z kwaterą główną, jeszcze zanim dotarł do niego zapach zgnilizny. Czy wędrowcy wiedzieli, że przekroczyli już granicę ze Stanami Zjednoczonymi, że dotarli na miejsce? Czy kojoty zorganizowały im już transport? Przeczesał najbliższą okolicę, wciąż mając przed oczami ten niewielki ślad stópki.

– Mam tu ciało – poinformował dyspozytorkę Jeannie. – I wygląda na to, że może ich być więcej.

– Myślisz, że zacierają w stronę drogi numer 2? – zapytała, równie dobrze znając okolicę, co Leary.

– Tak, tak mi się wydaje.

– Chcesz zaczekać przy ciele, a Chandler i Leone przechwycą w międzyczasie resztę grupy na autostradzie?

– Nie.

Chandler i Leone. Świeżaki, które nie tylko były gotowe, ale wręcz nie mogły się doczekać, żeby porozbijać ludziom łby i odesłać ich z powrotem do piekła, z którego tak desperacko próbowali się wyrwać.

– To co robimy?

– Niech przyjadą po ciało, oznaczę je flagą, żeby było widoczne w świetle latarek. A ja się udam na północ i poszukam reszty imigrantów.

– Jack, Chandler i Leone są znacznie bliżej autostrady. Wysyłam ich tam, okej? I helikopter. Znajdziemy ich.

Nie potrafił zbić tego argumentu. Tamci byli już w drodze i nie mógł nic na to poradzić.

Roberto

2007

Roberto i Rosa opróżnili już cały zapas wody i nawet w promieniach popołudniowego słońca skóra dziewczynki była bardziej lepka niż sucha i rozgrzana, co mocno go przeraziło. Była już zbyt słaba, żeby tulić się do jego szyi, więc drobne rączki zwisały bezwładnie. Inni członkowie grupy zostali w tyle – odpoczywali, spali, a być może nawet wydawali ostatnie tchnienie. Benito i Pedro poprowadzili Roberto i pozostałą dziesiątkę w głąb pustyni, w kierunku formacji skał tworzącej literę „V”, mającej w oddali.

– Co tam jest? – zapytał Roberto.

– To nasz punkt orientacyjny. Jesteśmy już blisko miejsca, gdzie przechwyci was ciężarówka – odpowiedział Benito.

– Blisko granicy?

– Już ją przekroczyliśmy, stary – stwierdził, trzymając przed oczami GPS. – Jesteś na terenie USA.

Roberto spodziewał się, że będzie wniebowzięty, a tymczasem poczuł ukłucie paniki.

– Moja córka potrzebuje napić się wody.

– Tak jak my wszyscy. Nie zatrzymuj się.

– Gdzie jest miejsce, z którego nas odbiorą?

– Za tymi głazami. Jeszcze tylko trzy, cztery kilometry i zobaczysz naszego człowieka. Samochód na chodzie, nic, tylko wsiadać i odjeżdżać w siną dal.

Raptem kilka kilometrów, powtarzał w myślach Roberto. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, ale nic nie przynosiło ulgi jego rozgrzanemu ciału czy stopom, a oczy Rosy były zamknięte. W kącikach ust zebrała jej się biała piana, ale dziewczynka ocknęła się, kiedy pocałował ją w czoło.

– Słyszałaś, co ten pan powiedział?

– Za szybko mówił – odpowiedziała cicho.

– Jesteśmy już prawie na miejscu, *preciosa*.

– Tatusiu, jest mi za gorąco...

Była to w zasadzie pierwsza skarga, jaka padła z jej ust, więc pocałował ją znów w rozpalone czołko.

– Jak dotrzemy do celu, dostaniemy tyle wody, ile tylko zapagniemy, a *papá* ma klimatyzację, więc będzie ci przyjemnie chłodno. Zobaczysz, jeszcze będziesz potrzebowała swojego polara.

– Gdzie jest Maria? – spytała.

– W plecaku.

– Dasz mi ją?

– Niedługo, *cariño*. Miniemy tylko te kamienie, dotrzemy do drogi i już będzie po wszystkim. Przytulisz wtedy swoją Marię.

– Ale ja chcę Marię! Pofruniemy z nią do *Papá*. – Rosa zaczęła płakać, co przyprawiło Roberto o jeszcze większy atak paniki, bo po jej

policzkach nie płynęły żadne łzy.

Kojoty narzucały mordercze tempo, pospieszając resztę grupy. Słońce zniknęło już za horyzontem i kiedy zbliżyli się do charakterystycznej formacji kamieni, Roberto zauważył, że rzucają długie cienie.

– Możemy tu trochę odpocząć? – zapytał przewodników.

– Słyszysz ten dźwięk? – spytał go Benito, wskazując na niebo. – To helikopter. Agenci straży granicznej na pokładzie samolotu, wypatrujący naszej wesołej gromadki. Robi się ciemno, więc będziemy trochę osłonięci, chyba że mają na wyposażeniu kamery termiczne. Jeszcze kilka kilometrów i wszyscy będziemy sunąć autostradą do L.A.

Roberto nadstawił uszu, ale nie zarejestrował niczego poza pustynnym wiatrem. Trzymając wykończoną córkę na rękach, niemal przyzywał w duchu helikopter – chciał, żeby zjawiono się ICE, znalazło ich i zabrało Rosę do szpitala. Ale potem pomyślał – raptem kilka kilometrów. Uda im się.

– Jeszcze dzisiaj w nocy dotrzemy do domu dziadka – szepnął jej na ucho.

– I do *mariachi*? – spytała.

– Dokładnie tak!

Nie było z nią tak źle. Jeśli pamiętała o *mariachi* i chciała przytulić ukochaną lalkę, to jeszcze kiedyś będą się śmiać z tej koszarnej przeprawy. Na pewno tak będzie. Roberto powtarzał to sobie do znudzenia, przeklinając samego siebie za to, że podjął same złe decyzje. Powinien był zabrać ze sobą więcej wody, powinien był znaleźć lepszego kojota, który zaproponowałby im łatwiejszą trasę, nie powinien był zabierać ze sobą Rosy – jego ojciec wykazał się większym rozsądkiem, zostawiając go w Meksyku.

Mijając formację z kamieni, Roberto był wyjątkowo spięty. Przez chwilę pomyślał, że kojoty zaprowadziły ich w pułapkę – to byłaby idealna kryjówka dla rozbójników. Na szczęście minęli już skały i musieli jeszcze tylko pokonać trzy, cztery kilometry. Wysokie kamienie mieniły się odcieniami złota i fioletu i kładły długie cienie, ale po chwili słońce zaszło za horyzont i wszelkie cienie zniknęły.

Nagle wszyscy dostali dodatkowego zastrzyku energii. Mimo że

Benito i Pedro również byli odwodnieni, zaczęli biec, a pozostała dziesiątka robiła, co mogła, żeby dotrzymać im kroku. Roberto biegł na równi z pozostałymi, trzymając córeczkę, jakby nic nie ważyła, wiedząc, że od upragnionego celu dzieli go mniej niż dwa kilometry. Liczył kroki, ale szybko stracił rachubę i już tylko czystą siłą woli zmuszał się do pędzenia naprzód. Rosa rzucała się w jego ramionach i niemal wypadła, więc Roberto musiał nieco zwolnić, skupiając się na każdym postawionym kroku. Nie pozwolił sobie na ani chwilę zwątpienia i za nic w świecie nie wypuściłby teraz córki z rąk.

– Tatusiu, zaraz zwymiotuję – zapłakała.

– To nic – odpowiedział.

Niech zwymiotuje prosto na niego, to nie miało najmniejszego znaczenia. Musieli dotrzeć do tej drogi i do tej cholernej ciężarówki, i będzie tam na nich czekała woda. Dużo wody.

– Szybko, szybko! – Benito wrzeszczał z całych sił. – Słyszycie te silniki? To pieprzone SUV-y należące do ICE!

– Tatusiu, postaw mnie na ziemi! – błagała.

Ignorował ją, próbując dogonić resztę grupy. Teren był tu wyjątkowo nieprzyjazny – otaczały ich niewielkie skupiska kamieni, a twarda ziemia zamieniła się w nierówne podłoże usłane drobnymi kamykami. Rosa zaczęła się miotać i wyrwać, targana wymiotami i jednocześnie zakłopotana. W rozpaczę wzywała swoją babkę: „*Abuela, Abuela...*”.

Roberto potknął się o kamień i prawie skręcił sobie kostkę. Upadł na jedno kolano i zdarł skórę do żywego. Rosa wypadła mu z rąk, ale złapał ją w ostatniej chwili i pozwolił stanąć na własnych, chwiejnych nogach tylko na parę chwil. Dziewczynka wymiotowała śliną i żółcią na piasek, opierając się o okrągły głaz.

– Zaczekajcie! – krzyknął w kierunku kojotów.

Na niebie pojawił się już księżyc, rozświetlając wszystko dookoła. I nagle faktycznie usłyszał jakiś hałas – tyle że nie były to SUV-y, ale zwyczajny ruch na drodze. W oddali ujrzał jasne, białe światła samochodu zaparkowanego wzdłuż drogi.

– Widzisz te światła? Dotrzemy tam i jesteśmy w domu – powiedział do córki.

– *Abuela*... – łkała. – Maria...

Roberto obserwował, jak sylwetki imigrantów zbliżają się do celu. Zmrużył oczy i mógłby przysiąc, że zobaczył zarys ciężarówki. Musiał jedynie zanieść tam Rosę – musieli pokonać raptem kilkaset metrów. Spróbował wstać i niemalże stracił przytomność.

– Chodź, kochanie – powiedział, próbując podnieść córeczkę. – Popatrz, to już bardzo niedaleko.

Zwinęła się w kłębek przy głazie, gdzie było choć trochę chłodniej. Roberto widział, jak reszta grupy dociera do drogi i wspina się na ciężarówkę. Nie myślał, po prostu zaczął działać. Nie zostawią ich na środku pustyni, nie ma takiej opcji. Kucnął przy córce i wsadził jej w rękę Marię.

– Pięć minut, skarbie. Nie dłużej. Zostań tu z Marią, a ja zaraz wrócę. Nie ruszaj się stąd. Obiecuj mi, że nie ruszysz się na krok.

– Obiecuję.

Stłukł sobie kolano, pewnie nawet coś złamał, ale jeszcze w życiu tak szybko nie przebiegał nogami. Księżyc oświetlał głaz, przy którym leżała mała Rosa – złoty reflektor przedzierający się przez mrok pustyni. Im szybciej biegł, tym większa wzbierała w nim agresja. Zamordowałby kierowcę, gdyby próbował odjechać bez nich. Wskoczyłby na maskę samochodu, zmusił, żeby się zatrzymali. Zabrałby pistolet Pedro i przystawiłby mu do głowy, a potem razem wróciliby po Rosę.

Droga wyglądała na względnie łatwą do pokonania, ale potknął się o kamień i skręcił sobie kostkę. Światła ciężarówki wciąż świeciły, drzwi były otwarte. Wszyscy imigranci byli już w środku. Zobaczył, jak Pedro i Bonito wdrapują się jako ostatni.

– Zaczekajcie! – krzyczał do utraty tchu. Światło księżyca odbijało się od ich pistoletów. Lub biżuterii. Lub bransolet. Oczy Roberto przyzwyczyły się już do jasnego światła i nie dostrzegł dwóch ciemnych kształtów wyłaniających się zza ciężarówki. SUV-y.

Metal, który tak pięknie odbijał światło, to były kajdanki.

– Mamy tu jeszcze jednego – usłyszał głos przemawiający w języku angielskim.

– Chciał, żebyśmy zaczekali – doszedł go inny, rozbawiony głos. – To zaczekaliśmy!

Roberto nie znał tego języka, ale doskonale wiedział, z kim miał do czynienia. Odwrócił się na pięcie i wystrzelił w kierunku skąpanego w księżycowym świetle głazu. Widział małe ciało Rosy zwinięte w kłębek u podnóży wielkiego kamienia, jej małe stópki w limonkowych sneakersach. Wokół dało się słyszeć kaskadę dźwięków wydawanych przed nocne stworzenia.

– Rosa! – zawołał najgłośniej, jak potrafił.

– Stać! Ręce do góry! – zagrzmiął nieznany głos.

– *Mi hija!* – zawył Roberto. – *Ella está ahí, tengo que rescatar a mi hija!*²

– Jesteś na terenie Stanów Zjednoczonych, więc mów po angielsku.

Roberto poczuł, jak kolba shotguna roztrzaskuje mu czaszkę, i nie zarejestrował już, jak upada na kamienistą ziemię. Nie umarł, ale w tamtej chwili jego życie się skończyło.

¹ Hollow point – pocisk zaprojektowany do strzelania w cele ruchome, posiadający charakterystyczne wgłębienie pokryte płaszczem.

W momencie uderzenia ciśnienie doprowadza do odkształcenia się pocisku, wyrządzając tym samym znacznie większe szkody niż w przypadku klasycznej amunicji.

² „Moja córka! Ona tam jest, trzeba ratować moją córkę!”

Rozdział 6

Julia

W Casa, słuchając opowieści Roberto, dowiedziała się, jak agenci straży granicznej aresztowali całą grupę. Roberto nie był w stanie przekonać żadnego z nich, by wrócili po Rosę, jednak kiedy trafił już do aresztu i czekał, aż postawią mu zarzuty, wydarzyło się coś, co zakrawało na cud. Agent Jack Leary wszedł do celi i zapytał, czy ktokolwiek ma tu dziecko. Przez chwilę Roberto myślał, że mężczyzna znalazł Rosę, ale niestety – natrafił jedynie na ślad małej stópki w piasku. Roberto opowiedział mu, co się wydarzyło. Leary udał się natychmiast w okolice głązu, ale nie znalazł tam żywej duszy.

Minęły dwa dni, nim Roberto przeszedł całą procedurę – został aresztowany i deportowany do Meksyku, w okolice Nogales. Stamtąd udał się prosto do Altar i raz jeszcze pokonał tę samą trasę, co z kojotami. Niektóre charakterystyczne miejsca wyryły się w jego pamięci – nietypowy kaktus przypominający kształtem konia, stosy plastikowych butelek pozostawione przez poprzednie grupy, rozkładające się ciało nieszczęśnika, który nie przetrwał trudnej podróży, i w końcu głąz, przy którym zostawił wyczerpaną córkę.

Dotarł do autostrady i tym razem nie czekali na niego żadni *La Migra*. Przejeżdżający kierowca ciężarówki podwiózł go do najbliższego miasta, skąd Roberto zadzwonił do swojego ojca, który przyjechał po niego z Los Angeles.

Powiedziawszy, co miał do powiedzenia, Roberto wyszedł z kuchni. Julia obserwowała, jak przecina dziedziniec i mija stodołę. W ogrodzie włączyły się zraszacze, wypełniając suche powietrze przyjemną, chłodną mgiełką. Było już dosyć późno na nawadnianie – zazwyczaj Roberto robił to, jeszcze zanim słońce zaczynało chować się za górami.

Julia nie mogła złapać oddechu. Przed oczami ciągle miała bezkresną pustynię skąpaną w świetle księżycy i małą Rosę, tak drobną i kruchą na tle tego dzikiego krajobrazu. Czuła się, jakby wspomnienia Roberto wżarły się w jej siatkówkę. Czuła, jak serce mężczyzny próbuje wyskoczyć mu z piersi, odczuwała te paraliżujące fale paniki na myśl

o tym, że nie trzyma w rękach ukochanej córeczki. Ale jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów – musiał wrócić do miejsca, gdzie stał ten głąz, i wszystko znowu będzie okej. Rosa będzie bezpieczna.

Kiedy wyszła na taras, zanurzając się w wilgotnej mgle i wieczornej ciemności, zobaczyła, jak Roberto sprawdza zraszacze. Wyszła na zewnątrz, między drzewa cytrynowe, żeby go odszukać.

– Roberto...

– Jak możesz na mnie patrzeć po tym, czego właśnie się dowiedziałeś? – zapytał z wyrzutem. – Zostawiłem własną córkę na pastwę losu.

– To nie była twoja wina.

Nie podniósł głowy, jakby nie mógł spojrzeć jej w oczy. Julia chwyciła w dłonie jego twarz i skierowała w swoją stronę. A potem mocno go przytuliła – najmocniej, jak tylko potrafiła. Roberto wtulił się w nią z całych sił i położył jej głowę na ramieniu. Woda wciąż pryskała dookoła. Nagle poczuła, że stąpa po mokrej ziemi.

Kiedy oderwali się od siebie, Roberto skulił ramiona. Julia widziała, jak poczucie winy i wstyd zżerają go od środka.

– Dziękuję, że mnie wysłuchałaś. Jesteś jedyną osobą, której odważyłem się powiedzieć całą prawdę.

– Chciałam wiedzieć – stwierdziła. – I dobrze cię rozumiem.

– Dziękuję za te słowa, ale nie wyobrażam sobie, żeby tak mądra i odpowiedzialna kobieta jak ty mogła sprowadzić na swoje dziecko niebezpieczeństwo, a potem zostawić je bez opieki i pomocy, choćby na minutę.

Głowę Julii zaczęły zalewać myśli i wspomnienia, ale wzięła głęboki oddech i dotknęła jego ramienia.

– Obwinałam się przez pięć lat – powiedziała. – I tak samo jak ty cierpisz z powodu utraty Rosy, tak i ja cierpię z powodu Jenny.

– Ale ty nie przyczyniłaś się do śmierci Jenny.

Julia uśmiechnęła się smutno.

– Powiedziałam ci dokładnie to samo, ale rodzicowi trudno jest w to uwierzyć, prawda?

– Strasznie trudno. Ale w przeciwieństwie do mnie ty nie zostawiłaś Jenny, ty....

– Roberto, zawiodłam swoją córkę. Musiałam ją zawieść, bo inaczej dlaczego miałyby zrobić to, co zrobiła?

Teraz to on tulił ją mocno do siebie i delikatnie kołysał, podczas gdy Julia próbowała złapać oddech.

– Wiedziałam, że jest smutna, że tęskni za swoim chłopakiem, ale nie miałam pojęcia, że była aż tak zdesperowana. W życiu bym nie podejrzewała, przecież byłyśmy tak blisko, nie miałyśmy przed sobą tajemnic, a jednak nie zauważyłam żadnych znaków ostrzegawczych. Na pewno próbowała mi o tym powiedzieć, bo zawsze tak było, odkąd tylko pamiętam. Jenny zawsze mówiła, co leży jej na sercu. Ale tym razem byłam głucha na jej ból.

– Być może nie potrafiła ci powiedzieć – stwierdził Roberto.

– Pomogłabym jej.

– Może nie chciała, żeby jej pomóc.

– Nie wiem i nigdy nie będę wiedziała! Dla policji sprawa jest prosta, ale jestem jej matką. Nie wierzę, że Jenny byłaby w stanie popełnić samobójstwo. To była moja ukochana córka, nie zostawiłaby mnie w tak okropnych okolicznościach, nie w taki sposób. Nie targnęłaby się na własne życie! Ale przecież są dowody. Te myśli są tak cholernie trudne i bolesne, że ciągle tylko odpycham je od siebie. Zerwałam naszą nić porozumienia.

Kiwnął głową, jakby doskonale rozumiał, o czym mówi.

– Ale jednego jestem pewna – da się to jeszcze naprawić.

– Co masz na myśli?

– Jenny pomału wraca do mnie. Wszystko się zaczęło, kiedy opowiedziałeś mi o Rosie. Tamtego wieczora, kiedy siedzieliśmy na schodach. Poczułam jej obecność.

– *En serio?* – zapytał.

– Pewnie myślisz, że postradałam zmysły, co?

– Może troszkę...

– Ja też z początku tak myślałam. Ale przysięgam, że czułam się tak, jakby Jenny siedziała tuż obok mnie.

Roberto patrzył jej prosto w oczy i chwycił za dłoń. Tuż nad ich głowami drzewa cytrynowe rozpościerały swoje gałęzie. Poczują zapach owoców unoszący się w powietrzu. Liście dotykały jej włosów. Roberto

objął ją i pocałował, długo i niespiesznie. Kiedy przestał, serce Julii było jak oszalałe.

Tulili się do siebie jeszcze przez długi czas, nim mężczyzna wypuścił ją ze swych rąk. Czuła, że odprowadza ją wzrokiem do domu, po czym sam oddalił się w przeciwnym kierunku. Nim zdążyła obejrzeć się za siebie, Roberto zniknął już pomiędzy drzewami, wchłonięty przez jesienną, wieczorną mgłę.

Kiedy wstała następnego poranka, zauważyła, że nie było już samochodu żony Serapio – Roberto musiał wrócić do domu we wschodnim Los Angeles. Odjechał bez pożegnania.

Jechała szosą Pacific Coast Highway z włączonym radiem ustawionym na Sirius E Street. Bruce Springsteen śpiewał *Further On (Up the Road)*, ale równie dobrze mógłby to być każdy inny jego kawałek. Muzyk stał się jej towarzyszem i aniołem stróżem podczas tych kilku samotnych lat. W śpiewie Bruce'a – nieważne, czy to była piosenka rockowa, czy ballada – tkwiło coś, co dawało jej pewność, że rozumiał cierpienie. To ta muzyka dotrzymywała jej towarzystwa podczas podróży przez kraj, a teraz ratowała psychikę.

Skracając w Westward Beach Road, minęła restaurację Sunset Restaurant. Droga tuliła się do klifu i Julia jechała nią dalej, aż do ostatniego posterunku ratowników. W końcu wyszła z samochodu. Bonnie pobiegła prosto nad samą wodę. Zawsze tak robiła. W Connecticut, przechadzając się wzdłuż Griswold Point, obwąchiwała dokładnie wszystkie wodorosty, jakie przyplływ wyrzucił na brzeg. Kulała coraz bardziej, jej sierść straciła swój dawny blask, ale na plaży Bonnie była znów tym samym szczeniakiem, którego Julia i Peter podarowali Jenny.

Zostawiła buty w samochodzie, podwinęła nogawki jeansów i poszła za Bonnie po twardym piasku. Nigdzie indziej nie widziała piękniejszych fal. Wielkie, zwijające się tuby zielono-niebieskiego szkła rozbryzgiwały się w białą pianę, która rozlewała się po ubitym piasku i spływała z powrotem do Pacyfiku.

Szła bosą przez zimną pianę, o wiele zimniejszą niż Atlantyk czy

zatoka Long Island – tak głęboko, że fale ochlapwały jej spodnie. Zdawało jej się, że chcą ją wciągnąć w głąb oceanu, unosząc małe kamyczki i odłamki muszli.

Nieopodal brzegu cztery delfiny płynęły na północ, równoległe do brzegu linii wybrzeża. Bonnie usłyszała, jak jeden z nich wydycha powietrze przez nozdrza, i zaczęła biegać tam i z powrotem po piasku, szczekając. Wskoczyła do wody, przepłynęła kilkanaście metrów, ale nie mogła mierzyć się z delfinami. Julia usiadła na piasku, przypatrując się temu widowisku. Delfiny dawno zniknęły, ale Bonnie pływała dalej, kołysana przez fale.

Julia zrzuciła jeansy i koszulkę i weszła do oceanu w samej bieliźnie. Czowała chłód wody na nogach, ale zanurkowała bez wahania – przyzwyczajenie z dzieciństwa spędzonego na plaży. Czasem ludzie oczekiwali chwilę, żeby przyzwyczaić się do wody, ale nie Julia. Tego samego nauczyła Jenny.

Razem z Bonnie dryfowały z prądem i unosiły się na falach. Prąd odpływowy sunął szybko wzdłuż plaży i niósł je obie aż do następnej wieży ratowników.

Ponieważ sezon już minął, stanowiska ratowników stały puste, ale Julia była dobrą pływaczką i czuła się świetnie w słonej wodzie. To tutaj się odradzała.

Ocean i słońce sprawiały, że Julia znowu była sobą. Z początku płynęła forsownie, by potem pozwolić unosić się w wodzie. Wpatrując się w błękitne niebo, zastanawiała się, jakie pamiątki zostały Roberto po Rosie, czy znalazł jej lalkę, Marię, kiedy wrócił kilka miesięcy później do tego przeklętego głazu.

Wynurzyły się z Bonnie z oceanu niecałe pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym zaczęły pływać. Julia podeszła do swojego ręcznika, ale nie podniosła go, stojąc i schnąc w promieniach słońca. Miała przed sobą długi dzień i chciała zachować to rześkie uczucie, jakie opanowywało jej ciało po wyjściu z wody.

Pojechała do domu i zaczęła się przygotowywać. Opłukała Bonnie wodą ze szlauchy, wyczesła największe kołtuny i resztki wodorostów i wytarła ją ręcznikiem. Potem stanęła pod ogrodowym prysznicem – cóż za luksus – i stojąc w ciepłych promieniach słońca, spłukiwała z siebie

słoną wodę. Umyła włosy cytrynowym szamponem od ciotki – na etykiecie widniał napis „Casa Riley” i Julia wiedziała, że Graciela zrobiła go z kwiatów i owoców zebranych w sadzie.

W domu przebrała się w niebieską, bawełnianą halkę i nałożyła na nią granatowy sweter. Na stopy włożyła baletki, zastanawiając się przez chwilę, czy wziąć ze sobą torbę, którą zapakowała, w razie gdyby miała zostać na noc.

Spojrzała na Bonnie, rozważając, czy i ją zabrać. Wiedziała, że będzie zajęta, a nie chciała ryzykować, że suczka poczuje się zaniedbana. Mogła poprosić Roberto, żeby karmił i wyprowadzał Bonnie, ale wyjechał na długi weekend. Wzięła do ręki telefon.

– Kochanie, ominęła cię przepyszna kolacja – stwierdził Lion po drugiej stronie słuchawki.

– Wiem, przepraszam – odparła.

– To okropne, że musiałaś znosić towarzystwo tego nadętego dupka. Naprawdę aż tak cię zniechęcił?

– Nie. Jeśli mam być szczerą, Lion, to Święto Dziękczynienia było bardzo ważne dla Jenny...

– Okej, nie musisz już nic dodawać. Doskonale cię rozumiem.

– Tak właściwie, to chciałam prosić cię o przysługę.

– Hmm?

– Muszę pojechać do San Diego. Mam się zająć jednym projektem, ale nie wiem, jak dużo czasu mi zajmie. Mógłbyś przez ten czas wpadać tu, żeby nakarmić Bonnie?

– Nie ma problemu. Podjadę do Casa, nakarmię ją i wyprowadzę. Hmm... Jedziesz tam z kimś?

– Masz na myśli Roberto? Nie – odparła.

– Wiesz, słońce, samotna podróż może dobrze ci zrobić. Pewnie masz parę spraw do przemyślenia?

– Może – odpowiedziała i zaśmiała się cicho pod nosem. –

Wszystko w porządku, Lion, naprawdę. Dzięki, że zaopiekujesz się Bonnie. To tylko parę dni.

– Sama wiesz, co jest dla ciebie najlepsze – odparł. – Psiak będzie nakarmiony. Ja i ta suczka, dwoje staruszków, mamy sobie dużo do powiedzenia.

– Dzięki – powiedziała Julia i zakończyła rozmowę.

Bonnie, zmęczona zabawą na plaży i pływaniami, leżała w cieniu na tarasie, z którego roztaczał się widok na kanion i morze. Julia zauważyła, że Bonnie obserwuje myszołowy unoszące się na prądach wznoszących. Pochyliła się i ucałowała ją na pożegnanie.

– Niedługo wrócę – powiedziała, wiedząc, że Lion wkrótce przyjedzie zabrać ją na popołudniowy spacer.

Bonnie spojrzała na nią z wyrzutem. Rozumiały się. Żyjąc tak długo w samotności, stworzyły wspólny język, a teraz suczka szczeknęła cicho w łagodnym proteście.

Kiedy Julia wyjeżdżała z podjazdu, zobaczyła Roberto w sadzie – a jednak przyszedł. Stał na drabinie, przycinając gałęzie. Ich oczy się spotkały i pomachali do siebie. Zwolniła i przez moment zastanawiała się, czy powiedzieć mu, gdzie jedzie. Ostatecznie wcisnęła lekko gaz i odjechała.

Roberto

Niezależnie od tego, gdzie Julia wyjechała, Roberto miał nadzieję, że szybko wróci. Nie potrafił przestać o niej myśleć.

Señor Riley dawał zawsze swoim zarządom wolny weekend z okazji Święta Dziękczynienia, ale w tym roku sad wymagał większego nakładu pracy. Stojąc tak na drabinie, Roberto nie mógł pozbyć się wizji Julii wracającej z plaży i splukującej sól pod ogrodowym prysznicem. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Stała za treliazem, więc nie był w stanie zbyt wiele zobaczyć – czasami mignął mu kawałek nagiego ramienia czy pleców. Jednak wyobraźnia bez problemu poradziła sobie z tą przeszkodą. Słyszał, jak woda opłukuje jej ciało, widział, jak podnosi szczupłe ręce, żeby dobrze spienić szampon, prawie czuł, jak ciepła woda spływa po jej gładkiej skórze.

Planował poczekać, aż wytrze się do sucha i ubierze, zanim zjawi się u jej boku, porwie do sadu i znowu pocałuje. Zanim wyzna, jak wiele znaczyła dla niego wczorajsza noc. Niestety, Julia wsiadła do samochodu i odjechała, zanim Roberto zdążył zejść z drabiny.

W okolicy południa, kiedy słońce odbijało się od wód oceanu, tworząc świetlistą ścieżkę, Roberto usłyszał dźwięk samochodu na

podjeździe. Przez moment myślał, że to Julia, i nie mógł się już doczekać spotkania. Jednak nie był to silnik volvo, a kiedy jego oczom ukazał się bordowy jaguar XKE, wiedział już, że to pan Cushing. Co dziwne, wszedł do domu bez pukania.

Roberto zaczął się martwić, że wydarzyło się coś złego. Oplukawszy ręce wodą ze szlauchu, pospieszył w stronę kuchennych drzwi i zajrzał do środka. Żadnej żywej duszy. Zapukał głośno.

– *Hola!* – zawołał.

Ze środka dobiegł go odgłos szczekania, dochodzący być może z dużego, okrągłego tarasu wychodzącego na morze. Następnie usłyszał kroki i zaraz potem pan Cushing i Bonnie zjawili się w kuchni.

– *Señor Cushing*, Julii nie ma w domu – poinformował go Roberto.

– Owszem, uprzedziła mnie, że tak będzie. I, na Boga, mów mi Lion. – Mówiąc to, szperał w jednej z niższych szafek. – Gdzie ona trzyma karmę dla psa, do diaska?

– Już przynoszę – powiedział Roberto.

Poczuł gulę w gardle – dlaczego Julia nie przyszła do niego z prośbą o nakarmienie psa?

Roberto udał się do spiżarni, kucnął przy szafce stojącej obok zlewu. Sam przyniósł tu zakupy, w tym jedzenie dla Bonnie – komplet puszek z wołowiną oraz kilkukilogramowy wór karmy.

– O cholibka – powiedział pan Cushing. – Jak Julia karmi tę sędziwą suczkę? Połowa porcji na mokro i połowa na sucho?

– Dokładnie tak. Długo jej nie będzie?

Podstarzały aktor obdarzył go przyjaznym spojrzeniem.

– Oj, nie mam pojęcia, Roberto. Chyba sama nie była pewna, jak sprawy się potoczą.

Lion wsadził puszkę do elektrycznego otwieracza i otworzył wieczko.

– Czy to oznacza, że nie wróci na noc?

– Mhm. Poprosiła mnie, żebym zaopiekował się Bonnie pod jej nieobecność.

– Z miłą chęcią pana odciążę – stwierdził Roberto. – Przecież i tak jestem tu każdego dnia.

Poczuł ukłucie żalu, że Julia nie przyszła z tym do niego, że po

wczorajszej nocy tak po prostu wyjechała – bez słowa wyjaśnienia, bez pożegnania.

Lion przypatrywał się Roberto z błyskiem ciekawości w oku, kiedy ten mieszał w misce zawartość puszki z garścią suchej karmy.

– To bardzo miło z twojej strony – stwierdził. – Dziękuję. Dam Julii znać, że przejąłeś opiekę nad psiakiem. Wyprowadzisz Bonnie na spacer dzisiaj wieczorem i jutro rano?

– *Sí*, nie martw się.

– *Muchas gracias* – odpowiedział Lion.

Oboje przyglądali się, jak suczka opróżnia miskę do czysta. Roberto odnosił wrażenie, że tak jak on, Lion zdawał sobie sprawę z niezwyklej emocjonalnej więzi, jaka łączyła Julię z Bonnie.

– Czy Julia wspominała, dlaczego wyjeżdża? – zapytał.

– Niespecjalnie. Mówiła coś o jakimś projekcie. Ale powiem ci jedno, Roberto.

– Tak?

– Śmierć Jenny doprowadziła ją na skraj szaleństwa. Opowiadała ci, co się wydarzyło?

– *Sí*.

– Ta tragedia praktycznie wykończyła Julię. Zresztą możesz sobie to wyobrazić. A jednak zauważyłem, że w ciągu ostatnich tygodni coś się zmieniło. Przeszła prawdziwą transformację.

– Transformację? Co to takiego?

– Wróciła do świata żywych, *amigo*. Jest szczęśliwa.

Lion poklepał Roberto po ramieniu.

– I to twoja zasługa.

– Moja? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak. Julia naprawdę cię lubi. Sprawiasz, że jest szczęśliwa.

Lion podszedł do samochodu i wsiadł do środka. Silnik zaskoczył z przyjemnym rykiem.

– Możemy przynajmniej zaopiekować się nią, póki jest tutaj, z nami – stwierdził.

– I tak właśnie zrobimy, panie Cushing – odpowiedział Roberto.

– Jestem Lion! To całe „pan” sprawia, że czuję się, jakbym jedną nogą stał już nad grobem.

– Okej, Lion. Zapamiętam – zapewnił go Roberto.
– Może i jestem najstarszym człowiekiem w Hollywood, ale wcale się tak nie czuję! – zawołał, pędząc w dół podjazdu i trąbiąc na pożegnanie.

Julia

Siedziba Projektu Reunion sąsiadowała z Instytutem Oceanografii Scrippsa i mieściła się w La Jolla – daleko od granicy z Meksykiem. Juan Rios powiedział jej, że będzie otwarta w piątek i przez cały weekend i że może przyjechać, kiedy tylko zechce. Budynek posiadał szklane drzwi, ale nie miał żadnych okien i wyglądał dokładnie tak, jak powinien – niczym kostnica. Nic nie mogło tego zmienić, nawet fakt, że było to również miejsce, w którym rodziny spotykały zaginionych bliskich i w którym gromadzono i analizowano dane.

Zaparkowała samochód na pobliskim parkingu, podeszła do wysokich szklanych drzwi i zadzwoniła. Recepcja została uprzedzona o jej przyjeździe, więc Julię poinformowano, że dr Rios zaraz do niej zejdzie.

Zjawił się kilka minut później. Był niski i korpulentny, miał poprzetykane siwizną czarne włosy, a na rzemyku wokół jego szyi kołysały się fragmenty skorupy żółwia. Miał na sobie pogniecioną niebieską koszulę i spodnie w kolorze khaki. Przywitał ją długim i szczerym uściskiem, zupełnie jakby znali się od lat.

– Chris tyle mi o tobie opowiadał – zaczął z uśmiechem na twarzy.
– I vice versa.
– Znamy się już ładnych parę lat. Na studiach doktoranckich przydzielono nas do tego samego projektu w terenie.
– Chris lubi zamieniać pracę w dobrą zabawę – stwierdziła.
– Pracowałeś z nim przy uto-azteckim kopcu, mam rację?
– Tak, jedenaście lat temu.
– Cóż, bardzo się cieszę, że udało nam się spotkać.
– Wiem, że jesteś okropnie zapracowany.
– Nic podobnego. Od tego jesteśmy. Aczkolwiek jeśli nie masz nic przeciwko, może zjemy coś, zanim zabierzemy się do roboty? – Poklepał się po pokaźnym brzuchu. – Małe, ale częste posiłki. Zalecenie żony.
Wsiadli do jego samochodu – starego jeepa, który wyglądał tak,

jakby spędził więcej czasu w górach i na pustyniach niż na dobrze utrzymanych drogach La Jolla. Minęli ocean, którego fale rozbijały się o kamieniste wybrzeże, i Basen dla Dzieci – falochron wybudowany w 1931 roku, by stworzyć bezpieczne miejsce, w którym dzieci mogły się do woli bawić w wodzie.

– Teraz urzędują tu foki – stwierdził. – Ten ogromny kamień tuż przy brzegu to Seal Rock. Foki uznały chyba, że dziecięca plaża jest idealnym miejscem do rodzenia młodych i trzymania ich z dala od wszelkich zagrożeń.

Przypatrywała się połyskującym w słońcu stworzeniom. W pobliżu nie było żadnych dzieci. Przejechali jeszcze kilka kilometrów, po czym zaparkowali pod Rimel's – niewielką przytulną knajpką z przepięknymi obrazami na ścianach.

– Wszystko tu jest bardzo smaczne – stwierdził Juan, kiedy siadali do stolika. – Ryby i owoce morza są świeżutkie, łowione w pobliskich wodach, a jeśli gustujesz w rybnych tacos...

– Kupiłeś mnie.

Popijając mrożoną herbatę, rozmawiali o Chrisie i Maxine, o tym, jak Julia wyłudowała na Yale i o decyzji Juana, by studiować antropologię. Juan był Meksykaninem z pochodzenia i od zawsze fascynowała go mieszanka kultur oraz najróżniejsze ruchy migracyjne odpowiedzialne za obecny koloryt oraz charakter jego ojczyzny. Chciał się dowiedzieć, w jaki sposób jego pobratymcy zyskali swoją tożsamość.

Jedzenie wyładowało na stole i Julia musiała przyznać, że Juan miał rację. Rybne tacos było obłędne – świeży halibut, pikantna salsa oraz chrupiąca biała kapusta zamknięte w kukurydzianej tortilli. Zjedli w ciszy w łagodnym, popołudniowym mroku panującym w restauracji.

– Basen dla Dzieci – przerwała ciszę. – Pokazałeś mi go z jakiegoś szczególnego powodu?

– Nie, to po prostu jedna z atrakcji La Jolla. Dlaczego pytasz?

– Tak pomyślałam o tych wszystkich siatkach i murach, jak rzadko spełniają swoje zadanie, i jak to wszystko ma się do twojej pracy.

– Bystre spostrzeżenie. Siatki i mury.

– Zabezpieczające przed niechcianymi osobami.

– Niechcianymi. Dobrze to ujęłaś – stwierdził Juan.

- Opowiedz mi o swojej pracy. Projekt nosi nazwę Reunion, tak?
- Dokładnie tak. Ale zazwyczaj nie są to szczególnie szczęśliwe spotkania z bliskimi. Zajmuję się ofiarami śmiertelnymi – ryzykiem, jakie niesie za sobą nielegalne przekraczanie granicy.
- To znaczy?
- Przyjeżdżamy po ciała i kości znalezione na pustyni, próbujemy dokonać identyfikacji zwłok na podstawie danych dentystycznych, DNA, a czasami nawet ubrań i przedmiotów znajdujących się przy ciele. A potem informujemy rodziny w Meksyku, jaki los spotkał ich najbliższych. Od sześciuset do tysiąca ofiar rocznie, głównie w ciepłych miesiącach.
- Jakim cudem przeszedłeś od papierkowej roboty i badań w terenie związanych stricte z antropologią kulturową do badania ofiar nielegalnego przekraczania granicy?
- To wciąż antropologia, ale wykorzystywana w konkretny, specyficzny sposób. Granice uległy drastycznej zmianie od czasów, kiedy byłem młody.
- W jakim sensie?
- Ludzie zawsze migrowali. To zupełnie naturalne i oczywiste zjawisko w sytuacji, kiedy tak bogaty kraj jak Ameryka graniczy z tak biednym krajem jak Meksyk.
- Wiadomo.
- Tak. Tyle że USA pilnie strzeże swoich granic: Operacja Gatekeeper i te wszystkie siatki. Pierwsza faza projektu miała miejsce paręnaście kilometrów na południe od tego miejsca, od Pacyfiku po San Ysidro – granica między San Diego a Tijuana.
- Julia uważnie słuchała.
- To właśnie wtedy imigranci zaczęli kierować się na wschód i przeprawiać przez góry Otay i pobliską pustynię. Wtedy też próby nielegalnego przekroczenia granicy zaczęły zbierać tak potężne, śmiertelne żniwo.
- I to sprawiło, że postanowiłeś zmienić kierunek swojej ścieżki zawodowej?
- Tak. Same liczby, statystyki. Świeże szkielety. A potem wracaliśmy do miasta i widzieliśmy całe rodziny chodzące ze zdjęciami

swoich synów i córek, małżonków i rodziców. Bardzo mnie to poruszyło.

– Nie dziwię się – stwierdziła.

Pokiwał głową.

– Niektóre meksykańskie i środkowoamerykańskie rodziny żegnają się ze swoimi dziećmi i rodzicami w nadziei, że dostaną sygnał od nich, jak dotrą do Phoenix, L.A., Nowego Jorku czy innego większego miasta. Ale słuch po nich ginie. Nie mogłem sobie wyobrazić, jakie to musiało być uczucie, jak ci ludzie musieli żyć potem z tą świadomością, rok po roku. Widywałem te wszystkie ciała na pustyni i wiedziałem, że musi być jakiś sposób, żeby zwrócić je najbliższym. I tak dołączyłem do innych antropologów pracujących nad podobnymi projektami na terenie Teksasu i Arizony.

– Myślisz, że zdołamy dowiedzieć się czegoś na temat Rosy?

– Już zacząłem wgryzać się w tę sprawę – powiedział Juan. – Czas wrócić do biura.

Mężczyzna zapłacił rachunek, po czym wrócili na zacieniony parking, wsiedli do jeepa i wrócili do kostnicy. Julia zamknęła oczy i przywołała w myślach obraz uśmiechniętej, ciemnowłosej Rosy z opowieści Roberto – chciała zatrzymać to wspomnienie tak długo, jak to tylko możliwe, zanim wkroczą do budynku pełnego ciał i kości.

Minąwszy recepcję, zatrzymali się przy zamkniętych drzwiach opatrzonej plakietką „Projekt Reunion”. Juan wystukał kod i weszli do środka. Korytarz pachniał sosną i cytrusami, choć sztuczny aromat nie był w stanie w pełni zamaskować specyficznego chemicznego odoru.

Gdy dotarli wreszcie do biura Juana, mężczyzna przysunął drugie krzesło i poprosił Julię, by usiadła razem z nim przy biurku.

Przekreślił monitor w jej kierunku. Na ekranie pootwieranych było kilka okienek, w tym folder zawierający zdjęcia różnych czaszek.

– Współpracujemy z patomorfologami w zakresie wielu jurysdykcji – powiedział. – Zaczynamy oczywiście od odcisków palców i danych dentystycznych, ale czasami ciało jest w zbyt daleko posuniętym rozkładzie lub zostało rozczłonkowane przez dzikie zwierzęta, więc zostają nam tylko kości i skrawki ubrania.

Spojrzał na Julię, jakby upewniając się, jak przyjmuje te

wiadomości. Kiwnęła głową, czekając na ciąg dalszy.

– Mów dalej – poprosiła.

– Jednym z problemów, na które się natykamy, jest fakt, iż kości, które trafiają w ręce koronera, są często mocno zniszczone przez czas. Drapieżniki i temperatury panujące na pustyni niszczą wszelkie dowody poza śladowymi pozostałościami mitochondrialnego DNA. A to może zawęzić obszar poszukiwań do konkretnej rodziny, ale niestety nie wystarcza, by zidentyfikować danego człowieka. I tu zaczyna się zabawa.

– Co to za czaszki? – spytała.

– Razem z paroma kolegami po fachu opracowujemy genetyczną mapę Meksyku, Gwatemali i Ekwadoru. Kształt czaszki, długość i gęstość kości oraz inne czynniki pozwalają nam zawęzić obszar, z którego może pochodzić denat. Ludzie mieszkający w różnych regionach tych krajów posiadają czaszki o odmiennych cechach. W ten sposób możemy stwierdzić, że jeden nielegalny imigrant urodził się w Oaxaca, a drugi w Veracruz.

– I to pozwala wam zdobyć wystarczającą ilość informacji, by powiadomić rodzinę?

– Samo w sobie nie, ale w połączeniu z innym materiałem dowodowym, na przykład skrawkiem ubrania, owszem. W jednym przypadku były to nietypowe sneakersy z inicjałami narysowanymi na materiale, otoczone serduszkiem.

– Limonkowe sneakersy.

– Mała Rosa miała takie buty?

– Tak twierdzi jej ojciec.

– Możemy wprowadzić tę informację do naszej bazy danych – stwierdził, wpisując słowa klucze. – Jak wspominałem, zacząłem już poszukiwania na podstawie tego, co napisałaś mi drogą mailową. Czy jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

– Miała przy sobie lalkę, którą zrobiła dla niej prababcia.

– A co z jej matką? Ani razu o niej nie wspomniałaś.

– Rodzice Rosy nigdy nie wzięli ślubu. Byli młodzi, kiedy przyszła na świat, i ostatecznie Roberto wychowywał małą razem ze swoją babcią.

– A gdzie była matka Roberto?

– Zmarła.

– Okej. Więc Roberto zgarnęli *La Migra*, i co dalej?

– Kiedy siedział w areszcie, odszukał go agent straży granicznej – Jack Leary – który natknął się na odciski dziecięcych stópek w piasku i powiązał ten fakt z zatrzymaną grupą imigrantów. Roberto podał mu wszelkie możliwe wskazówki.

– I ten agent pojechał szukać Rosy?

– Tak, od razu, ale nikogo już tam nie było. Roberto jednak postanowił sam wszystko sprawdzić. Po dwóch dniach został deportowany do Meksyku. Udał się prosto do Altar i prześledził dokładnie drogę, którą poprowadził ich kojot, przeprawiając się ponownie przez granicę.

– Odnalazł tamten głąz?

– Tak, ale żadnego śladu Rosy.

Juan zamieścił wszystkie informacje w raporcie i Julia patrzyła, jak wysyła e-mail do pozostałych członków Projektu Reunion, rozsianych po całym południowym zachodzie.

– Nigdy nie wiadomo, jaką otrzymasz informację zwrotną – stwierdził. – Sprawdziłem już naszą bazę pod kątem kości młodej osoby płci żeńskiej odnalezionych w interesującym nas rejonie.

– I pokazały się jakieś wyniki? – zapytała.

– Aż za dużo – stwierdził. – Ale żaden przypadek nie odpowiadał kryteriom, które mi podałaś. Wszystkie dziewczynki były starsze, poza tym nie zgadzają się daty śmierci. Każda z nich umarła albo przed albo po 2007 roku.

– Co było przyczyną śmierci?

– Głównie przegrzanie organizmu i odwodnienie. Jedna z nich została ugryziona przez węża – na tym konkretnym odcinku pustyni można znaleźć dwadzieścia pięć odmian jadowitych węży.

– Według Roberto Rosa była tak odwodniona, że wpadła w delirium i opowiadała o swojej latającej lalce, oswojonej kózce i prababci.

– Tak to niestety wygląda – stwierdził Juan. – Jej organizm zaczął się już wyłączać.

– Więc dlaczego nigdy nie została odnaleziona?

– Nie wiem. Spory procent ludzi, którzy próbują przekroczyć granicę, wpada w ręce straży granicznej, ale wiemy, że Rosa nie znalazła się w tej grupie. Ci, którym udało się uniknąć tego losu, mają bardzo różne szanse na przeżycie, w zależności od wieku, siły, stanu zdrowia, a nawet szczęścia. Musimy założyć, że nie żyje, i to jest w tym wszystkim najtrudniejsze – bo nie dysponujemy dowodami, które mogłyby to potwierdzić.

– Poza tym przecież tak szybko zaczęli jej szukać. Roberto i ten agent, Jack Leary.

– Sprawdziłem go zaraz po tym, jak dostałem twoją wiadomość – powiedział Juan. – Pomyślałem, że może skontaktuję się telefonicznie z siedzibą straży granicznej w Tucson, ale tam powiadomili mnie, że Leary odszedł już na emeryturę. Brak danych kontaktowych.

– Też próbowałam go złapać. Może da się go inaczej namierzyć.

– Jak?

– Facebook.

– Twardziel ze straży granicznej na Facebooku? – Juan powtórzył z niedowierzaniem.

Ale postanowił sprawdzić, czy Julia nie ma racji, i spośród około setki Jacków Leary tylko jeden wyglądał na zmęczonego życiem, zaprawionego w boju agenta. Na zdjęciu obejmował drobną, niebieskooką kobietę z długim siwym warkoczem. Uśmiechnięci od ucha do ucha, pozowali do zdjęcia w ogrodzie, z kaktusami i ceglany domem w tle. Według informacji zamieszczonych na Facebooku mieszkali w Yuma, w stanie Arizona.

– To musi być on – stwierdziła Julia. – Roberto wspominał, że przekroczyli granicę na terenie Arizony.

Sięgnęła do klawiatury Juana, wklepała hasło i zalogowała się do własnego profilu.

– O, też tu jesteś? – zapytał.

– Dołączyłam do Facebooka ze względu na Jenny.

Napisała szybko wiadomość do Jacka Leary'ego.

Dzień dobry. Nie zna mnie pan, ale chciałabym porozmawiać z panem na temat jednego z dochodzeń, które pan prowadził – chodzi

o Rosę Rodriguez. Załączam swój numer telefonu. Bardzo proszę o kontakt.

– Jenny? – zapytał Juan.

– To moja córka – odpowiedziała z uśmiechem, nie rozwijając dalej tematu.

Planowała spędzić noc w Del Mar, raptem kilka kilometrów od La Jolla, i wrócić tu jutro z samego rana. Do tego czasu Juan może otrzyma jakieś odpowiedzi na e-maile, które wysłał. Ale teraz musiała odwiedzić jeszcze jedno miejsce.

– Dasz znać, jak dowiesz się czegoś nowego? – spytała, pakując swoje rzeczy.

– Oczywiście. To bardzo stara sprawa, ale nie poddawaj się. Zrobimy, co w naszej mocy, żeby odnaleźć Rosę.

– Dziękuję za wszystko. Naprawdę – odpowiedziała.

Uścisnęli się na pożegnanie i Julia wróciła do swojego samochodu. Morskie powietrze było rześkie i świeże, a od strony oceanu wiała silna bryza.

Wyciągnęła komórkę i wykręciła numer Liona.

– Cześć, skarbie.

– To ja.

– Wiem. Uroki identyfikacji przychodzących połączeń. Jak się czujesz?

– Wszystko w porządku. Wyjazd jest udany. A co u ciebie?

– Przede wszystkim Bonnie i Roberto mają się całkiem dobrze.

– A ty?

– Grrrr.

– Co się stało?

– Czytam właśnie Nabokova. Zadedykował *Pamięci, przemów* swojej żonie o wdzięcznym imieniu Vera. A to oznacza, że musiał ją kochać, rzecz jasna.

– Też mi się tak wydaje.

– Złości mnie, że twój wujek pisze wszystkie te naukowe książki i każdą jedną dedykuje Gracieli. To jak dobrze wymierzony policzek.

– O czym ty mówisz?

– Jest jej mężem – czy to nie wystarczy? Czy musi również

wyznawać swoją miłość na papierze, na wieki wieków? Ja jestem tylko aktorem – co miałbym zrobić, żeby to przebić?

– Odegrałeś z nią jedne z najpiękniejszych miłosnych scen, jakie zagościły na wielkim ekranie. Dlaczego jesteś dziś taki smutny?

– Nie mam pojęcia. Raz na jakiś czas przytłacza mnie świadomość tego wszystkiego.

– Jesteś kochany i uwielbiany przez wielu ludzi, w tym przeze mnie – stwierdziła.

– Ależ to żadne pocieszenie. To przyjemny rodzaj miłości, ale z pewnością nie sprawia, że masz ochotę wstać rano z łóżka. Bez obrazu.

– Cóż, dzwonię, żeby zameldować, że na pewno nie wrócę dziś na noc. Pamiętasz, że Bonnie trzeba rano nakarmić, prawda?

– Aaaaa, nie. Nie miałem jeszcze okazji poinformować cię, iż Roberto zaproponował, że zajmie się Bonnie. To taki miły człowiek.

– To prawda – przytaknęła. Dostała gęsiej skórki na sam dźwięk jego imienia. – Mówił coś jeszcze?

– Na twój temat? Owszem. Zmartwił się, że wyjechałaś bez żadnego uprzedzenia.

– Ach tak...

Zapadła długa, niezręczna cisza. Włączyła silnik i zaczęła nastawiać GPS na miasto Yuma w Arizonie, ale milczenie Liona sprawiło, że zatrzymała się w trakcie. Prawie słyszała, jak uśmiecha się pod drugiej stronie słuchawki.

– Tak że ten – odezwał się w końcu. – Zakładam, że zadzwonisz do niego i opowiesz mu o swoich planach.

– A mógłbyś wyręczyć mnie w tym temacie? – spytała.

Nie chciała tłumaczyć Roberto, gdzie była i co robiła.

– Oczywiście. Aczkolwiek jestem przekonany, że będzie straszliwie zawiedziony.

Julia nie odpowiedziała.

– Kochanie, jeśli w grę wchodzi sprawy sercowe, jestem do dyspozycji.

– Dziękuję, Lion.

– No dobrze, skarbie. Szerokiej drogi, gdziekolwiek się wybierasz. I wracaj szybko do domu.

– Tak zrobię – odpowiedziała Julia.

Zakończywszy rozmowę, ustawiła GPS i dotarło do niej, że jeśli nie trafi na korki, drogą nr 8 dojedzie do Yumy w mniej niż trzy godziny. Wyruszyła w stronę autostrady wyjazdowej z San Diego i ujrzała w lusterku wstecznym, jak zostawia w tyle Pacyfik.

Roberto

Roberto nakarmił Bonnie i gdy słońce zachodziło już za Wyspami Normandzkimi, zabrał ją na wieczorny spacer. Szli ścieżką, którą upatrzyła sobie Julia. Pracując w Malibu, Roberto skupiał się głównie na swoich obowiązkach, czyli utrzymywaniu sadu w jak najlepszym stanie. Ale suczka nie lubiła szybkich spacerów, więc i on musiał nieco zwolnić tempo – spróbował przy okazji spojrzeć na otaczający ich krajobraz oczami Julii.

Było to przepiękne miejsce, bez dwóch zdań. Omiótł wzrokiem długi kanion i cienie, które barwiły gęstą dąbrowę na złoto i zielono. Na samym dole ocean rozpościerał się aż po horyzont. Fale rozbijały się o pobliskie wybrzeże. Zobaczył surferów – maleńkie czarne kropki z tej wysokości – wyczekujących swojej szansy. W oddali toń przybierała już odcień ciemnego granatu poprzetykanego srebrnymi smugami – prądami morskimi, przywodzącymi na myśl odrębne ścieżki prowadzące do tajemnych miejsc.

Stamtąd, gdzie stał Roberto, można już było zobaczyć naturalne zaokrąglenie wybrzeża. Majestatyczne góry zdawały się wyrastać prosto z morza. Nie miał w zwyczaju patrzeć na otaczający go świat w taki sposób. Wychował się na wsi, gdzie miał częsty kontakt z naturą, przez co nie doceniał podobnych widoków. W Meksyku ciężko pracował na polach i w sadach, wracał do domu, żeby coś zjeść i porządnie się wyspać albo żeby pójść do szkoły, a potem wszystko zaczynało się od nowa. Otaczający krajobraz był czymś, co należało pokonać – przepawić się przez niego, podobnie jak przez granicę – a nie doceniać.

Bonnie stała tuż obok, opierając się o jego nogę. Położył jej rękę na głowie. Wiedział, że suczka mu ufa. Jego myśli zaczęły krążyć wokół Julii. Wyjechała tak nagle, że miał szczerą nadzieję, iż nie sprawił jej jakiejś przykrości. Może musiała odpocząć od jego towarzystwa. Wiedział, że przekroczył granicę, całując ją. Być może źle odczytał

sygnały.

Bonnie ruszyła dalej, więc Roberto poszedł w jej ślady. Spacerowali bez pośpiechu i kiedy tak wdychał chłodne morskie powietrze, zastanawiał się, jak by to było, gdyby Julia była teraz obok, gdyby wspólnie podziwiali okolicę. Gdy skręcili w jedną ze ścieżek, natknęli się na mulaki czarnoogonowe pasące się na polanie. Bonnie przepędziła stadko, obszczekując intruzów.

Roberto przyglądał się suczce ze szczerym podziwem. Na pierwszy rzut oka widać było, że to urodzony pies pasterski, i kiedy tak bez cienia strachu przepędzała mulaki, zobaczył przed sobą młodą, pełną życia suczkę, którą Bonnie kiedyś była.

Żałował, że nie ma z nimi Julii. Odszczekałby wtedy to, co powiedział, i zapełnił puste miejsca tym, co chciał powiedzieć. Kiedy Bonnie wróciła ze swojego szalonego pościgu, spojrzała mu prosto w oczy, szukając w nich pochwały i aprobaty, na co on pogłaskał ją po głowie.

– Grzeczna psina – zwrócił się do niej po angielsku, bo tylko taki język знаła. – Pani byłaby z ciebie dumna.

Julia

Droga nr I-8 prowadziła na wschód od klifów Sunset w San Diego, a w miejscu, gdzie skręcała na południe tuż poniżej Parku Narodowego Pustyni Anza-Borrego, praktycznie sięgała granicy z Meksykiem. Zaraz przed odcinkiem, gdzie droga zaczynała wspinać się po urwistych górach, nad autostradą wisiał ogromny znak z napisem „Border Friendship Route”. Minęła La Posta oraz rezerwaty Indian Campo i parła dzielnie do przodu, ścigając się z zachodem słońca.

Jadąc przez przełęcz pomiędzy dwoma szczytami, Julia wjechała do Imperial Valley, gdzie ruch samochodowy zaczął zwalniać. Dostrzegła migające światła gdzieś na przedzie. Kiedy tak toczyła się powoli za innymi wozami, zobaczyła trzy samochody wojskowe, SUV-a należącego do straży granicznej oraz dodge’a chargera.

Nad autostradą rozciągał się wiadukt i kiedy jechała tuż pod nim, zauważyła dwóch mężczyzn w kajdankach, których policjanci prowadzili do jednego z samochodów. Obaj mieli jasnobrązową karnację, a w ich sylwetkach można było doszukać się oznak kapitulacji

– zgarbione ramiona, spuszczone głowy. Wpatrywała się w nich, mając wciąż w głowie opowieści Juana, i zastanawiała się, ile razy próbowali już przekroczyć granicę.

Kiedy dotarła do Calexico, postanowiła zatrzymać się gdzieś na noc. Póki co nie otrzymała żadnej odpowiedzi od Jacka Leary’ego, a bez tego kontynuowanie podróży nie miało sensu. Miasto znajdowało się przy granicy, dokładnie naprzeciw Mexicali po meksykańskiej stronie. Szybko trafiła na cały rząd moteli i restauracji, a przez otwarte okno w samochodzie dochodziła muzyka *mariachi*.

Wjeżdżając na parking należący do motelu Flores Blancas, dostrzegła scenę ustawioną tuż przy wejściu. *Mariachi* ubrani byli na czarno z charakterystycznymi białymi splotami na klapach oraz wokół rąbków ich sombrero, a muzyka, którą wygrywali przy pomocy gitar i trąbek, była żwawa i wesoła.

Przez chwilę siedziała w samochodzie, rozmyślając o małej Rosie i o obietnicy, którą złożył jej Roberto – że będą mieszkali blisko rynku, na którym zbierali się *mariachi*. Poczowała, jak jeżą jej się włosy na głowie, zupełnie jakby tuż obok znajdowała się mała dziewczynka w limonkowych sneakersach, ze skrzydlatą lalką imieniem Maria w ręku.

Recepcjonista pozwolił jej wybrać jeden z kilku wolnych pokoi, przy czym każdy nosił nazwę jakiegoś białego kwiatu – Oleander, Lilia, Geranium, Róża. Julia zdecydowała się na ten ostatni, a kiedy dotarła już na miejsce, przekonała się, że ktoś potraktował temat przewodni nader poważnie – wszystko, od tapety po narzutę na łóżko, miało na sobie motyw białej róży. Sprawdziła telefon, na wypadek gdyby Leary próbował się z nią skontaktować, ale cisza. Nie pozostało już nic innego, jak udać się na zewnętrzny taras i zjeść coś dobrego.

Motelową knajpkę ocieniały ogromne drzewa figowe o błyszczących zielonych liściach i jasnoszarej korze. Na gałęziach porozwieszane zostały białe światełka, a na każdym stoliku znajdowały się świece i blaszane lampiony.

Całości dopełniały lekko powiewające na wietrze, kolorowe flagi rozwieszane na sznurkach – turkusowe, cynobrowe, szmaragdowe, karmazynowe i ciemnoróżowe. Powietrze było wciąż nagrzane, nawet po

zachodzie słońca. W menu Julia znalazła *ropa vieja*, które od razu zamówiła, przywołując w pamięci romantyczną kolację z Roberto. Klienci wykrzykiwali tytuły utworów, więc *mariachi* zaczęli grać *Contigo*.

Czekając na jedzenie, Julia przypomniała sobie o liście, który otrzymała od wuja. Wyciągnęła go z torebki i zaczęła czytać.

*Kochana Julio,
gorące pozdrowienia z Clifden, stolicy najpiękniejszego miejsca na ziemi – Connemary w Irlandii. Być tutaj to składać hołd naszym przodkom, poznawać ich i dzielić z nimi pragnienia. Ależ by Ci się tutaj spodobało, Najdroższa. Musisz odwiedzić kiedyś ten magiczny kawałek świata.*

Tymczasem razem z Gracielą chcielibyśmy Ci ogromnie podziękować za to, że opiekujesz się Casa Riley pod naszą nieobecność. Zakładam, że wszystko jest w najlepszym porządku, w przeciwnym razie pewnie być zadzwoniła. Zostawiliśmy Cię pod dobrą opieką (mam na myśli naszego zarządcę, Roberto), no i Lion jest przecież na wyciągnięcie ręki. Oboje z Gracielą bardzo miło wspominamy Twoje wizyty w Casa Riley, kiedy byłaś jeszcze małą dziewczynką, więc mamy nadzieję, że ponownie odkrywasz uroki Malibu, a w szczególności Casa Riley.

À propos Rileya, naszego imiennika – mój plan zbadania korzeni Johna Rileya ma się całkiem dobrze. Myślę, że pod koniec przyszłego roku powinienem już ukończyć nową książkę. Choć Clifden zapiera dech w piersiach, na kamienistym wybrzeżu tutejszej zatoki – i w cieniu Croagh Patrick, świętej góry Irlandczyków – natknąłem się na mnóstwo śladów cierpienia, które zmusiło naszych przodków do ucieczki przed słynnym głodem ziemniaczanym i emigracji do Stanów Zjednoczonych.

John Riley jest tu idealnym przykładem. Piszę Ci to, ponieważ wiem, że jako antropologa fascynują Cię schematy i ruchy migracyjne, a tutaj mamy świetne studium przypadku, w dodatku będące częścią naszej własnej rodowej historii. Ze względu na fakt, że wielu Rileyów zmarło z powodu panującego głodu, John postanowił wstąpić do armii brytyjskiej. Potrafisz to sobie wyobrazić? Ten wewnętrzny konflikt, któremu musiał stawić czoła – żarliwy Irlandczyk, który jest zmuszony

zasilić siły wroga, by przetrwać?

Być może jest to temat na jedną z Twoich książek, Julio. A przechodząc do sedna sprawy – czy mogłabyś mi w czymś pomóc? Jak już Ci wielokrotnie wspominałem i jak zostało to potwierdzone w dokumentach, po tym, jak Riley wyemigrował do Ameryki, walczył w piątym pułku piechoty przeciwko Meksykowi w wojnie amerykańsko-meksykańskiej.

Pojąwszy skalę niesprawiedliwości, jaka łączyła się z przejściem Teksasu oraz innych ziem należących do Meksyku – i najpewniej identyfikując się z brytyjską okupacją Irlandii – John zdezerterował i utworzył Batalion św. Patryka. Jestem dumny, że mamy takiego przodka, i wiem, że podzielasz moje odczucia.

Pamiętasz, jak śniłaś o nim jako mała dziewczynka? Przyjechałaś do nas w odwiedziny, usadowiłem Cię na kolanach i opowiedziałem historię Johna Patricka Rileya. Byłaś taka poruszona faktem, że został oszpecony literą „D” jak dezerner. Rozplakałaś się i poprosiłaś, żebym Tobie też narysował „D” na policzku. I tak właśnie zrobiłem, nie zapominając o własnym policzku.

Tamtej nocy przyśniło Ci się, że John był aniołem – że po swojej śmierci pozostał w Meksyku, by bronić ludzi, którzy potrzebowali, aby ktoś stanął w ich obronie. Powiedziałaś, że opiekował się dwiema dziewczynkami i że jedną z nich byłaś Ty. Zawsze zastanawiałem się, czy ten sen i Twoja wiedza na temat Johna Rileya wpłynęły na decyzję o studiowaniu antropologii, zwłaszcza że wybrałaś się na badania w terenie właśnie do Meksyku.

John dożył swoich dni w Veracruz, a na jego akcie zgonu widniało imię i nazwisko „Juan Reley”. Miał czterdzieści pięć lat, nigdy się nie ożenił, a wikariusz, który wypełniał akt, powiedział, że John zmarł z przepicia, bez ostatniego namaszczenia. Wiesz, że podobnie jak Ty jestem niepraktykującym katolikiem i mam pewność, że w chwili śmierci John Riley nie narzekał na brak sakramentów. Przez całe życie podążał za głosem serca i postępował zgodnie z sumieniem, a o ilu ludziach można coś takiego powiedzieć?

Jego irlandzkie imię to Seán Pádraic Ó Raghallaigh. Gdybym nie był już za stary, by mieć potomstwo, nazwałbym tak swojego

pierworodnego. Riley nigdy nie opuścił Meksyku, choć mógł to zrobić. To wszystko, czego się do tej pory dowiedziałem i czym chciałem się z Tobą podzielić.

Życie nikomu nie szczędzi cierpienia – nikt nie wie tego tak dobrze, jak Ty. Niech pocieszy Cię fakt, że nasz przodek walczył przeciwko niesprawiedliwości, i wbrew temu, co napisał tamten wikary, głęboko wierzę, że umarł z czystszy sumieniem niż cały cholerny Kościół. I wierzę, że John przekazał Ci wszystkie Boże łaski, Najdroższa.

Trzymaj się ciepło. Niech nasze rześkie powietrze ukoi Twoją duszę. Jeśli w którymś momencie stwierdzisz, że chcesz dołączyć do mojej grupy badawczej (którą stanowią na razie tylko ja), wiedz, że jesteś mile widziana. Moglibyśmy wspólnie napisać ostateczną biografię Johna Rileya. Graciela przesyła same ciepłe myśli.

Twój na zawsze

Wujek John

Julia zamknęła oczy, by lepiej wsłuchać się w muzykę i przypomnieć sobie te sny z Johnem Rileym w roli głównej. Faktycznie płakała kiedyś nad jego losem – nad tą bolesną mieszanką głodu, który dotknął jego rodzinę, i faktu, że musiał opuścić piękną Irlandię, a potem walczyć za coś, co kłóciło się z jego sumieniem. Wizja żołnierzy wypalających mu „D” na policzku i plujących na niego, i wyzywających go od dezerterów bardzo ją zasmuciła.

W końcu kelnerka przyniosła jedzenie, które Julia zjadła bez pośpiechu. Było smaczne, ale nie mogło się mierzyć z kolacją, którą kosztowała w towarzystwie Roberto. Przeczytała ponownie list wuja i zaczęła się zastanawiać, czy aby nie miał racji – czy wiedza na temat Johna Rileya posiadała aż taki wpływ na jej decyzje?

Owe sny były tak realistyczne. Zawsze, kiedy czegoś się bała, duch przodka chronił ją i stawał w jej obronie. Kiedy miała jedenaście lat, chłopak z sąsiedztwa naprzykrzał się jej, gdy wracała ze szkoły – ściągnął z niej płaszcz, choć był środek stycznia, i wrzucił go na drzewo. Tamtego dnia padał śnieg, więc musiała przejść resztę drogi – prawie półtora kilometra – w samej koszulce.

Tamtej nocy John Riley odwiedził ją, kiedy spała. Choć w Nowej Anglii była właśnie zima, we śnie Julia i jeszcze jedna dziewczynka przeprowały się przez dżunglę. Nagle na ich drodze stanął potwór – miał jasne włosy i niebieskie oczy, dokładnie jak chłopiec z sąsiedztwa, ale mierzył ponad trzy metry wysokości, pokryty był łuskami, a z paszczy wystawały mu zakrwawione kły. Rzucił się na przyjaciółkę Julii i w pewnym sensie było to o wiele straszniejsze, niż gdyby zaatakował samą Julię.

Czasami nie można krzyczeć w snach. A przynajmniej tak było w przypadku Julii. Otworzyła usta, ale nie dało się słyszeć żadnego dźwięku. Na szczęście Johna Rileya dobiegł nawet niemy krzyk małej Julii. Pojawił się znikąd, wyrwał dziewczynkę z łap potwora, postawił ją delikatnie na ziemi i zabił koszmarnie monstrum, by mieć pewność, że już nigdy nikogo nie skrzywdzi.

Mariachi podeszli do stołu Julii i zagrali piękną balladę, wyrrywając kobietę z zadumy. Pomyślała o Roberto i zrobiło jej się przykro, że nie siedzi tuż obok. Wciąż czuła na ustach jego pocałunek i wracała myślami do tamtego wieczoru w sadzie, kiedy stali tak przytuleni, ciało do ciała. Co się wydarzy, kiedy wróci do Casa?

Zakochiwała się w nim. To trwało już od paru tygodni, może nawet od pierwszej nocy, kiedy siedzieli razem na schodach. Gdy na nią patrzył, miała motyle w brzuchu – wprawdzie zawsze należała do emocjonalnych osób, ale kiedy była z Peterem, trzymała uczucia na wodzy. Kiedy płakała, on twierdził, że przesadnie dramatyzuje. Z czasem stała się ekspertem w sublimowaniu swoich pragnień.

Kiedy *mariachi* skończyli grać, zapłaciła rachunek i udała się do swojego pokoju. Sprawdziła telefon. Nie wyłączała go, ale głośna muzyka zagłuszyła dzwonek. Jack Leary zostawił jej wiadomość, w której podał swój obecny adres zamieszkania w Yumie i stwierdził, że czeka na jej przyjazd. Położyła się na łóżku przykrytym narzutą z białymi różami, zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że całuje się z Roberto pod drzewami cytrynowymi.

Jack Leary

Czekając na wizytę Julii Hughes, Jack ogarnął nieco salon i rozsunął zasłony. Louella na pewno byłaby zadowolona. Zawsze

powtarzała, że nie ma nic gorszego niż ciemny pokój w słoneczny dzień. Pewnie wyszłyby do ogrodu, ucięła garść swoich pustynnych traw i ułożyła je zgrabnie w wazonie. Jack pozwolił, żeby natura przejęła podwórko. Ostatecznie wykosił cały teren, zamieniając go w wysuszone, pozbawione życia poletko. Przynajmniej lepiej widział węże.

Nastawił kawę i usiadł przy stole kuchennym w oczekiwaniu na gościa. Dom był teraz taki pusty. Dwa podstarzałe koty Louelli, Lee-lee i Nomar, spały całymi dniami i w zasadzie w ogóle się nim nie interesowały. Co innego Sugar, yorkshire terier Louelli – tęskniła za swoją panią równie mocno, co Jack, i grzała mu stopy, kiedy ten czytał gazetę.

Wiadomości były przygnębiające, jak zawsze. Tutaj, w Yumie, większość z nich dotyczyła granicy. Kartele narkotykowe, porwania, nowy prezydent Meksyku i to, czy był lepszy czy gorszy niż jego poprzednik, kolejna siódemka nielegalnych imigrantów odnaleziona martwa w naczepie ciężarówki. I tak bez końca. Był tylko jeden powód, dla którego Jack został w Arizonie i nie wyprowadził się do Bostonu, skąd pochodził.

Louella. Chciała zostać pochowana obok swoich rodziców, na tyłach starego rancza, które z czasem – poza niewielkim cmentarzem – przekształciło się w centrum handlowe zawierające każdy sklep, jaki można sobie wyobrazić.

Jack usłyszał samochód wjeżdżający na podjazd.

Sugar podbiegła do drzwi moskitierowych, szczerząc i dzielnie strzegąc terenu, jakby była owczarkiem niemieckim.

– Dzień dobry! – przywitała się kobieta, kucając do poziomu Sugar. – Ale z ciebie odważna sunia, co? Grzeczna psina...

Jack otworzył drzwi i wypuścił suczkę, która wystrzeliła jak z procy i zaczęła biegać w kółko, wciąż obszczekując nieznajomą, ale po chwili skapitulowała i pozwoliła pogłaskać się po głowie. Ostatecznie wylądowała do góry brzuchem, domagając się dalszych pieszczot.

– Co z ciebie za pies obronny, Sugar? – zapytał.

– O, wzorowy! – stwierdziła kobieta. – Potrafię rozpoznać takie rzeczy. Po prostu wyczuła, że mam przyjacielskie zamiary. Myślę, że wyczuwa Bonnie.

– To pani pies?

– Tak, moja leciwa suczka. Niestety nie przyjechała ze mną. Stojąc, podała Jackowi rękę.

– Jestem Julia Hughes. Dziękuję, że zdecydował się pan ze mną zobaczyć.

– Jack Leary. Nie wiem, jak mógłbym pani pomóc, ale proszę wejść.

Wskazał, by usiadła przy kuchennym stole. Była drobna i niewysoka, ale miała ładną figurę. Wielkie niebieskie oczy i jasna cera, srebrzyste blond włosy. Na policzkach i ramionach można było dostrzec drobne piegi, przez co przypominała mu jego siostrę, Eileen, z czasów młodości. Zgadywał, że Julia Hughes była Irlandką.

– A więc przeszedł pan na emeryturę – odezwała się po tym, jak ugościł ją kubkiem świeżo zaparzonej kawy.

– Tak jest – odpowiedział. – Prawie dwa lata temu.

– To musi być miłe uczucie.

– Jasne. Cała masa wolnego czasu. Ale przejdźmy do rzeczy, w czym mógłbym pomóc, pani Hughes?

– Julia.

– Niech będzie – Julio.

– Tak jak pisałam w mailu, chodzi o pewną sprawę, którą pan się zajmował – odpowiedziała.

– Tak, tak, pamiętam. Niektóre sprawy mocniej zapadają w pamięć. To akurat jedna z nich.

– Może mi pan wyjaśnić dlaczego?

Przyglądał się jej znad kubka z kawą. Wyglądała na inteligentną, ale co to było za pytanie? Jack unikał reporterów i dziennikarzy jak ognia, bo prawda była taka, że próbowali zarobić dużą kasę na nieszczęściu innych ludzi.

– Dlaczego? Ponieważ zaginęła mała dziewczynka. A teraz może mi powiesz, z czego wynika twoje zainteresowanie tą sprawą? Nie wspominałaś, że jesteś dziennikarką, a już z pewnością nie pochodzisz z Meksyku.

– Czy muszę być rodowitą Meksykanką, żeby przejąć się losem zaginionego dziecka? – spytała.

Co, do diaska? Zachowywała się tak, jakby dostała od niego w twarz. Oczy tak szybko zaszyły jej łzami, że nie wiedział, jak zareagować. Otarła je i błyskawicznie doprowadziła się do porządku.

– Może zacznijmy jeszcze raz – stwierdził. – Co cię tu sprowadza?

– Chcę się dowiedzieć, co się stało z Rosą Rodriguez.

Pokiwał głową.

– Okej. Jesteś z nią spokrewniona?

– Nie. Znam jej ojca.

– Skąd?

Nie odpowiedziała.

Wpatrywał się w nią, zachodząc w głowę, ile wiedziała na temat tego całego imigracyjnego syfu. Domyślał się, że nie chciała wciągać w to ojca dziecka, żeby nie narobić mu kłopotów.

– Jestem emerytowanym agentem – powiedział. – Nie doniosę na niego.

– Nieważne. Jaka to różnica, skąd go znam? Opowiedział mi, co się wydarzyło. Minęło już pięć lat od zaginięcia Rosy. Znajomy z Projektu Reunion poinformował mnie, że żadne zwłoki, jakimi dysponują, nie pasują do jej opisu i DNA.

– Do diabła z nimi, gapią się tylko na ekran komputera. Kojoty mogły zaciągnąć ją daleko od głazu, przy którym zostawił ją jej ojciec.

– On jej tam nie zostawił – powiedziała stanowczym głosem.

Była gotowa błyskawicznie wystąpić w obronie ojca, zanotował w myślach Jack, ale ile tak naprawdę wiedziała? Przeprowadzanie się przez pustynię przypominało jedną wielką fatamorganę. Fakty rozplywały się i wyparowywały w parzącym słońcu. Ale w tym przypadku miał pełną świadomość błędów i niedociągnięć, jakich dopuściła się jego jednostka tamtego pechowego dnia.

– Opowiedział nam o niej, ale zanim zdążyliśmy wszystko posprawdzać, dziecka już nie było. I podejrzewam, że wrócił w to miejsce, żeby przekonać się na własne oczy.

– To prawda – przyznała. – Więc co mogło się tam wydarzyć? Minęło raptem parę godzin. Jej ojciec twierdzi, że Rosa była tak odwodniona i wycieńczona, że nie odeszłaby nigdzie o własnych siłach.

– Raczej nie dałaby rady – stwierdził.

– Czy szukał pan śladów stóp? Miała na sobie...

– Jaskrawozielone sneakersy, wiem. I tak, oczywiście, dokładnie przeszukaliśmy teren. Wezwaliśmy nawet...

Zatrzymał się w połowie zdania. Nie ma powodu, żeby ta kobieta poznawała tajniki pracy służb granicznych czy żeby wiedziała więcej, niż to potrzebne. Istnieje cienka granica pomiędzy przekazywaniem ludziom informacji a rozbudzaniem w nich fałszywej nadziei.

– Kogo wezwaliście? – zapytała.

– Posłuchaj – stwierdził poważnie, zmieniając temat. – Dlaczego interesuje cię ta sprawa? Nie jesteś członkiem rodziny. Nie jestem pewny, czy mam prawo z tobą rozmawiać, nie wspominając już o wyjawianiu poufnych informacji.

– Gdybym należała do rodziny dziewczynki, czy miałabym jakieś prawa?

– Ha, nieposiadający dokumentów Meksykanie nie mają żadnych praw, to prawda. Ale z drugiej strony, dlaczego w oczach ludzi takich jak wy straż graniczna i ICE są zawsze tymi złymi? Przyjeżdżasz w okolice granicy – chcesz mi powiedzieć, że to twój pierwszy raz?

Przytaknęła.

– I chcesz pomóc, rozumiem to. Ale to nasza praca i nie znasz choćby połowy prawdy. Zatrzymujemy ciężarówkę i nie wiemy, czy będzie napakowana rodzinami szukającymi lepszego życia czy uzbrojonymi w AK kurierami narkotykowymi pracującymi dla kartelu Sinaloa. A kojoty, którzy „pomagają” ludziom przeprowić się przez granicę... Paniusiu, ich interesuje wyłącznie kasa, zapewniam. Zabierają tych biednych ludzi przez najdziksze i najbardziej niebezpieczne rejony pustyni tylko po to, żeby uniknąć spotkania z nami, a w efekcie giną ludzie. Bardzo dużo ludzi. Ojciec Rosy nic pani o tym nie wspominał?

– Wspominał.

– Z tego, co pamiętam, kilku członków tamtej grupy straciło życie.

– Wcześniej mówił pan o wzywaniu kogoś... Proszę, niech pan mi powie, o kogo chodzi.

Wrócił myślami do tamtego dnia, próbował poukładać sobie w głowie fakty i szczegóły. Przed jej przyjazdem zapoznał się ponownie z aktami. Wiedząc, że przechodzi na emeryturę, zrobił sobie kopie

dokumentów dotyczących około dwudziestu spraw, które nie dawały mu spokoju. A to z całą pewnością była jedna z nich – z powodów, których Julia Hughes mogła nie chcieć poznać.

– Wiesz, najlepiej by było, gdybyś zwróciła się znów tam, gdzie już byłaś – stwierdził. – Do Projektu Reunion. Pojechałaś do ich siedziby w Tucson?

– San Diego. Spotkałam się z dyrektorem Juanem Riossem.

– Skąd go znasz?

– Przez przyjaciela, jednego z dobrych znajomych Juana.

W pewnym sensie zajmujemy się tym samym obszarem nauk, antropologią. Wprawdzie Juan wyspecjalizował się w kryminalistyce, ale jednaście lat temu spędziłam razem z córką sporo czasu na pustyni, prowadząc badania na terenie Meksyku.

– Ile lat ma twoja córka?

– Tamtego lata miała dziesięć lat – odpowiedziała Julia.

I tym sposobem Leary wiedział już wszystko, co potrzebował wiedzieć. Sposób, w jaki zamknęła oczy, jak się zawahała, to, że podała mu nieaktualny wiek córki. Zrozumiał, dlaczego uczepliła się sprawy Rosy Rodriguez.

– Jak się nazywała? – zapytał.

– Jenny.

– Co się z nią stało?

– Wypadek samochodowy.

– Bardzo mi przykro – powiedział.

– Skąd pan wiedział?

Uśmiechnął się smutno pod nosem. Było tyle wskazówek – to, w jaki sposób odpowiadała na jego pytania, smutek w jej błękitnych oczach. I ta misja, z którą wyruszyła – musiał przyznać, że było to coś nadzwyczajnego. Ludzie, którzy kontaktowali się z nim, byli zazwyczaj dziennikarzami szukającymi tematu lub znaturalizowanymi Meksykanami próbującymi odnaleźć swoich bliskich. Julia robiła, co mogła, żeby odnaleźć Rosę Rodriguez, by zagłuszyć własne cierpienie. I dlatego Leary postanowił powiedzieć jej całą prawdę.

– Cieniste Wilki.

– Słucham? – zapytała.

– Spytałaś mnie, kogo wezwaliśmy do pomocy przy sprawie zaginięcia Rosy. Cieniste Wilki. To elitarna jednostka, mistrzowie w tropieniu. Rdzenni Amerykanie. Zazwyczaj korzystamy z ich pomocy, kiedy próbujemy złapać handlarzy narkotyków, którzy robią za woły pociągowe transportujące kokainę i metamfetaminę. Jednak tym razem poprosiłem, żeby poszukali małej Rosy.

– Dlaczego?

Milczał przez kilka minut, po czym wstał, nalał im świeżej kawy i przypomniał sobie wreszcie o muffinkach, które kupił tego ranka w pobliskim sklepie. Postawił je na stole. Louella byłaby z niego dumna. Wrócił na swoje miejsce i spojrzał Julii głęboko w oczy.

– Zdecydowałem się wprowadzić Cieniste Wilki, bo pewne rzeczy nie zgadzały się w tej historii.

– W historii Roberto? – zapytała.

Zobaczył, jak jej twarz traci wszelkie kolory.

– Nie – odpowiedział szybko. – Wierzyliśmy mu. Ale niedługo po tym, jak złapaliśmy jego grupę, na tej samej trasie pojawili się inni imigranci. Aresztowaliśmy sześciu z nich, ale reszta, w tym przewodnicy, zdołała uciec.

– Czy jeden z tych ludzi mógł uratować Rosę? – spytała.

– Chcieliśmy tak myśleć. Dlatego wezwaliśmy Wilki – żeby namierzyły tę drugą grupę.

– I czego się dowiedzieli?

– Nic, co byłoby na tyle pewne, by ci o tym powiedzieć. Mógłbym spytać Lathama Neza, czy zechce się z tobą spotkać. Nie jest to najbardziej wylewny człowiek na świecie, ale jeśli poproszę go o taką przysługę, może się zgodzi. Latham dowodził grupą, która zajmowała się wtedy sprawą Rosy.

– Poprosisz go?

Leary spojrzał na zdjęcie, na którym stał razem z Louellą na tle ich przyczepy kempingowej. Wycieczka do parku Yellowstone cztery lata temu. Czuł teraz przy sobie jej obecność. Wiedział, że chciałyby, żeby pomógł matce Jenny.

Nie odnajdą już Rosy, ale przez te wszystkie lata nauczył się, że żadna misja poszukiwawcza nie idzie na marne. Znalezienie ofiary nie

zawsze jest głównym celem. W gruncie rzeczy rzadko się zdarza, żeby było.

Pokiwał głową i wykręcił numer przy Julii.

– Latham Nez, kopę lat. Tu Jack Leary.

Rozdział 7

Julia

Latham Nez mógł się z nią spotkać dopiero następnego dnia, więc zameldowała się w motelu Sonoran, parę kilometrów od domu Jacka. Wprawdzie Jack zaproponował, żeby została na obiad, ale była zbyt zmęczona. Powiedziała, że zobaczy się z nim z samego rana.

Motel utrzymany był w stylu południowozachodnim – w lobby witały gości kaktusy, a ściany pomalowane były na kolor ceglasty, żółty i niebieski. Kiedy dotarła do swojego pokoju, włączyła klimatyzację i położyła się na wznak na łóżku.

Gapiła się na numer Roberto zapisany w telefonie. Chciała zadzwonić, ale musiałaby wytłumaczyć sporo kwestii. Możliwe, że dowie się czegoś nowego na temat Rosy – czy powinna już teraz mu o tym powiedzieć, czy poczekać, aż spotka się z Lathamem Nezem?

Głowa pękała jej od natłoku myśli i pomysłów dotyczących Rosy, ale serce wciąż pamiętało tamtą podróż do Meksyku z Jenny u boku. Zatrzymywały się w dokładnie takich motelach jak ten. Uwielbiała te żywe kolory, ten przytulny wystrój. I choć tak bardzo nie chciała wyjeżdżać z Black Hall tamtego lata, przeniosła elementy tego stylu do domu – pomalowała swój pokój tak, by przywodził na myśl typowe *pueblo*, w kolory zachodu słońca. Efektu dopełniał dostojny wiąz za oknem, niczym obraz w pięknej ramie zawieszony na środku ściany o barwie ochry.

Jenny dzwoniła do swojego taty praktycznie każdego wieczora. Julia witała się z nim na koniec, ale rozmowa koncentrowała się głównie na typowych babskich plotkach w wydaniu Jenny – co nowego zobaczyła, jakich nowych potraw skosztowała, jak bardzo tęskniła za plażą. Julii robiło się sucho w gardle, kiedy miała przejąć słuchawkę. Peter sprawiał wrażenie łaskawego, jakby pozwolił żonie spędzić trochę czasu poza domem, na wakacjach. Na samą myśl o tym coś się w niej gotowało.

Zawsze czujna, Jenny szybko to wyłapała. Przyglądała się matce, kiedy ta rozmawiała z Peterem, jakby próbując rozgryźć ich małżeństwo.

– Rodzice Alice rozwodzą się – powiedziała którejs nocy

w motelu, bardzo podobnym do tego, w którym była teraz Julia. Miały do dyspozycji dwa podwójne łóżka, i choć położyły się już spać, żadna nie mogła zasnąć.

– Wiem – odpowiedziała Julia.

– To takie smutne, jak rodzice decydują się na rozwód – stwierdziła cicho Jenny.

– To prawda – przytaknęła Julia, wyczuwając, do czego córka zmierza.

– Szkoda, że spędzamy lato z dala od taty.

– Niedługo do niego dołączymy.

– Kiedy wracamy do domu?

– Za jakieś trzy tygodnie – odpowiedziała Julia. – Zostanie nam jeszcze spory kawałek lata do wykorzystania.

– Możemy razem wybrać się na plażę i robić to, co zawsze.

– Pewnie.

– To nie są najlepsze wakacje w moim życiu – stwierdziła Jenny.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Jen.

W odpowiedzi córka zafundowała jej teatralne westchnienie i rzuciła się na łóżko. Tamtego tygodnia Jenny zaczęła konstruować w głowie wizję swojego przyszłego związku. Julia znalazła listę, którą Jenny spisała na motelowej papeterii. Fakt, że kartka leżała na stoliku nocnym, a nie była schowana w pamiętniku, oznaczał, że zawarte w niej punkty powstały również z myślą o Julii.

Miłość jest najważniejsza.

Nie będziemy mieli przed sobą żadnych tajemnic.

Wypowiedzianego na głos „kocham Cię” nie można już cofnąć.

Nigdy nie będziemy spędzać wakacji osobno.

Nigdy nie będziemy spędzać nocy osobno, chyba że któreś z nas będzie w szpitalu czy coś w tym stylu.

Każdego dnia będziemy rozmawiać ze sobą przez telefon.

NIC nie jest ważniejsze od dzwoniącego męża czy żony.

Wieczna bliskość.

Wspólne jadenie posiłków KAŻDEGO DNIA.

Teraz, jedenaście lat później, Julia zamknęła oczy i rozmyślała o tym, jak skrupulatnie Jenny realizowała swój plan. Kochała

Timmy'ego z całego serca i przez przynajmniej rok Timmy odwzajemniał jej uczucia. Może ta żarliwość i ta intensywność z czasem zwyczajnie przerosły chłopaka – podobnie jak to było w przypadku Julii i Petera.

Trzymając w ręku telefon i czując, jak serce galopuje jej w klatce piersiowej, Julia wpatrywała się w imię Roberto. W końcu odważyła się nacisnąć „Zadzwoń”, ale po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa. Poczula jednocześnie rozczarowanie i ulgę.

– Cześć, Roberto. Tu Julia. Chciałam ci tylko podziękować za opiekę nad Bonnie. Lion o wszystkim mi powiedział.

Przerwała na chwilę, przytłoczona liczbą rzeczy, o których chciałaby mu powiedzieć, oraz pewnością, że nie poruszy żadnego z tych tematów.

– Proszę, pogłaskaj ją ode mnie i przekaz, że niedługo wrócę. Jutro lub pojutrze. Tęsknię za nią... i za tobą też. Dobranoc, Roberto.

Roberto

Roberto, który przebywał właśnie w Casa, nie odebrał telefonu od Julii, gdyż wyprowadzał w tym czasie Bonnie na wieczorny spacer. Komórka ledwo łapała zasięg, a im bardziej oddalał się od domu, tym było gorzej. Kiedy wrócił i wlał Bonnie świeżą wodę do miski, wysłuchał wiadomości na poczcie głosowej. Głos Julii był łagodny i miły dla ucha, więc przesłuchał ją jeszcze raz, zwłaszcza fragment, w którym mówiła, że za nim tęskni.

Chciał do niej oddzwonić, ale w zasadzie nie prosiła o to i wyraźnie powiedziała „dobranoc”. Więc gdziekolwiek teraz była, pewnie poszła już spać. Nie chciał jej przeszkadzać, ale wzruszył go fakt, że zadzwoniła.

Siedział przy kuchennym stole i przez długi czas głaskał Bonnie między uszami. Suczka położyła brodę na jego kolanie i wpatrywała się w niego tymi swoimi ogromnymi, dwukolorowymi oczami. Przypomniawszy sobie, jak zobaczył ją po raz pierwszy i pomyślał, że jego babka z pewnością wyzwałaby ją od *bruja*. Ale poznawszy już lepiej Bonnie, wiedział, że nie było w niej niczego wiedźmowatego.

Roberto postanowił przejść się przez pokoje. Zostawił parę świateł włączonych dla psa, żeby sprawić wrażenie, że dom wcale nie jest pusty.

Nie spodziewał się wizyty włamywaczy, zważywszy że sam przebywa na terenie Casa, ale lepiej dmuchać na zimne.

Kiedy dotarł do pokoju, w którym sypiała Julia, zatrzymał się w progu, po czym wszedł do środka. Jej walizki stały w kącie, ale wypakowała torbę pełną książek i ułożyła je w stosach na biurku. Obok nich stała jakaś fotografia w ramce i, czując się trochę nieswojo, Roberto podszedł, żeby się jej przyjrzeć.

Zobaczył Julię obejmującą nieznaną mu dziewczynę, najpewniej Jenny. Stały na ganku domu, uśmiechając się do zdjęcia. Roberto dostrzegł podobieństwo w ich oczach, kształcie buzi, uśmiechach. Dotknął ich twarzy. A potem nie mógł się powstrzymać – wyciągnął z kieszeni portfel i schowane w nim zdjęcie Rosy. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego to zrobił, ale wsadził zdjęcie córki w róg ramki – chciał, żeby były blisko siebie, Julia i ich dwie córki. Planował schować zdjęcie z powrotem do portfela, zanim Julia wróci do Casa, ale póki co zostawił je tam, gdzie było.

Wychodząc z pokoju, zatrzymał się na chwilę przy łóżku. Spojrzał na nie i przyłożył rękę do poduszki. Choć nie był religijny, pragnął pobłogosławić Julię z jej podróżami i marzeniami. Tylko taki gest wpadł mu do głowy.

A potem wyszedł.

Jack

Podczas gdy Jack Leary wiózł Julię Hughes na spotkanie z Lathamem Nezem, opowiedział jej trochę więcej o elitarniej grupie tropicieli.

– Cieniste Wilki specjalizują się w tropieniu śladów. Każdy członek musi być przynajmniej w jednej czwartej rdzennym Amerykaninem. Patrolują stutrzydziestokilometrowy odcinek wzdłuż granicy, który należy do rezerwatu Tohono O’odham.

– Co sprawia, że są tak dobrzy? – zapytała.

– Umiejętności przekazywane od pokoleń. Niektórzy przemytnicy są prawie równie dobrzy w zacieraniu swoich śladów. Ale Cienisty Wilk zauważy jeden kamyk nie na swoim miejscu, dosłownie, i parę kilometrów dalej dorwie swoją ofiarę.

– Pracują dla rezerwatu?

– Nie. Należą do ICE, amerykańskich służb granicznych. O, widać już jeepa Lathama.

Julia nie mogła oderwać oczu od pustyni. Usłyszeć o tym miejscu to jedno, ale zobaczyć na własne oczy i poczuć ten niewyobrażalny skwar przez okna samochodu – pomimo klimatyzacji pracującej na pełnych obrotach – to już nie były przelewki. Jack zatrzymał się za samochodem Lathama i przywołał go przez krótkofalówkę, żeby dać znać, że są na miejscu.

Kiedy tak czekali w chłodnym wozie, Julia zapytała ni stąd, ni zowąd:

– Jacku Leary, czy jesteś Irlandczykiem?

– A jak! Czy można mieć jeszcze jakieś wątpliwości przy takim nazwisku jak Leary?

– Zanim wyszłam za mąż, nazywałam się Julia Riley.

– Ha, już wiem, dlaczego od razu cię polubiłem. Z jakiej części wyspy pochodzi twoja rodzina?

– Z Connemary – odpowiedziała. – Mój wuj przebywa tam teraz i wgryza się w historię naszego przodka. Słyszałeś kiedyś o Johnie Rileyu?

Leary uśmiechnął się od ucha do ucha, zaczął szperać w schowku, w końcu wyciągnął płytę CD i włożył ją do stacyjki. Tim O'Brien zaczął śpiewać o Johnie Rileyu, który przybył z Galway, by pokonać armię USA.

– To on.

– Każdy Irlandczyk, który przekroczył kiedyś granicę, szybko dowiaduje się, kim był John Riley.

Latham podszedł do samochodu. Wychodząc na piekielny upał, Leary przedstawił mu Julię.

Latham miał na sobie tradycyjne ubranie maskujące i kapelusz z szerokim rondem. Jego ciemna skóra była ogorzała od słońca, a postura wskazywała, że mają do czynienia z silnym i dumnym mężczyzną. Należał do plemienia Tohono O'odham, ale Leary słyszał kiedyś, że w jego żyłach płynie również krew Nawahów. Cieniste Wilki pochodziły z kilku różnych plemion, takich jak Siuksowie, Czarne Stopy, Lakota czy Yaqui.

– Co mogę dla pani zrobić? – zapytał.

– Szukam informacji na temat małej dziewczynki, która zaginęła pięć lat temu. Jack stwierdził, że może mi pan pomóc.

– Mówiłem ci już w skrócie, o co chodzi – zwrócił się do niego Leary.

Latham nie był zbyt rozmowny, zwłaszcza jeśli chodziło o sprawy dotyczące pracy służb granicznych, i ostrożnie szafował wszelkimi informacjami.

– Sześciolatka z Puebla, zatrzymaliśmy jej ojca, a ona została przy głazie w sektorze 34 12 maja 2007 roku – wyłuszczył mu Leary.

– Mhm.

Jack gapił się na niego, tracąc powoli cierpliwość. Jeśli Latham miał zamiar zachować się jak dupek i potraktować go jak outsidera, Leary nie ręczył za siebie.

– Rosa Rodriguez. Rozmawialiśmy już o tym – spróbował jeszcze raz.

– Co chciałaby pani wiedzieć? – Latham zwrócił się do Julii.

– Co się z nią stało?

– Niestety nie dysponujemy taką wiedzą.

– Do cholery, Latham. Powiedz jej to, co powiedziałeś mnie.

– Gorąco tu – stwierdził Latham. – Zwłaszcza jeśli człowiek nie jest przyzwyczajony do temperatur panujących na pustyni.

– Niedaleko stąd jest bar Applebee. Ja stawiam – powiedział Leary.

– Pogadamy na miejscu – odpowiedział Latham.

Rozdział 8

Julia

Usiedli w boksie, zamówili lunch i mrożoną herbatę, a gdy kelnerka podała jej sałatę, nie mogła przełknąć ani kęsa. Z uwagą wsłuchiwała się w każde wypowiedane przez Lathama słowo.

– Ta skała, przy której ojciec Rosy ją zostawił – zaczął Latham – to było nasze główne źródło informacji. Wraz z kolegami od razu ustaliliśmy, że na krótko po tym, jak złapano jej ojca, zabrała ją inna grupa.

– Grupa? – zapytała.

– Ludzie przekraczający granicę – odparł. – Najczęściej podróżują w grupach.

– Ale kto zabrałby Rosę i tego nie zgłosił? Może nie tak od razu, ale gdy dotarliby już bezpiecznie na miejsce, gdziekolwiek by to nie było?

– Ludzie z różnych powodów udają się na pustynię – Latham stwierdził rzeczowo. – Kojoty to przemytnicy. Owszem, pomagają niewinnym ludziom przejść przez granicę. Ale krążą o nich również paskudne plotki.

– To prawda – dodał Jack. – Mogli mieć wiele powodów, by nie zgłosić niczego na temat Rosy. Może próbowali, ale nie wiedzieli, z kim się skontaktować. Przebywając tu nielegalnie, sami mocno się narażają, a pewnie nie chcieli pakować siebie – lub rodziny Rosy – w kłopoty.

– Tak czy siak – ciągnął dalej Latham – wytropiliśmy tę grupę przed głazami, a potem za nimi. Ślady stóp mówią wszystko o wzroście, wadze, czasie narodowości, zależnie od noszonego obuwia oraz od tego, czy ludzie mają ze sobą plecaki lub jakieś inne bagaże.

– Jeden z wędrowców zabrał ze sobą Rosę? – Julia zapytała, nie mogąc ukryć podekscytowania.

– Tak. Patrząc na ślady, szybko stwierdziliśmy, że jeden człowiek zaczął nieść dodatkowe dwadzieścia jeden kilo obciążenia. To niewiele jak na sześciolletnią dziewczynkę, ale zakładając, że pochodzi z biednego miasta Roberto, Santa Cruz Tlaxcala, to wszystko pasuje.

– Jak długo ich śledziłeś?

– Szmat drogi. Wyglądało na to, że zgubili się, zanim dotarli do głównego szlaku. Zboczyli w stronę wzgórz.

– I dotarli na miejsce?

– Niektórym mogło się udać – odparł Latham. – Znaleźliśmy cztery ciała.

– Och – powiedziała, czując, jak przewraca się jej w żołądku.

– Teren stał się bardziej skalisty i utrudniał poszukiwania. W końcu ścieżka przecięła się ze szlakiem, z którego część osób mogli zabrać znajomi.

– A Rosa?

– Nie znaleźliśmy jej ciała – odpowiedział Latham. – Ale znaleźliśmy to.

Przyniósł ze sobą folder, otworzył go i przesunął w stronę Julii dwa różne zdjęcia. Na każdej z nich widniała mała, pojedyncza, pokryta kurzem limonkowa tenisówka.

– Leżały w odstępach pół mili. Żadna z nich nie znalazła się na szlaku, na którym wytropiliśmy grupę. Znaleźliśmy je na wyboistym, górskim terenie. A to nie jest dobry znak.

– Mogła je zgubić – stwierdziła Julia. – Mogły spaść jej ze stóp, gdy ten człowiek ją niósł. Albo mogła je wepchnąć między skały w trakcie marszu. Coś takiego przytrafiło się mojej córce, Jenny, gdy zbierałyśmy kraby podczas odpływu. Jedna z tenisówek po prostu utknęła pomiędzy głazami, tak że nie można było jej wyciągnąć, i zsunęła się ze stopy...

– Widzisz to? – Latham zapytał, wskazując na brązową plamę pokrywającą bok prawej tenisówki. – To krew.

– To może być błoto.

– Zrobiliśmy badania.

– Może miała pęcherz, który zdarła do krwi, lub upadła i otarła sobie kostkę.

– Bardziej prawdopodobne jest to, że zwierzęta wywlekły jej ciało z miejsca zdarzenia – odparł Latham.

– Kiedy do tego doszedłeś? – Jack zapytał ze złością, urażony, że nikt mu wcześniej o tym nie powiedział.

– Słuchaj, jesteś na emeryturze. Przejrzałem te akta, by

wyświadczyć ci przysługę. A ta sprawa liczy sobie już pięć lat. Poszedłem za tropem, a resztę roboty wykonano w laboratorium.

Jack rozłożył zdjęcia na stole i wpatrywał się w nie.

– Jack, to tylko teoria. Ale jest to nasza najbardziej sensowna teoria. Gdybyśmy mogli poświęcić sto procent czasu na sprawę Rosy Rodriguez, zyskalibyśmy pewność. Wiesz jednak, jak to jest. Jakie mamy wsparcie. Te wzgórza roją się od kojotów i pum. Sądzymy, że jeden z tych drapieżników wywlókł ciało Rosy, a jej kości są porzucane po całym terenie.

– Ale nie ma całkowitej pewności – odparł Jack. – Zabierz ze sobą swoje Wilki i znajdź jej szczątki.

– Szczątki? Nawet nie wiesz, czy właśnie tego trzeba szukać. Mogła przeżyć – stwierdziła Julia. – Nie ma dowodu na jej śmierć!

– Julio, rzadko kiedy znajdujemy dowód śmierci na pustyni. Robimy, co w naszej mocy, ale wiesz, ilu ludzi udaje się nam zidentyfikować? Niewielki procent – odparł Latham.

– To jak szukanie igły w stogu siana, Julio. Nie rób sobie zbytnej nadziei – dodał Jack.

– Ale bez ciała... nawet bez kości... jeśli udałoby się już jakieś zebrać, to leżałyby w kostnicy, a Juan odnalazłby już dane – odpowiedziała.

– Uważamy, że tenisówki z całą pewnością świadczą o tym, że nie żyje – stwierdził Latham.

– Znaleźliście jej lalkę? Marię?

– Nie. Ale uzyskaliśmy zgodność krwi z krwią jej ojca. Pobraliśmy jego DNA, kiedy został aresztowany.

– W takim razie dlaczego mu o tym nie powiedzieliście?

– A gdzie mamy go szukać? – zapytał Jack. – Nie jest nigdzie zarejestrowany. Ostatnia rzecz, jakiej by chciał, to żeby Urząd Imigracyjny dowiedział się, gdzie mieszka. Zapomnij o tym, Julio. To bardzo smutne. Wiem, że nie na to liczyłaś. Spróbuj się z tym pogodzić.

– To bardzo mądra rada – stwierdził Latham. – Choć trudno to zaakceptować, mała Rosa jest po prostu kolejną ofiarą nielegalnego przekraczania granicy.

– To również czyjaś córka – zauważyła Julia.

Roberto

Zachował wiadomość od Julii na telefonie i wielokrotnie odsłuchał. Brzmienie jej głosu, tak miękkie i piękne, gdy wypowiadała jego imię. Chciał zachować je na zawsze.

Wróciła do domu dopiero dwie noce później. Usłyszał, jak jej samochód wjeżdża na podjazd. Drzwi wozu trzasnęły, po czym weszła do domu. Leżał w wąskim łóżku, wyczulony na każdy dźwięk. Wyjrzał zza otwartych drzwi w kierunku stodoły, wiedząc, że gdy wyłączy światła w domu, przestaną się odbijać na startych, czerwonych deskach.

Światła jednak nie gasły. Wkrótce potem drzwi ponownie się otworzyły. Pomyślał, że pewnie wyszła z Bonnie na spacer, i przez chwilę zastanawiał się, czy do niej nie dołączyć. Czy nie poczułaby, że się jej narzuca? Zostawiła mu wiadomość na telefonie. Czy to coś znaczyło? Czuł, że Julia go szanuje, ale wychwycił w jej głosie coś więcej – bliskość, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał.

Zanim zdążył wyjść im na spotkanie, usłyszał, że schodzi już ze wzgórza w kierunku jego chatki. Serce biło mu jak oszalałe.

– Roberto – odezwała się. – Przepraszam, że przeszkadzam ci o tak późnej porze.

– Nie ma sprawy. Wszystko w porządku?

Nie odpowiedziała. Stał w drzwiach, ubrany w robocze jeansy i koszulkę. W rogu znajdowały się stół i dwa krzesła. Wysunął jedno dla niej, a ona usiadła. Włączył lampę i spoczął po przeciwnej stronie. Może powinien zaproponować jej kawę lub herbatę, ale nie mógł oderwać od niej wzroku. Była tu, w jego chatce. Jej błękitne oczy płonęły, wydawała się poruszona, więc sięgnął ręką przez stół, by chwycić jej dłoń.

– *Hola*, Julio – powiedział.

– *Hola*. – W końcu na jej twarzy zagościł uśmiech. Niestety przelotny, pojawił się i zniknął.

– Co się stało? – zapytał.

– Chciałam poczekać z tym do jutra – odpowiedziała. – Pozwolic ci się spokojnie wyspać...

– Nie potrzebuję snu. – Trzymając ją za rękę, poczuł, że niczego by mu nie było trzeba: jedzenia, powietrza, wody, snu, gdyby tylko ta chwila mogła trwać wiecznie.

– Pojechałam, by dowiedzieć się, co się stało z Rosą – powiedziała.
– Powinnam była ci o tym powiedzieć przed wyjazdem, ale rozmawialiśmy i wiem, że bardzo cię to zdenerwowało.

– Przepraszam za swoje zachowanie – odparł. – To nie twoja wina. Chodziło o Rosę. Z nikim nie rozmawiam o niej tak, jak z tobą.

– Wiem.

Nie mógł oddychać ani mówić. Teraz to Julia ścisnęła jego dłoń, patrząc na niego tymi swoimi niebieskimi oczami, tak jasnymi i pełnymi smutku, że poczuł ucisk w piersi, jakby jego serce zamarło.

– Co zrobiłaś? – zapytał.

– Sprawdziłam kilka tropów, o których ci wspominałam – odpowiedziała. – Pojechałam do La Jolla, do organizacji o nazwie Projekt Reunion.

– Pomagają rodzinom odnaleźć swoich bliskich?

– W pewnym sensie tak. Juan i jego zespół koncentrują się na imigrantach przepływających przez granicę. Ich baza danych zawiera informacje o wszystkich osobach, które zatrzymano i aresztowano, oraz o tych, które odnaleziono.

– Jest tam coś o Rosie? – zapytał, czując, jak całe jego ciało płonie.

– Nie – odparła szybko. – Nie ma w bazie nikogo o imieniu Rosa. Ale odnalazłam Jacka Leary'ego – pamiętasz go?

– *Claro* – odparł Roberto.

– Poszłam się z nim zobaczyć.

– Pamiętał nas?

– Oczywiście. Jest teraz na emeryturze i mieszka w Yumie. Powiedział mi, że niektóre przypadki wyjątkowo mocno zapadły mu w pamięć, a Rosa była jednym z nich. Spotkaliśmy się z Lathamem Nezem, dowódcą Cienistych Wilków.

„Cieniste Wilki – co to takiego?”, zastanawiał się, ale nie zapytał. Czuł, że go zmroziło.

– To specjaliści w tropieniu. Pracują głównie na terenie Tohono O'odham, ale wzywa się ich do zadań specjalnych. Jack Leary poprosił ich o pomoc w odnalezieniu Rosy.

– Przeprowadziliśmy się tuż na zachód od rezerwatu.

Julia skinęła głową.

Roberto siedział nieruchomo niczym głaz, czekając.

– Zdołali odnaleźć jej trop za głazami, gdzie ostatni raz ją widziałeś. Latham sądzi, że pojawiła się inna grupa imigrantów i zabrała ją ze sobą.

– Ocalili ją? – zapytał, odskakując od stołu.

Julia została na swoim miejscu. Wciąż miała poważny wyraz twarzy, ale po chwili spuściła wzrok, a gdy ponownie spojrzała na Roberta, dostrzegł łzy w jej oczach.

– Mówią, że to wątpliwe – stwierdziła. – Najwyraźniej grupa pobłądziła, zbacząc ze szlaku. Skierowali się na wzgórza, a to teren skalisty. Latham powiedział, że odnaleziono cztery ciała, ale nie było wśród nich Rosy. Wygląda na to, że niektórym z nich udało się dotrzeć do szlaku i punktu zbiorczego. Niestety, znaleźli jej sneakersy.

– *En serio?*

– Tak.

– Są pewni, że należały do Rosy?

Julia przytaknęła.

– W takim razie musimy tam wrócić i przeczesać okolicę! Przekonać ich, by pokazali, gdzie znaleźli te buty...

Julia mocno ścisnęła jego dłoń.

– Nie sądzą, by przeżyła.

– *Mande?* – zapytał po hiszpańsku, bo w tym stanie angielski go zawodził.

– Roberto, oni twierdzą, że nie żyje. Znaleźli jej tenisówki w dużych odległościach od siebie, a na jednej z nich była krew.

– To nie były jej tenisówki – powiedział. – Należały do kogoś innego!

– To były jej tenisówki. Pobrali krew do badania i uzyskali zgodność DNA. Kiedy cię aresztowali...

Roberto pamiętał. Pobrali mu odciski palców, a zaraz potem wymaz z ust. Oglądał seriale o policjantach i wiedział, że używali DNA do łapania przestępców. Ale żeby stwierdzić, że jego córka nie żyje? A on sam miał dostarczyć im dowód? To nie mogło być prawdą.

– Nie – odparł.

– Powiedziałam im dokładnie to samo – stwierdziła. – Nie

chciałam w to uwierzyć.

Przez te wszystkie lata prześladowała go myśl, że Rosa nie żyje. Nie czuł tego w komórkach swojego ciała, w skórze, ale co innego mu pozostało? Jeśli była jeszcze gdzieś na tym świecie, w końcu się odnajdą. Była jego *hija*, jego ciałem i krwią, a gdy zamykał oczy, czuł jej obecność przy sobie, jakby stała tuż obok w pokoju.

– Co takiego ci powiedzieli, że w końcu im uwierzyłaś? – zapytał.

– Szukali jej bardzo intensywnie – odparła Julia. – Chcieli ją odnaleźć. Latham Nez wpadł na trop grupy i był pewien, że jeden z ludzi niósł Rosę i próbował przenieść ją w bezpieczne miejsce. Ale zgubili się, Roberto.

Wpatrywał się w Julię, ale jedyne, co widział, to pustynię po zachodzie słońca. Wiedział, jak ciemno było bez światła księżyca, kiedy żaden szlak nie był oznakowany, i pamiętał, jak kojoty starały się utrzymać każdego w ukryciu, daleko od wzroku *La Migra*. Być może ten dobry samarytanin akurat tamtędy przechodził. Światło księżyca prowadziło przez pustynię, a ciemność zepchnęła ich na wzgórze.

– Nikt z tamtej grupy nie przeżył?

– Niektórym się udało – odpowiedziała. – Ale nie są w stanie określić komu. Była to jedyna grupa, którą zatrzymała wtedy straż graniczna.

Gdyby tamci imigranci pierwsi przekroczyli granicę, być może Roberto i Rosa dotarliby bezpiecznie na miejsce. Sięgnął pamięcią do Altar, próbował wyobrazić sobie wszystkie twarze, które widział w tym mieście – setki ludzi czekających, aż kojot da znać, by weszli do ciężarówek.

Śnił o tym, o innych imigrantach ratujących Rosę i chcących przyprowadzić ją do jego domu. Jednak te sny kończyły się gorzej od tego, co powiedzieli Julii strażnicy graniczni. Rosa zagubiona na pustyni w towarzystwie swoich wybawicieli, atakowana przez ogromne czarne ptaki, meksykańskie jaguary, najpodlejszych ludzi na tej ziemi. Roberto zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żeby ocalić Rosę, ale ona zawsze zniknęła, zanim zdążył jej dosięgnąć.

– Maria – powiedział głośno.

– Jej lalka? – spytała Julia.

Poruszyło go to, że pamiętała.

– Znaleźli Marię?

– Nie – odpowiedziała. – Tylko sneakersy Rosy.

Zapadła cisza. Przez otwarte okno dobiegał ich szelest liści.

– *Gracias*, Julio – powiedział po chwili.

Chciał ją przytulić, ale drżał na całym ciele. Bał się, że to poczuje i uzna go za słabeusza. Prawdziwy, silny mężczyzna nigdy nie zgubiłby córki i nie wysłałby kobiety, by poznała prawdę o tej tragicznej przeprawie.

Nie dała mu szansy, by zaprotestował. Podeszła do niego i mocno przytuliła. Czuł, że się trzęsie, a może to ona się trzęsła? Jego umysł opanowały szalone myśli. Czuł jej oddech na szyi i chciał odchylić głowę Julii, by móc ją pocałować. Łóżko stało tuż obok. Chciał się z nią położyć i trwać tak w czułym uścisku aż do wschodu słońca, a nawet dłużej.

– Julio – wyszeptał – zrobiłbym dla ciebie wszystko.

Czy usłyszała, co powiedział? Stała nieruchomo, tuląc się do jego ciała, jakby chciała stać się jego częścią.

– Jesteś moim przyjacielem, prawda? – wyszeptała.

– *Sí* – odpowiedział. – Na zawsze.

Pocałowała go w szyję, w obojczyk, w ramię. Potem stanęła na czubkach palców i pocałowała go lekko w usta. Chciał ją teraz wziąć na rękę, zanieść do łóżka, poczuć tej koszmarnej nocy, że żyje, ale Julia zniżyła się, położyła mu dłoń na piersi i cofnęła się.

Patrzył, jak wychodzi, przecina ogród, przepada pomiędzy drzewami, mija basen, po czym wbiega po schodach i znika w domu. Każdy nerw jego ciała dawał mu się we znaki. Julia odsłoniła przed nim brakujące fragmenty historii Rosy, ale ta wiedza ciągle prowadziła do tego samego: do jej śmierci na pustyni.

Rozdział 9

Lion

Późnym rankiem podjechał po Julię i zabrał ją na przejażdżkę wzdłuż wybrzeża. Dach mieli odkryty, a na nosy włożyli okulary, żeby ochronić się nieco przed wspaniałym słońcem. Wiatr mierzwił jej włosy, co przywodziło mu na myśl przejażdżki z Gracielą.

Wszystko dosłownie iskrzyło w słońcu. Pacyfik rozbijał się o plażę Zuma falami pełnymi błyszczących kropel. Wjechał zygzakiem na drogę stanową PCH¹, by przejechać przez Point Dume. Tutejsze domy były spektakularne, choć ukryte za bramami i płotami. Wiele z nich należało do gwiazd filmowych, a Lion wskazywał na nie, wyliczając imprezy, w których brał udział.

Julia odwróciła wzrok od rezydencji i skupiła się na budynku, który wuj nazywał „Chatą Hobbita” – dom ten był w dużej mierze ukryty przed ludzkim wzrokiem za sprawą łukowatych przejść i altan otoczonych kaskadami bujnych, czerwonych i ciemnoróżowych bugenwilli.

– Chcę tu zamieszkać – powiedziała.

– Naprawdę? – zapytał. – A co z Casa?

– To znaczy, po powrocie Johna i Gracieli.

Lion rzucił jej przelotne spojrzenie.

– Planujesz przeprowadzić się do Malibu?

– Nie wiem – odparła, ciągle wpatrując się w obrośnięty kwiatami dom. – Być może.

Pojechali do punktu widokowego w Point Dume, gdzie surferzy przywłaszczali sobie wszystkie legalne miejsca do parkowania i jak zwykle nie można było nigdzie postawić samochodu. Lion był zadowolony, że pozwolił Julii nacieszyć oko roztaczającym się widokiem – przez pola pełne wysokiej trawy i dzikich kwiatów aż po ocean.

– To najlepsze miejsce do obserwacji migrujących pływaczy szarych – powiedziała. – Pamiętam, że gdy byłam mała, John często mnie tu zabierał. Widzieliśmy pływające blisko wybrzeża matki i ich młode, kierujące się do Morza Beringa. Teraz chyba nie jest

odpowiednia pora...

– À propos Johna, mamy sporo do omówienia w trakcie lunchu – zapowiedział Lion. – List, który dostałaś od niego, twoja tajemnicza wyprawa... Wspomniał coś o Gracielu?

– Tylko tyle, że przesyła pozdrowienia.

– Aha – odparł.

Wyjechali z Point Dume i skierowali się na Cross Creek i Malibu Country Mart. Parking wypełniony był po brzegi porsche i bentleyami, ale staromodnemu jaguarowi Liona zawsze udawało się przyciągnąć czyjeś spojrzenie. Pamiętał czasy, kiedy tutejsze centrum handlowe było przyjemnie małomiasteczkowe, a teraz w wielkich sklepach po obu stronach ulicy gnieździły się rywalizujące ze sobą drogie butikie – Ralph Lauren, Oliver Peoples, John Varvatos czy Lanvin.

Przy całym swym naturalnym pięknie i wyspiarskiej sławie Malibu lubowało się w walce i rywalizacji. Nikt nigdy z niczym się nie zgadzał, a miejskie gazety roiły się od kipiących złością listów do redakcji i zjadliwych wstępniaków krytykujących dosłownie wszystko: od wymienionych luksusowych sklepów po dyskusję nad tym, czy licealne boisko do gry w piłkę powinno być oświetlone. Lion mocno popierał brak świateł – twierdził, że zatrzęsienie świateł rujnuje Amerykę i lepiej by było, gdyby młodzi wpatrywali się w gwiazdy, a nie spędzali piątkowe noce na grze w piłkę nożną.

Kelnerka w Tra Di Noi przygotowała ten sam stolik, co zwykle – na patio pod parasolem. Lion ustawił krzesło w taki sposób, by znaleźć się w pełnym słońcu. Miał na sobie chinosy i wyblakłą czerwoną koszulkę z fildekosu, odrobinę poszarpaną w okolicy kołnierza. Kupił ją w Ravello podczas podróży, którą dawno temu odbył do Willi La Rondinaia Gore’a Vidala, zwanej Jaskółczym Gniazdem. Grał w filmie kręconym w Positano u boku Sophii Loren i Gore zaprosił całą obsadę do siebie na weekend. Dziś nie było go już wśród żywych. Przyjaciele Liona padali jak muchy.

– Campari z wodą sodową – zwrócił się do kelnerki, a Julia poszła w jego ślady.

– Trzy kobiety się na ciebie gapią i pokazują w twoją stronę palcami – zauważyła rozbawiona Julia.

– A czego się spodziewałaś, kochana? – zapytał.

Uwielbiał tu przyjeżdżać. Ludzie go rozpoznawali. Nawet jeśli nie pamiętali, jak się nazywa, kojarzyli, że widzieli go „w jakimś filmie”. Był jedną z tych postaci filmowego światka Los Angeles, które zapewniały odwiedzającym odrobinę dreszczyku emocji. Potem mogli wrócić do domu i opowiedzieć wszystkim bliskim i znajomym, że widzieli prawdziwą gwiazdę filmową.

Kelnerka przyniosła im drinki i przyjęła zamówienia: planowali podzielić się sałatką z posiekanym w plasterki karczochem i parmezanem, a potem każde z nich zamówiło *tonnarelli al filetto di pomodoro*. W zasadzie było to spaghetti z sosem marinara, zrobionym z najświeższych pomidorów w Kalifornii.

– Wiesz, kiedy przychodzę tu z Gracielą, czujemy się jak w bajce – powiedział. – Jesteśmy tylko parą starych bywalców, ale ludzie zawsze uśmiechają się na jej widok. A raczej kiedy widzą nas razem – pamiętają film i...

– Dlaczego ciągle to robisz? – zapytała Julia.

– Co takiego?

– Uganiasz się za nią.

– To nie tak! Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Podziwiam ją oczywiście, ale...

– Jesteś w niej zakochany – stwierdziła Julia. – Nigdy nie byłeś w stanie tego ukryć.

– Nawet nie próbuję.

– Lion – powiedziała łagodnie – Graciela wyszła za Johna i go nie zostawi.

Lion pociągnął spory łyk drinka. To było wielce niestosowne, by Julia pouczała go w tej kwestii.

– Sądysz, że o tym nie wiem? – zapytał. – To dość oczywiste.

– Ciągle myślę o tym, co mi kiedyś powiedziałaś. Że John dedykuje jej każdą książkę. Już pracuje nad kolejną.

– Wspaniale. A wszystko, co ja mogę jej dać, to wspomnienia ze wspólnej roli w filmie i moje stare konie. Jak ona je kochała. Zresztą mnie też darzyła gorącym uczuciem. – Wpatrywał się w Julię wyzywająco. – Wiesz, Graciela naprawdę mnie kochała. I żadne z nas

nie widziało w tym nic złego.

– John mógłby się z tym nie zgodzić.

– Oj, daj spokój. Wiedział o wszystkim. Zakopał się w tych swoich papierach i badaniach naukowych, będąc mężem najbardziej powabnej i namiętnej kobiety na ziemi! Myślisz, że naprawdę sądził, że urządzamy sobie jedynie przejażdżki konne? Cytując Irenę z tego pięknego remake'u *Sagi rodu Forsythe'ów* – uważam, że tego typu przewinienie może się zdarzyć tylko wtedy, gdy zabraknie miłości.

– Pamiętasz tę kwestię.

– Zarabiam na życie, wypowiadając najróżniejsze kwestie – odparł.

– Cóż, skoro mówimy o miłości, to co z twoim uczuciem do Roberto? I co sprawiło, że tak nagle zniknęłaś?

– Moim uczuciem?

– Roberto. Nie sprzeczkajmy się o to. Opowiedz mi o wyprawie – co wykombinowałaś?

– Roberto stracił córkę, kiedy przeprowadzał się przez granicę. Dziewczynka zniknęła bez śladu. To było pięć lat temu, dokładnie jak w przypadku Jenny. Próbowalam się czegoś o niej dowiedzieć. Ale prawda jest taka, że nie przywiozłam ze sobą dobrych wiadomości.

– Dobry Boże – odparł.

Lion sączył campari, ogarnięty mieszanymi uczuciami. Szczerze współczuł Roberto, rzecz jasna, ale czy Julia myślała o nim poważnie? Lion uważał, że to przelotny związek – romans w Casa. Julia zawsze była bardzo opiekuńcza, ale czy wiedziała, w co się pakuje? Przyglądała się jej z czułością mężczyzny, który uwielbiał ją, od kiedy była małą dziewczynką. Przez ostatnie lata przeszła istne piekło.

– Niedawno powiedziałaś mi, że jesteś szczęśliwa – zakomunikował. – Czy ciągle tak jest?

– Sądzę, że tak – odparła.

Roześmiał się. Kelnerka przyniosła im sałatkę i rozdzieliła ją na dwa talerze.

– Nie jesteś pewna?

– Nie jestem przyzwyczajona – wyjaśniła. – Nie do czegoś takiego.

– Lubisz go?

Pokiwała głową, skubiąc jedzenie. Jedna z trzech kobiet ze stolika

obok podeszła do nich i zapytała, czy Lion miałby coś przeciwko, gdyby zrobiła sobie z nim zdjęcie. Zgodził się, co wywołało uśmiech na twarzy Julii. A potem i pozostała dwójka chciała mieć z nim wspólne zdjęcie. Zajęło to kilka minut, a gdy usiadł ponownie do stołu, czekał już na niego makaron.

– Czy to z powodu Roberto chcesz się przeprowadzić do Malibu?

– Nie! – odpowiedziała odrobinę za szybko.

– To częściowy powód?

– Po prostu polubiłam ten mały domek, to wszystko.

– Hm – zamyślił się.

Nieważne, co mówiła, widział to na jej twarzy. Duch Julii powstał z martwych w momencie, gdy przyjechała do Casa. Ponownie rysowała się przed nią przyszłość, na którą warto było czekać. Jak mógłby jej tego odmówić? Fakt, że Graciela przebywała teraz w Irlandii, uniemożliwiając w ten sposób jakiegokolwiek przypadkowe lub planowane spotkanie, mocno ciążył mu na sercu. Wysłała mu dwie pocztówki i obiecała napisać list miłosny. Ale kiedy zaczął się nad tym zastanawiać, musiał spojrzeć prawdzie w oczy: była z Johnem. I to był jej wybór.

– Nigdy nie znośmę być na drugim miejscu – powiedział. – Jestem strasznym nieudacznikiem. Kiedy moich przyjaciół nominowano do Nagrody Akademii Filmowej, znienawidziłem ich za to. Udawałem, że się cieszę, wysyłałem im telegramy i zasypywałem całusami, ale w głębi serca czułem tylko pogardę.

– Przecież też ją dostałeś!

– Tylko raz.

Zaśmiała się.

– Twierdzisz więc, że czujesz to samo w stosunku do Johna? – zapytała.

– Jak bym mógł? – Lion zapytał, wzdychając. – Właściwie to mój najdroższy przyjaciel i jeden z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem. Powiesz, co napisał w liście?

– Zaproponował mi, żebym pomogła mu w pisaniu książki o naszym przodku.

– Irlandczyk, który zakochał się w Meksyku.

– Tak.

– Najwyraźniej nadajecie na tych samych falach – stwierdził.

– Najwyraźniej – odpowiedziała miękko.

Skupili się na jedzeniu. Julia udawała, że pochłania ją zwijanie nitek spaghetti, Lion jednak dostrzegł troskę rysującą się na jej czole, a instynkt aktora podpowiadał mu, że myślała teraz o Roberto i jego małej córeczce oraz o zdobytej w trakcie wyprawy wiedzy, która odebrała jej nadzieję.

Jack

Pojechał na grób Louelli – tak jak miał to w zwyczaju w każdą środę – aby wyczyścić jej nagrobek i ten należący do jej rodziców oraz podlać kwiaty, które posadził. Charakterystyczną cechą dla tej części kraju były pył i kurz. Nawet najśłabszy wiatr mógł go wznieść. Używał ściereczki, by wytrzeć jej imię, daty i słowa wyryte w kamieniu: „Najukochańsza żona na ziemi i w niebie”. Sam napisał te słowa, bo taka była prawda.

Czasami zabierał ze sobą Sugar, ale nie dzisiaj. Wziął trzylitrową konewkę, by podlać kwiaty, i siedział tak przez dłuższą chwilę w kuckach, jakby potrafił rozmawiać poprzez granitową płytę z Louellą. Wizyta Julii Hughes zmąciła jego spokój. Szukała małej dziewczynki, której nawet nie znała.

Wiedział, jak utrata ukochanej osoby – najokrutniejsze z uczuć – może powalić człowieka niczym gorączka i zamienić w kogoś, kto ledwo rozpoznaje własne odbicie w lustrze. W dniu, w którym dowiedział się, że chłoniak Louelli powrócił i rozsiał się po ciele, sam chciał umrzeć. W ostatnim tygodniu jej życia czuł się jak dzikie zwierzę na pustyni, zdesperowane i spragnione, a potem którejs nocy zawył do poduszki, jak nawet kojoty nie potrafią.

Louella wiedziałaby, co powiedzieć Julii. Najlepszą rzeczą, jaką Jack mógł zrobić, było zadzwonić do Lathama Neza, który okazał się cholernie pomocny... Z pewnością miał kilka kwestii do dodania, ale nic jednoznacznego. Julia chciała móc powiedzieć ojcu, czy ma pochować córkę, czy też nie. Ludzie właśnie tego potrzebowali, żeby żyć dalej. Nawet jeśli nie byłoby grobu, który mogliby odwiedzać, musieli znaleźć miejsce w głowie i w sercu, by się pożegnać.

Na tym właśnie polegało piekło, jakie wiązało się z pustynią. Tyle niepewności. Kiedy postawiono siatkę wokół terenów miejskich Kalifornii i Arizony, politycy sądzili, że powstrzyma ona napływ nielegalnych imigrantów, kierując ich na „niegościnnie” – innymi słowy: zabójczy – teren. Jak łatwo się domyślić, to ich wcale nie powstrzymało i gdyby te tępaki spędziły choć trochę czasu na granicy, zanim wybudowali ogrodzenia, wiedzieliby, że to nic nie da. Wiedzieliby, że imigranci, którzy decydują się na tę przeprawę, czują, że nie mają innego wyboru. Że zdają sobie sprawę, że to ich ostatnia podróż – albo im się uda, albo zginą, próbując zawalczyć o lepsze życie. Trzeba pamiętać, że przybywają do Stanów, by zarobić na utrzymanie swoich rodzin. Bo ich dzieci głodują.

Louella zawsze to rozumiała. Będąc żoną agenta straży granicznej, zgłosiła się na ochotnika do grupy zwanej Ocalenie, która pomagała imigrantom poprzez budowanie stacji z wodą na pustyni. Oznaczali je niebieskimi flagami stawianymi na wysokich masztach, tak żeby można było zobaczyć je z daleka. Nie była to inicjatywa wspólnoty kościelnej, ale Louella należała do osób religijnych i łączyła wiarę z pracą.

– Nawet mi o tym nie wspominaj. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co robisz. Zachęcasz ich, żeby wciąż próbowali przekraczać granicę.

– Pomagamy utrzymać ich przy życiu – odparła. – Kochanie, to całe ogrodzenie... to nieludzkie. Ludzie tam umierają.

– To ich wybór – twierdził. – Przybywają tu nielegalnie, więc sami podejmują takie ryzyko.

– Od kiedy jesteś taki nieczuły? – zapytała, trzymając w dłoniach jego twarz. – To ludzie tacy jak my, którzy szukają lepszego życia dla swoich rodzin. Rozumiesz to, prawda? Przecież sam przez to przeszedłeś.

Miała rację. Na początku ich małżeństwa trudno było o pracę, a Jack nie posiadał żadnego dyplomu. Ukończył jedynie dwa lata na Uniwersytecie Northeastern, ale to niewiele mu dało. Chciał dołączyć do FBI, tak jak jego ojciec, Brendan Leary, ale nie przyjęli go z powodu braku wykształcenia. Porzucił marzenie o pracy dla rządu i otrzymał posadę jako sprzedawca kserokopiarek.

Boże, jak on nienawidził tej pracy. Była to najbardziej bezduszna

robota, jaką można sobie wyobrazić – chodził do hermetycznie zamykanych biurów, próbując sprzedać jakieś badziewie zaprojektowane tak, by szybko się zepsuło. Potem firma była zmuszona dokupić umowę serwisową. Ta niewdzięczna posada pozwoliła młodemu małżeństwu utrzymać się na powierzchni przez jakiś rok, do momentu, gdy Leary zobaczył ogłoszenie straży granicznej.

Mógł zadzwonić do jednego ze starych protegowanych jego dziadka pracujących w Biurze, ale skoro nie zrobił tego, aplikując do FBI, nie zrobił tego i teraz. Jeżeli nie potrafił stanąć na własnych nogach, nie zasługiwał na tę robotę.

Ale przyjęli go i całkiem dobrze sobie radził. Na początku nosił w sercu poczucie misji, w które wierzył jego dziadek, ale to się zmieniło mniej więcej w tym samym czasie, kiedy postawiono ogrodzenie. Ogrom cierpienia, jakiego był świadkiem, ściganie ludzi przez pustynię tylko po to, by nie pomarli, i deportowanie ich tam, skąd przybyli, wycieńczyło go. Z czasem wyhodował grubszą skórę.

Louella kochała go pomimo tego, nawet wtedy, gdy wracał do domu w podłym nastroju. Pewnego dnia stwierdziła, że czuje się tak, jak się czuje, bo powoli traci swoje człowieczeństwo.

– To kryzys humanitarny – twierdziła. – A ty jesteś częścią problemu. To dlatego nie możesz spać w nocy.

Nie wspomniał jej nawet o tym, jaki łomot jego koledzy spuszczała złapanym imigrantom, niekiedy wpychając ich twarze między kaktusy. Mieli przewozić ze sobą wodę, a przez większość czasu nikt tego nie robił. Ludzie, których przechwycili, bredzili z odwodnienia, a oni odstawiali ich do siedziby straży i zabierali im leki. W międzyczasie ci, którzy cierpieli na cukrzycę, dostawali szoku insulinowego. Nie raz i nie dwa Jack sam używał pałki, żeby dać nauczkę próbującym uciec imigrantom.

Louella ubierała się cała na białą, kiedy chodziła do pracy wolontariackiej. Zakładała długie spodnie, bluzkę z długimi rękawami i długi szal, a na głowę wkładała biały kapelusz z szerokim rondem. Jack wiedział, że biel odbija światło, a miejsce, do którego musiała dotrzeć z wodą, by napełnić stacje – niekiedy ładnych parę kilometrów w głąb pustyni – przypominało wnętrze piekarnika. Często zastanawiał się, co ci

imigranci musieli sobie myśleć, widząc, jak pojawia się niczym zjawą, wołając po hiszpańsku: *Hola, mis amigos! Tenemos agua, comida, y medicina para todos!*².

Usunął kilka zwiędłych kwiatów z kompozycji roślin, którą posadził na jej grobie. Pamiętał, że poruszyła ją historia Rosy Rodriguez. Oczywiście o wszystkim jej opowiedział, a ona pomogła mu zacząć medytować, odprężyć się i postrzegać swoją pracę jako świetny sposób na pomaganie, a nie krzywdzenie innych. Była jego wybawicielką.

Przypomniał sobie jedną z ostatnich spraw, jakimi zajmował się przed odejściem na emeryturę: sprawę Fernandy Cruz Castillo. Jej trzydziestoosobowa grupa wędrowała przez pustynię nocą, kiedy uaktywniła jeden z czujników. ICE wysłało helikoptery, żeby krążyły nad imigrantami, celowo wzbijając piasek i wywołując burzę piaskową. Nagła nawałnica zdeorientowała imigrantów, chwilowo ich oślepiając, i sprawiła, że rozpierchnęli się we wszystkich kierunkach. Strażnicy z noktowizorami wyłapali większość z nich, ale części udało się uniknąć aresztowania. Fernanda była jedną z tych osób – nie dlatego, że była mistrzynią w ukrywaniu się, ale dlatego, że dorobiła się pęcherzy i, ledwie nadążając za resztą, została w tyle.

Jej mąż, Diego, znalazł się pośród złapanych. W siedzibie straży granicznej nieustannie mówił ludziom o swojej żonie, ale nikt nie reagował. Po siedemdziesięciu dwóch godzinach, gdy stał w kolejce do deportacji, przykuł uwagę Jacka. Opowiedział mu o Fernandzie. Louella niedawno pożegnała się z życiem i Jack mógł przysiąc, że widział, jak jej anioł siedział temu człowiekowi na ramieniu. Powiedziała mu, co ma robić. Jack wyciągnął Diego z kolejki i zabrał go swoim explorerem na miejsce, gdzie po raz ostatni widział Fernandę.

Na krótko przed pojawieniem się helikopterów Diego zatrzymał się razem z żoną, próbując ją przekonać, by szła dalej. W domu w Oaxaca zostawili trójkę dzieci, które mieszkały obecnie u jej rodziców. Diego i Fernanda planowali znaleźć jakąś pracę sezonową w Stanach i zarobić wystarczająco dużo pieniędzy, by wykarmić rodzinę.

– Zrób to dla *hijos!* – błagał Diego. – Jeszcze jeden krok, jeszcze tylko... – Ale miała stopy zdarte do krwi i nie była w stanie chodzić. Siedziała tam, płacząc, mając świadomość, że zawiodła każdego członka

swojej rodziny.

Gdy na miejsce przybyli agenci straży granicznej, by schwytać grupę, Diego pobiegł, żeby powiedzieć im o Fernandzie. Wepchnęli go między opuncje, a ich długie kolce wbiły mu się w ramiona, dłonie i twarz. Powtarzali w kółko: „Pokaż nam papiery i paszport!”, a on mówił jedynie o Fernandzie.

Wioząc go z powrotem na miejsce, Jack zauważył, że Diego nie otrzymał żadnej pomocy medycznej. Kolce kaktusa ciągle tkwiły w jego skórze, pokryte strupami z zaschniętej krwi i ropy.

– Ma piękne, długie, brązowe włosy i pomarańczową koszulkę – powiedział. – Jeansy i parę tenisówek Nike.

Gdy do niej dotarli, jej koszulka nie była już pomarańczowa. Jack próbował przekonać Diego, żeby został w samochodzie, ale on już pobiegł w jej kierunku. Widok, który na nich czekał, na zawsze wyrył się w pamięci Jacka.

Piasek był mokry, jakby ktoś rozlał wodę, ale w rzeczywistości wilgoć pochodziła z płynów ustrojowych i tłuszczu Fernandy, które zmieszały się z brudem. Mięsożerne drapieżniki i owady pożarły każdą część ciała, do której były w stanie się dostać. Jej długie, brązowe włosy tworzyły splątana masę okrywającą nagą czaszkę, koszulka była rozdarta, a ciało rozszarpane. Skóry już nie było, a wszystkie organy wewnętrzne zostały pożarte, tak że przetrwały po niej tylko czaszka, kręgosłup i klatka piersiowa. Jej ramiona zostały wyrwane ze stawów i zawleczone w inne miejsce. Nogi i stopy leżały ukryte w jeansach i tenisówkach.

Diego próbował chwycić jej kości w ramiona i, tuląc je, płakał jak małe dziecko. Jack musiał go siłą odciągać. Skontaktował się przez krótkofalówkę ze strażą graniczną i poprosił, żeby przyjechali i zabrali szczątki. Następnie odwiózł Diego tam, skąd go zabrał. Widzieli się wtedy po raz ostatni.

Odjeżdżając teraz z grobu Louelli, wiedział, że ma misję do wykonania. Włączył ponownie krążek Tima O'Briena, żeby zmotywować się do pracy. Julia Hughes pojawiła się u niego nie bez powodu. Fakt, że była Irlandką spokrewnioną z Johnem Rileyem – tym starym duchem, który połączył Meksykanów z Irlandczykami,

przypominając im o tym, co noszą w sercach – stanowił część tej misji. Wiedział, że to los postawił ją na jego drodze – gdyby Louella żyła, pierwsza by to zauważyła.

Udał się w kierunku dzikiego wysypiska niedaleko ogromnej szczeliny w murze granicznym na zachód od rezerwatu Tohono O’odham. Znajdowało się ono niedaleko miejsca, w którym grupa Roberto i Rosy przekraczała granicę i gdzie Latham wytropił dziewczynkę. Było to również miejsce, w którym Louella i jej przyjaciele z grupy Ocalenie zbierali się w środowe poranki, by rozwieźć wodę do stacji wybudowanych na pustyni. Gdy zobaczył samochody, ciężarówki i ludzi w białych ubraniach, wiedział, że przyjechał w dobrym momencie.

– Jack! – zawołała Patricia Finnegan, kiedy go wypatrzyła.

Jego ramię wystrzeliło w górę. Patricia była dokładnie tą osobą, z którą chciał się spotkać. Była najlepszą przyjaciółką Louelli. Wraz z mężem, Mikiem, często towarzyszyli Jackowi i Louelli na kolacjach i przy partyjkach brydża. W jednym tygodniu Finneganowie gościli u Learych, a w następnym to oni przybywali do Finneganów. Było tak, dopóki Mike nie zmarł na zawał serca w miesiąc po przejściu na emeryturę. Pracował z Jackiem jako agent straży granicznej i był wspaniałym facetem.

– Jak się masz, kochana? – zapytał, ściskając ją mocno na przywitanie.

– Dobrze, dzięki. A ty?

– W porządku. Właśnie byłem odwiedzić Louellę.

– Nie ma dnia, żeby mi jej nie brakowało.

– Mnie też.

– Zresztą tutaj też wszyscy za nią tęsknią – stwierdziła Patricia.

– Cóż, kochała tę pracę. Choć wielokrotnie sprawiałem jej z tego powodu przykrość.

– Ale w końcu zrozumiałeś swój błąd. Tak jak Mike. – Obdarzyła go ciepłym uśmiechem. – A więc dołączasz dziś do nas? Przyda nam się dodatkowa para mięśni – ta woda naprawdę sporo waży.

– Nie mogę, przepraszam – odparł. – Jestem w pracy... w pewnym sensie. Ale chciałem cię o coś zapytać. Kiedy jesteś w terenie, znajdujesz

różne rzeczy, które ludzie zostawiają na pustyni, prawda?

– Oczywiście – odpowiedziała. – Sam wiesz. Widziałeś kurtki, plecaki, opróżnione pojemniki na wodę i zdjęcia.

– Tak, pamiętam. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek natknęłaś się na jakieś lalki?

– Wiele razy – odparła. – Mnóstwo dzieci zaczyna podróż, zabierając ze sobą ulubione zabawki, ale zostawiają to wszystko po drodze, gdy dopada je zmęczenie, a zabawki stają się dla nich zbyt ciężkie.

– Ta konkretna lalka zaginęła wiele lat temu – zaczął.

– Ciągle może tam być – powiedziała. – Pustynia wszystko mumifikuje. Przedmioty zdają się trwać wiecznie.

– Będziesz miała oko na lalkę ze skrzydłami anioła? Są ręcznie robione, przyszyła je babcia dziecka.

– Okej – odparła Patricia. Nie pytała o historię dziecka. Tutaj jedna tragedia mieszała się z drugą. – Wiesz co? Możesz zajrzeć do Kathryn Martin. To artystka z Los Angeles, która kolekcjonuje przedmioty pozostawione przez imigrantów i tworzy z nich rzeźby.

– To brzmi, jakby grzebała w śmietnikach.

– Rzeczy odnalezione – stwierdziła Patricia. – Tak się je określa. Chyba nawet tak się nazywa jej galeria.

– Dobra, sprawdzę to – odparł, zapisując sobie w pamięci, żeby powiedzieć o tym później Julii. – Tak czy siak, dobrze było cię znów zobaczyć, Patricio.

– Ciebie również, Jack.

Uściskali się, a potem Jack wyruszył w dalszą drogę. Był zdeterminowany, żeby wyciągnąć z Lathama Neza to, co chcą wiedzieć.

¹ Skrót od *Pacific Coast Highway*, drogi stanowej w stanie Kalifornia, w Stanach Zjednoczonych, biegnącej w kierunku północno-południowym, wzdłuż wybrzeża Oceanu Spokojnego.

² „Hej, przyjaciele! Mamy wodę, żywność i leki dla wszystkich!”.

Rozdział 10

Julia

Noc była gorąca, więc poszła popływać w basenie. Jack zadzwonił wcześniej i Julia była wzruszona tym, z jakim zaangażowaniem zajął się tą sprawą. Leary zabrał się za nowy trop i opowiedział jej o galerii rzeczy odnalezionych. Potem zapytał o Jenny i stwierdził, że ma wrażenie, że Julia dedykuje poszukiwania Rosy swojej własnej córce.

Teraz, pływając w ciemnościach pod niebem pełnym gwiazd, Julia pomyślała, że Jack był bardzo wnikliwy. Kusiło ją, żeby opowiedzieć mu całą prawdę o tym, jak zginęła Jenny, ale nie mogła zmusić się do tego, żeby wypowiedzieć te słowa na głos. Czuła, jak napięcie opuszcza jej ciało, gdy przepływała kolejne długości basenu, jedną po drugiej. Kiedy zatrzymała się na płytkim końcu, łapiąc oddech, spojrzała w górę i zobaczyła Roberto.

– Cześć – powiedziała.

– *Hola* – odpowiedział Roberto.

Spacerował akurat po wzgórzu i postanowił przysiąc przy basenie.

– Przyjemnie w wodzie, co? – zapytał.

Podwodne lampki rzucały rozedrgane smugi światła na jego twarz. Miała wrażenie, że się zaczerwienił.

– Jest cudownie, a przede wszystkim chłodno.

Długo patrzyli sobie w oczy. Wyglądał, jakby chciał jej coś powiedzieć, zresztą ona pewnie sprawiała podobne wrażenie.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego torsu. Zaraz potem ściągnęła z niego koszulę.

– Wchodź – powiedziała.

– Nie potrafię pływać – odparł.

– Nauczę cię.

Zawahał się, jakby rozważał, co powinien zrobić, ale potem odsunął się na bok, żeby ściągnąć jeansy i buty.

Obserwowała, jak składa swoje ubrania i kładzie je równo na ziemi. Miał na sobie czarne bokserki. Założył ręce na piersi, jakby mu było zimno, choć to niemożliwe. Nie było wiatru, a temperatura oscylowała w granicach dwudziestu siedmiu stopni.

Schody w basenie były szerokie i lekko zakręcone. Julia stała na najniższym stopniu i podała mu dłoń, a on zrobił krok w jej kierunku.

– Tutaj woda sięga mi tylko do pasa, widzisz? – spytała. – Możesz stać.

Wszedł do basenu i zobaczyła, jak się uśmiecha.

– Przyjemne, prawda?

– *Sí* – odpowiedział.

– Zanurz się i zamocz sobie barki.

Zrobił, jak powiedziała, a jego uśmiech tylko się poszerzył.

– Potrafisz unosić się na wodzie? – spytała.

– Raczej nie – odpowiedział.

– A próbowałeś?

– Nie przypominam sobie. Tak po prawdzie, to nigdy nie pływałem w basenie.

– A w rzece, w stawie? – spytała.

– Też nie.

– Okej – powiedziała – to proste. Połóż się w wodzie na plecach.

Wiesz, że w każdej chwili twoje stopy mogą dotknąć dna, ale zaufaj wodzie, utrzyma cię na powierzchni.

Wyglądało, że się waha, ale Julia kiwnęła zachęcająco głową.

Przechylił się tak, jak mu pokazała, i natychmiast zaczął tonąć.

Wypląnął do góry w panice, wypluwając wodę.

– Przepraszam, wygląda na to, że nie potrafię.

– Potrafisz – stwierdziła Julia.

Stali naprzeciwko siebie do pasa w wodzie. Jego brązowe, łagodne oczy wpatrywały się w nią z niemal religijnym skupieniem.

– Ufasz mi?

– *Claro que sí* – odpowiedział.

– Dobrze. Dlatego wiedz, że cię nie zawiodę. Będę cię podpierać podczas unoszenia się.

Położyła ręce na jego barkach i zaczęła go delikatnie opuszczać.

Jego opalona skóra była gładka w dotyku. Leżał na plecach, a ona stała obok i podpierала go obiema rękami. Jego ciało było sztywne, walczyło z wodą – gdyby go nie trzymała, najpewniej zacząłby tonąć.

– Rozluźnij się – powiedziała. – Oddychaj... Chcę zobaczyć, jak

oddychasz.

Nabrał haust powietrza.

– Nie tak – szepnęła. – Głęboki wdech, do samego brzucha, a potem wypuść wszystko na zewnątrz.

Trzymała go blisko siebie, opierając o swoje ciało, i po tym, jak zaczął oddychać głębiej, poczuła, jak stopniowo się rozluźnia. Nocne powietrze było ciężkie od zapachu cytryn i nadbrzeżnych krzewów. Roberto zamknął oczy. Julia zaczęła zmieniać sposób, w jaki go trzymała: najpierw podtrzymywała ramionami jego plecy i nogi, potem – już przy pomocy dłoni, a na końcu tylko jednym palcem w okolicach lędźwi.

Przestał się opierać, poczuła, jak oddaje jej kontrolę. Wiedziała, że Roberto potrafi to zrobić, że potrafi poddać się wodzie.

– Już prawie ci się udało – powiedziała. – Jeszcze cię trzymam, ale zaraz puszczę. Stoję tuż obok, poza tym pamiętaj, że w każdej chwili możesz dotknąć dna.

– Okej – odparł.

– Gotowy?

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

Podtrzymywała go jeszcze przez kilka sekund, a potem zrobiła krok do tyłu. Roberto unosił się na wodzie z rozłożonymi ramionami. Julia poczuła się bardzo szczęśliwa. Czerpała ogromną przyjemność z pływania. Unoszenie się na wodzie było pierwszym krokiem, ale teraz, kiedy nauczył się ufać własnej wyporności, wiedziała, że z czasem wszystkiego się nauczy.

– Wow – powiedziała. – Jak się czujesz?

Pytanie zburzyło jego koncentrację, ale tym razem nie spanikował. Przestał się unosić i postawił stopy na dnie. Dzieliło ich dziesięć centymetrów wody. Położył ręce na ramionach Julii, a ona poczuła, jak jej ciało przeszywa dreszcz. Przyciągnął ją do siebie.

– Mogę? – wyszeptał.

Nie odpowiedziała. Ale Roberto już przywarł ustami do jej ust. Poczuła, jak wzbiera w niej fala, która nie miała nic wspólnego z ciepłą wodą, w której stali. Jego z początku delikatny pocałunek sprawił, że zadrżała. Ciepłe usta rozchylające jej wargi, sprawiające, że zapragnęła

czegoś, co wydawało się utracone, zapomniane. A może nigdy czegoś takiego nie czuła?

Teraz to on wziął ją za rękę i wyprowadził po schodach z basenu. Pocałował ją jeszcze raz, już na suchym lądzie, ale znowu poczuła, że Roberto waha się i zastanawia. Jego chatka była w jednym kierunku, dom w drugim. Czekala tak długo, jak tylko mogła wytrzymać, aż w końcu podjął decyzję. Wziął ją na ręce i zaniósł do chatki.

Była mała i skromna – tylko jeden pokój z wąskim łóżkiem. Ściągnęli z siebie mokre ubrania. Roberto odsunął kołdrę i położył Julię na materacu. Okna były otwarte, ale nie wiał przez nie żaden wiatr. Żar ogarnął ich ciała, a jego dotyk, w połączeniu z ciężkim, pachnącym cytryną powietrzem, oszołomił Julię. Wygięła się, przywierając do niego całym ciałem, a kiedy wreszcie znalazł się w środku, poczuła, jak dreszcz ekstazy przenika przez jej skórę aż do samych kości.

Zasnęli w swoich ramionach. Obudziło ją bicie jego serca, a może to było coś innego? Ćma uderzyła o moskitierę nad nimi, a potem odleciała, zostawiając białe ślady po skrzydłach. Julia wpatrywała się w nie, maleńkie powidoki odbite na siatce, i pomyślała o anielskich skrzydłach na pustyni i na plaży, i pośród cytrynowego gaju.

Roberto

Jadąc do domu, do Boyle Heights, drogą ekspresową numer 10, nie mógł uwierzyć, że wczorajsza noc nie była tylko pięknym snem. Trzymał Julię w ramionach, obudził się z nią w łóżku, wpatrywał się w jej niebieskie oczy. Patrzył z podziwem na jej piękno i był zszokowany tym, w jaki sposób ona patrzyła na niego – tak jakby czuła do niego to samo, co on czuł do niej.

Nie miał pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Była siostrzenicą jego szefa, Amerykanką, *gringa*, mieszkanką dużego domu na wzgórzu. Roberto miał swoją dumę, godność, wiedział, jak się zachować, ale cóż to wszystko mogło znaczyć? Jego emocje wymknęły się spod kontroli w momencie, w którym Julia pojawiła się w Casa Riley, od tego pierwszego wieczora, kiedy rozmawiali o Rosie i Jenny.

Czasem wyobrażał sobie, że ona też darzy go głębokim uczuciem. Jednak w środku zawsze powtarzał, że się myli. Nawet jego ojciec przestrzegał go przed robieniem sobie nadziei na coś, na co nie miał

prawa jej mieć.

Zjazd na drogę nr 405 był zatłoczony, więc zwolnił i nie przejmował się dużym ruchem. Nie śpieszyło mu się oddalać od Casa, od Julii. Podała mu adres, powiedziała, że to jakaś galeria sztuki, i poprosiła, żeby się z nią tam spotkał tego wieczora. Galeria sztuki! Nigdy nie był w takim miejscu. Nie wiedział, co ma na siebie włożyć, a wstydził się ją zapytać.

Odnosił wrażenie, że Julia nie przejmowała się tym, że jest Meksykaninem czy że jest biedny. Kiedy przebywał w jej towarzystwie, czuł się dobrze z samym sobą i wracał myślami do swoich dobrych nauczycieli zamiast tych złych. Myślał o Rigo, nauczycielu, któremu najbardziej zależało na swoich uczniach. Rigo motywował młodych ludzi. Dostrzegł, że Roberto jest inteligentny, i kazał mu nauczyć się wiersza *El Brindis del Bohemio* autorstwa Guillermo Aguirre y Fierro. Wiersz był długi, skomplikowany i pełen emocji, a mimo to Roberto nadal go pamiętał.

Na Dzień Matki, kiedy Roberto był jeszcze czternastoletnim chudzielcem, który mierzył sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i wstydził się tego, że był tak wysoki, Rigo polecił mu stanąć przed całym zgromadzeniem, przed rodzicami uczniów i swoją babcią, i zaśpiewać *Amor Eterno* Juana Gabriela. Z początku poczuł, jak gorący rumieniec zalewa mu twarz, jakby miał zaraz stanąć w płomieniach, ale potem powoli wróciła pewność siebie i dokończył pieśń. Kiedy skończył, wszystkie matki i jego babcia płakały ze wzruszenia.

Amor Eterno. Znał tę pieśń na pamięć, ale nie przypuszczał, że kiedyś wreszcie ją zrozumie. Był z różnymi kobietami, ale rzadko czuł miłość opisaną w tekście piosenki. Mógł szczerze powiedzieć, że do tej pory prawdziwą miłość czuł tylko dwa razy w życiu, jeszcze zanim przyjechał do Stanów.

Jego pierwsza dziewczyna, Aracelia, w siódmej klasie. Trzymał ją za rękę i wierzył, że mógłby oddać za nią życie. Kiedy wyjechała, widywał się z dziewczynami w szkole i na potańcówkach, ale żadna nie znaczyła dla niego zbyt wiele, aż pojawiła się Adriana, matka Rosy. Ich miłość trwała do urodzenia córki, a potem jego ukochana zostawiła ich oboje.

Ruch przyspieszył i Roberto zjechał szybko w kierunku Boyle Heights. Zaparkował przed domem ojca. Wszedł na chwilę do środka i zerknął na swoje odbicie w lustrze.

Wszystko wyglądało jak zwykle, ale coś zmieniło się wewnątrz. To, co czuł wcześniej, to nie była prawdziwa miłość. Tamto uczucie bledło w porównaniu do tego, czego doznawał, odkąd poznał Julię.

Powąchał swoje przedramię i nadgarstek, pamiętając, że otarły się o włosy i skórę Julii. Zamknął oczy i uchwycił się tego zapachu.

Zaprzagnął, żeby ta woń już zawsze mu towarzyszyła, żeby od teraz wszystko działało się u jej boku – jego miłość do niej, ich miłość do ich córek.

– Hey, *hijo!* – zawołał ojciec z zewnątrz.

– *Hola, papá* – odpowiedział i wyszedł do niego.

Jego ojciec naprawiał murek wokół ogródka Esperanzy. Roberto miał trochę wolnego czasu, więc od razu wziął się za robotę.

Wymieszali beton i przytaszczyli paczkę czerwonych cegieł z ciężarówki ojca. Słońce prażyło, było co najmniej trzydzieści osiem stopni – o wiele goręcej niż w Malibu. Roberto pomyślał o basenie, o nauce pływania, o Julii trzymającej go w swych ramionach. Musiał uśmiechać się jak błazen, bo zauważył to jego ojciec.

– Co się stało? – zapytał.

– Nic.

– Usłyszałeś jakiś dobry żart? Podziel się.

– To nie żart, tylko wspomnienie – odpowiedział.

– Wspomnienie czego?

Roberto chciał mu o wszystkim opowiedzieć. Tak bardzo, że o mało nie pękł, ale wiedział, że musi zachować to dla siebie. Ojciec ostrzegłby go, zlekceważył albo powiedział, żeby trzymał się z dala od Julii, jeśli chce zachować pracę. Co, jeśli coś poszłoby nie tak i Julia opowiedziałyby o wszystkim wujkowi? Roberto dobrze znał swojego ojca. Nie lubił kłamać, ale wiedział, że wyznanie prawdy skończy się tylko kłótnią.

– Przypomniał mi się Rigo, mój stary nauczyciel – odpowiedział.

– *Ai ai ai*, matka ciągle wspomina, jak stałeś dumnie przed wszystkimi, jakbyś był Juanem Gabrielem.

– Nie o to mi chodziło – odparł Roberto.

Lepiej było skupić się na ceglach. Narysował lepszy plan: małą ścianę, idealnie okrągłą, wysoką na cztery cegły. Spodoba się Esperanzie i nie będzie zbyt wysoka – w sam raz, żeby mogła się przez nią przechylić.

– Juan Gabriel jest naprawdę dobry – powiedział ojciec, nie drążąc tematu. – *Amor Eterno* to jedna z jego najlepszych pieśni. Żałuję, że nie było mnie tam, kiedy śpiewałeś.

– Wiem – powiedział Roberto. Ojciec nie musiał mu mówić, jak bardzo żałował, że widywał się z nim tak rzadko, kiedy Roberto był dzieckiem. Zazdrościł takim nauczycielom jak Rigo, którzy mieli szansę wpłynąć na Roberto i nauczyć go dobrych rzeczy.

– Byłeś moim najlepszym nauczycielem – powiedział Roberto. – Od ciebie nauczyłem się najważniejszych rzeczy.

Zerknął na ojca i zobaczył, że oczy mu się zaszkliły, a wąsy opadły ze smutku. W Meksyku było tyle spraw, które doprowadzały do płaczu. To, że kochali ten kraj, a musieli go opuszczać, smutna codzienność, którą zostawiali. Roberto pomyślał o Rosie i po raz pierwszy od pożegnania z Julią poczuł, jak coś ściska go w gardle.

Dwóch mężczyzn pracowało razem w popołudniowym skwarze, aż skończyli budowę ściany. Rozmawiali trochę o pracy – Roberto o sadzie, jego ojciec o robocie od Fenga. Roberto często pomagał ojcu w pracach dla Fenga, chińskiego przedsiębiorcy, który specjalizował się w wyburzaniu basenów. Jego klienci kupowali domy w Dolinie i pierwszą rzeczą, jaką zazwyczaj chcieli robić, była demolka basenu – roztrzaskanie betonu, wypełnienie dziury ziemią, posianie trawy.

Mniej rzeczy do utrzymania, niższe wydatki. Woda w południowej części Kalifornii była droga, a podgrzewanie jej w basenie było luksusem, na który mogli sobie pozwolić tylko bogacze. Jednak po zeszłej nocy Roberto wiedział, że już nigdy nie zrozumie, dlaczego ktokolwiek chciałby zniszczyć basen.

Wreszcie skończyli ścianę. Roberto wziął szybki prysznic i przyciął schludnie brodę i wąsy. Założył takie ubranie, jakie wydawało mu się odpowiednie – ciemne jeansy i czarną koszulkę.

Nie miał zbyt dużego wyboru, ale właśnie tak ubrany poszedłby na

imprezę w Meksyku i miał nadzieję, że Julia nie będzie zawiedziona. Ściana pomiędzy jego mieszkaniem a mieszkaniem ojca była tak cienka, że ojciec poczuł zapach wody kolońskiej Polo, którą wtarł w policzki.

– Gdzie się wybierasz? – zawołał przez ścianę.

– Aaaa, w takie jedno miejsce. Nic ciekawego – odpowiedział Roberto, wchodząc do pokoju.

– Ładnie wyglądasz – stwierdziła Esperanza, uśmiechając się tak szeroko, że aż zobaczył jej złoty ząb.

– Spotykasz się z jakąś kobietą? – dopytywał dalej ojciec.

– Może – odparł Roberto.

Teraz i na twarzy ojca zagościł uśmiech. Kiwnął głową z aprobatą.

– Dobrze, synu, znajdź sobie żonę – powiedział.

Roberto zaśmiał się i potrząsnął głową. Ojciec powtarzał to samo za każdym razem, kiedy Roberto spędzał wieczór na mieście. Wychodząc na ulicę, zdał sobie sprawę, że powinien był umyć samochód. Czarny lakier pokrywała warstwa kurzu z drogi i pyłki drzew. Poczuł ukłucie wstydu, kiedy zrozumiał, że będzie musiał zaparkować brudny samochód przed galerią. Nie było już czasu, żeby go umyć – powiedział Julii, że zobaczy się z nią o piątej, więc po prostu pojechał na miejsce.

Ta galeria sztuki nazywała się „Rzeczy odnalezione” i zlokalizowana była w centrum miasta, w cieniu wysokich budynków, zaraz obok El Pueblo de Los Angeles i La Iglesia de Nuestra Señora Reina de Los Angeles – kościoła Matki Bożej Królowej Aniołów. Znalazł miejsce na parkingu przed Union Station i cieszył się, że nie musiał parkować bezpośrednio przed galerią. Podszedł na La Placita Olvera i znalazł „Rzeczy odnalezione”.

Budynek zbudowany był z suszonych cegieł i wyglądał na zabytkowy. Julia stała przed drzwiami i pomachała do niego, kiedy zobaczyła, że się zbliża.

Zaparło mu dech w piersi. Wyglądała przepięknie. Miała na sobie krótką czarną sukienkę, czarne buty, a usta pomalowała czerwoną szminką. Jej włosy były upięte wysoko spinką wysadzaną kamieniami.

– Cześć, Roberto – przywitała go.

– Julio, jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie.

Zaśmiała się, zawstydzona, ale powiedział to szczerze.

Zapragnął znaleźć się teraz z nią w jego chatce. Widząc ją tak ubraną, był w stanie myśleć tylko o jednym. Dookoła przechodzili ludzie, ale ledwo to zauważał.

– Gotowy? – zapytała.

– Jasne.

Zatrzymali się w drzwiach. Nie wiedział, co myśleć. Zależało jej nawet na tym, żeby dowiedzieć się, co sądzi o takich błahostkach jak śmieci znalezione na pustyni. W jego świecie nic nie było łatwe, a ból był nieodzowną częścią życia. Można było tylko przejść przez nie najlepiej, jak się umiało. Jej spojrzenie było tak pełne miłości, jak gdyby właśnie położyła rękę na jego sercu.

– *Gracias*, Julio, wszystko w porządku – powiedział.

Weszli do środka. Uderzyło go przyjemnie chłodne powietrze z klimatyzatorów.

Z głośników płynęła meksykańska muzyka, ale była powolna i smutna, jak coś, co gra się w kościołach. Kilkoro ludzi rozglądało się po dużej sali, ale nikt nie rozmawiał. Światło przyciemniono, a w powietrzu czuć było dym ze świec wotywnych, które paliły się w małych alkowach rozlokowanych po całym pomieszczeniu. „To jest galeria sztuki”, pomyślał, ale przypominała bardziej świątynię.

Wszystko, co tutaj było, znaleziono na pustyni – wyblakłe na słońcu kurtki, koszule z plamami od potu, czapka brązowa od skrzepłej krwi. Mnóstwo butów, niektóre w parach, wszystkie zniszczone, poza jedną, praktycznie nową parą marki Puma.

Były też portfele oraz meksykańskie i gwatemalskie dowody osobiste, sfałszowane dokumenty ze Stanów, kolorowanka z postaciami Disneya, które Roberto i Rosa uwielbiali.

Dziecięcy zeszyt z różową okładką. Jeansy, paski do spodni, wstążki do włosów, szczoteczka do zębów. Męska bielizna, maszynka do golenia, kilka noży.

Roberto i Julia przechadzali się powoli, dokładnie przyglądając się każdej rzeczy. Skóra Roberto stała się lepka od potu – nie czuł już zapachu świec, wszystkie jego zmysły przejęła pustynia. Czuł zapach kurzu, brudu, potu, strachu i śmierci. Każda rzecz, jaką tutaj widział,

przypominała mu o przekraczaniu granicy.

– Wszystko w porządku? – spytała, jakby zauważyła, co się z nim dzieje.

– *Bien, gracias* – odpowiedział.

To nie była sztuka – to były ludzkie istnienia. Byli żywi czy umarli? Udało im się czy nie? Obejrzał się dookoła.

Para Meksykanów stała na drugim końcu sali. Kobieta płakała cicho. Na co patrzyli? To nie miało znaczenia. Roberto wiedział, że przypominali sobie własną przeprawę, tak jak on odtwarzał w myślach swoją.

Kobieta, która zebrała te rzeczy, ułożyła je w stosy bez wyraźnego porządku, ale potem zauważył tabliczkę na ścianie w języku angielskim i hiszpańskim. Zatrzymali się przy niej i zaczęli czytać.

Wszystkie prezentowane przedmioty zebraliśmy w trakcie podróży na pustynię Sonora, które odbyłam z grupą Ocalenie utrzymującą zbiorniki z wodą dla imigrantów przekraczających granicę.

Pomimo tego, że przedmioty te były rozsiane na przestrzeni wielu kilometrów, rozmieściłam je w podobnym ułożeniu, w jakim zostały znalezione.

Jeśli rozpoznają Państwo któryś z przedmiotów albo jeśli znają Państwo właścicieli, proszę porozmawiać z osobą przy biurku i wpisać się w rejestr. Chciałabym, żeby jak najwięcej z tych rzeczy zostało zwrócone prawowitym właścicielom.

– O, to miłe z jej strony – powiedział.

– Zastanawiam się, ile razy faktycznie ktoś tu coś znalazł – powiedziała Julia.

– Pewnie jeszcze ani razu – odparł Roberto.

Weszli do następnego pomieszczenia. Roberto przyglądał się wszystkiemu. Zgniecione plastikowe pojemniki na wodę, takie same, jakie miał wtedy ze sobą. Może pili z Rosą z któregoś z nich. Paciorki różańca wycięte z czarnego drewna, podobne do tych, jakie dostał od babci, a potem przekazał Julii. Ścisnęła jego dłoń, kiedy je zobaczyła. Bransoletki wplecione z niegdyś kolorowej włóczki, teraz wypłowiałe na skutek upływu czasu i działania słońca. Białe skarpety zabrudzone krwią i ziemią, podziurawione na palcach.

Żółta sukienka, bluza New York Yankees z numerem 2 i nazwiskiem Jeter na plecach. Pluszowy miś, okulary przeciwsłoneczne z Myszka Miki. Okulary awiatory. Damska portmonetka utkana z cienkiej czarnej nici, udekorowana zawleczkami z puszek po napojach. Różowe nosidełko.

Roberto ledwo mógł oddychać. Pomyślał o rodzicu niosącym tę dziewczynkę. Czy nosidełko się zepsuło i ojciec musiał nieść dziecko w ramionach? Czy udało im się dotrzeć do celu? Czy dziecko zginęło razem z nosidełkiem? Chciał dotknąć różowego materiału w kwiaty, poczuć go w dłoni, tak jakby ta jedna niewielka rzecz mogła opowiedzieć mu historię rodziny, do której należała.

Poczuł jednocześnie strach i ekscytację, jak gdyby na kolejnym stosie rzeczy miał znaleźć samą Rosę. Jej piękne, czarne włosy, błyszczące oczy, jej chude, opalone ramiona gotowe, by objąć go za szyję. Wyniosłby ją stąd i już nigdy nie wypuścił z rąk. Obrazy zaczęły falować mu przed oczami, tak jak wtedy na pustyni, kiedy powalił go upał i kiedy jego córeczka tak się pochorowała, że nie mogła już iść dalej.

Poczuł, że jest zdezorientowany, że powoli odchodzi od zmysłów.
– Roberto! – usłyszał głos Julii.

Potem zobaczył to, co i ona zobaczyła – Rosę. Była tam z nimi. Roberto wyciągnął po nią ręce, przycisnął do piersi, jej zapach wypełnił mu nozdrza. Ukrył twarz w jej barku, szepcząc jej imię. Tylko że to nie była Rosa, tylko jej lalka, Maria. Nawet skrzydła z gazy, które przyszyła jego babcia, dalej tam były, łaskocząc go w szyję. Powtarzał w kółko imię córki:

– Rosa, Rosa, Rosa...

Rozdział 11

Julia

Pojechali osobno – on jechał za nią ciężarówką z powrotem do Casa. Wchodząc do kuchni, Julia zauważyła, że Roberto przyniósł Marię do domu i położył ją na stole. Nie dało się poznać, jakiego koloru była kiedyś lalka, bo teraz wypłowiła i przybrała burą barwę – odcień pustynnego piasku. Miała długie, czarne, włóczkowe włosy, ale większość z nich wypadła. Oczy zrobione były z czarnych węzełków, a uśmiechnięte usta to zwykły ścieg wyszyty czerwoną nitką. Miała na sobie długą sukienkę, a na plecach przezroczyście skrzydła.

– Babcia opowiadała Rosie, że Maria potrafi latać – przerwał ciszę Roberto, trzymając w rękach lalkę. – Myślę, że Rosa w to wierzyła. Powtarzała to ciągle w ciężarówce i w trakcie przeprawy przez pustynię. Chyba miała nadzieję, że Maria zabierze nas stamtąd na swoich skrzydłach.

Julia zastanawiała się, czy Rosa trzymała się kurczowo tej myśli po tym, jak jej ojciec odjechał. Wzięła Roberto za rękę i poprowadziła go przez dom do szerokiej klatki schodowej. Grube ściany utrzymywały w środku chłód, a kiedy wyszli na piętro, wiatr wiejący przez okno łopotał zasłonami.

Ten pokój zawsze wydawał się jej magiczny – mimo że stały w nim ciężkie, rzeźbione meksykańskie meble, sprawiał wrażenie, jakby unosił się nad wybrzeżem. Widok z okien obejmował kanion i otaczające go szczyty oraz błękitną toń oceanu rozciągającego się na zachód. Na horyzoncie majaczyły ciemne i tajemnicze Channel Islands oraz statki, których światła nawigacyjne wyglądały jak gwiazdy zatopione w morzu.

Roberto podszedł do niej od tyłu. Objął ją w pasie i pocałował w szyję. Za oknem jaśmin piął się po ścianie. Słońce jeszcze nie zaszło, więc kwiaty były nadal zamknięte. Pszczoły z nóżkami pokrytymi złotym pyłkiem kreśliły ósemki wokół kwiatów. Julia przypatrywała się im, zahipnotyzowana ich tańcem i dotykiem warg Roberto na swojej skórze.

– Nie mogę uwierzyć, że ją tam znaleźliśmy – powiedziała, nie odwracając się.

– Lalkę Rosy?

– Tak. Wiedziałam, że ta wystawa będzie ogromnym przeżyciem, ale nigdy bym nie pomyślała... Przepraszam.

– Za co?

– Za ten wstrząs. Za to, co poczułeś, jak ją znaleźliśmy. Co to może znaczyć?

– *No se* – powiedział – ale cieszę się, Julio. Dzięki temu mogłem znaleźć się bliżej Rosy, bliżej niż kiedykolwiek przez tych pięć lat. Trzymałem Marię tak samo jak ona i poczułem, że Rosa znowu jest ze mną.

Julia odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Naprawdę się cieszysz?

– Tak, bardzo – przerwał, próbując powstrzymać wzbierające w nim emocje. – Rosa miała tę lalkę w swoich rękach, wszędzie z nią chodziła i bardzo ją kochała. Moja babcia zrobiła ją dla niej.

– To samo czuję do Bonnie – szepnęła Julia. – Jenny często ją głaskała.

– Wiem. Teraz mam lalkę Rosy, i to dzięki tobie – głos mu się załamał i nie potrafił już powstrzymać łez. Odwrócił głowę.

Ale Julia przysunęła się bliżej i pocałowała go w policzki, sama płacząc cicho.

Na zewnątrz nie było już pszczoł. Słońce zaszło za górami, a niebo zmieniło kolor na mieszankę czerwieni i złota. Grzbiety fal były jak z bursztynu, a woda w oceanie ściemniała, wpadając w głęboką purpurę. Kwiaty jaśminu zaczęły się otwierać, roztaczając upojną woń.

Roberto i Julia podeszli do łóżka. Nie była pewna, kto prowadził kogo. Rozebrali się, jedno drugiego, i wślizgnęli się pod kołdrę. Pościel od Anchiniego należąca do jej ciotki wydawała się nieprzyzwoicie dekadenska w porównaniu do miejsca, z którego właśnie wrócili. Chciała przeprosić za wszystko, ale zrozumiała, że przyszło jej to odruchowo – przeproszała od pięciu lat, za wszystko i za nic.

Tak długo żyła w poczuciu winy... Ale teraz czuła, że uzyskała wybaczenie – uczucie, którym pałał do niej Roberto, zmyło z niej wszelką winę. Delikatnie głaskał jej ramię, łagodnie przesuwając dłoń po krzywiźnie jej pleców, przysuwając jej ciało do swojego.

Ich cisza była pełna wyrazu. To, jak zanurzył się w niej, cały rozgrzany. Jak uparcie wpatrywał się w jej oczy. Uniósł się nad nią i przyspieszył tempa, a Julia zatraciła się gdzieś pomiędzy jego skórą a swoją własną. Znajdowali się poza czasem, wszystko wokół przestało istnieć, nie było przeszłości, przyszłości, tylko to uczucie bycia unoszonym do raj.

Tej nocy spalili razem. Łóżko, dom, to życie – wszystko należało do nich. Julia obudziła się około trzeciej i patrzyła, jak Roberto śpi. Jej skóra wyglądała tak blado w porównaniu do niego w tej chłodnej, niebieskawej ciemności. Noc zrobiła się zimna, więc sięgnęła po satynowy koc w kolorze brzoskwini i dokładnie ich okryła. Nawet się nie poruszył. Spał jak zabity, zatraciwszy się w świecie snów.

Marzyła, żeby tam do niego dołączyć. Przez większość nocy chodziła tam i z powrotem. Czasami zastanawiała się, jak by to było, gdyby ktoś nagrał ją w celach naukowych i puścił film w przyspieszonym tempie – przewracającą się z boku na bok, wychodzącą z łóżka, przechadzającą się po domu, idącą z powrotem do łóżka, włączającą światło, wyłączającą je, włączającą i wyłączającą telewizor, idącą do kuchni, patrzącą do lodówki, pijącą wodę, siusiąjącą, wracającą do łóżka, próbującą zasnąć i znowu wychodzącą z łóżka, przechadzającą się po domu...

Roberto oddychał głęboko i równo, tak jak poleciła mu to w basenie, kiedy uczyła go unosić się na wodzie. Leżąc obok, próbowała naśladować jego oddech. Ich nogi się stykały, co dodawało jej otuchy. Oddech stał się głębszy i powoli napięcie zaczęło ustępować. Unosili się razem w tym wielkim, ciepłym łóżku, aż zamknęła oczy i usnęła.

Rano obudził ich huk w kanionie. Szarpało drzewami, palmy gubiły liście, cytryny opadały na ziemię, okna łomotały. Wróciła Santa Ana.

Rozdział 12

Jack

Wsadził Sugar do swojego explorera, kupił pół tuzina pączków i dwie duże kawy z piekarni Bess's Bakery i podjechał na ten sam parking, gdzie w zeszłym tygodniu wpadł na Patricię. Przekonał Lathama, żeby się z nim spotkał, ale zajęło mu to trochę czasu. Będący w czynnej służbie Latham nie mógł poświęcić zbyt wiele czasu starym sprawom.

Mimo wszystko czuł szacunek do Jacka ze względu na pracę, jaką razem wykonali. Aresztowali przemytnika narkotyków przewożącego ponad czterysta kilogramów marihuany i znaleźli kryjówkę, w której kartel ukrywał kolejne beły tego narkotyku, tuż obok kostek metamfetaminy i kokainy. Wywiązała się strzelanina, w trakcie której Jack zauważył, że jeden z facetów mierzy w Lathama. Leary zabił go pojedynczym strzałem w czoło. Latham nie lubił być dłużny wobec kogokolwiek, ale Jack wiedział, że jego partner dziękował Wielkiemu Duchowi za pewną dłoń i dobry cel kolegi.

W oddali zobaczył biało-zielony wóz straży granicznej, więc błysnął reflektorami, dając Lathamowi znać, że jest już blisko. Jack podjechał na nieutwardzony parking, zatrzymując się obok Lathama, opuścił szybę i od razu uderzyło go w twarz gorące pustynne powietrze.

– Mam pączki – powiedział.

– Chodź tu z nimi – odrzekł Latham.

Jack nie zgasił explorera i zostawił włączoną klimatyzację, żeby Sugar się nie przegrzała. Zaniósł torbę ze słodkościami i kubki z kawą do samochodu Lathama, podał mu jedną z kaw i ugryzł łąpczywie obwarzanka. Latham wybrał dla siebie ciastko z polewą miodową.

– No – zaczął Jack – powiedz mi, co wiesz, a pojedę w swoją stronę.

– Niewiele tego – odparł Latham.

– Nie łudziłem się, że będzie inaczej – powiedział. – Oczywiście nie ma twardych dowodów.

– Tego nie powiedziałem. Kiedy kogoś śledzę, szukam dowodów. Musisz poznać tożsamość grupy przemieszczającej się na północ z Rosą

Rodriguez, przynajmniej do momentu, kiedy nielegalni imigranci rozdzielili się, a Rosa pojawiła się w sektorze zachodnim.

– Cóż, nie wiemy dokładnie, gdzie się pojawiła. Wiemy tylko, gdzie znaleziono jej buty.

– W porządku. Znasz moją teorię na ten temat.

– Znam i rozważam ją jako jedną z możliwości – odparł Jack. – Więc masz jakieś dowody, które mogłyby mi pomóc?

– Trzy rzeczy pojawiły się w drugiej grupie, tej, która przemieszczała się dalej z Rosą po tym, jak złapano jej ojca. Pierwsza: częściowo zatarty odcisk espadryla ze słowem „Marcie’s” wplecionym w podeszwę. Drugi: na ciele zmarłego dwudziestoletniego mężczyzny znaleziono tatuaż z nazwą drużyny Arizona Diamondbacks.

– Marcie’s? Co to takiego? – zapytał Jack. – Brzmi znajomo.

– Sieć sklepów w Meksyku. Według raportu ci nielegalni imigranci mogli pochodzić z Veracruz. Ten konkretny mężczyzna miał w kieszeni bilet w jedną stronę z Tucson do Veracruz.

Jack zanotował „Marcie’s – Veracruz” i „Diamondbacks” w notatniku.

– Damskie espadryle, zdecydowanie w stylu meksykańskim – zauważył. – Ale co z tatuażem i biletem u tego faceta, co to może oznaczać? Jeśli poleciał na południe, dlaczego nie wrócił samolotem? Wiesz, skąd pochodził?

– Po stanie zębów stwierdzono, że chodził do amerykańskiego dentysty – odpowiedział Latham. – Tylko tyle wiemy.

– Okej, dzięki, Latham.

– Żaden problem, Jack.

Podali sobie dłonie i pożegnali się.

Jack wrócił do samochodu, a kiedy usiadł w fotelu, Sugar skoczyła na niego, radośnie szczekając i ciesząc się z jego powrotu. Louella nie pochwaliby tego, ale Jack oderwał kawałek pączka i dał go małemu terierowi.

Omiótł wzrokiem parking w poszukiwaniu lexusa Patricii. Niestety, niczego nie znalazł – pewnie tego dnia nie przyjeżdżała po wodę. Wjechał na drogę prowadzącą w kierunku domu, rozmyślając o Veracruz. Kiedyś był tam razem z Louellą, Patricią i jej mężem na

wakacjach. Veracruz było miastem portowym i Jack polubił tamtejsze nabrzeże – od czasu do czasu potrzebował słonej wody, która przypominała mu o Bostonie.

Trzy wskazówki – tatuaż, but i bilet do Veracruz. Włączył płytę Ry Cooder and The Chieftains i poczuł, jak muzyka dodaje mu energii w sposób, którego do końca nie rozumiał. Był pewny, że Patricia zajmie się Sugar. Musiał tylko spakować manatki i wyruszyć w podróż.

Julia

W pierwszym tygodniu grudnia huragan Santa Ana wdarł się do kanionu z rykiem pędzącego pociągu. Julia słyszała go każdego ranka i miała przez niego trudności z zaśnięciem. Nawet Bonnie była niespokojna i nie chciała spacerować, tak jak to miała w zwyczaju, ani oddalać się zbyt od domu.

Lion powiedział Julii, że Santa Ana zawsze napełniała go lękiem i dlatego wyjeżdża do znajomych do Martha's Vineyard, póki nie będzie znowu bezpiecznie.

Powalone linie elektryczne wywołały pożar w zachodniej części gór Santa Monica, który zdążył już pochłonąć osiemdziesiąt hektarów lasu. Mimo że od pożaru dzieliły ją kilometry, Julia czuła swąd dymu i widziała, jak samoloty Gwardii Narodowej lecą na zachód, żeby zrzucić środki opóźniające zapłon w zalesionych górach. Roberto ściągnął Serapio i innych, żeby przyszli do pracy i razem patrolowali sad, pilnując nawadniania i czuwając nad tym, by nie pojawił się ogień.

Powiedział Julii, żeby się nie martwiła. Siedziała przy biurku w swoim pokoju zwrócona w stronę oceanu, tyłem do pożarów. W Connecticut większość silnych wiatrów wiała od strony oceanu, skracając z Atlantyku w stronę zatoki Long Island. Ich dom znajdował się pół kilometra od plaży, oddzielony od piasku stawem ze słoną wodą, dokładnie na poziomie morza.

– *Hola*, Julia!

Wyszła przeszkolonymi drzwiami na taras, spojrzała w dół na dziedziniec opadający w stronę Pacyfiku i zauważyła stojącego tam Roberto.

– Cześć – zawołała. – Wszystko w porządku?

– *Sí* – odpowiedział. – Przynajmniej na razie, ale ogień się zbliża.

Przyszli ludzie ze straży pożarnej, żeby przekazać najnowsze informacje.

– Casa jest zagrożona? Powinnam zadzwonić do Johna?

– Tak, myślę, że to dobry pomysł, choć póki co pozostajemy jeszcze poza zasięgiem ognia – powiedział Roberto. – Jeśli będziemy musieli uciekać, przyjdą i powiedzą nam to.

– Jak ci idzie?

– Dobrze – odparł. – Nie pozwolę, żeby stało się coś złego.

– Ty przeciwko szalejącemu pożarowi.

– *Sí, Amor.*

– Idę wam pomóc – stwierdziła Julia.

– Nie musisz.

Uśmiechnęła się do niego. Zobaczyła jego ciemnobrązowe oczy przekrwione od dymu, czoło pomarszczone od niepokoju i poczuła, jak ogarnia ją fala uczuć. Nie powiedziała nic, ale pomyślała: „Ale chcę”.

Rozdział 13

Jack

Ruchliwy port Veracruz był skupiskiem kontrastów. Platformy wiertnicze stały zaraz za nim, a wielkie kontenerowce zajmowały keje. Apartamentowce górowały nad rodzinnymi sklepikami. Turyści tłoczyli się przy Fort San Juan de Ulúa, zbudowanym przez Hiszpanów w 1582 roku, żeby ochronić miasto bogate w złoto przed piratami. Teraz nabrzeże było patrolowane przez wojskowych.

O dziewiątej rano Jack przechadzał się po *el malecón*, portowej promenadzie. Otaczał ją szpaler sklepików i budek, ale tylko niektóre były otwarte o tej godzinie. Patricia powiedziała mu, że w tym rejonie Marcie's sprzedaje buty, ale jeszcze nie udało mu się znaleźć tego sklepu.

Przyleciał poprzedniego dnia i zameldował się w hotelu Candilejas, którego okna wychodziły na port handlowy, *malecón* i stare latarnie. Zaraz potem pospacerował po mieście, żeby zorientować się w terenie.

Miasto wyglądało tak samo jak wtedy, gdy był tu z Louellą i Finneganami, ale tym razem atmosfera wydawała się napięta.

Teraz rządził tu kartel Zetas, a zeszłej wiosny kilkoro dziennikarzy i fotografów zajmujących się przestępczością zostało zamordowanych w stanie Veracruz. Przekonany, że Zetas zinfiltrowali policję, poprzedni prezydent Meksyku zastąpił siły policyjne liczące ośmiuset funkcjonariuszy widoczną wszędzie piechotą morską.

Idąc przez główny plac miasta – Zocalo – Jack widział umundurowanych mężczyzn ubranych w kamizelki kuloodporne i kusilo go, żeby zatrzymać się i porozmawiać z nimi o pracy – „Cześć, chłopaki, jak idzie wojna z narkotykami?”. Był jednak głodny, nie miał już odznaki, a nawet jeśli ją miał, to nie odpowiedzieliby na jego pytania. W tle przygrywała muzyka, podczas gdy tłumy ludzi tańczyły pod wysokimi palmami, tak jak wtedy, kiedy był tu poprzednim razem. Jakby nic się nie zmieniło.

Minął przypominający barokowy tort Pałac Miejski i Katedrę Zwiastowania. Zatrzymał się przed wielką świątynią. Drzwi w łukowatym wejściu były otwarte, trwała msza. Czuł zapach kadzidła

i słyszał, jak ksiądz wypowiada po hiszpańsku słowa konsekracji. Obudziła się w nim gorliwość irlandzkiego katolika, ale nie potrafił się zmusić, by wejść do środka.

Wiedział, że wszystkie drogie restauracje dla turystów są w porcie, więc poszedł na targ, Mercado Hidalgo, i zjadł porcję *arroz de tumbada* – ryżu z najświeższymi owocami morza, jakie można było dostać. Jedzenie było tak dobre, że zamówił drugi talerz. Jarochos – jak mówili o sobie tutejsi mieszkańcy – siedzieli dookoła niego, jedząc i rozmawiając. Jack był zadowolony, że znalazł to przyjemne miejsce poza utartym szlakiem.

Po raz pierwszy wrócił do meksykańskiego miasta, które wcześniej odwiedził na wakacjach z Louellą. Specjalnie ominął hotel, w którym się wtedy zatrzymali, i *palapa*, gdzie uwielbiała jeść. W domu tęsknota za nią była tylko lekkim bólem, ale tutaj odczuwał jej brak niczym świeżą ranę – wszystko przypominało mu o rozkoszy i szczęściu, które odebrał mu los.

Teraz, przechadzając się nabrzeżem, zobaczył ogromną i bogato zdobioną latarnię Faro Carranza i przypomniał sobie, jak robili z Louellą zdjęcia na tle tego budynku. Nigdy nie widział takiej latarni – była biała i imponująca, z dwoma rzędami łukowych okien, dekoracyjnymi przyczółkami na obu końcach i wznoszącą się pośrodku wysoką, czworoboczną wieżą zegarową zwieńczoną sklepieniem ogrodzeniem, w którym znajdowały się soczewki latarni. Sprawiała wrażenie królewskiej rezydencji.

– Jest taka piękna – powiedziała wtedy. – Niczym baśniowy zamek.

– Przerost formy nad treścią – odparł.

– Jak możesz tak mówić?

– Jestem z Nowej Anglii. Wiem, jak powinny wyglądać latarnie – proste, białe wieże. Z cegły albo kamienia, jeśli to konieczne.

– Jesteśmy w Meksyku, nie w Bostonie.

– Nie ulega wątpliwości.

– A ja uważam, że ta latarnia jest romantyczna.

– Romantyczność to twoja działka. Ten budynek nawet już nie jest używany jako latarnia.

– I co z tego?

– Wszystko powinno spełniać swoją funkcję.

– Może za dużo kosztowałaby jej obsługa, ale w przewodniku jest napisane, że na pierwszym piętrze są biura marynarki. Czy to spełnia twoje wymagania?

– Ma być prosta i działać, Louello – powiedział. – Pomagać w nawigacji. Taka ma być latarnia.

Jak zwykle śmiała się z niego, a on szedł, ciesząc się słonym powietrzem i jej radością. Potem spotkali się z Mikiem i Patricią. Jack i Mike kupili sobie kubańskie cygara od jakiegoś gościa w dokach i przechadzali się, podziwiając tankowce, frachtowce, wiertnie naftowe i kutry rybackie. Louella i Patricia trzymały się razem. To musiał być ten spacer, podczas którego poszły do Marcie's i kupiły tam buty.

Wyszedł poza obszar, gdzie znajdowała się większość sklepów, i zastanawiał się, czy przypadkiem nie minął tego, którego szukał.

Niektóre lokale miały ręcznie wykonane szyldy, inne zdobiły markizy z profesjonalnie wydrukowanymi nazwami sklepów czy restauracji. Wracając tą samą drogą, którą przyszedł, przypatrywał się witrynom z większą dokładnością.

José's Mariscos stał pomiędzy kawiarnią El Malecón a Delfi4Ever, sklepem z koralikami. Jack rzucił okiem na świeże owoce morza u José's – kraby, langusty, ośmiornice, krewetki i małeńkie ostrygi wielkości paznokcia połyskujące na lodzie. Podnosząc wzrok na rząd markiz, przeszedł kolejne trzydzieści metrów i wtedy zauważył to, czego szukał: Marcie's.

Litery na markizie były wyblakłe, ale wystawa wciąż tryskała kolorami. Na zewnątrz stała kobieta podlewająca doniczki z geranium. Wyglądała na rówieśniczkę Louelli, była jednak sporo cięższa, a na głowie miała czarne loki. Nosiła czerwoną sukienkę i espadryle. Jackowi przyśpieszyło tętno. Odchrząknął. Kobieta odwróciła się z uśmiechem.

– Marcie? – zapytał.

Zaśmiała się.

– Nie, teraz nie ma już prawdziwej Marcie, ale prowadzę ten sklep. Nazywam się Maya.

– Nie zabiorę pani wiele czasu. Nazywam się Jack Leary, jestem

byłym funkcjonariuszem amerykańskiej straży granicznej i próbuję zidentyfikować dwoje meksykańskich imigrantów, którzy przekroczyli granicę. Jedno z nich zmarło na pustyni.

– *Śi?* – zapytała i zmarszczyła czoło.

– *Śi*. Czy to jest jedyny sklep Marcie's w Veracruz?

Kiwnęła głową.

– Dlaczego pan pyta?

– Znaleźliśmy ślady butów, espadryli z napisem „Marcie's”.

– Sprzedają je na pęczki – powiedziała. – Zresztą w całym Meksyku są sklepy Marcie's. Przykro mi, ale chyba nie mogę panu pomóc.

– Przypuszczamy, że kobieta, która miała je na nogach, podróżowała z mężczyzną, który zginął. Miał wytatuowane logo drużyny sportowej Arizona Diamondbacks i bilet lotniczy z Tucson w kieszeni.

Usłyszawszy te słowa, twarz Mai zastygła, jakby rażona gromem, a serce Jacka zabiło mocniej.

Usiadła ciężko na ławce przed sklepem i wpatrywała się w port.

– To niemożliwe – powiedziała.

– Proszę opowiedzieć, co pani wie o tej sprawie.

– Pięć lat temu – zaczęła i zamilkła. – To wtedy wyjechali.

Jack wziął głęboki oddech. Pięć lat, pasowało jak ulał.

– Kto wyjechał? – zapytał.

– Felicia, dziewczyna, która pracowała dla mnie – odpowiedziała Maya. – Miała chłopaka, który przyплыł ze Stanów na jednym ze statków obsługujących szyby naftowe. Eduardo był miłym chłopakiem. Kręcił się zawsze po dokach, kiedy jego statek cumował w porcie. Zakochał się w niej i został tutaj, podczas gdy łódź odpłynęła.

– Miał tatuaż Diamondbacks?

Potwierdziła.

– Pochodził z Tucson, ale pracował dla koncernu naftowego, serwisując platformy. Był mechanikiem. Dobry zawód.

– Co się z nimi stało?

– Był obywatelem Stanów, więc pobrali się, żeby Felicia mogła dostać zieloną kartę. Wszystko przez to czekanie – ona musiałaby zostać w Meksyku przez kilka miesięcy, może rok, zanim wróciłyby jej

dokumenty. Nie mógł znieść tak długiej rozłąki, a przecież musiał pracować.

– A więc pojechali na północ? – spytał Jack. – Chciał ją zabrać do Tucson?

– Tak. – Jej oczy wypełniły się łzami. – Wie pan, oni byli tacy młodzi i głupi. On myślał, że skoro jest z Arizony, to lepiej poradzi sobie na pustyni, że znajdzie drogę. Biedny Eduardo.

– Nie wiemy, czy Felicia przeżyła, czy nie – powiedział Jack. – Znaleźliśmy odcisk buta, ale nic poza tym.

– O, wiem, że udało jej się przeżyć – odparła Maya. – Zadzwoiła do matki, jak tylko dotarła do Tucson. Myśleliśmy, że wróci od razu do domu po śmierci Eduardo, ale zdecydowała, że zostanie z jego rodziną i wychowa swoje dziecko.

– Ich dziecko?

– Tak – odrzekła Maya. – Zaszła w ciążę, jeszcze zanim wyjechali. Po prostu o tym nie wiedziała.

– Ma pani może jej adres? – spytał Jack.

Twarz Mai spochmurniała. Zaciśnęła wargi i odwróciła wzrok.

– Proszę mnie wysłuchać – powiedział Jack. – Przysięgam, nie wydam Felicii służbom. Próbuję znaleźć małą dziewczynkę i oddać ją jej ojcu. Ten człowiek zgubił córkę podczas przekraczania granicy.

Przypuszczamy, że Felicia i jej grupa ją znaleźli.

Maya znów na niego spojrzała.

– Felicia pomogłaby, gdyby miała taką możliwość.

– Wierzę w to – odrzekł Jack.

– Ile lat miała ta dziewczynka?

– Sześć. Czy ma pani numer Felicii?

Kobieta zaprzeczyła.

– Nie, ale wysłała mi kartkę na urodziny. Był tam jej adres.

– Mogłaby pani jej poszukać? – spytał Jack.

Maya zniknęła wewnątrz sklepu. Jack spojrzał w stronę morza, na wschód, tak jak robił to, będąc chłopcem, w południowej części Bostonu. Światło skrzyło się na wodzie w porcie i odbijało od leżących daleko za nim Karaibów. Słyszał szcęk metalowych rolet w sklepach, które właśnie się otwierały. *Mariachi* zaczęli grać na dalekim krańcu

promenady. Ich muzyka brzmiała jednocześnie radośnie i smutno.

– Znalazłam – powiedziała Maya. – Ale musi pan przysiąc, że nie zrobi pan nic, co mogłoby ją skrzywdzić, że nie wyda jej pan władzom.

– Przysięgam.

– Na coś ważnego dla pana, na najważniejszą rzecz na świecie.

– Na Louellę – powiedział bez wahania. – Moją żonę.

Skinęła głową i podała mu kopertę. Jack przepisał adres. Zauważył, że to miejsce leży na wiejskich terenach zachodniej części Tucson, za autostradą międzystanową I-10 i górami Tucson.

– Dziękuję serdecznie – powiedział.

– Nie ma za co – usłyszał w odpowiedzi.

Ludzie spacerowali obok niego. Rodziny, pary idące ze sobą pod rękę, młodzież z telefonami. Słuchał, jak rozmawiają. Uwielbiał sposób, w jaki Meksykanie mówili po hiszpańsku, ich język wyrażał łagodność i dobroć, a kiedy go słyszał, słyszał też zawartą w nim miłość.

To właśnie widziała w nim Louella. Długo był twardzielem w mundurze, ale taka była jego praca. Po jakimś czasie obowiązki służbowe go wyczerpały. Miał już dość aresztowania ludzi, którzy chcieli być razem ze swoimi rodzinami. Jego żona kochała go na tyle mocno, by dostrzegać w nim to, co najlepsze – wiedział, że to ona jest powodem, dla którego tak bardzo chciał znaleźć Rosę. To ze względu na Louellę chciał zwrócić Roberto spokój ducha.

Rozdział 14

Roberto

Sad Rileyów był najspokojniejszym miejscem, w jakim Roberto miał okazję przebywać, ale dzisiaj sam był nerwowy i przerażony – czekali na oznaki, w którym kierunku będzie przemierzał się pożar. Był jeszcze dość daleko, ale huragan ciągle wiał i wstrząsał drzewami, a gęste chmury dymu ocieniały góry. Niedaleko niebo oświetlała luna, co oznaczało, że ogień jest już za jedną, góra dwiema graniami.

Roberto zwykle dobrze sobie radził z czekaniem. Miał tak od zawsze. Mogło to być spowodowane tym, że wychował się na wsi i wiedział, że są rzeczy, których nie da się przyspieszyć, zatrzymać czy kontrolować. Czekał, pracując, tak jak najlepiej potrafił. Ale pożary w Malibu były gwałtowne i nieprzewidywalne. Ten mógł przenieść się do innego kanionu albo ruszyć prosto na sad.

Teraz razem z Serapio używali koparki i łopat, żeby wykopać szeroki rów, biegnący wzdłuż północnej granicy sadu. Dwie cysterny z wodą stały w pobliżu, do tego Roberto rozłożył tender, węże i pompę o wydajności tysiąca trzystu litrów na minutę, aby zalać zagrożoną północną część sadu.

Do świtu mieli jeszcze do dyspozycji dziesięciu dodatkowych pomocników – pracowników dorywczych, których Roberto znalazł stojących w tym samym miejscu co zwykle i czekających, aż ktoś ich zatrudni. Pracowali przez całą noc. Kiedy wzeszło słońce, szef straży pożarnej i szeryf przyjechali, żeby przekazać Roberto raport o pożarze. Jak tylko samochody odjechały, ludzie zaczęli odchodzić.

– Ejże! – Roberto krzyknął do Geraldo z Oaxaca, którego często zatrudniał, a który był solidny i ciężko pracował. – Dokąd idziesz?

– *Lo siento, amigo*. Zbyt niebezpiecznie – odparł Geraldo.

Roberto wiedział, że nie chodzi mu o pożar, że zaniepokoiła go obecność urzędników.

– Nie będą sprawdzać dokumentów – powiedział Roberto. – Interesuje ich tylko zabezpieczenie terenu.

– Zbyt niebezpiecznie – powtórzył Geraldo.

Roberto mógł tylko patrzeć, jak odchodzi razem z resztą. Zapakowali się do dwóch starych samochodów i odjechali. Policjanci nie mogli ich wylegitymować bez przyczyny, ale jeśli złapali kogoś na łamaniu przepisów albo zauważyli coś, co im się nie podobało, mogli go w takim wypadku przeszukać. Jeśli nie miało się prawa jazdy – a żaden z nich go nie miał – bez pytania konfiskowali pojazd.

Teraz Roberto został sam z Serapio.

– Powiedz, co mam robić – powiedziała Julia, przychodząc szybkim krokiem z domu.

– Julio, nie – powiedział. – Dym podrażni ci oczy.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

Spróbował jeszcze raz.

– Julio, tu jest niebezpiecznie. Powiedzieli nam, że pożar przesuwa się szybko. Czujesz, jak mocno wieje?

– Tak – odparła. – Wiatr jest silny.

– Prawie sto kilometrów na godzinę.

Obiecał jej, że wszystko będzie dobrze, ale teraz, widząc czerwoną łunę, nie był już taki pewny. Pożarowi nadano drugi, najwyższy stopień zagrożenia i jeśli przedostałby się przez następny szczyt, Casa Riley i okoliczne nieruchomości zostałyby ewakuowane.

– Rozmawiałaś ze swoim wujkiem? – zapytał Roberto.

– Tak, kazał nam wszystkim uciekać.

– Myślę, że to dobry pomysł, straż może nas wkrótce ewakuować. Jedź już teraz, a ja zaczekam, aż przyjadą.

– Zostaję z tobą – odparła.

Przebiegła wzrokiem po rowie, jaki wykopali. Koparka rozorała ziemię, zostawiając nagą glebę tam, gdzie wcześniej rosły krzewy różane i powój. Jeden obszar był otoczony kamieniami i zbyt wąski, żeby wjechać tam ciężkim sprzętem, więc Serapio musiał użyć kilofa.

Chwyciła za łopatę ze stosu, jaki zostawili robotnicy. Roberto się

zawahał. Julia była bratanicą właściciela, nie musiała tego robić. Zobaczył, jak wyciąga żółte rękawice z tylnej kieszeni jeansów. Widział kiedyś, jak *Señora Riley* zakładała je, żeby przycinać róże.

Julia wzięła łopatę, poszła na miejsce, gdzie pracował Serapio, i zaczęła kopać. Serapio wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu – jego twarz była czarna od sadzy, twarz Roberto pewnie tak samo ubrudzona. Roberto ściągnął swoją czerwoną bandanę i zamoczył w tenderze z wodą, potem podszedł do Julii i zawiązał na jej szyi.

– Osłoń sobie nią twarz – powiedział. – Usta i nos. Pomoże w oddychaniu.

Zrobiła, jak jej poradził. Z ociąganiem zostawił ją tam, wszedł do koparki i zaczął przedłużać rów przeciwpożarowy. Za każdym razem, kiedy spoglądał na nią przez ramię, widział, że kopie tak intensywnie jak każdy robotnik, rzucając ziemię za siebie, posuwając się uparcie do przodu.

Dźwięk syren rozległ się w górach, a samoloty gaśnicze latały tam i z powrotem nad nimi, zbierając wodę z Pacyfiku i zrzucając ją na płomienie.

Samochód szeryfa z posterunku w Lost Hills podjechał na wzgórze i zaparkował w zatoczce. Funkcjonariusz wysiadł i zaczął machać rękami.

Roberto wyłączył koparkę i wyszedł sprawdzić, czego chce szeryf. Julia już tam była i rozmawiała z nim.

– Człowieku, w takiej chwili nie można używać podobnego sprzętu – powiedział szeryf do Roberto. Na jego odznace widniało nazwisko Hernandez. – Chcesz, żeby od jednej iskry zapalił się cały sad?

– Rozumiem – powiedział Roberto, zawstydzony, że upomniano go przed Julią, która jednak sprawiała wrażenie, że tego nie słyszała.

– Co z pożarem? – spytała Julia. – Jak zła jest sytuacja?

– Jak na razie spłonęło ponad dwadzieścia domów. Przyjechałem poprosić was, żebyście się ewakuowali – powiedział szeryf. – Zaczynamy opanowywać pożar w następnym kanionie, ale wy jesteście prosto na jego ścieżce.

Zatrzeszczało mu radio, lecz je wyciszył.

– Naprawdę musimy wyjechać? – spytała Julia.

– To najlepszy pomysł, proszę pani.

Dreszcz przebiegł Roberto. W Meksyku wybuchały pożary wzniecone błyskawicami podczas bezdeszczowych burz. Widział, co pożar może zrobić z całymi połaciami pól uprawnych, a i to bez specjalnych warunków, jakie panowały w górach Santa Monica. *Señor* Riley opowiedział mu o tym w dniu, kiedy zaoferował mu pracę.

– Wiatry zaczynają wiać jesienią. Wieją przez kaniony do morza, a po gorącym lecie chaparral jest jak rozpałka. Jeśli wybuchnie pożar, wiatr Santa Ana będzie go spychał do morza. Będzie przechodził ustalonym szlakiem, takim jak ten, który przechodzi przez nasz sad. Ogień nie zatrzyma się, dopóki wiatr będzie wiał.

– W Meksyku też mieliśmy pożary – powiedział Roberto.

– A więc wiesz, co masz robić.

– *Sí*. Wykopać rowy przeciwpożarowe i gasić ogień na tyle, na ile się da.

Riley zaśmiał się.

– Tak, to pierwsze jak najbardziej, ale drugie – nie. Tutejsza straż pożarna zajmie się ogniem. Twoim zadaniem jest przygotować wszystko na najgorsze, a potem wynieść się stąd w bezpieczne miejsce, zanim nadejdzie tu pożar. Widzisz te drzewa?

Wskazał stare, wysokie i rozłożyste dęby z konarami powykręcanyymi aż do ziemi – ich pnie były poczerniałe od ognia.

– Zaczęły się palić w roku siedemdziesiątym i siedemdziesiątym ósmym. Mieliśmy szczęście, że domowi nic się nie stało, ale raz straciliśmy sad. Najważniejsze, Roberto, jest to, żebyśmy nie stracili ciebie ani nikogo innego. To jest zasada numer jeden.

– *Gracias, señor* – podziękował Roberto.

Teraz helikoptery przelatywały in nad głowami, a niebo ciemniało od dymu.

– Czas na was – powiedział szeryf.

– Ale co z sadem? – zaprotestowała Julia.

– Julio, musimy się wynosić – odparł Roberto, biorąc ją pod ramię.

– Hej – uspokajał Hernandez – bez paniki, z pożarem walczy siedemdziesiąt zastępów straży i częściowo udało się go opanować. Wsiądźcie tylko do samochodów i jedźcie.

Roberto zauważył, że funkcjonariusz przygląda się jego czarnej tundrze. Poprzednio ledwo przeszła przez przegląd, a teraz rura wydechowa był przywiązana drutem do wiązania snopów.

– O co chodzi? – spytała go Julia.

– O nic – odparł. – Chodźmy po Bonnie. Serapio!

Serapio również obserwował szeryfa chodzącego dookoła ich pojazdów. Samochód Roberto przynajmniej był zarejestrowany i ubezpieczony. Serapio mógł wpaść w spore kłopoty, bo jego samochód nie spełniał żadnego z tych wymogów.

– Nie przejmuj się – powiedział Hernandez. Był krępy, szeroki i nosił węża, prawdopodobnie był jednym z tych szczęśliwych Meksykanów, którzy dostali dokumenty, a może się tutaj urodził. – Nie będę wam robił kłopotów w taki dzień. Tylko wyjedźcie stąd bezpiecznie, w porządku?

Julia poczuła zaniepokojenie Roberto i pobiegła do domu znaleźć Bonnie i kluczyki. Roberto ruszył zaraz za nią, nie chcąc spuścić jej z oka nawet na chwilę.

W kanionie rozległ się ryk, jak gdyby ożyły w nim potwory. Roberto odwrócił się i zobaczył, że płomień wystrzeliły na kilkaset metrów w górę. Linia pożaru biegła w ich stronę niczym zapalony lont, pokonując pobliską grań tak szybko, że poczuł na sobie gorące powietrze.

– Ruszaj! – krzyknął do Serapio. Jego przyjaciel pobiegł do samochodu. Hernandez był już w wozie patrolowym, wzywając wsparcie, ale syreny słyszało się już w pobliżu.

Roberto wiedział, że jeśli nie weźmie stąd Julii, i to zaraz, ogień odetnie im podjazd. Wpadł do domu, po schodach na piętro do jej sypialni. Tam ją znalazł, klęczącą na podłodze, w połowie schowaną pod łóżkiem. Nie zadawał pytań, tylko klęknął przy niej i zajrzał pod mebel.

Bonnie była wciśnięta pod nim tak blisko ściany, jak tylko mogła. Dyszała mocno, a jej ciałem wstrząsały dreszcze.

– Nie umiem skłonić jej, żeby wyszła – powiedziała Julia.

Roberto wstał i przeszedł na drugą stronę łóżka, jak najbliższej miejsca, gdzie leżała Bonnie. Podniósł ciężki mebel jedną ręką, a drugą sięgnął po Bonnie. Czuł, jak zwierzak nie może opanować drżenia, kiedy

trzymał go przy piersi.

– Śpiesz się, *amor* – powiedział do Julii.

Kiwnęła głową. Trącił ją lekko, żeby zaczęła biec, i sam ruszył za nią po schodach. Syreny wyły na wzgórzu, a Bonnie skamlała przerażona i wiała się, żeby wyrwać się z jego rąk.

– *Ćśś* – szepnął do suczki, żeby ją uspokoić. – *Estas tranquila, niña...*

Wypadli z domu między smugi dymu. Płomienie lizały skalne urwisko na północ od rowu przeciwpożarowego, kilkadziesiąt metrów od pierwszego rzędu drzew cytrynowych. Wozy straży pożarnej przyjechały z dwóch stron: podjazdem i nieutwardzoną drogą pożarową z północnego zachodu.

Helikoptery zawisły nad nimi, a Roberto poczuł podmuch wirników i zamrugał, żeby ochronić oczy przed pyłem i kurzem, który maszyny wzbiły w powietrze. Dym był gęsty i czarny jak noc. Roberto ścisnął mocniej Bonnie i spróbował objąć Julię drugim ramieniem, żeby się nie oddaliła.

Bonnie zaskomlała, wyszarpnęła się z jego objęć i pobiegła przed siebie.

– Bonnie! – krzyknęła Julia. – Wracaj!

Strażacy, ubrani w ciężkie płaszcze i kaski z aparatami do oddychania, mrowili się w sadzie.

Roberto zauważył Hernandezę i pchnął Julię prosto na niego. Wyrwała się im obu i pobiegła prosto w dym za Bonnie. Roberto biegł zaraz za nią.

Siedział obok Julii i próbował złapać oddech. Już myślał, że stracił je obie. Bieg przez czarny dym był koszmarem – słyszał jej głos, ale nie wiedział, gdzie ona jest. Znał każdy centymetr sadu, chodził po nim w najciemniejsze noce, więc zaufał swojej orientacji w terenie i, wyczuwając ziemię stopami, zadbał, żeby być pomiędzy biegnącą Julią a klifem.

Bonnie miała dobry instynkt. Wilgotne powietrze płynęło od leżącego poniżej morza przez plażę w stronę wzgórza, tworząc wąski pas

czystego powietrza wzdłuż ścieżki przy klifie. Stara suczka dyszała, dreptając wzdłuż krawędzi urwiska. Nad oceanem powietrze było czyste poza jedną grubą smugą dymu, ale za nimi tworzył nieprzerwaną ścianę. Roberto już miał ściągnąć koszulę, zasłonić jej oczy i pobiec z nią do samochodu, kiedy usłyszał wołanie Julii.

Słyszając ją, Bonnie szczerknęła i bez wahania pobiegła do sadu w stronę Julii. Roberto złapał Bonnie i stał z nią na otwartej przestrzeni przy klifie. Czekali na Julię, ale nie przychodziła. Roberto poczuł, jak paraliżuje go strach.

Spadła czy zemdląca?

Podniósł Bonnie i przytrzymał ją mocno, w duchu prosząc, żeby się nie wyrwała. Wszedł z powrotem w dym i, próbując odnaleźć właściwy kierunek, zaczął wołać Julię.

– Człowieku, wynoś się stąd – zawołał do niego strażak.

– Muszę znaleźć Julię.

– Daj mi tego cholernego psa – warknął. – Znajdź przyjaciółkę i uciekaj.

Zwierzęca część mózgu Roberto przejęła kontrolę. Słyszał przenikliwy krzyk Julii i mimo że dym i hałas sprawiały, że jej głos dochodził z różnych stron, poszedł prosto w jej kierunku. Wpadła w środek sadu, otoczona szarpanymi wiatrem drzewami. Woda z węży pożarowych skapywała po grubych, zielonych liściach, jakby było tuż po ulewie.

Opierała mu się tak zaciekle, że nie był pewien, czy wiedziała, kim on jest albo gdzie są. Nie pamiętał, co jej powiedział, ale wziął ją na ręce i zaniósł w stronę samochodów ratunkowych.

Julia

Bonnie spanikowała. Wiedziała to, czego ludzie nie mogli wiedzieć, i czuła to, czego ludzie nie mogli odczuwać. W dniu, w którym zginęła Jenny, Bonnie zrobiła to samo co dzisiaj: schowała się pod łóżkiem Jenny, żeby uciec przed syrenami i smutkiem po śmierci dziewczynki, którą kochała najmocniej na świecie. Wtedy Bonnie była młodą suczką, a Julia – zbyt mocno zagubiona we własnym żalu, żeby się tym przejmować. Zostawiała tylko wodę i jedzenie przy łóżku Jenny i siadała na podłodze, podpierając ścianę, metr od miejsca, w którym

ukrywała się suczka.

Julia nie myślała, tylko biegła na oślep za Bonnie, jedynym żyjącym ogniwem łączącym ją z Jenny. Przez ostatnie pięć lat była przekonana, że gdyby straciła Bonnie, to sama też chciałaby umrzeć.

Teren był nierówny. Potknęła się o bruzdę, ale zdołała się zatrzymać, zanim wpadła na drzewo cytrynowe. Słyszała szum wody i pisk korb węży strażackich.

– Bonnie! – zawołała, krztusząc się i kaszląc w dymie.

Zatrzymała się, nasłuchując szczekania Bonnie, ale nie słyszała nic poza przerażającym hałasem wiatru, ognia i ekip gaśniczych. Jakieś zwierzę przebiegło z szelestem przez krzewy róż na lewo od niej, niedaleko nadbrzeżnej ścieżki.

– Bonnie! – krzyknęła i poczuła, jak czyjeś ramiona obejmują ją, ciągnąc w przeciwną stronę. Czowała swąd przypalonych włosów i skóry.

– Julio, chodź ze mną – powiedział Roberto.

– Nie chcę! Nie idę bez niej!

– Jest bezpieczna – powiedział.

– Nie, pobiegła...

– Znaleźliśmy ją.

Julia potrząsnęła głową, nie wierząc mu, próbując się mu wyrwać i pobiec w stronę ścieżki.

Roberto podniósł ją, a ona zaczęła płakać w jego ramię. Szedł szybko, jakby stopy same znały drogę – wiedziała, że nie mógł przecież widzieć dalej niż kilkadziesiąt centymetrów przed siebie. Trzymał ją tak, żeby jej twarz opierała się na jego szyi, a ona nie musiała wdychać sadzy i popiołu.

– *Te amo*, Julia – wycharczał. Głos miał tak ochrypły, że ledwo mógł mówić. Weszli na podjazd pełen wozów ratunkowych. Ratownik medyczny podbiegł do nich i założył Julii maskę tlenową. Stężony tlen przyprowadził ją o zawroty głowy. Odwróciła się, szukając wzrokiem Roberto, i zobaczyła, że stoi tuż obok niej. Bonnie była przywiązana liną do wozu strażackiego.

– Kocham cię, kocham cię – powiedziała Julia, ale nie była pewna, do kogo to mówi.

Roberto przykucnął, trzymając ją za dłoń. Uratował je obie. Patrzył

na Julię tak łagodnie, jakby byli sami w tym sadzie, a nie otoczeni przez ratowników.

Uśmiechnęła się do Roberto, a jej powieki zaczęły trzepotać. Wcześniej chciała umrzeć, w tej chwili pragnęła żyć, ale nie potrafiła zachować przytomności.

Teraz, leżąc na noszach na podjeździe, Julia otworzyła oczy i zobaczyła, że Roberto dalej ją obserwuje.

– *Hola* – powiedział.

– *Hola* – odpowiedziała. – Dziękuję.

– Jesteś moim sercem.

– A ty moim.

Uniosła głowę, żeby sprawdzić, czy Bonnie dalej tam jest, i zobaczyła, że suczka leży obok noszy, tak blisko, że Julia mogła niemal ją dotknąć. Coś jednak się zmieniło – było spokojniej, niemalże cicho. Ratowników było mniej, a z powietrza zniknął dym.

Obejrzała się dookoła. Dom był nienaruszony, drzewa cytrynowe ciągle stały, a wszystko przykrywał drobny biały popiół. Trawnik, drzewa, skały, cytryny, kamienne ściany i mozaikowa fontanna – wszystko wydawało się przysypane śniegiem.

Julia popatrzyła w górę i zobaczyła błękitne niebo.

– Co się stało? – spytała.

– Długo spałaś, *amor*.

– Jak długo?

– Jakieś dwadzieścia minut.

– Co z pożarem?

– Wiatr przestał wiać – powiedział. – Kanion i nasz rów zatrzymały pożar wystarczająco długo, by wiatr zdążył ucichnąć.

– Nie pali się już?

– Ogień jest pod kontrolą, a bez wiatru wygaśnie dużo szybciej.

Policja i strażacy zaczęli opuszczać teren. Ich samochody i wozy musiały manewrować, żeby wyjechać z wąskich miejsc na nierównych i podjazdach, wydając dźwięki cofania. Julia usiadła i podała dłoń Roberto, który pomógł jej wstać. Zachwiała się lekko, ale zaraz stanęła

równo.

Szeryf Hernandez podszedł do nich.

– No, zdarzył się cud.

– Było blisko, tak? – spytał Roberto.

– Uff – odetchnął Hernandez i wskazał palcem na północny występ skalny. – Popatrz, widać osmalone kamienie, tam gdzie ogień wypalił szczyt. Wszyscy patrzyliśmy, jak idzie w tę stronę, i myśleliśmy, że już jest po tym miejscu.

– A wiatr ucichł – powiedziała Julia. Bolało ją gardło, a głos miała ochrypnięty.

Szeryf kiwnął głową.

– Tak – powiedział – Casa Riley to dla ognia ostatni przystanek przed oceanem. Zostaliście oszczędzeni, ale dalej myślę, że powinniście stąd uciekać.

– Są jakieś informacje o domu Liona Cushinga? – spytała.

– Ta posiadłość na Turenne Road obok kanionu Topanga, tak? – spytał Hernandez. – Ogień ich całkiem ominął.

– O, to świetnie. On zawsze wyjeżdża, kiedy w okolicy jest pożar. Dam mu znać.

– Już wie – zaśmiał się Hernandez. – Ma bezpośrednie połączenie do mojego szefa. Szeryf Los Angeles jest jego wielkim fanem.

Julia się uśmiechnęła – cały Lion.

– Dziękuję za wszystko, co zrobiliście – powiedziała.

Julia, Roberto i Bonnie poszli do domu. Grube ściany i okna skrzydłowe z szybkami oprawionymi w ołów zatrzymały dym, tak jak podczas poprzednich pożarów w Malibu. Julia naląła miskę świeżej wody dla Bonnie. Suczka piła, a Roberto wycierał jej sierść z sadzy mokrym ręcznikiem.

– Przydałaby się jej kąpiel – powiedział.

Wykąpali suczkę w łazience na parterze, nalewając ciepłej wody do wanny, włożyli ją do środka i polali szamponem. Roberto wydawał się całkiem spokojny, namydlając sierść Bonnie i splukując ją wodą z dzbanka przyniesionego z kuchni. Woda zrobiła się czarna, więc ją spuścili i napełnili wannę jeszcze raz.

Bonnie cały czas się otrzępywała, mocząc ich, co powodowało

wybuchy śmiechu. Julia była do tego przyzwyczajona i uwielbiała patrzeć na reakcje Roberto. Bonnie zawsze lubiła się kąpać. Kiedy jej futro pachniało czystością, opłukali ją jeszcze raz, wyciągnęli z wanny i użyli wszystkich ręczników z łazienki, żeby ją wysuszyć.

– Widać, że czuje się lepiej – powiedział Roberto.

– Tak – potwierdziła Julia.

Patrzyli, jak suczka idzie do swojego łóżka w rogu kuchni, obraca się raz i kładzie się. Bonnie położyła głowę na przednich łapach.

– Teraz wiem, że pożar naprawdę się skończył – powiedział Roberto, kiwając głową w stronę Bonnie. – Dlatego że się odprężyła. Ona czuje wszystko.

– Tak jak wtedy, kiedy leżała przestraszona pod łóżkiem?

– *Śi*. Ale też wtedy, kiedy pobiegła w stronę klifu – jedyne miejsce, w którym mogła oddychać.

– Naprawdę? – spytała Julia.

Roberto objął dłońmi twarz ukochanej i spojrzał jej w oczy.

– Tak, ale jak tylko usłyszała twój głos, pobiegła prosto w dym, żeby cię znaleźć.

– Uratowałeś nas, Roberto – powiedziała.

– Kocham tego psa – odparł. – Kiedy pobiegła, pomogła mi ciebie znaleźć. Wiedziałem, że mnie potrzebujesz.

„Potrzebujesz mnie”. Julia poczuła te słowa na swojej skórze.

Przez tak długi czas nie pozwoliła sobie na to, by kogoś potrzebować czy nawet chcieć kogoś. Roberto przytulił ją i pocałował. Poszli w stronę schodów razem, jedno obok drugiego, żeby pod prysznicem zmyć z siebie ślady pożaru.

Kiedy wyszli na piętro i znaleźli się w sypialni, Julia usłyszała, jak dzwoni jej telefon. Zerknęła na ekran i zobaczyła, że John, Lion i Jack Leary próbowali się z nią kontaktować. Wszyscy poza Johnem mogli poczekać.

– Roberto – zaczęła.

– *Śi*?

Podawała mu swój telefon.

– Mógłbyś zadzwonić do Johna?

– Myślę, że to z tobą chciałby rozmawiać i dowiedzieć się, czy

wszystko u ciebie w porządku – powiedział Roberto

– Ty mu to powiedz – odparła Julia. – Ty zarządzasz sadem i to ty powinieneś zadzwonić.

Roberto pokraśniał z dumy, biorąc telefon do ręki. Julia pokazała, który numer ma wybrać, i poszła do łazienki włączyć prysznic. Podczas gdy woda się grzała, podeszła pod drzwi sypialni, żeby słyszeć rozmowę.

– Señor Riley – słyszała głos Roberto – pożar był groźny, ale udało się uratować dom i sad. Co najważniejsze, Julii nic się nie stało...

Rozdział 15

Roberto

Pierwszy raz w życiu poszedł pod prysznic z kobietą. Łazienka Rileyów była obszerna – nigdy wcześniej nie widział większej kabiny. Z początku czuł się nieswojo, ale jak tylko wszedł z Julią pod strumień gorącej wody, jego zahamowania zniknęły.

Kiedy ją całował, a gorąca woda spływała po ich ciałach, myślał, że oszaleje, jak nigdy wcześniej. Każdą część jego ciała wypełniało życie, a Julia była tak ciepła i śliska w jego objęciach, jak gdyby miała się z nim połączyć przez skórę. Namydliła jego ciało i gestem poprosiła, żeby zrobił jej to samo. Nawzajem umyli sobie włosy.

Sadza spłynęła do kanału. Nigdy w życiu nie czuł się tak czysty. Zostali w łazience jeszcze długo po tym, jak zmyli czarny dym z włosów i skóry, tylko całując się i kochając.

Poczuł dłonie Julii przesuwające się w dół po jego plecach, jej piersi na swoim torsie, a kiedy sięgnęła w dół, by go dotknąć, zrozumiał, czego ona chce.

– Tutaj? – zapytał.

– Tak – powiedziała. – Jeśli chcesz.

– Chcę.

Julia była tak cudownie miękka, więc objął ją ramionami, żeby jej ciepła skóra nie musiała dotykać zimnych kafelków. Kiedy w nią wchodził, uniósł ją w górę, a ona oplótła go nogami w pasie.

Poczuła się lekko, kiedy trzymał ją jedną ręką, drugą opierając o chłodną ścianę. Ich wzrok się zrównał i Roberto spojrział w jej niebieskie oczy, dla niego wciąż tak egzotyczne. Mimo że gorąca woda spływała jej po twarzy, mrugała rzadko. To, że mogli się nawzajem obserwować, zbliżyło ich jeszcze bardziej do siebie, bardziej, niż wydawało mu się możliwe.

Wstrząsnął nim dreszcz intensywnej przyjemności, woda sprawiała, że ich ciała były śliskie, co doprowadzało go do krawędzi szaleństwa. Objął dłońmi jej pośladki, a ona zacisnęła nogi na jego talii. Oparli się o siebie głowami, ugryzła go w bark i jęknęła. Słyszając jej ekstazę, poczuł, jak ogarnia go jego własna.

Poruszał się coraz szybciej. Trzymała go mocno, co jeszcze bardziej go podniecało, usłyszał urywane hiszpańskie słowa, jego usta były przy uchu Julii.

Kiedy skończył, ledwo trzymał się na nogach. Opuścił Julię na podłogę; uśmiechnęli się do siebie.

– Julio – powiedział – nigdy tego tak nie robiłem.

– Pod prysznicem?

Kiwnął głową. Może lepiej było nie mówić jej o tym, nie dlatego, że miałyby go za naiwnego, ale dlatego, że uważał za niekulturalne opowiadać o swojej przeszłości z kobietami. Miał też nadzieję, że ona nie będzie mówiła o swoich mężczyznach. Pewnie miała podobny pogląd na tę sprawę, gdyż nie odpowiedziała. Owinęła go tylko miękkim i puszystym ręcznikiem i poprowadziła do łóżka.

Jak tylko się wysuszyli, wślizgnęli się do łóżka. Pościel była tak miękka w dotyku – bardziej niż jakikolwiek materiał, który znał – jakby była utkana z chmur. Julia leżała blisko niego, z głową na tej samej poduszce. Za łukowymi drzwiami prowadzącymi na balkon widać było niebieskie niebo i Ocean Spokojny.

– Dziękuję za dzisiaj – powiedziała.

– *La, Julia...*

– Dwie godziny temu myśleliśmy, że stracimy Bonnie, dom, wszystko. A jednak udało nam się.

– *Este es mi cielo* – powiedział.

– Jak zapytać się „co?” po hiszpańsku?

– Meksykanie mówią „*mande?*”.

– No dobrze. *Mande?*

– Tu jest mój raj – powiedział.

– W tym sadzie?

– Nie, w tym łóżku, z tobą.

– Mój też – powiedziała.

Mimo że zdawało się to niemożliwe, wierzył jej. Leżeli razem pod lekkim prześcieradłem i Julia zasnęła pierwsza. Słuchał jej oddechu, tak lekkiego i równego, aż zrównało się z nim bicie jego serca. Błękit nieba zaczął blednąć, a kolory zachodu – oranż, purpura i złoto, wpadły przez otwarte drzwi. Roberto chciał, żeby ten dzień trwał wiecznie. Słońce

zachodziło bardzo wcześnie o tej porze roku, ale wyczerpanie dzisiejszymi wydarzeniami dało o sobie znać. Trzymał Julię w ramionach, mając świadomość, że ich szczęście nie może trwać wiecznie. Teraz jednak było rzeczywistością, więc chciał powstrzymać nadchodzący sen tak długo, jak tylko mógł, żeby czuć to, co szczerze i prawdziwie działo się między nimi, a potem zasnął.

Następnego ranka Julia przygotowała śniadanie: jajka, bekon, cytrynowe muffinki, świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy i najlepszą kawę, jaką Roberto pił w życiu. Siedzieli na tarasie od strony oceanu i grzali się w promieniach słońca, jakby to było dla nich normalne, jakby byli parą. Pożegnał ją pocałunkiem i poszedł pracować.

Teraz, kiedy pożar został już ugaszony, Roberto i Serapio zaczęli sprzątać sad. Musieli zmyć i usunąć popiół ze wszystkich roślin, drzew i trawy. Strażacy ciągnęli swoje węże po grządkach i obłamali niższe gałęzie niektórych drzew cytrynowych. Śwąd dymu zastąpił okropny fetor drzew, które spłonęły w kanionie. Tego dnia wiatr, czysty i niosący zapach soli, wiał od strony oceanu, spychając odór pożaru na wschód.

– Co tam? – spytał Serapio, kiedy dotarli na odległy koniec sadu, skąd nie było widać Casa. – U ciebie i u pani?

– *Mande?*

– Przyznaj się – spałeś wczoraj w dużym domu. Przyszedłem tu dzisiaj wcześnie rano, a ciebie nie było w twojej chatce.

Roberto nie odpowiedział. Stał na drabinie, tnąc złamany konar długą piłą, i udawał, że wymaga to większego skupienia niż w rzeczywistości.

– Powiedz, pocieszyłeś ją? Była zdenerwowana pożarem?

Faceci lubili się chwalić, Roberto nie był wyjątkiem. Czuł taką dumę, że był z Julią, że ledwo się powstrzymał przed opowiedzeniem o wszystkim Serapio, który był jego przyjacielem i współpracownikiem od trzech lat. Mimo tego miał zbyt duży szacunek do Julii. Mogła nie chcieć, żeby inni się dowiedzieli.

– Chyba zwariowałaś – powiedział

– Nie daj się prosić. Mnie możesz powiedzieć. Dobra była?

Roberto go zignorował. Wielu Meksykanów snuło fantazje o tym, jak by to było zrobić to z *gringa*. Czym by się to różniło, a co byłoby

takie samo. Roberto spał wcześniej tylko z hiszpańskimi dziewczynami. Mógł powiedzieć Serapio, że z tą *gringa* było całkowicie inaczej, ale nie z powodu seksu albo uderzającej różnicy między jej białą skórą a jego smagłą karnacją, albo przez to, jak to było przytulać ją, patrząc w jej niebieskie oczy. Było inaczej dlatego, że ją kochał.

– W porządku, nie musisz nic mówić – powiedział Serapio. – Ale bądź ostrożny, *amigo*.

– Dlaczego?

– Spanie z siostrzenicą szefa może kosztować cię tę robotę. Może kosztować nas wszystkich.

– On taki nie jest.

– Czyli jednak się z nią przespaleś!

Roberto uśmiechnął się, ale tylko dlatego, że Serapio stał na ziemi i tego nie widział. Piłował dalej gałąź, a kiedy ta już miała spaść, kazał Serapio się odsunąć. Gałąź odłamała się z trzaskiem i ciężko upadła na ziemię.

Dalej, na następne drzewo, a potem na kolejne – w taki sposób Roberto udawało się pozostać sobą, tak robił od zawsze. Robił, co do niego należy, od jednego zajęcia do drugiego, wypełniając minuty i godziny, i to pozwalało mu zachować psychikę w jednym kawałku, przynajmniej do tego stopnia, w jakim mógł to zrobić człowiek, który beznadziejnie się zakochał.

Rozdział 16

Lion

Czuł się jak stary magnat powracający na swe włości, by ocenić wielkość strat. Łut szczęścia ocalił jego dom, lecz droga przez kaniony wiodące do posesji napełniła go trwogą. Tylko najwięksi głupcy mieszkali w Malibu. Tylko ci, którzy potrafili odrzucać rzeczywistość, wyprzeć z niej setki lat wiatrów Santa Ana i ogni, które podsycaly, mogli ludzić się, że ominą one właśnie ich dom. Czas był po stronie tych diabelskich wichur.

Z grzbietów gór za Casa Riley zostało tylko czarne, dogorywające pogorzelnisko. Wstrzymał oddech, jadąc pod górę, pewny, że dom spłonął pomimo zapewnień służb. Zbliżał się do niego jak do starego przyjaciela, spodziewając się widoku przypominającego człowieka poszarpanego przez rekina – ciała pełnego blizn i wciąż otwartych ran, z pourywanymi kończynami.

Ku jego zaskoczeniu wszystko wyglądało tak wspaniale, jak zawsze – delikatna powłoka bladego pyłu pokrywająca dom przypominała kandyzowany cukier, sprawiając wrażenie, jakby cała posiadłość była dekoracją sceny rodem z *Dziadka do orzechów*. Przez moment był skłonny uwierzyć, że ceramiczna fontanna i ogrody kwiatowe zrobione są z kruchego marcepanu.

Julia i Bonnie wybiegły mu na powitanie z kuchni. Kobieta uściskała go, jakby był jej dawno zaginionym wujkiem powracającym z dalekiej wojny, pomimo że to ona musiała walczyć z ogniem.

– Dzięki Bogu. Tylko tyle mogę powiedzieć – zaczął Lion.

– Wiem – odpowiedziała Julia.

– Nie oddzwoniłaś po tym, jak zostawiłem ci wiadomość.

Zacząłem się martwić.

– Przepraszam, właśnie w tej chwili skończyłam rozmawiać z Johnem. Lion, po prostu nie mogę uwierzyć w to, co tu się stało. Pożar już prawie zaczął nas trawić, ale dosłownie w ostatnim momencie wiatr przestał wiać. Tak po prostu.

– Tak po prostu?

– Dokładnie – odpowiedziała Julia. – Szeryf powiedział, że to cud.

– Trudno się z nim nie zgodzić – stwierdził Lion. – Ale ten zapach...

– Wiem.

– Niektórzy mawiają, że ogień jest dobry dla gór – powiedział Lion. – Mówią, że dodaje im zdrowia. Ciężko mi się z tym zgodzić, gdy widzę, co żywioł zrobił z kanionem.

– Nie byłam poza posiadłością, więc nie widziałam – odpowiedziała Julia.

– Może masz ochotę na małą wycieczkę?

– Wiesz, mógłbyś mnie zabrać na zakupy...

– Praktyczna do bólu. To pewnie ta słynna nowoangielska krew. Miałem na myśli raczej brunch w Shutters.

– Lion, dopiero co zjadłam ogromne śniadanie.

– Takie maleństwo jak ty? Cóż, i tak cię zapraszam. Możesz podelektować się mimozą, podczas gdy ja spałaszuję ich wyborne naleśniki z cytryną.

Zawahała się. Zobaczył, że spogląda w stronę, z której dochodził dźwięk pił mechanicznych. Liście lśniące białym popiołem zasłoniły robotników, lecz on wiedział, kogo szukają jej oczy.

– Roberto jest już dużym chłopcem – powiedział. – I od dłuższego czasu doskonale radzi sobie z zarządzaniem tą posiadłością.

– Nie wątpię – odparła.

– Czy naprawdę osiągnęliście już ten moment, kiedy nie możecie być osobno nawet przez godzinę?

– Oj, przestań – odpowiedziała. – Powiem mu tylko, że wychodzimy.

Lion patrzył, jak biegła przez sad. Dokładnie tak samo jak wtedy, gdy była małą dziewczynką. I wiele z tamtej dziewczynki w niej pozostało – radość i beztroska. Lion odetchnąłby głęboko, ciesząc się tym widokiem, gdyby nie wszechobecna i dusząca woń spalenizny.

Wróciła z uśmiechem na ustach. Po tym, jak odprowadziła Bonnie do domu, wyszła z niego z torebką i w okularach słonecznych. Lion przyjrzał się jej uważnie. Pomimo tego, że wywodziła się od Johna, a nie Gracieli, miała w sobie elegancję i wdzięk swojej cioci. Ale nawet w tych okularach nie posiadała jej czaru, choć z drugiej strony – kto go

miał?

Roberto przywrócił ją do życia. W tym zaczarowanym sadzie, ogarniętym magią Malibu, jej miłość do niego sprawiła, że rozkwitła na nowo.

Lecz Lion był już stary, wiele widział i wiele przeżył, zwłaszcza jeśli chodzi o nieszczęśliwe miłości. Z czasem odkrył istnienie szeregu zasad decydujących o sukcesie związku – namiętność to tylko początek. Prawdziwe, trwałe związki potrzebują o wiele więcej. Wszystko to mocno go nużyło. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnął, by właśnie te inne, niekonwencjonalne związki mogły przetrwać – z pewnością uczyniłyby świat lepszym i ciekawszym miejscem – lecz to właśnie one zawsze się kończyły.

Pełen obaw wyczekiwał nieuniknionego zawodu miłosnego Julii. Wiedział, że nie jest kobietą, której oddanie komuś serca przychodzi z łatwością – trzymała je pod kluczem przez ostatnie pięć lat, a nawet wcześniej, gdy jej małżeństwo z Peterem rozpadało się na kawałki.

Lion chciał, by Julia i Roberto byli szczęśliwi w swym gniazdku miłości, lecz wiedział też, że związek wykształconej kobiety ze służącym nie przetrwa. Wiedział, że ich miłość ma datę ważności.

Julia zdawała się kochać Malibu. Może kupi mały domek niedaleko, tak jak zapowiadała podczas ich ostatniej przejażdżki. Lion wiedział, że wtedy przyciągałaby ją akademicy i intelektualiści. Ludzie zawsze uważali Los Angeles za plac zabaw, miejsce, gdzie ważny był tylko wygląd zewnętrzny – i mieli całkowitą rację. Jednak istniała tu też znacząca enklawa pisarzy, profesorów i rozmaitych filozofów – na UCLA, USC i Pepperdine. Lion wiedział, że w zagłębiu Los Angeles znajdują się też antropolodzy.

Jechali wzdłuż oceanu, prosto do Santa Monica, na sam koniec Pico Boulevard, gdzie znajdował się najulubieńszy na całym świecie hotel Liona: Shutters on the Beach. Budynek zbudowany z bladoszarego gontu z białymi liniami, postawiony prosto na piasku, wyglądał jak hotel z bajki. Jego okrągły podjazd wypełniony był służącymi – Lion znał każdego z nich z imienia.

– Dzień dobry, panie Cushing – powiedział Arturo, przejmując jaguara.

– Dzień dobry, Arturo – odpowiedział Lion.

Zaprowadził Julię do środka, ciesząc się jej radością, gdy ponownie ujrzała lobby – była tu wcześniej z Johnem i Gracielą. Shuttery był ulubionym miejscem na rodzinne spotkania i uroczystości – jego lobby było długie, z przepięknym widokiem wprost na ocean, lecz również przytulne i delikatne: dwie eleganckie sofy ustawione naprzeciwko siebie pozwalały na intymne rozmowy, w obu kominkach płonął ogień, a na ścianach wisiały oryginalne obrazy i litografie.

Jonathan, odzwierny, przywitał Liona i Julię z informacją, że ich stolik już czeka. Zeszli po schodach na dół do Coast Restaurant, siadając w samym rogu wśród pasiastych poduszek na wyściełanych siedzeniach. Okna wyglądały prosto na plażę. Kelnerzy nosili koszule w kolorze sorbetu i krawaty Vineyard Vines z wzorami małych rowerków, desek surfingowych i rozgwiazd. Błyskawicznie pojawił się przy nich Louis, przynosząc kawę i świeżo wyciśnięty sok z grejpfruta.

– Uwielbiamy to miejsce, prawda? – zapytał Lion.

– O, tak – odpowiedziała Julia.

Zgodnie z zapewnieniami piła tylko kawę i sok, podczas gdy Lion pochłaniał naleśniki z cytryną, na które miał taką ochotę. Bardzo go ucieszyło, gdy poprosiła o kawałek – podał go jej z maliną, syropem klonowym i masłem. Czuł się jak dobry wujek, który ma cały wolny dzień dla swojej niebiologicznej siostrzenicy. Godzina minęła im powoli na lekturze Los Angeles Times przy kawie.

– Co będziemy teraz robić? – zapytał Lion.

– Nie wiem – odparła Julia.

– Zróbmy coś innego, coś innego niż zawsze.

Zamyśliła się. Światło w jej oczach zmieniło odcień.

– Chciałam, żeby Roberto mi go pokazał, ale może pójdziemy tam razem – plac Mariachi?

– Co za fascynujący pomysł – powiedział Lion. – Wschodnie Los Angeles? Muszę przyznać, że nie znam dobrze tej części miasta, ale wiem, że dopiero co odnowili tam stary Boyle Hotel, a kto nie chciałby go zobaczyć?

Gdy wsiedli do samochodu, Lion skręcił w Ocean Drive.

– Pojedźmy dłuższą trasą, dobrze? Pomaga mi w trawieniu.

Pomimo że zbczyli z drogi, Lion wybrał krętą szosę wiodącą przez zielony, górzysty Sunset – jego ulubioną trasę do miasta. Uwielbiał rzędy prostych, wysokich eukaliptusów osłaniających drogę, ich aromatyczne, srebrnozielone liście. Ulice, które mijał, były fragmentami jego życia – na prawie każdej znajdowały się domy, w których grał, miejsca, w których kręcił filmy.

– Patrz! – powiedziała Julia, pokazując sokoła podrywającego się do lotu z gałęzi klonu. Szybko zniknął ponad koronami drzew.

– Wszędzie siły natury – stwierdził Lion. – Nie masz ich dość po walce z ogniem?

– Nie! – roześmiała się, jakby opowiedział jej dobry żart.

– Kochanie, wyjątkowością Malibu jest jego niezwykła równowaga – powiedział. – Przyroda nas stamtąd wygania, więc co jakiś czas musimy udać się do miasta. Miałaś doskonały pomysł.

– Dziękuję.

W głośnikach samochodu grali Rolling Stones. Lion znał Micka i Keitha, zwłaszcza Keitha, z kanionu Topanga. Muzyka przywołała w nim uczucie nostalgii, pamięć o dniach spędzonych na pracy z Vanessą Redgrave, Catherine Deneuve i Jane Fondą. Najpiękniejszymi i najbardziej utalentowanymi aktorkami na całym świecie. Spojrzał na Julię.

Minęli główną bramę Bel Air, a następnie Pink Palace – hotel Beverly Hills – miejsce, w którym wytwórnia przez dwa lata wynajmowała specjalnie dla niego bungalów, który tak podobał się Gracieli. Dalej był Sunset Strip z ogromnymi billboardami reklamującymi filmy i aktorów, obok budynku, gdzie jego menadżer miał swoje biura. Na samej górze znajdował się Soho – klub, do którego należał, lecz nigdy tam nie bywał.

Potem minęli Chateau Marmont, kolejny hotel, który znał aż za dobrze, następnie Laurel Canyon, jadąc przez Hollywood. Gdy zobaczyli rzekę Los Angeles, wiedzieli że wschodnie L.A. jest niedaleko.

– Chcesz zobaczyć, skąd pochodzi Roberto? – zapytał Lion.

– Tak – odpowiedziała Julia.

– Jesteście fajną parą.

– Dziękuję.

– Czy już ci się oświadczył?

– Boże, Lion! Daj nam trochę czasu! – odpowiedziała, śmiejąc się.

– Kochanie, to nielegalny imigrant. Ślub z tobą zapewniłby mu zieloną kartę. Czy wspominał o tym?

– Nie, i nie zrobi tego – odpowiedziała Julia.

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić. Wiem, że nie o to mu chodzi.

– Ja też – powiedziała. – Przez całe lata byłem sama, tak jak on. To wspaniały mężczyzna, ale nie wiem, co przyniesie przyszłość. Chcę zobaczyć, czy to jest właśnie to.

– A nie jest?

– Lion, czemu mnie dręczysz?

Właśnie, dlaczego to robił? Wiedział, czemu pyta ją o to wszystko. Te pytania dotyczyły bardziej jego niż jej.

– Wiesz, tego typu śluby wcale nie są takie rzadkie.

– Dla mnie są.

– Niekoniecznie – stwierdził Lion. Musiał się wysilić, by powstrzymać drżenie głosu. – Jeden miał nawet miejsce w naszej rodzinie.

– O czym ty mówisz?

– John wziął ślub z Gracielą, by nie została deportowana po ukończeniu zdjęć do filmu.

– Pierwszy raz słyszę coś takiego – powiedziała Julia.

– Graciela potrzebowała kogoś, kto miałby amerykańskie obywatelstwo. I *voilà!*

– A ty nie jesteś obywatelem USA, Lion? – spytała delikatnie Julia.

– Jestem – odpowiedział.

Docenił, że zaraz potem nie padło pytanie: „Więc dlaczego nie wyszła za ciebie?”. Nie potrafił udzielić odpowiedzi, która nie rozerwałaby jego serca na strzępy.

– Ona cię kocha – powiedziała Julia.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Dorastałam, widząc to – odpowiedziała. – Może potrzebowała Johna dlatego, że mógł zapewnić jest poczucie stabilizacji? Dlatego, że nie jest aktorem?

– Aktorzy nie mogą być stabilnymi partnerami? – spytał Lion, zdając sobie sprawę, że „stabilność” nie była cechą, którą można mu było przypisać.

– Jestem pewna że mogą, że ty możesz. Aktorstwo nie jest jednak zwykłym zawodem. Oboje jesteście gwiazdami, więc może obawiała się, że zaczniecie ze sobą rywalizować? Może chciała uniknąć toksycznej zazdrości, gdy tylko jedno z was zdobyłoby nagrodę? Czy nie zdarzało ci się flirtować na planie, gdy graliście w dwóch różnych filmach?

Lion zastanowił się nad jej pytaniem. Tak, przeżył już w życiu wiele przelotnych miłości. Mimo, że bardzo kochał Gracielę, nie był jej wierny. Tłumaczył to sobie tym, że była żoną innego mężczyzny, ale tak naprawdę nie czuł pewności, czy byłby w stanie odrzucić pokusę ze strony tych wszystkich aktorek, makijażystek, tej australijskiej reżyserki i jej uroczego akcentu.

– Pomimo tego, że nie jesteście małżeństwem, jesteście w sobie zakochani – powiedziała Julia.

– Tak, jesteśmy – odpowiedział. – A przynajmniej ja jestem.

– Ona też cię kocha, Lion. Jesteś częścią rodziny.

Lion patrzył na rzekę, wprost przed siebie. Bał się, że Julia zauważy łzy zbierające się w jego oczach. Nie chciał, by zobaczyła, że nawet jej czułe słowa nie są w stanie zmienić tego, że Graciela wyszła za Johna, a nie za niego.

Julia

Czuła, jak intensywne są jego emocje. Milczała, by mógł skupić się na własnych myślach. Przejechali obok torów i hali magazynowych. Minąwszy rzekę Los Angeles, jechali wzdłuż Cesar E. Chavez Avenue, gdzie skryte wśród drzew restauracje i sklepy tętniły życiem. Na ich ścianach znajdowały się kolorowe, misterne murale przedstawiające Franka Zappę, Pancho Villę i meksykańską flagę.

Grafiki urzekły Julię. Na jednym znajdowała się szkoła w przekroju, z uczniami w ławkach, nauczycielami przy tablicach, biblioteką pełną książek. Nad jej dachem unosiły się anioły.

Inny mural, hołd dla Diego Rivery, przedstawiał meksykańską wioskę i tłum robotników. Był wyrazisty i ogromny, namalowany jego rozpoznawalnym stylem. W rogu znajdował się portret artysty i miłości

jego życia, Fridy Kahlo.

– Możemy gdzieś zaparkować i pójść na spacer? – spytała Julia.

– Oczywiście. Powiedz tylko gdzie.

Krążyli po mieście, mijając White Memorial Medical Center, aż dotarli do East First Street. Przedmieścia Los Angeles migotały w upale po drugiej stronie rzeki niczym fatamorgana. Julia usłyszała muzykę – odwróciła głowę i ujrzała sklepiony pawilon, symbol Mariachi Plaza.

– Jesteśmy! – wykrzyknęła.

– Spójrz tylko na ten hotel! – Lion był wyraźnie ożywiony, wskazując na świeżo odrestaurowany Boyle Hotel. Neoromański, czteropiętrowy dom z czerwonej cegły był zbudowany w stylu wiktoriańskim, z wieżyczką, nakryty wdzięczną kopułą. Odlany z brązu znak wskazywał datę powstania budynku – rok 1889.

Okolica była bardzo zatłoczona. Lion musiał kluczyć, by znaleźć miejsce do zaparkowania. Zauważyli kilka furgonetek z ręcznie napisanymi nazwami zespołów i numerami telefonów na drzwiach, zatrzymali się na chwilę przy hiszpańskim podium kolonialnym, gdzie przebywało wielu *mariachi* w sombrero i charakterystycznych strojach ludowych.

Samochody krążyły wokół muzyków i Julia widziała, jak każdy z nich uśmiechał się do kierowców z nadzieją, że to właśnie on zostanie wybrany na wieczorny występ. Jeden z kierowców opuścił szybę i zaczął rozmawiać z mężczyzną w ciemnozielonym stroju. Po chwili *mariachi* zawołał kolegów z zespołu. Sześciu mężczyzn zaniósło instrumenty do swojej furgonetki i pojechało za samochodem. Inny zespół pozostał na placu, grając tradycyjną meksykańską muzykę.

Gigantyczny mural Matki Bożej z Guadalupe zajmował całą ścianę – szal z kwiatów i zniczy okrywał jej stopy. Inne murale przedstawiały *mariachi* grających na instrumentach, zarówno w niebie, jak i na ziemi.

Julię przeszył dreszcz na myśl o Rosie. Czy pamiętała, jak Roberto powiedział jej, że to właśnie jest ich cel i nagroda? A jeśli naprawdę dotarła na plac Mariachi?

Przechadzając się po placu z Lionem, Julia była świadoma swojego rozmarzenia. Tak naprawdę nie chciałyby tu ujrzeć Rosy – to niezwykle romantyczne miejsce, ale zupełnie nieodpowiednie dla samotnej,

jedenastoletniej dziewczynki. Wszędzie dookoła ludzie przemieszczali się w pośpiechu, wchodząc i wychodząc ze stacji metra.

Julia przypomniała sobie pewną sobotę. Jenny miała trzynaście lat i powiedziała matce, że spędzi cały dzień ze swoją przyjaciółką Martha. Obie jednak pojechały pociągiem do miasta i Jenny zaprowadziła Martha na północny zachód, przez Central Park – tą samą drogą, którą szła z Julią miesiąc wcześniej – do Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej. Chciały zobaczyć wystawę poświęconą Yaqui i innym plemionom pustyni Sonora.

Później, piorąc jeansy Jenny, Julia znalazła bilet na pociąg i bilet wstępu do muzeum. Musiała czekać cały dzień, aż córka wróci ze szkoły, z godziny na godzinę niecierpliwiąc się coraz bardziej. Prawie słyszała własną matkę: „Ktoś mógł cię zgwałcić, porwać lub zabić!”.

Gdy Jenny w końcu wróciła do domu, Julia zdążyła się już nieco uspokoić. Spytała po prostu:

– Czemu nic mi nie powiedziałaś?

– Chciałam to zrobić sama – odpowiedziała Jenny.

– Puściłabym cię, ale wolałabym, żebyś mówiła mi, gdzie idziesz, zamiast kłamać – powiedziała Julia.

– Tak tylko mówisz, mamó – powiedziała Jenny. – Zastanów się. Przecież nie ma szans, żebyś puściła mnie samą z Martha do Nowego Jorku.

Julia wiedziała, że Jenny ma rację – świat skrywał w sobie tyle zła. Gdyby tylko mogła, nigdy nie spuściłaby jej z oczu. Chciałaby już zawsze móc ją chronić. Wiedziała, że było to możliwe tylko wtedy, gdyby trzymała Jenny w domu, w nadmorskiej sielance Black Hall. Stojąc pośrodku Mariachi Plaza, Julia wiedziała, że Black Hall – to bezpieczne miejsce, w którym nie działo się nic złego – było też miejscem, w którym umarła Jenny. Być może życie było zbyt kapryśne, nawet dla najlepszych rodziców? Roberto bardzo starał się być dobrym ojcem, ale z opłakanymi skutkami.

– Wszystko w porządku? – spytał Lion.

– Tak – odpowiedziała. – Podoba mi się muzyka.

– Pamiętam, jak pewnego razu wynająłem majordomusa, by zorganizował imprezę w moim domu. Mieliśmy furgonetkę z tacos

i zespół *mariachi*. Było wspaniale. Musimy to kiedyś powtórzyć.

– Doskonały pomysł – powiedziała Julia.

Zmęczona upałem, wciąż odczuwała znużenie po walce z ogniem i całym wczorajszym dniem. Znaleźli ławkę w cieniu. Lion zobaczył stoisko z kawą i mrożonymi owocami i udał się w jego stronę. Julia wyciągnęła telefon. Od pewnego czasu planowała oddzwonić do Jacka.

– W końcu! – powiedział, gdy odebrał telefon.

– Słucham?

– Jestem na tropie Rosy, Julio. Poszedłem za śladami Marcie's – espadryle należały do kobiety o imieniu Felicia, podróżującej z tym wytatuowanym mężczyzną.

– Tym, który umarł?

– Tak. Ale Felicia żyje i właśnie do niej jadę. Dam ci znać, jak tylko się z nią zobaczę i będę więcej wiedział.

– Myślisz, że może znajdziesz tam też Rosę? – Julia aż wstała.

– Nie sądzę. Felicia utrzymywała kontakt z mamą i przyjaciółmi w Meksyku i nie wspominała nic o żadnej dziewczynce. Ale dzięki niej dowiemy się, co się wydarzyło na pustyni. Przynajmniej tyle.

Lion podszedł do niej z dwoma kubkami pełnymi mrożonych granatów. Julia wyszła mu naprzeciw.

– Pomyślałem, że pomogą nam się orzeźwić – powiedział.

– Dziękuję – odpowiedziała – ale musimy jak najszybciej wrócić do domu.

– Czy coś się stało?

– Jack Leary zaraz będzie wiedział, jaki los spotkał Rosę. Chcę, żeby Roberto był przy mnie, kiedy zadzwoni.

– Chodźmy więc – powiedział Lion, prowadząc ją do samochodu.

Rozdział 17

Jack

Jechał na wschód od Yumy pod adres, który podała mu Maya. Kiedy był jeszcze w czynnej służbie, ten wiejski obszar był częścią jego rejonu, więc znał go jak własną kieszeń. Droga wiodła przez pustynię wśród formacji skalnych, z purpurowymi górami mającymi gdzieś w oddali. Wszędzie rosły karnege olbrzymie – wysokie i tajemnicze. Był przekonany, że gdyby towarzyszyła mu teraz Louella, wypatrywałyby przez lornetkę gniazd kaktusówek.

Mijał pojedyncze, biedne domy. Gdy dotarł pod wskazany adres, wstrzymał oddech – to była zwykła przyczepa z zapadającym się dachem, z anteną satelitarną wyzierającą zza rogu. Ale ktoś postarał się uczynić to miejsce przyjemnym: obok przyczepy znajdowały się mały kaktusowy ogródek i kapliczka Matki Boskiej z Guadalupe, a obok drzwi powiewała amerykańska flaga. Na ziemi leżały dziecięce zabawki: mały wózek, lalki, miniaturowe przybory ogrodnicze. Jackowi zaschło w gardle. Zapukał do drzwi.

Cisza. Kątem oka zobaczył, że zasłona się poruszyła.

– Felicia? – zawołał. – Nie przyjechałem tu, by narobić ci kłopotów. Zauważyłem lalkę na podwórzu – należy do twojej córki? Szukam Rosy, małej dziewczynki. Myślę, że mogłaś ją znać.

Stał w ciszy przez pełną minutę, zanim odważyła się otworzyć mu drzwi. Stała w progu z ręką na ramieniu małej, pewnie czteroletniej dziewczynki. Jack zauważył, że nie są sami – za kobietą krzątały się cienie czterech lub pięciu osób, usiłujących ukryć się przed jego wzrokiem.

– Witaj, Felicio – powiedział. – Nazywam się Jack Leary. Przyjaciółka twojej mamy Maya powiedziała mi, gdzie mogę cię znaleźć.

– Wiem. Znalazła mój numer i zadzwoniła do mnie – odpowiedziała.

– Masz piękną córkę – powiedział, klękając, by spojrzeć dziecku w oczy. – Jak ci na imię?

– *Mama?* – spytała dziewczynka, spoglądając w górę.

– *Se llama Eduarda* – powiedziała Felicia.

– Imię ojca, który zginął na pustyni – odpowiedział Jack.

Oczy Felicji wypełniły się łzami.

– *Sí* – powiedziała. Objęła córkę i spytała: – *Migra? Policia?*

– Nie, nie, bez obaw – odpowiedział Jack po hiszpańsku. – Nic z tych rzeczy. Po prostu chciałem cię spytać o to, co wydarzyło się na pustyni.

– *Eduardo murió.*

– Wiem. Bardzo mi przykro – powiedział Jack.

– *Gracias* – odpowiedziała.

– Byli z wami inni ludzie, prawda?

– Tak. Zgubiliśmy się.

– Udało ci się jednak wrócić do domu.

– Dzięki Bogu! – powiedziała, głaszcząc Eduardę po głowie.

– Pomogłaś pewnej dziewczynce – powiedział Jack. – Znalazłaś ją po drodze do domu.

– *Sí* – potwierdziła Felicia. – Była sama.

– Czy jest tutaj?

– Oczywiście, że nie. To dom rodziny Eduarda. I tak jest przepełniony.

– Rozumiem. Czy wiesz, gdzie może być? Czy wróciła z tobą do Stanów?

– Tak, ale była bardzo chora. Straciła przytomność. Zanieśliśmy ją do szpitala.

– Do którego szpitala? – spytał Jack.

– Do centrum medycznego w Pais Grande – powiedziała Felicia. – Zostawiliśmy ją tam w nocy, pod drzwiami.

– Szliście tam pieszo?

– Nie. Wtedy spotkaliśmy już naszych przyjaciół, więc podjechaliśmy samochodem.

– Pais Grande jest niedaleko stąd. Wiesz może, co się z nią potem stało?

– Nie. Raz zadzwoniłam i spytałam, jak się czuje *la niña* z pustyni. Zapytali, czy jestem członkiem rodziny. Nie mogłam ich okłamać, więc niczego się nie dowiedziałam. *Lo siento* – powiedziała Felicia.

– Nie przepraszaaj – powiedział Jack, patrząc jej w oczy. –
Uratowałaś ją przed śmiercią. Ta dziewczynka żyła, gdy zostawiłaś ją
w szpitalu. To twoja zasługa. Jej rodzina będzie bardzo wdzięczna za tę
informację.

Odjeżdżał z gotowym planem dalszego działania: dobrze było
znów prowadzić sprawę, zwłaszcza że tym razem nie musiał oddawać
nikogo w ręce policji. Dowie się, czy Rosa przeżyła. Jeśli tak, pewnie już
jej tu nie było, choć wszystko jest możliwe. Ktoś w szpitalu musiał ją
widzieć, opiekować się nią. Wierzył, że uda mu się znaleźć odpowiedzi
na wszystkie pytania.

Rozdział 18

Julia

Tej nocy śniła jej się Jenny. Zawsze była dobrym jeźdźcem, a w tym śnie jechała na wielkim, gniadym koniu. Julia kibicowała jej zza białego ogrodzenia – zdawało jej się, że są na pokazie jazdy konnej, a dokładniej na zawodach w dojeździe myśliwskim. Jenny wyglądała pięknie w toczku, czarnej kurtce, płowożółtych spodniach jeździeckich i skórzanych butach.

Timmy też tam był – przyglądał się jej zza ringu, razem ze swoją nową dziewczyną. Jenny w każdej chwili mogła ich zobaczyć, co napawało Julię strachem. Jeśli tylko do tego nie dopuści, ocali jej życie i wszystko potoczy się tak, jak powinno.

Jenny podjechała do Julii. Siedziała wysoko na tym pięknym, ciemnym koniu. Jej oczy były pełne smutku.

– Jen – powiedziała Julia, wyciągając do niej rękę.

– Nic się nie stało, mamó. Widziałam ich. Nie możesz mi pomóc.

– Zostań ze mną, kochanie. Proszę, nie odchodź.

Jenny spojrzała do tyłu, prosto na Timmy'ego.

– Serca są po to, by je łamać – powiedziała.

– Co masz na myśli?

– Kocham całą sobą. Nie zmieniałbym tego, nawet jeśli miałoby mnie to zabić. Wiem, że nie chciałybyś, żebym się zmieniła.

– Jenny!

Jenny spięła konia i galopując, przeskoczyła ogrodzenie. Niesiona magią snu Julia podążyła tuż za nią, wznosząc się wprost do nieba. Strój jeźdźca zmienił się w wyblakłą, podartą sukienkę, a jej koń zmienił barwę z czarnej na bladożółtą.

Wylądowały na pustyni. Julia rozpoznała miejsce, gdzie wspólnie z Jenny spędziły wakacje na badaniach w terenie. Jednak tym razem zamiast antropologów zobaczyła tłum ludzi podążający na północ. Szukała wzrokiem Jenny i dostrzegła ją na samym przedzie.

– Kocham cię, mamó – powiedziała Jenny. – Nie odeszłam przez ciebie. Odeszłam przez samą siebie.

Julia nie mogła powstrzymać łez. Płacząc, objęła Jenny, która

pachniała tak jak zawsze. Nie chciała jej puścić, lecz nagle Jenny po prostu już tam nie było. Tłum ludzi zniknął i tylko Rosa stała samotnie na pustyni. Julia podniosła ją.

Obudziła się w łóżku z Roberto. Sen wydawał się taki prawdziwy – jej ramiona wciąż czuły ciężar Rosy. Wstała z łóżka i przez otwarte drzwi wyszła na taras. Spodziewała się zobaczyć konie i dwie dziewczynki na placu. Słońce miało wstać dopiero za godzinę, lecz przez mgłę nadciągającą od morza mogła już powoli dojrzeć rozjaśniające się niebo na wschodzie.

– Julia?

Roberto obudził się i opierał na łokciu.

– Śniły mi się dziewczynki – odpowiedziała.

– *Si, amor*. To był tylko sen...

– Były w nim razem, Jenny i Rosa. Nie chcę, żeby to był tylko sen.

Julia obróciła się z powrotem w stronę morza, czując wzrok Roberta na plecach. Myśli, które kłębiły się w jej głowie, przepelniały ją poczuciem winy. Ostatnie lata były dla Roberto potworne, ale wciąż miał szansę odnaleźć swoją córkę, podczas gdy Jenny odeszła na zawsze.

– Słyszałam jej głos – powiedziała.

– Jenny?

– Tak. We śnie brzmiała dokładnie tak, jak zawsze, ale była starsza. Miała dwadzieścia jeden lat, czyli dokładnie tyle, ile miałyby teraz. Rosa liczyła jedenaście.

– Jenny pomaga Rosie – odpowiedział.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytała.

– *Sí, amor*.

Stała w drzwiach, obserwując plac. Dwa kojoty przemknęły w rogu, zatrzymały się i jakby wyczuwając jej wzrok, spojrzały wprost na nią. W porannym świetle ich oczy były mieszanką czerwieni i złota. Odwróciły się i czmychnęły w krzaki, znikając jej z pola widzenia. Może one też się jej przyśniły?

– Chcę pojechać do Arizony – powiedział Roberto.

– Jack nie podał mi żadnych szczegółów – odpowiedziała. – Musimy poczekać, aż zadzwoni.

Zastanowiła się przez chwilę, jakby coś jej się przypomniało.

– Roberto, czy będziesz tam bezpieczny? Tak blisko granicy?
– Chodzi ci o urząd imigracyjny?
– Tak. A co, jeśli cię złapią?
– Tak to się może skończyć. To nie jest dobre miejsce dla nielegalnych imigrantów. Ale muszę tam pojechać, muszę być tam, gdzie była Rosa.

Perspektywa aresztowania przez straż graniczną przerażała Julię, ale rozumiała go. Już zaczął wstawać z łóżka, kiedy położyła dłoń na jego piersi i wróciła pod kołdrę. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak dręcząca była ta niepewność, to oczekiwanie na każdą, choćby najmniejszą informację dotyczącą Rosy.

Poranne powietrze było chłodne i wilgotne, a jego ciało przyjemnie gorące. Trwali w miłosnym uścisku – ich nogi splotły się, a usta odnalazły w długim, delikatnym pocałunku. Czuła jego dotyk na swoim ciele. Jej palce, zgrubiałe od kopania rowu do ochrony przed ogniem, delectowały się gładkością jego skóry. Poczwała, że rozplýwa się w jego ramionach.

Tulił ją, szepcząc po hiszpańsku. Całował jej ramiona, kark i usta. Patrząc w jego aksamitnie brązowe oczy, czuła więcej niż pożądanie. Gdy objął jej biodra, wspięła się na niego. Chciała czuć go w sobie, tworzyć z nim jedność. Potrzebowała zatracić się w nim całkowicie. Gdy pot ciekł po jej plecach, a ich ciała zaczęły drżeć, poczuła rozlewający się w środku niezwykle spokój.

Przysnęli w objęciach na kilka minut, po czym obudzili się na dobre. Roberto wstał, by wziąć prysznic, podczas gdy Julia założyła za duży T-shirt i zeszła na dół, by nakarmić Bonnie i zrobić kawę.

Suczka czekała na nią niecierpliwie przy kuchennych drzwiach. Julia wyszła z nią na dwór, czując chłodną poranną rosę na bosych stopach. Powstrzymała Bonnie, gdy ta zaczęła biec w kierunku morza – było jeszcze za wcześnie. Przed świtem góra wciąż należała do kojotów i innych dzikich zwierząt.

Roberto wyszedł im naprzeciw z dwoma kubkami kawy. Usiedli na brzegu fontanny, a zadowolona Bonnie położyła się na schodach. Poranne słońce powoli przebijało się przez morską mgłę, wypełniając soczyście żółte owoce złotym światłem. Kolibry podrywały się do lotu

z bugenwilli, a ostatnie fragmenty snu Julii snuły się wokół jej głowy jak mgła nad brzegiem.

Rozdział 19

Jack

Początkowo chciał zaczekać do poniedziałku na dyrektora placówki, ale była niedziela, a centrum medyczne Pais Grande okazało się małą przychodnią z zaledwie kilkoma pracownikami. Liczył na to, że któryś z nich zapamiętał Rosę – był tam już wcześniej wiele razy na służbie. Pais Grande zawsze było pełne nielegalnych imigrantów – odwodnionych i całkowicie zniechęconych do dalszej drogi. Wybierali klinikę na ostatni przystanek, gdzie oddawali się wymiarowi sprawiedliwości. Jack miał nadzieję, że nieprzytomne dziecko porzucone pod drzwiami wyróżniało się z tłumu.

Słońce dopiero co wstało, a już było gorąco. Cienie potężnych karnegii olbrzymich padały na chodnik, gdy Jack zjeżdżał z szosy. Kierował się na południe, do Pais Grande. Fale gorąca tańczyły nad ziemią, sprawiając wrażenie, jakby droga unosiła się ku bezchmurnemu niebu.

Wiedział, że Julia Hughes czeka na jego telefon. Po tym, co jej powiedział, Roberto musiał umierać z niecierpliwości. Wykręcił numer.

– Halo? – w słuchawce usłyszał głos Julii.

– Cześć – przywitał się. – Dzwonię, żeby powiedzieć ci, czego się dowiedziałem.

– Mów szybko!

– W tej chwili nie wiem jeszcze zbyt wiele – powiedział. – Ale rozmawiałem z kobietą, która znalazła Rosę. Była bardzo pomocna.

– Zaczekaj – powiedziała Julia. Usłyszał, że woła Roberto.

– Spokojnie, spokojnie. Powiedziała mi tylko, że Rosa była bardzo chora. Zostawiła ją w klinice w Pais Grande. Właśnie tam jadę.

– Ale była żywa?

– Tak. To wszystko, co wiem. Pewnie powinienem zaczekać i zadzwonić, gdy będę miał jakieś konkretne informacje. Coś namacalnego.

– Nie, nie! Dobrze zrobiłeś! – słyszał, jak podekscytowany był jej głos. – Tylko odezwij się szybko, okej?

– Oczywiście – powiedział. – Zadzwonię, jak tam dotrę.

Rozłączył się i jechał dalej. Zawiesił ramię na siedzeniu obok, zupełnie jakby Louella była przy nim, a on chciał położyć prawą dłoń na jej ramieniu.

W mieście przywitał go znak: PAIS GRANDE. LICZBA LUDNOŚCI: 3100. Zobaczył wiele przyczep i domów ze stiuku, a także liche pasaż handlowy: wśród sklepów zauważył stację benzynową, restaurację tacos, aptekę i biuro prawnika imigracyjnego. Na końcu głównej ulicy znajdowało się jednopiętrowe centrum medyczne.

Jack zostawił samochód na niewielkim parkingu i podszedł do głównego wejścia. Tabliczka przy drzwiach oznajmiła mu, że znajduje się w Pais Grande – Sonora Medical Center, obsługującym arizońską wieś od 1975 roku. W środku przywitała go fala klimatyzowanego powietrza. W poczekalni nie było wolnego miejsca, zupełnie jakby wszyscy czekali właśnie na weekend, aby się rozchorować.

– W czym mogę panu pomóc? – spytała go kobieta siedząca za biurkiem.

Miała ciemną karnację i przyjazne spojrzenie. Była w średnim wieku, a siwiejące czarne włosy związała w długi warkocz. Na biurku stała tabliczka z napisem *Veronica Gonzalez, pielęgniarka dyplomowana*. Jack zerknął na dwa krótkie korytarze po jej lewej i prawej stronie – oba były pełne pomieszczeń lekarskich. Pacjenci czekali na wózkach i noszach.

– Jak się masz? – spytał.

– Całkiem nieźle – odpowiedziała. – Dawno cię tu nie widziałam.

– Przeszedłem na emeryturę.

– Ty? Niemożliwe. Porzuciłeś swoje powołanie?

– Wypadłem z obiegu na dwa lata – roześmiał się. – Widocznie kiepskie to powołanie.

– Cóż, tęsknimy za tobą. Jak mogę ci pomóc?

– Szukam kogoś – odpowiedział.

Patrzyła na niego beznamiętnie. Zawsze znajdowali się po przeciwnych stronach – pomimo tego, że była prawnie zobowiązana zgłaszać nielegalnych imigrantów, wiedział, że im współczuje i pomaga. Dla niej to on był wrogiem.

– Wiem że jesteś tu od dawna, Ronnie – powiedział.

– Dwanaście lat.

– Poszukuję informacji dotyczących zdarzenia sprzed kilku lat – konkretnie pięciu. Wiem, że grupa imigrantów zostawiła małą dziewczynkę pod drzwiami twojej kliniki. Była bardzo chora, nieprzytomna. Czy coś ci to przypomina?

– Przyjmujemy tu wiele osób, Jack – odpowiedziała.

– Ta dziewczynka była Meksykanką. Jeśli się przebudziła, najpewniej płakała za ojcem.

– Wciąż niewiele mi to mówi.

– Była boso. Znaleźliśmy jej buty na pustyni, pokryte krwią. Musiała mieć rany, skaleczenia. Najprawdopodobniej zarejestrowaliście ją jako N.N. Kobieta, która ją tu przyniosła, szybko się ulotniła i nie zostawiła żadnych informacji.

– Zapewniam cię, że jeśli to dziecko nie miało odpowiednich papierów, zgłosiliśmy je bezpośrednio do Urzędu Imigracyjnego, zgodnie z procedurą.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Słuchaj, Ronnie. Nie jestem już agentem. Nie chcę nikogo ścigać ani wsadzić do więzienia – ani ciebie, a już tym bardziej tej dziewczynki.

Nie odpowiedziała. Wiedział, że mu nie ufa – dla niej wciąż był pogranicznikiem. Wziął głęboki oddech.

Przyjrzał się dziecięcym rysunkom na ścianie. Wiele z nich przedstawiało pustynię – rodziny przemierzające piaszczyste pustkowia, trzymając się za ręce. Przerażające czerwone oczy lypiące z ciemności. Kaktusy i martwe ciała.

– To naprawdę narysowały dzieci? – spytał.

– Tak. Przyjmujemy tu wiele dzieci przekraczających granicę. Są odwodnione, poparzone przez słońce i pogryzione przez insekty. Wiele z nich widziało, jak ich rodzice umierają. Wszystkie potrzebują terapii potraumatycznej. Oczywiście jej nie otrzymują, bo nie dostajemy na nią funduszy. Po wypełnieniu dokumentacji wszystkie dzieci są transportowane do szpitala, który może się nimi lepiej zaopiekować niż my.

– Wiem, jak wygląda procedura. Chciałbym wiedzieć, do którego szpitala posłałabyś taką właśnie dziewczynkę.

– To zależy – odparła Ronnie.

– Od czego?

– Od tego, jak poważny byłby jej stan. Zwykle wysyłamy dzieci tam, gdzie są wolne łóżka. Mogę się spytać, dlaczego cię to interesuje?

– To jedna z moich dawnych spraw. Wiem, że masz nas wszystkich za pozbawionych serca sukinsynów i czasami rzeczywiście tacy jesteśmy. Dlatego właśnie zależy mi na tej dziewczynce. Naprawdę chcę jej pomóc.

– W jaki sposób?

– Chcę się dowiedzieć, co się z nią stało. Chcę przekazać to jej ojcu. Żył w niepewności przez ostatnie pięć lat. Możesz sprawdzić dane z maja 2007 roku?

Ronnie skinęła głową. Za Jackiem ustawiła się kolejka, co zdawało się ją drażnić. Po chwili znalazła w komputerze stosowne informacje.

– N.N., maj 2007. Płeć żeńska, lat sześć. Odwodniona, wiele ran – w tym zainfekowane, okaleczone stopy. Nigdy nie odzyskała pełnej przytomności – wołała swojego ojca, ale nie była w stanie podać nam jego imienia. Swojego również.

– Czyli ona żyje?

– Żyła wystarczająco długo, by przenieść ją do Tucson – powiedziała, wpatrzona w monitor. Zmarszczyła brwi. Jack obserwował jej twarz, odczytując na niej zmartwienie. Ronnie była pielęgniarką, która przejmowała się losem każdego pacjenta.

– Znalazłam ją – powiedziała, spisując dane na kartce. – N.N., numer pacjenta 4134. Wysłaliśmy ją do szpitala San Jacinto.

– Dziękuję – powiedział Jack.

– Mam nadzieję, że pomogłam.

Przed wyjazdem z Pais Grande kupił w jednym ze sklepów dwa tacos *carne asada*. Zjadł je w samochodzie. Sos był domowej roboty, ostry jak diabli, tak jak lubił – palił go w podniebienie. Jechał szybko, a wjeżdżając na drogę numer 8, włączył głośno muzykę.

San Jacinto to dobry szpital, lecz jego wybór wydał mu się podejrzany. Nie mógł sobie przypomnieć, by kiedyś kogokolwiek tam zawiózł.

Tucson powoli wyłaniało się na horyzoncie, wysokie i srebrne.

Poczuł ucisk w piersi. Był pewien, że skoczyło mu ciśnienie. Zjechał z autostrady o jeden zjazd za wcześnie i spędził dobre piętnaście minut na poszukiwaniu szpitala. Wszystko dookoła przypominało mu jego byłą pracę i to, jak stracił Louellę. Ostatnio był w Tucson dawno, dawno temu. Gdyby nie Rosa Rodriguez, najchętniej już nigdy by tu nie wrócił.

Roberto

Samochód Julii był przygotowany na wycieczkę. Bonnie rozłożyła się wygodnie na tylnych siedzeniach. Julia postanowiła prowadzić. Będą musieli spędzić wiele godzin w trasie, co niosło za sobą ryzyko kontroli, a Roberto nie miał przecież prawa jazdy.

Roberto postanowił ruszyć w drogę do Arizony z chwilą, gdy dowiedzieli się, że Rosa była w Pais Grande. Serapio miał zająć się sadem pod jego nieobecność, a Lion codziennie sprawdzać dom.

Przed wyjazdem na południe chciał zobaczyć się ze swoim ojcem, który mieszkał w północnej części Boyle Avenue. Gdy Julia zaparkowała samochód, spytała:

– Mamy na ciebie poczekać?

– Oczywiście, że nie. Chcę was przedstawić.

– Bonnie też?

– *Sí* – odpowiedział. Uśmiechnął się, lecz był zdenerwowany.

Widział ojca i Esperanzę wypatrujących ich z okna.

Roberto objął Julię w pasie. Otworzył bramę i zaprowadził ją po schodach pod same drzwi. Róże i wilce kwitły w ogrodzie, a krzaki pomidorów były obsypane czerwonymi owocami. Widział, jak Julia uśmiechnęła się na ich widok. Jego ojciec otworzył drzwi, zanim zdążył zapukać.

– *Hola, papá* – przywitał się. – Przedstawiam ci Julię Hughes.

– Bardzo mi miło w końcu pana poznać – powiedziała Julia, ściskając jego dłoń.

– Mnie również jest bardzo miło – odpowiedział ojciec. Pomimo tego, że mieszkał tu od tylu lat i doskonale znał język, wciąż wstydził się mówić po angielsku. – A to moja żona, Esperanza.

Esperanza uściskała Julię. Roberto widział, że jest nią naprawdę zachwycona, co bardzo go ucieszyło. Esperanza promieniała radością: zapraszając Julię do środka, przyjrzała się jej fryzurze, ubraniu i butom.

Zwróciła uwagę na skromność Julii – nie tak wyobrażała sobie dziewczynę z Malibu.

– A co z Bonnie? – spytała Julia. – Możemy zostawić ją na zewnątrz?

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedział ojciec Roberto. – Zapraszamy ją do środka.

Esperanza pobiegła do kuchni i usłyszeli dźwięk lanej wody. Po chwili wróciła z miską dla Bonnie, która natychmiast zaczęła pić.

Dom okazał się bardzo mały: w salonie było miejsce tylko na stolik i dwie niewielkie sofy stojące po obu jego stronach oraz na telewizor. Roberto starał się zobaczyć go oczami Julii. Był pewien, że nigdy wcześniej nie była w takim domu. Ale Julia wydawała się szczęśliwa – usiadła na sofie, wdzięczna za szklanekę Dr. Peppera, którą Esperanza postawiła przed nią na haftowanej serwetce. Patrzyła na fotografie na ścianach i na małą kapliczkę Matki Boskiej z Guadalupe w rogu.

– Bardzo się cieszę, że mogę tu być i poznać was oboje – odezwała się.

– *Gracias* – odpowiedziała Esperanza. Usiadła na kanapie naprzeciw niej i obok ojca Roberto, a sam Roberto spoczął przy Julii.

Wszyscy wpatrywali się w siebie nawzajem. Roberto czuł na sobie palący wzrok ojca – wiedział, że musi się odezwać. Odchrząknął.

– *Papá...* – zaczął.

Widział, że jego ojciec przygotowuje się na ważną wiadomość. Roberto trzymał Julię za rękę. Może myślał, że zamierzają się pobrać? Spojrzał na nią, jej elegancki profil i łagodne, niebieskie oczy.

– O, to ona! – powiedziała nagle Julia, patrząc na oprawione zdjęcie Rosy. – Jakie piękne zdjęcie.

– To jej szkolny portret – powiedział Roberto. – *Papá*, mamy nowe wieści o Rosie.

– Nowe? Ale jak to? – spytał ojciec.

– To wszystko dzięki Julii – odpowiedział. – To ona przeprowadziła *investigación* i odkryła trop, który prowadzi do Rosy.

Ojciec poderwał się na równe nogi.

– Rosa! To ona żyje?

– Spokojnie, *papá*.

– Jeszcze nie wiemy, *Señor Rodriguez* – powiedziała Julia. – Agent straży granicznej, który zajmował się sprawą Roberto, dowiedział się, że ktoś trafił na nią na pustyni i zabrał ją ze sobą. Odnalazł jej ślad w Pais Grande w Arizonie, gdzie pięć lat temu dostarczono ją do szpitala. Była chora, ale żywa.

– *Dios mío!* – powiedział, chodząc po pokoju.

– Przyjechałem wam powiedzieć, że właśnie się tam wybieramy – powiedział Roberto.

– Gdzie?

– Do Pais Grande.

– Czyś ty oszalał? Nie rób tego!

– A jaki mam wybór? Tato, tam była moja córka. Muszę tam pojechać i jej poszukać.

– Ale to przecież blisko granicy, prawda?

– *Sí* – odpowiedział Roberto.

– Chcesz wrócić do Meksyku? Bo tak się to skończy. Albo zostaniesz złapany przez Urząd Imigracyjny, albo aresztowany przez swojego „przyjaciela” ze straży granicznej. Wielu takich jak ty złapano właśnie w Pais Grande.

Roberto i jego ojciec przeszywali się wzajemnie wzrokiem. Obaj byli pewni, że *papá* ma rację. Roberto wiedział, że jeśli zostanie złapany i odesłany do Meksyku, może go już długo nie zobaczyć – i to był prawdziwy powód, dla którego przyjechał się z nim spotkać. Bał się spojrzeć na Julię.

– Ja ufam Jackowi Leary’emu, temu agentowi, który nam pomaga – powiedziała Julia.

– Mhm – odpowiedział ojciec Roberta, zbyt uprzejmy, by zaprzeczyć. On, Roberto i Esperanza doskonale znali warunki panujące na granicy. Wiedzieli, że zaufanie znaczy tam tyle co nic.

– Co ty byś zrobił na moim miejscu, *papá*? – zapytał Roberto.

Jego ojciec skrzywił się. Był od niego niższy i szerszy i wyglądał, jakby był na niego zły. Jednak Roberto wiedział, że w ten sposób chce ukryć swoje prawdziwe uczucia. Chodził po pokoju, aż w końcu opadł ciężko na kanapę. Minęła chwila, zanim się odezwał.

– Zrobiłbym dokładnie to, co ty zamierzasz zrobić. Gdybyś

zaginał, a ja miałbym szansę cię odnaleźć, postąpiłabym tak samo.

Roberto pokiwał głową. Czuł się znacznie lepiej, wiedząc, że ojciec go rozumie.

– *Gracias, papá* – powiedział.

Bonnie skończyła pić wodę i leżała rozciągnięta na dywanie. Ojciec ukląkł, by ją pogłaskać. Polizała mu rękę.

– Ile ma lat? – zapytał.

– Dwanaście – odpowiedziała Julia.

– Ciężko zniesie pustynny upał. Nawet w samochodzie.

– Lubi jeździć samochodem – powiedziała Julia.

– Zostawcie ją z nami – odparł ojciec. Roberto usłyszał, jak głos mu się łamie.

Julia nie wiedziała, co zrobić. Chciała być z Bonnie, ale jednocześnie nie zamierzała jej narażać.

– To bardzo miłe z waszej strony – powiedziała w końcu. – Czy jesteście pewni, że chcecie się nią zaopiekować?

– Tak – odrzekł ojciec. – Ale mam jedno pytanie.

– Słucham – powiedziała.

– Dlaczego wyruszasz w tę podróż, Julio? – spytał otwarcie.

– Bo kocham pańskiego syna – odpowiedziała. Po chwili dodała: – Ja też straciłam córkę.

Naszedł czas pożegnania. Esperanza przygotowała im jedzenie na drogę. Gdy Julia zapisywała numer rodziny w swojej komórce, Roberto zajrzał do torby z prowiantem. Puszki Dr. Peppera, dwa burritos zawinięte w papier śniadaniowy i pudełko małych, okrągłych ciasteczek pokrytych cukrem pudrem. Takie ciasteczka podawano tradycyjnie na ślubach w Meksyku – gdy Roberto spojrział na Esperanzę, mrugnęła do niego szelmowsko.

Na zewnątrz wszyscy mocno się wyściskali. Roberto był mile zaskoczony tym, jak jego ojciec zareagował na Julię. Ta radość prawie przyćmiła obawę, że być może minie dużo czasu, zanim znowu ich zobaczy.

Patrząc na Julię stojącą przy ojcu, Roberto czuł się silny – była jego szczęściem, jego aniołem stróżem. Wierzył w to, co mu powiedziała przed wyjazdem – że wrócą razem szczęśliwie do domu.

Esperanza poprosiła ich, by razem z Bonnie stanęli przed samochodem, i zrobiła im zdjęcie. Julia dała jej swojego iPhone'a i poprosiła, żeby zrobiła jeszcze jedno – dla niej.

Wyjeżdżając na ulicę, opuściła szyby w samochodzie. Jechała powoli, by wszyscy mogli pomachać sobie na pożegnanie. Roberto zobaczył, że ojciec położył swoją dłoń na sercu. Zamknął oczy, pragnąc zachować ten obraz w pamięci.

Gdy ojciec Roberto wraz z Esperanzą zniknęli z widoku, Julia dodała gazu. Teraz już byli w trasie – na autostradzie, która miała zawieźć ich ku niewiadomej.

Rozdział 20

Jack

Większość biur zamknięto w niedzielę i Tucson nie było tak zatłoczone, jak w tygodniu. Pomimo tego Jack czuł się niezbyt dobrze – nigdy nie lubił miast, a jego niewielka odporność na tłumy i ruch na drodze z wiekiem jeszcze bardziej malała. Zaparkował w garażu szpitala San Jacinto i pojechał windą do lobby. Szpital był stary, lecz przytulny. Nie oślepiał bielą – ściany były jasnobrązowe, a podłogę pokrywały płyty z terakoty. W każdym korytarzu wisiał krucyfiks i wszędzie znajdowały się statuetki Maryi Dziewicy i świętego Hiacynta. Jack zauważył grupę zakonnicy, choć tylko kilka z nich miało na sobie habity.

– Dzień dobry, sostro – przywitał się, podchodząc do zakonnicy pchającej wózek z książkami. – Czy może mi siostra powiedzieć, gdzie znajdę archiwa akt medycznych?

– To pomieszczenie w piwnicy – odpowiedziała. – Ale dziś jest zamknięte. Będzie pan musiał przyjść w poniedziałek.

– Dziękuję. A gdzie jest oddział pediatrii?

– Na czwartym piętrze.

Jack jeszcze raz podziękował i poszedł do windy, ciesząc się w duchu, że zakonnica nie spytała go, kogo chce odwiedzić. Musiała wziąć go za kogoś w rodzaju ucznia niedzielnej szkółki – zakonnice w pewnym sensie były dobre w ocenianiu ludzi. Wysiadł na czwartym piętrze, czując, że wie, gdzie się znajduje: wszystkie szpitale były zorganizowane w taki sam sposób. Na środku stało biurko pielęgniarek, a w korytarzach za nim znajdowały się sale pacjentów. Minął młodego lekarza rozmawiającego ze zmartwionymi pacjentami i udał się wprost do biurka. Przy komputerze siedziała starsza zakonnica.

– Sostro?

– Proszę chwilę poczekać – odpowiedziała.

Siwowłosey lekarz, przypominający Jackowi doktora Spocka, podszedł do biurka i położył na nim plik dokumentów. Zakonnica nawet na niego nie spojrzała.

– Sostro, potrzebuję numer do...

– Proszę chwilę poczekać – odpowiedziała ostro.

- Potrzebuję go teraz.
- Tam jest książka telefoniczna.

Jack uśmiechał się skrycie. Była dokładnie taka, jak inne zakonnice, z którymi się wychował: surowa i skupiona na swojej pracy. Nikt nie mógł jej przerwać, nawet sam wielebny. Lekarz odszedł od biurka. By zabić nudę, Jack podszedł do niszy z brązowym posągami zakonnic w długim habicie. Przeczytał opis:

Siostra Catherine McCauley

otworzyła pierwszy Dom Miłosierdzia

w Dublinie w Irlandii 24 września 1827 r.:

kobiety i dziewczęta mogły w nim

znaleźć schronienie, wikt i naukę.

12 grudnia 1831 r. Catherine oraz jej dwie towarzyszki złożyły śluby

i zostały pierwszymi Siostrami Zbawienia.

- No więc – powiedziała zakonnica – w czym mogę panu pomóc?
- Jesteście Siostrami Zbawienia?
- Tak. Czy przyszedł pan kogoś odwiedzić?
- Można tak powiedzieć.

– Cóż za interesująca odpowiedź – powiedziała zakonnica.

Jej niebieskie oczy potrafiły sparaliżować człowieka jednym spojrzeniem, uosabiając sam gniew Boży. Przypominała Jackowi siostrę Michael Joanne, dyrektorkę jego liceum.

- Czy siostra długo tu pracuje?
- A co to ma do rzeczy?

Roześmiał się, z każdą minutą czując się coraz bardziej swobodnie.

- Siostra jest z Bostonu, prawda?
- Tak, i nie myśl, że nie zauważyłam twojego akcentu

z Dorchester.

– Zakonnice w mojej szkole były Siostrami z Notre Dame.

– To dobry zakon.

– Pytam, czy siostra długo tu pracuje, bo...

– Posłuchaj, twoje sztuczki mogły działać na dobre Siostrzyczki z Notre Dame – przerwała mu – ale my, Siostry Zbawienia, jesteśmy zupełnie inne. Twardsze. Pracuję tu od dwudziestu pięciu lat. Nie obchodzi mnie, co chcesz nam wcisnąć – nie chcemy tego.

– Nie chcę nic wam wcisnąć. Jestem emerytowanym pracownikiem straży granicznej. Szukam informacji dotyczących jednej z moich dawnych spraw. Chodzi o zaginioną dziewczynkę. Przeniesiono ją tutaj ze szpitala w Pais Grande w maju 2007 roku.

– I myślisz, że znajdę ją dla ciebie w komputerze? Jesteś jej ojcem? Nie. Jesteś członkiem jej rodziny? Nie. Idź robić swoje tam na granicy i zostaw nasze czwarte piętro w spokoju.

– To jest jej zdjęcie – powiedział Jack, kładąc na biurku zdjęcie Rosy z rodziną. Zakonnica pochyliła się, by się mu przyjrzeć, lecz nie podniosła go. Zacisnęła usta.

– To numer jej sprawy. Przywieziono ją jako N.N.

– Nie znam cię, ale wiem, że nie masz czego szukać na pediatrii. Powinnam zawiadomić ochronę.

– Siostro, jej rodzina musi wiedzieć, co się z nią stało.

– Niech więc jej rodzina skontaktuje się z naszym archiwum.

Oczywiście jeśli mają dowód na to, że to faktycznie ich córka. To może być trudne do wykonania, jeśli przywieziono ją tu jako N.N. Będą potrzebować nakazu sądowego i testów DNA.

– Jej ojciec jest w kraju nielegalnie – ciągnął dalej Jack. – Razem przekroczyli granicę. Rosa źle się poczuła i zgubiła się gdzieś na pustyni. On nie może zgłosić się po nakaz sądowy.

Zakonnica ponownie spojrzała na zdjęcie. Jack widział, że przygląda się Rosie.

– Właśnie przeczytałem o Catherine McAuley – powiedział, wskazując na posąg. – Wasz zakon został założony po to, by pomagać ludziom w potrzebie. Widzę Irlandię w twoich rysach, tak jak ty widzisz ją w moich. Meksykanie przechodzą teraz przez to, przez co jeszcze

niedawno przechodzili nasi przodkowie. Catherine McAuley na pewno usiłowałyby im pomóc.

– Przestań mi prawić kazania o moim własnym zakonie – odpowiedziała ostro. – Emerytowany pogranicznik chce pomóc Meksykanom bez papierów? A to ci dopiero. Mam ci zaufać tylko dlatego, że masz w sobie trochę irlandzkiej krwi i chodziłeś do katolickiej szkoły?

– Nie – odpowiedział. – Zaufasz mi, bo wiesz, że mówię prawdę. Zakonnica spojrzała na dokumenty Rosy i zaczęła stukać na klawiaturze.

– Niezależnie od tego, co znajdę, nie mogę udzielić ci żadnych informacji bez pisemnej zgody jej obecnego opiekuna – powiedziała.

– Rozumiem.

Zachmurzyła się. Spojrzała na papier i na ekran. Jeszcze raz wpisała numer.

– O co chodzi? – spytał Jack.

– Nikt taki nie figuruje w naszej dokumentacji. Nie ma takiej osoby.

– Wasze archiwa zawierają informacje z 2007 roku? – spytał Jack.

– Są znacznie obszerniejsze, ale nie ma w nich ani słowa o N.N. przywiezionej z Pais Grande z tym numerem.

Jack spojrział na zegarek – 15.15. Powrót do Pais Grande zajmie mu przynajmniej półtorej godziny. Pomimo tego, że nie wiedział, jak długo klinika będzie czynna, był pewien, że zmiana personelu nastąpi o piątej.

Podziękował zakonnicy za pomoc i zjechał windą na parking. Na szczęście na ulicach nie panował duży ruch – temperatura powyżej czterdziestu stopni skutecznie powstrzymywała mieszkańców przed wypadami na pustynię. Szybko wjechał na drogę stanową nr 8, a przy Gila Bend zjechał z autostrady i ruszył na południe. Przejeżdżał przez poligon sił powietrznych Barry M. Goldwater z nadzieją, że to nie był dzień ćwiczeń bombowych. Wkrótce przekroczył granicę hrabstwa Maricopa i znalazł się w hrabstwie Pima. Niewiele ponad trzydzieści kilometrów na południe znajdowała się granica z Meksykiem. Nie mógł powstrzymać się od przeczesywania wzrokiem okolicy – był pewien, że

gdyby zatrzymał się na pięć minut, znalazłby grupę nielegalnych imigrantów.

Na drodze nr 8 zauważył nieoznakowane dodge chargery. Wiedział, że to samochody straży granicznej. Minął biało-zielonego SUV-a – taki sam model, jak jego własny – i uniósł rękę, by pozdrowić kierowcę. To był Ralph Landers, jego były uczeń. Jack czuł się dziwnie swojsko: był na terenie swojego starego terytorium, ale z zupełnie nowym zadaniem.

Dzień powoli zbliżał się ku końcowi. Późne słońce rozjaśniło pustynny piasek, który mienił się teraz tysiącem różnych kolorów – wyglądał tak niepodobnie do tej zwykłej, szarawej skorupy, jaką zawsze czynił z niego księżyc. Wysokie kaktusy rzucały długie cienie, jak o świcie. Teraz robiły to na pożegnanie słońca.

Jack skręcił w stronę Pais Grande. Spojrzał na zegarek – 16.35. Dodał gazu i miał zamiar jechać na przełaj – wiedział jednak, że wychwycą go drony straży granicznej. Nie chciał zostać sfilmowany przez swoją dawną placówkę, więc trzymał się szosy.

Dziesięć minut później wjechał na teren centrum medycznego Pais Grande. Na parkingu było już znacznie mniej samochodów, ale zauważył ambulans zaparkowany przy wjeździe na ostry dyżur.

Poczekalnia była pełna ludzi, jednak biurko dyżurnej pielęgniarki stało puste. Zauważył, że tabliczkę z imieniem Ronnie zastąpiła już inna: *Delfina Guerra, pielęgniarka dyplomowana*. Serce mocno biło mu w piersi. Wyszedł na zewnątrz.

Ronnie powiedziała, że w szpitalu każdy pomagał, jak mógł, niezależnie od warunków. Delfina musiała być potrzebna na którejś z sal. Czekał na nią, przechadzając się nerwowo przed wejściem. Musiała zająć jakąś pomyłka i dokumenty Rosy zostały wysłane do innego szpitala w Tucson.

Zauważył grupę pracowników szpitala idących na parking – była wśród nich Ronnie. Poznała go od razu, lecz nie zatrzymała się. Nie mógł mieć do niej pretensji – w końcu był już sobotni wieczór i po całym dniu pracy musiała chcieć w końcu odpocząć.

– Hej, Ronnie – zawołał ją, podchodząc do jej toyoty camry. Samochód był stary i pokryty kurzem, co było typowe dla każdego auta

codziennie przemierzającego pustynię.

– O, cześć.

– Mam do ciebie kilka pytań.

– Wiesz, trochę się spieszę – odpowiedziała, otwierając drzwi od auta. Wrzuciła do środka torebkę i usiadła za kierownicą. Wyraźnie nie miała ochoty na rozmowę.

– Zajmę ci tylko kilka minut. Moja wyprawa do Tucson nie przyniosła żadnego efektu.

– Nie? – odpowiedziała, wpatrując się w kierownicę.

– Nie. Nic się nie dowiedziałem.

– Delfina ci pomoże – powiedziała. – Właśnie przywieźli ofiarę wypadku samochodowego i teraz jest zajęta, ale za chwilę...

– Mieszkasz w Meksyku? – spytał, patrząc na oficjalną przepustkę naklejoną na szybie jej samochodu. Taka przepustka oznaczała, że Ronnie została szczegółowo sprawdzona przez straż graniczną i zaklasyfikowana jako podróżnik niskiego ryzyka – mogła codziennie przekraczać granicę bez kontroli. Wydawano je osobom, które odbywały częste podróże ze swoich domów w Meksyku do pracy w Stanach Zjednoczonych.

– Tak – odpowiedziała. – Wszędzie brakuje pielęgniarek, a zwłaszcza w takich klinikach jak ta. Tu nikt nie chce pracować.

– Więc codziennie przekraczasz granicę, by pomagać innym ludziom – powiedział. – Jesteś prawdziwym aniołem.

– *Gracias* – uśmiechnęła się lekko.

– Przejeżdżasz przez przejście w Nogales?

– Tak.

– Wow. Pracowałem tam, znam tam wiele osób.

– Muszę jechać. Mój mąż czeka w domu na obiad.

– Dobrze – powiedział Jack. – Mam tylko jedno pytanie. W San Jacinto nie znaleźli żadnej N.N. z numerem, który mi podałaś. Czy przypadkiem nie podałaś niewłaściwej nazwy szpitala?

– To niemożliwe. Nie robimy takich błędów. Niech Delfina to sprawdzi.

– Może pomyliłaś się w przepisywaniu numeru?

Zaśmiała się, lecz Jack wyczuł jej strach.

– Nie mam do ciebie pretensji – dodał szybko. – Każdemu może się zdarzyć. Po prostu...

Usłyszał odgłos kół na żwirze. Obejrzał się i zobaczył samochód Ralpa wjeżdżający na parking.

– Jack, stary druhu! – zawołał do niego Ralph. – Nie mogłem cię tak puścić bez przywitania. Co tam u ciebie, chłopie?

Jack pomachał mu po przyjacielsku i odwrócił się z powrotem do Ronnie.

– Przepraszam cię za kłopot. Poproszę Delfinę o pomoc. Miłego wieczoru. – Zaczął iść w stronę Ralpa.

– Dziękuję – odpowiedziała ze słyszalną ulgą w głosie. Zapięła pasy. – Delfina ci pomoże. Kiedy już odnajdziesz Rosę, daj nam znać, co u niej słyhać, okej?

Jack zatrzymał się w pół kroku. Poczuł, jak po jego plecach przebiega dreszcz. Powoli odwrócił się do Ronnie.

– Skąd wiesz, że ma na imię Rosa?

– Musiałeś mi powiedzieć dziś rano – odpowiedziała.

Zobaczył pierwsze kropelki potu na jej zmarszczonym czole.

– Nie, Ronnie. Na pewno nie. Nigdy nie powiedziałem ci, jak ma na imię.

– Musiałeś mi powiedzieć – odparła spokojnym głosem. – Skąd mogłabym wiedzieć, jak ona się nazywa?

– Dobre pytanie. Skąd wiesz?

Ronnie zamyśliła się, zaciskając dłonie na kierownicy. Spojrzała na niebo i wzięła głęboki oddech.

– Wiem, bo to ja ją zabrałam – powiedziała.

Julia

Trasa była długa i upalna. Julia cieszyła się, że zostawiła Bonnie z ojcem Roberto. Gdy minęli Yumę i jechali przez pustynię, wpatrywał się w nią, jakby widział ją pierwszy raz – jego spojrzenie było obce, obojętne. Pustynia zdawała się nie mieć końca. Wysoko w górze krążyły drony, szukając świeżych ofiar. Julia zaprogramowała trasę do Pais Grande w swoim GPS-ie, więc wiedziała, że zbliżają się do celu. Czuła strach, lecz sama nie była pewna, przed czym – posterunkami straży granicznej czy tym, co odkryją w klinice.

Chwyliła jego dłoń. Była gorąca i wilgotna. Roberto szybko wytarł ją o spodnie, po czym ponownie wziął Julię za rękę.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Dziwnie – odpowiedział.

– Domyślam się.

– Przechodziliśmy niedaleko. – Wskazał na południe. – Tam jest głąz.

Nie musiała nawet pytać, o jaki głąz chodzi.

– Teraz jestem z tobą, w samochodzie – powiedział. – I jedziemy bardzo szybko. Czuję się, jakby to było zupełnie inne życie.

– Bo tak jest – odpowiedziała.

Patrzyła na drogę, lecz czuła na sobie jego wzrok. Dlaczego to nie mogło być nowe życie dla nich obojga? Miała wrażenie, jakby znaleźli się na krawędzi – ostrej i spadzistej jak klif.

Niebo było wyjątkowo niebieskie, ale świat dookoła zaczął migotać mieszanką złota i lawendy. Samochody nadjeżdżające z naprzeciwka miały już włączone światła. Niektóre z nich mogły należeć do straży granicznej, lecz Julia wiedziała, że nie zatrzymają starego volvo z tablicami z Connecticut.

– Nie pozwolę, by coś ci się stało – powiedziała, ściskając jego dłoń.

Roberto zrobił to samo. Milczał.

To, co powiedział Lion, nie dawało Julii spokoju. Spojrzała na niego.

– Czy próbowałeś kiedyś zdobyć papiery?

– Zalegalizować pobyt?

– Tak. Dostać zieloną kartę.

– Oczywiście. Tego właśnie pragnę – powiedział – ale to bardzo trudne.

– Istnieje pewien sposób... – zaczęła.

– Jaki?

Czuła się bardzo dziwnie, rozmawiając z nim o tym w drodze przez pustynię Sonora. Purpurowe cienie kładły się na szosę, a niebo zapłonęło pięknym, nieziemskim różem.

– Moglibyśmy się pobrać – powiedziała.

Cisza była nie do wytrzymania. Czują, jak się rumieni. Dotknął jej ramienia, pokazując, by zjechała na pobocze. Koła samochodu stuknęły na żwirze.

– *Amor* – powiedział. Usłyszała czułość w jego głosie. – Nie znasz mnie tak długo.

– Ale znam cię dobrze.

– Julio – powiedział. – Nikt w moim życiu nie kochał mnie tak, jak ty. Moja rodzina też mnie kochała, ale nie w taki sposób. Czasami trudno mi w to uwierzyć.

– Dlaczego?

– Bo możesz mieć każdego. Jesteś piękna, wykształcona... a ja nie. Dlaczego chcesz być ze mną?

– Bo cię kocham.

Objął ją i pocałował, głaszcząc jej włosy.

– *Te amo*, Julio, ale nigdy nie wziąłbym z tobą ślubu tylko dla zielonej karty. Kiedy oboje poczujemy, że to właśnie ten moment, poproszę cię o rękę. Nie chcę, byś brała ze mną ślub, żeby mi pomóc. Chcę, żebyś za mnie wyszła dlatego, że mnie kochasz.

– Kocham cię, Roberto – powiedziała.

– *Estas es mi vida* – odpowiedział. – Jesteś dla mnie wszystkim.

Długo patrzyła mu w oczy. W końcu wrócili na trasę. Nie chciała, by policja zobaczyła ich na poboczu. Roberto wziął ją za rękę, a Julia pragnęła, by już nigdy jej nie puszczał.

Jack

– Była w fatalnym stanie – powiedziała Ronnie. – Musieliśmy podać jej płyny i opatrzyć rany. Potrzebowała opieki. Przeżyła ciężki szok. Wiedziałam, że gdybym wydała ją policji, nie otrzymałaby pomocy, której potrzebowała.

Ronnie siedziała z Jackiem w jego samochodzie. Jechali do Nogales. Jack musiał się nieźle napocić, zanim udało mu się ostatecznie zbyć Ralpa, który bardzo chciał z nim rozmawiać o polityce w rejonie Tucson i życiu na emeryturze.

– Mów dalej. Dlaczego ją przygarnęłaś?

– Bo wiem, co by się z nią stało, gdybym tego nie zrobiła. To ja byłam pielęgniarką, która miała się nią zająć. Wiem, że jeśli wysłałabym

ją do szpitala w Tucson, opatrzyliby tylko jej rany i natychmiast wysłali do obozu, w którym czekałaby na deportację.

– Nie zawsze tak to się kończy – powiedział Jack. – Jako samotne dziecko mogłaby zostać umieszczona w rodzinie zastępczej.

– A jak często się to zdarza? Nawet jeśli tak właśnie by się stało, w jakich warunkach by żyła? Była taka bezbronna...

– Więc wolałaś trzymać ją z dala od systemu?

– Systemu... – powtórzyła, kręcąc głową. – Ona odchodziła od zmysłów z tęsknoty za ojcem. To była mała meksykańska dziewczynka, niemówiąca słowa po angielsku, w dodatku w potwornym szoku.

Ronnie starła pot z czoła. Chciała złapać oddech, ale nie była w stanie.

– Chcesz mnie wsadzić! – krzyknęła. – Wystawisz mnie straży granicznej, a ja stracę pracę i licencję pielęgniarki...

– Nie, Ronnie. Nie chcę. Wszystko, co mi powiesz, zostanie między nami.

Jej twarz była bardzo czerwona. Bał się, że może dostać zawału. Sam czuł, jak mocno bije jego własne serce. Odetchnął głęboko, czekając, aż Ronnie się uspokoi.

– Zaufaj mi, dobrze? – powiedział. – Uwierz mi, jestem tutaj, by wesprzeć jej ojca, tak jak mówiłem. To wszystko. Chcę mu pomóc odnaleźć córkę.

– Jej ojciec... – powiedziała Ronnie. – Mój Boże, jak ona go kocha.

– Opowiedz mi o tym.

– Tamtego dnia była nieprzytomna, lecz gdy tylko odzyskiwała na chwilę świadomość, od razu go wołała. Prosiła, błagała nas, byśmy go znaleźli, lecz jak mieliśmy to zrobić?

– No właśnie – powiedział Jack.

– Była bardzo chora. Z tak wysoką gorączką miała nikłe szanse na dożycie następnego dnia.

– Ale dożyła.

– Tak.

– I co było dalej?

– Moja siostra, Bernarda, jest pielęgniarką w Ciudad Juárez. Mają

tam doskonały szpital – wiedzą, jak leczyć rany po przeprawie przez pustynię i jak pomóc dzieciom z traumą.

– Ciudad Juárez? Przecież w tym mieście panuje regularna wojna.

– I właśnie dlatego umieją tak dobrze pomagać dzieciom. Nie chciałam, by Rosa została tam na stałe. Miała zostać tylko do czasu, aż poczuje się lepiej.

– Więc wysłałaś mnie do San Jacinto, żebym szukał wiatru w polu.

– Tak – powiedziała Ronnie. – Przepraszam. Musiałam pomyśleć. Stworzyć jakiś plan. Rosa jest naprawdę bardzo wrażliwa i nie chciałam, byś...

– Czy Rosa mieszka z tobą? Czy wszystko z nią w porządku?

Ronnie uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Mieszka z moją młodszą siostrą i jej rodziną, zaraz za rogiem.

Marisol też jest pielęgniarką i pokochała Rosę jak własną córkę. Zresztą wszyscy ją pokochaliśmy. Rosa jest cudownym dzieckiem.

– Czy mógłbym ją zobaczyć?

– Tak. Jedźmy do niej teraz – odpowiedziała.

Rozdział 21

Rosa

Psy biegały i czekały na dworze. Była w piątej klasie i miała same piątki. Mieszkała w jednym pokoju razem z Litą, jej siostrą, która tak naprawdę nie była jej siostrą. Oscar i Gustavo, jej bracia, którzy tak naprawdę nie byli jej braćmi, mieli piętrowe łóżko w pokoju obok. Czasami Rosa też chciała mieć piętrowe łóżko dla siebie i Lity zamiast wspólnego materaca.

Lita była nastolatką, uczennicą ostatniej klasy szkoły średniej, i chciała iść na studia. Rosa podejrzewała, że pewnie nie podobał jej się fakt, że musi dzielić pokój z jedenastolatką i spać z nią na jednym materacu na podłodze. Jej rodzice, którzy tak naprawdę nie byli jej rodzicami, nazywali się Marisol i Emilio Garcia. Marisol była pielęgniarką w centrum medycznym Czerwonego Krzyża, a Emilio kierownicą śmieciarki. Bardzo zależało im na tym, by ich dzieci mogły się uczyć, więc Emilio postarał się o osobne biurko dla każdego z nich – sam zreperował i odmalował stare, poniszczone stoły, które znalazł w pracy.

Biurko Rosy było zawsze czyste i uporządkowane, a biurko Lity w ciągłym nieładzie. Lita bardzo interesowała się polityką i ciągle brała udział w protestach przeciwko policji. Oskarżała ją o brak reakcji na zabójstwa kobiet w Ciudad Juárez, gdzie pracowała ich ciocia Bernarda. Biurko Lity było zavalone ulotkami, które musiała odgarniać, by mieć gdzie otworzyć zeszyt. Rosa sama zrobiła podkładkę na swoje biurko – z brystolu i dykty. Cała rodzina korzystała ze wspólnego komputera w kuchni i Rosa czasami odrabiała tam prace domowe. Na swoim biurku trzymała tylko zeszyt i pojemnik na przybory do pisania. Zresztą sama go zrobiła z gałęzi, którą znalazła na ulicy. Pomógł jej w tym Emilio, wycinając wnętrze badyła swoim nożykiem. Na biurku Rosy znajdowała się jeszcze tylko jedna rzecz – jej największy skarb. Była to mała ramka ze zdjęciem jej, jej taty i prababci. Fotografie zrobiono, zanim wyjechała z Meksyku.

Rosa mieszkała u Garcíów już prawie połowę swojego życia – dokładnie to policzyła.

Zgubiła się na pustyni, gdy miała sześć lat. Za parę miesięcy, gdy skończy dwanaście lat, spędzi z nimi tyle czasu, ile spędziła z tatą. Była bardzo chora, gdy odesłano ją z powrotem do Meksyku – długo jeździła po szpitalach. W końcu dotarła do Stanów, gdzie trafiła do małej kliniki, ale jej *tías* Ronnie i Bernanda przeniosły ją do Szpitala Dziecięcego w Ciudad Juárez. Na początku tylko spała, zabandażowana i podłączona do kroplówek. Miała bandaże nawet na oczach, bo i tam poparzyło ją słońce. Była szczęściarą, że nie straciła wzroku. Wszystkiego tego dowiedziała się znacznie później. Kiedy się obudziła, nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Całe to przeżycie wydawało jej się strasznie dziwne, bo nawet teraz pamiętała sny, jakie nawiedzały ją w szpitalu, kiedy przez bandaże widziała cienie lekarzy i pielęgniarek krzątających się dookoła niej. Te wizje były wyjątkowo realistyczne i dokładnie pamiętała, że w świecie snów czuwał przy niej tata.

Byli z powrotem w domu, a czasami przeprawiali się razem przez pustynię, ale zawsze słyszała, jak tata wypowiada jej imię. Powtarzał, że ją kocha, że zabiera ją do lepszego miejsca. Śniła też o swojej *abuella* – prababci kołyszącej ją na kolanach i śpiewającej piosenkę o małym osiołku.

W każdym śnie tuliła do siebie Marię, lalkę, którą zrobiła dla niej *abuella*, zanim wyruszyli w daleką podróż – i czasami traciła w tych snach ojca i ukochaną lalkę, i płakała potem do poduszki.

Tías – Ronnie i Marisol – przychodziły odwiedzić ją w szpitalu, w którym pracowała też Bernarda. Mówiły jej, żeby się nie martwiła, że zaopiekują się nią i będą jej nową rodziną, póki nie odnajdą tej prawdziwej. Wszystkie były pielęgniarkami z zawodu i choć Rosa była pacjentką Bernardy, pozostała dwójka pomagała zmieniać opatrunki, czytała jej bajki, zaplatała włosy.

Każda z nich miała męża i dzieci i Rosa nieraz słyszała, jak siostry kłócą się między sobą o to, w której rodzinie będzie jej lepiej po wyjściu ze szpitala. Wszystkie chciały mieć ją dla siebie. Bernarda mieszkała i pracowała w Ciudad Juárez, gdzie wojny narkotykowe sprawiały, że ludzie żyli w ciągłym poczuciu zagrożenia. Ronnie pracowała w centrum medycznym w Pais Grande w Arizonie i podjęła już spore ryzyko,

przedostając Rosę przez granicę – kobiety nie chciały, żeby wpadła z tego powodu w jakieś poważne kłopoty z prawem. Tak więc kilka tygodni później, kiedy Rosa czuła się już na tyle dobrze, że mogła opuścić szpital, to Marisol zabrała ją do domu.

Rosa wiedziała, że ma dużo szczęścia. Dobrze ją tam traktowali. Czasami Emilio wspominał coś o przekroczeniu granicy i zamieszkaniu w Stanach, tłumacząc, że wszystko jest lepsze od życia w Altar, gdzie mało kto zarabiał wystarczająco dużo, żeby utrzymać rodzinę. Tego typu plany napawały dziewczynkę lękiem. W noc, kiedy Emilio poruszał ten temat, Rosę dręczyły koszmary i budziła się z krzykiem na ustach.

Powtarzał, że nie obchodzi go fakt, że wtedy wszyscy mieliby status nielegalnych imigrantów. Przynajmniej nie musiałby się martwić *cholos* na rynku – kojotami, którzy mogli porwać jego dzieci i sprzedać, tak że już nigdy by ich nie zobaczył.

Lita bardzo się denerwowała, kiedy słyszała „nielegalni imigranci”, i tłumaczyła mu, że lepiej używać wyrażenia „nieudokumentowani imigranci”. Próbowwała właśnie dostać się na uniwersytet i walczyła o wizę, która pozwoliłaby jej studiować w Stanach na najlepszej uczelni, jaka by ją przyjęła.

Wiedziała, że prawdopodobnie i tak wyląduje na Universidad Nacional Autonoma de Mexico mieszczącym się w stolicy Meksyku. Był to najlepszy uniwersytet w kraju i miała wystarczająco dobre oceny, żeby się tam dostać. Chciała studiować politologię, a potem zostać prawnikiem. Często powtarzała, że jej rodzina żyje otoczona cierpieniem i że ma już tego dość, więc chętnie zrobiłaby coś dla innych.

Rosa też chciała pomagać innym ludziom, tak jak Susana pomogła jej. Kiedy obudziła się w szpitalu dla dzieci, była zbyt chora i słaba, żeby mówić, i wciąż nie pamiętała, jak się nazywa. Wtedy poznała Susanę, terapeutkę. Pomimo że Rosa nie była w stanie nic powiedzieć, Susana siedziała przy niej i „słuchała”. I tak obie zaczęły się komunikować bez użycia słów.

W trakcie tych tygodni spędzonych w szpitalu Rosa miała igły w ciele i rurki dostarczające płyny, bez których najpewniej by umarła. Męczyła ją bardzo wysoka gorączka, a serce parokrotnie przestało pracować. Miała niedobór tlenu w mózgu. „To cud...” – słyszała. Że

żyje, że mózg nie odmówił posłuszeństwa, że była „normalna”.

Ale Rosa nie była normalna. Może wyglądała tak na zewnątrz, ale nawet co do tego miała chwilami wątpliwości – czasami miała wrażenie, że każdy obcy na ulicy może prześwietlić ją na wylot, zobaczyć złamane serce i poznać jej historię.

Susana poinformowała Rosę, że przebywa w wyjątkowym szpitalu – jego sale były pełne dzieci, które doświadczyły takich okropności, że aż wyparły je z pamięci. Była to placówka znana z tego, że pomagała młodym zaleczyć zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne rany.

Kobieta pomogła Rosie przypomnieć sobie rzeczy, które wyrzuciła z pamięci: imię, nazwisko, gdzie mieszkała w Meksyku, obrazy i zapachy z jej codziennego życia, wszystko, co mogło pomóc władzom i ciociom odnaleźć jej prawdziwą rodzinę.

W tamtych dniach Susana stała się dla niej najważniejszą i najbliższą osobą, pomimo że *tías* były takie dobre i Rosa wiedziała, że już zawsze będzie miała w nich oparcie. A jednak to terapeutka odwiedzała ją codziennie w szpitalu i pomagała odzyskać wspomnienia o ojcu.

Rosa była niewielka jak na swój wiek – była najdrobniejszą dziewczynką w klasie – i nosiła okulary ze specjalnie zabarwionymi szklami, bo pustynne słońce uszkodziło jej oczy i sprawiło, że były teraz wyjątkowo wrażliwe. Kiedy patrzyła na rodzinną fotografię, widziała, że jej włosy były dokładnie takie jak kiedyś: długie, brązowe i kręcone. W zasadzie, poza okularami, bardzo przypominała siebie na zdjęciu.

I owszem, dziewczynka z fotografii wyglądała na „normalną”, a nawet wyjątkową. Tata zwykł ją nazywać „*preciosa*” – śliczna. Czasami Rosa podnosiła zdjęcie blisko twarzy i całowała swojego ojca i prababkę. W najgorszych chwilach Rosa myślała, że oboje już nie żyją. Bo jeśliby żyli, to przecież by ją znaleźli. A jednak serce podpowiadało, że wciąż gdzieś tam są. Czują, że tęsknią za nią równie mocno, jak ona za nimi.

Od początku miała te przeczucia, nawet w szpitalu. Zamknąwszy oczy, wróciła tam teraz myślami – do łóżka z poręczami po bokach, do rurek wychodzących z jej ciała, ciąglego posmaku leków w ustach, uczucia, że zaraz zwymiotuje. Cała była w bandażach – jej stopy, nogi,

ręce i głowa. Miała połamane żebra, objawy wyjątkowo ostrego udaru słonecznego, zainfekowane ugryzienia po owadach i odczuwała nieznośne bóle we wszystkich kończynach.

Na oczach miała opatrunki z chłodnej gazy, które trzeba było zmieniać co godzinę. Po jakimś czasie pozwolili jej nosić bandaż, który przepuszczał odrobinę światła – tyle, żeby mogła wreszcie coś zobaczyć i przestać się tak panicznie bać. Z tego rodzaju opatrunkiem ludzie wyglądali jak cienie.

Susana siedziała na krześle przy jej łóżku. Jej głos był ciepły i pełny spokoju. „*Dime...* Opowiedz mi...” – zawsze zaczynała od tych słów.

– Opowiedz mi o swoim domu rodzinnym.

– Był piękny – odpowiadała. – Spałam razem z prababcią. Modliła się o nas co noc. Słyszałam, jak koraliki różańca stukają o siebie. Mój tata spał w drugim pokoju, ale zawsze opowiadał mi bajkę przed snem.

– Co widziałaś, jak wyglądałaś przez okno?

– Inne domy takie jak nasz. I Popo.

– Popo? – zapytała Susana.

– Ze śnieżnymi włosami, wiecznie strzegący góry-kobiety.

– Popo to góra?

– *Sí*. Czasami z jego głowy wydobywa się dym.

Obie roześmiały się na głos, po czym Rosa usłyszała, jak Susana zapisuje coś w swoim notatniku.

– Jakie zapachy kojarzą ci się z domem?

To było proste i przyjemne pytanie, przynajmniej dopóki nie zdała sobie sprawy, jak bardzo tęskni za tymi wszystkimi rzeczami, a to sprawiło, że zaczęła płakać.

– Powiedz, proszę. – Susana poprosiła miękko głosem.

Ale w tamtej chwili Rosa nie potrafiła tego zrobić. Wspomnienia były zbyt piękne, by wypowiedzieć je na głos. To był jej drogocenny skarb i musiała się go trzymać ze wszystkich sił, by móc marzyć, że kiedyś poczuje jeszcze zapach świeżych cytryn i stanie u dołu drabiny, na której tata będzie zbierał owoce z drzew. Że będą razem żartować i śpiewać, jak kiedyś.

– Co jeszcze pamiętasz? – pytała Susana. – Co jadłaś?

– Fasolkę i kukurydzę. *Tamal* z okazji *Navidad*, Bożego Narodzenia. A czasami...

Zatrzymała się w połowie zdania. Nie lubiła opowiadać o tym innym ludziom, bo wiedziała, że to by przyniosło wstyd jej tacie i prababci.

– A czasami oni w ogóle nie jedli.

– Dlaczego?

– Jeśli w ciągu roku mało padało i panowała susza, nie było żadnej kukurydzy do zebrania, a sad nie rodził owoców, które moglibyśmy sprzedać. W takich momentach tata nie miał jak zarabiać na jedzenie.

– Więc głodowaliście?

– Ja nie – odpowiedziała Rosa. Oczy zaszczyły jej łzami, które piekły pod bandażami. – Ale oni czasami tak. Próbowалаm dzielić się z nimi jedzeniem, ale nie chcieli nawet o tym słyszeć.

– Bo cię kochali, skarbie.

To były najcudowniejsze słowa, jakie usłyszała, odkąd obudziła się w szpitalu. Rozpląkała się, słysząc je z ust Susany.

– Ja też ich kocham, tak strasznie mocno, i chcę do nich wrócić...

– Wiem – odpowiedziała smutno.

Susana nie żartowała, kiedy obiecała, że pomoże jej odnaleźć tatę. Pomagała, odwiedzając Rosę każdego dnia i słuchając tego, co ma do powiedzenia. Przez to Rosa powoli, ale skutecznie odzyskiwała siły. Niedługo potem miała zostać wypisana ze szpitala i zamieszkać z Marisol i jej rodziną. Bernarda i Ronnie także nie dawały o sobie zapomnieć – obiecały, że zawiozą dziewczynkę do Susany, jeśli będzie potrzebowała się z nią zobaczyć.

Tak, Rosa chciała mieć dobre wyniki w szkole i któregoś dnia zostać terapeutką jak Susana. Pomagać małym dziewczynkom przypomnieć sobie o rzeczach, które pozwolą im wyzdrowieć, i uczyć je, że nie należy się bać tego, co ma się w głowie.

Siedziała przy swoim biurku, przysłuchując się głosom rodziny, która przesiadywała właśnie w pokoju obok. Chłopcy grali w gry komputerowe, Marisol gotowała obiad, a Emilio właśnie wrócił z pracy i pokazywał jej jakieś rzeczy, które znalazł w śmietniku. Tworzyli dobrą rodzinę i bardzo ich kochała, ale to nie była jej rodzina. Rosa miała tylko

jednego *papá*.

W niektóre dni udawała się po szkole na rynek. Wyglądał tak samo, jak wtedy, kiedy przyjechała do Altar z tatą. Ludzie krzatali się dookoła, zajęci własnymi sprawami, busy i vany przyjeżdżały i odjeżdżały, ci sami sprzedawcy sprzedawali plecaki, jedzenie i wodę. Marisol powiedziała, że Rosa może chodzić na rynek wyłącznie w towarzystwie Lity i tylko, jeśli nie będą się za bardzo oddalały od kliniki Czerwonego Krzyża.

Ale czasami Rosa wymykała się i zmierzała w okolice kościoła. Siadając na kamiennych stopniach, przeszukiwała tłum wzrokiem w nadziei, że natrafi na wysokiego mężczyznę z krótkimi ciemnymi włosami i zadbanym wąsem. Szukała Miguela, kuzyna taty, ale nie było go tam. Stare kojoty siedziały w tym samym miejscu, ale Rosa nie chciała się do nich zbliżać, nawet żeby zapytać o swojego ojca. A potem dopadała ją Lita, łapała za ramię i potrzasała, tak jakby Rosa naprawdę chciała zostać porwana i sprzedana do jakiegoś burdelu, bo właśnie to przytrafiło się jej przyjaciółce Monice.

Rosa miała dziś zadanie domowe do odrobienia – miała napisać opowiadanie na dowolny temat. Wiedziała, że napisze o szczęśliwym dzieciństwie, które spędziła ze swoją prawdziwą rodziną. Bo zawsze kiedy o tym pisała, mogła przez chwilę znaleźć się znów w świecie, w którym była ukochaną *preciosa* swojego taty, gdzie rosły piękne drzewa cytrynowe i wszyscy byli szczęśliwi.

Rozdział 22

Roberto

W nocy parking przy centrum medycznym w Pais Grande był praktycznie pusty. Kiedy dotarli na miejsce, on został w samochodzie, a Julia weszła do środka, żeby z kimś pogadać. Rozglądał się za SUV-em Leary'ego, ale nigdzie go nie widział. Noc była wyjątkowo ciemna, zupełnie tak jak wtedy na pustyni. Jednak kiedy spojrzał w niebo – nawet pomimo licznych świateł wokół centrum – zobaczył białe skupiska gwiazd; konstelacje, które tak mocno odznaczały się na tle czarnego aksamitu nieba, że przypominały mu mity, które opowiadała mu babka, a które przekazał potem córce.

Spojrzał w kierunku drzwi wejściowych. Przeklinał fakt, że musiał zostać w samochodzie, ale już po chwili dołączyła do niego Julia.

– I co powiedzieli na temat Rosy? – zapytał zniecierpliwiony.

– Kobieta w recepcji mówiła, że nie znalazła nikogo takiego w archiwum szpitala.

– A Leary?

– Podobno mieli tu dzisiaj jakąś nagłą sytuację awaryjną. Jeśli Leary tu zaglądał, to niestety nie trafiła na niego.

Roberto zamknął na chwilę oczy, próbując nie stracić panowania nad sobą.

Julia wykręciła numer Leary'ego i przełączyła ich na tryb głośnomówiący.

– Właśnie miałem do was dzwonić – stwierdził Leary.

– Jesteśmy w Pais Grande.

– Myślałem, że czekacie razem z Roberto w Malibu, aż będę miał jakieś potwierdzone informacje.

– Roberto miał inny pomysł. Gdzie jesteś?

– W Meksyku – odpowiedział.

– Dlaczego tam? – zapytała Julia.

– Bo Rosa też tu jest.

– Rosa? – Roberto aż podniósł się z siedzenia.

– Ona żyje, Roberto. I pyta o ciebie.

Serce Roberto zamarło, a on zaczął płakać.

– Czy możesz ją tu sprowadzić? – spytała Julia, patrząc na Roberto. Wiedziała to, co i on wiedział – że ich życie już nigdy nie będzie takie samo.

– Wiesz, że to niemożliwe – odparł Leary. – Jest Meksykanką, Julia. Jeśli Roberto chce się zobaczyć z córką, musi przeprowić się przez granicę i wrócić.

– Ale... – zaczęła.

Roberto chwycił ją za rękę. Trzymał ją tak czule i delikatnie, jak tylko potrafił. Pragnął podzielić się z nią nieprzebranymi pokładami miłości, jakie nosił teraz w sercu, aby zrozumiała, co do niej czuje. W końcu powiedział na głos, tak żeby oboje usłyszeli:

– Dobrze. Już po nią jadę. Gdzie ona teraz jest?

– Niech Julia zawiezie cię do przejścia granicznego w Nogales. Będziemy czekać po drugiej stronie.

Julia

Tylko tego pragnęła – by zobaczyć ich razem, Roberto i Rosę, jednak w pewnym sensie czuła się tak, jakby grunt usunął się jej spod nóg. Przez całą drogę do Nogales czuła, jak Roberto głaszcze ją po szyi i ramionach i gładzi po włosach. Jego oczy były mokre od łez, które nie przestawały płynąć.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak strasznie się cieszę twoim szczęściem – odparła.

– *Gracias, amor.*

– Boże, Rosa tak się ucieszy na twój widok.

– Pamiętaj, że to wszystko twoja zasługa – odpowiedział.

– Óóóó – uciszyła go, bo nie chciała już tego słuchać. Bolały ją wszystkie kości, jakby miały zaraz skruszyć się na pył. Kiedy się poznali, oboje byli przekonani, że już nigdy nie ujrzą swoich córek. A teraz fakt, że są tak blisko odnalezienia Rosy całej i zdrowej, sprawiał, że ból po stracie Jenny stawał się nie do zniesienia.

Aby odnaleźć Rosę, musiała stracić Roberto. Dlaczego dopiero teraz to do niej dotarło? Droga wiodąca przez pustynię skąpana była w absolutnych ciemnościach.

Wszędzie porozstawiano znaki informujące o zbliżaniu się do granicy z Meksykiem. 10 MIL DO GRANICY. 5 MIL DO GRANICY.

OSTATNI ZJAZD PRZED GRANICĄ Z USA. Zobaczyła blokadę drogową po drugiej stronie autostrady – straż graniczna zatrzymywała samochody i ciężarówki, żeby upewnić się, że nie przewożą nielegalnych imigrantów. Julia czuła, że krwawiło jej serce, bo niedługo mieli się pożegnać.

– To wszystko dzieje się tak szybko – powiedziała cicho.

– Wiem.

– Naprawdę ją odnaleźliśmy.

Roberto milczał. Ruch na drodze zwolnił, bo zbliżali się właśnie do granicy. Okolica pełna była najróżniejszych moteli i firm, a równoległe do autostrady biegła linia kolejowa. Chwilę później Julia zobaczyła potężne ogrodzenie wykonane z grubych żelaznych prętów wysokich na osiem metrów. Nawet z samochodu można było zobaczyć Meksyk po drugiej stronie. Przypominało to spoglądanie do środka celi.

Wzdłuż ogrodzenia postawione zostały wieże obserwacyjne wyposażone w kamery oraz pojedyncze budki dla strażników. Dostrzegła również znak z napisem BEZPIECZNY PARKING \$5,00 i wjechała na wydzielony plac.

– Roberto, jeśli tu zostaniesz...

– Nie mogę – powiedział.

– Ale jeśli przeprawisz się przez granicę, nie pozwolą ci tu wrócić. Pozwól mi pogadać z Jackiem, może uda mi się przyprowadzić ją tutaj.

– *Amor*, wiesz, że muszę teraz do niej iść.

Julia skinęła głową. Wziąwszy lalkę Rosy, wysiedli z samochodu i zaczęli iść w kierunku bramy umieszczonej w ogrodzeniu. Stał przy niej strażnik graniczny i sprawdzał dokumenty.

Julia pokazała mu swój paszport, po czym mężczyzna przeniósł wzrok na Roberto. Wyciągnął rękę po dokumenty.

– W jakim celu przekraczają państwo granicę? – zapytał.

– Chcemy zobaczyć... – zaczęła odpowiadać, ale oblał ją zimny pot, gdy zauważyła, że strażnik nie spuszcza wzroku z Roberto.

Trzymając jedną rękę na broni, wyciągnął krótkofalówkę przypiętą do paska, wcisnął guzik i odezwał się z napięciem w głosie:

– Victor, pozwól tu na chwilę. Mamy problem.

– Hej, Dan! – usłyszeli głos Jacka dobiegający z za ogrodzenia. Strażnik odwrócił się i uśmiechnął.

– Jack Leary! No niech mnie, co robisz po tamtej stronie?

– Sprawy rodzinne – odpowiedział. – Przepuść tę dwójkę.

– Czekamy, aż ten tonk pokaże nam jakieś dokumenty.

„Tonk”? – zdziwiła się Julia.

– Zajmę się tym – stwierdził Jack. – Oni są ze mną.

– Człowieku, stawiasz mnie w naprawdę chujowej sytuacji.

Właśnie wezwałem Victora.

– Przyuczalem was obu. Dobrze wiedzieć, że jesteście tacy dokładni. Ale biorę to na swoje barki, okej? Chodzi o jedną z moich dawnych spraw.

– Okej, ale jeśli ktoś dostanie za to po tyłku...

– Wyluzuj – odpowiedział stanowczo Jack.

Julia i Roberto przeszli przez bramę i znaleźli się w Meksyku.

Jack

„Tonk”. Louella nienawidziła tego słowa, a usłyszawszy go teraz z ust własnych byłych współpracowników, Jack poczuł, jak przewraca mu się w żołądku. „Tonk” to obraźliwe słowo, powszechnie używane na określenie nielegalnych imigrantów, a pochodzące od dźwięku, jaki wydaje policyjny bicz, kiedy uderza o czaszkę. Wyrzucił te myśli z głowy, a kiedy się obrócił, zobaczył Julię i Roberto trzymających się za ręce i idących w jego kierunku.

– Witaj z powrotem – przywitał Roberto. Nie był pewien, czy miało to zabrzmieć ironicznie, czy nie. Roberto obejmował mocno Julię i rozglądał się po okolicy, szukając Rosy.

– Jest tutaj? – spytała Julia.

– Tak – odparł Jack.

Udali się w kierunku drogi, przy której Jack zaparkował swojego SUV-a. Jak w każdą sobotę miasto wprost kipiało życiem, pełne miejscowych oraz Amerykanów, którzy specjalnie na ten wieczór przekroczyli granicę.

Na wzgórzach porozsiewane były niewielkie, kolorowe domy z płaskimi dachami – lokalne władze zapewniały darmowe puszki farby każdemu, kto miał ochotę odnowić nieco swoje lokum. Jack wiedział, że

chcieli zrobić dobre wrażenie na ludziach, którzy patrzyli przez ogrodzenie po stronie amerykańskiej.

Trzymał się na przedzie, przed Julią i Roberto, zdziwiony, że podchodzi do sprawy aż tak emocjonalnie. Louella byłaby zachwycona – oto Jack Leary oddaje zrozpaczonemu ojcu jego ukochane dziecko. SUV stał dwie przecznice dalej pod lampą uliczną – chciał mieć pewność, że pasażerki będą bezpieczne, a nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć w granicznym mieście w sobotnią noc. W zasadzie w jakąkolwiek noc.

Ronnie, Marisol i Rosa przyjechały za nim własnym autem, ale pomyślał, że będzie lepiej, jeśli zaczekają w jego SUV-ie. Zwolnił, wiedząc, że zbliżają się już do samochodu.

– Ta mała bardzo wiele przeszła – zwrócił się do Roberto.

– Domyślam się – odpowiedział. Nie zauważył na razie SUV-a. – Daleko jeszcze?

– Już prawie jesteśmy na miejscu – odparł Jack.

– Prawie? – zapytał, wyciągając szyję i rozglądając się dookoła. – Muszę się z nią zobaczyć.

– Gdzie mieszkała przez te wszystkie lata? – zapytała Julia.

– Poszcęściło się jej – odpowiedział Jack. – Odnalazły ją anioły stróże: trzy siostry, wszystkie są pielęgniarkami. Mieszka w Altar z Marisol, najmłodszą z nich, i jej rodziną. Wszyscy razem dopilnowali, żeby niczego Rosie nie brakowało.

– Altar. – Roberto powtórzył łamiącym się głosem. – Tam, gdzie zaczął się cały ten koszmar.

– Rosa też tak mówi – stwierdził Jack.

Ulica nie była zbyt dobrze oświetlona, ale kiedy podeszli do lampy, dostrzegł wyraźnie swojego SUV-a – Ronnie siedziała na przednim siedzeniu, a Marisol i Rosa z tyłu. Pomachał im i zobaczył, że Ronnie odwraca się w stronę siostry. Nagle otworzyły się tylne drzwi i wystrzeliła z nich mała Rosa. Jack spojrział na Roberto i zobaczył, że ma łzy w oczach.

– *Papá!* – krzyknęła dziewczynka.

– Rosa!

Pobiegli ku sobie, a kiedy Roberto był już na wyciągnięcie ręki, upadł na kolana, chwycił córkę mocno w swoje ramiona i zaczął kołysać

do przodu i do tyłu. Siostry zostały w samochodzie, a Jack i Julia stali, wzruszeni, obserwując całą scenę. Usłyszał, jak Julia cicho płacze, i zrobił to, co w takiej sytuacji zrobiłaby Louella – objął ją, jak gdyby była jego własną córką, i pozwolił, by łzy zmoczyły mu rękaw.

Rozdział 23

Julia

Poznała Ronnie i Marisol i usłyszała trochę o Bernardzie. Marisol, ocierając łzy, mówiła, jak ciężko im będzie żyć dalej bez Rosy, która z czasem stała się częścią rodziny. Chciała też, żeby Roberto wiedział, że ona, jej siostry, mąż i dzieci byli teraz również jego rodziną i że zawsze pomogą im w potrzebie.

Słuchała, jak Jack zapewniał Ronnie, że cała ta sprawa przejdzie niezauważona przez władze. Może i złamała prawo, ale czasami prawo jest po to, żeby je łamać – wystarczy spojrzeć, jak pięknie skończyła się ich historia.

Po kilku minutach Roberto odwrócił się do nich i skinął na Julię, żeby podeszła. Od momentu, kiedy zostawili samochód po drugiej stronie granicy, Julia trzymała w rękach Marię, którą chciała właśnie przekazać Roberto.

– Ty, *amor* – stwierdził. – Ty daj ją Rosie...

Julia rozpromieniła się na widok małej dziewczynki, którą – miała wrażenie – tak dobrze знаła.

– *Hola*, Rosa – przywitała się, kucając.

– Rosa, to jest Julia – zwrócił się do córki po hiszpańsku. – To ona pomogła mi cię odnaleźć.

– *Gracias*, Julia – odparła Rosa, ledwo mogąc oderwać wzrok od ojca.

Rosa urosła przynajmniej piętnaście centymetrów od momentu, kiedy zrobiono tamto zdjęcie. Julia nie mogła się oprzeć i porównała ją z Jenny w wieku jedenastu lat – były podobnego wzrostu, równie szczupłe i obie miały wyjątkowo inteligentne spojrzenie.

– Twój tata nigdy nie przestał cię szukać – powiedziała, po czym podała Rosie jej lalkę.

– Maria! – wykrzyknęła, tuląc i całując zgubę. – Jak to możliwe, *papá*? Przecież ją zgubiłam!

– Kiedy tata cię szukał, znalazł po drodze Marię.

– Wiedziałam, że po mnie wróci – odparła Rosa.

– Mówisz po angielsku!

– Ty też, *papá*. Uczymy się go w szkole.

Prawie sześć lat z dala od siebie, pomyślała Julia. Rosa trzymała Marię, jakby była dzidziusiem. Miała na nosie okulary. Zerknęła od czasu do czasu na Julię, ale wciąż nie mogła się nacieszyć Roberto – wpatrywała się w niego z wyrazem bezgranicznej miłości w oczach, co ponownie doprowadziło Julię do łez. Odeszła parę metrów dalej i odwróciła głowę, żeby nikt tego nie zauważył. Nagle poczuła przy sobie Roberto. Zanim schowała twarz w jego ramionach, zauważyła, że Rosa trzyma się kurczowo jego nogi. Ten widok sprawił, że uśmiechnęła się przez łzy.

– Tak się cieszę, Roberto...

– Julia, bez ciebie...

– Kochanie, to było wam pisane.

Pokiwał przecząco głową.

– Los inaczej traktuje Meksykanów – odparł. – Gdybyś nie zjawiała się w moim życiu, Rosy też by w nim nie było.

– Kochałam każdą sekundę, kiedy byłam jego częścią – stwierdziła łamiącym się głosem.

Chwycił jej twarz w dłonie i spojrzał głęboko w oczy.

– *Siempre, amor*. Już zawsze będziesz częścią mojego życia.

– Ale przecież nie możesz ze mną wrócić – odrzekła. – Teraz jesteś tutaj, w Meksyku.

– Wiem. Wrócę razem z Rosą do naszego rodzinnego miasteczka.

– Zobaczysz się znowu ze swoją babką.

– *Sí*. I będę pracował w cytrynowym sadzie, ale myślami będę w naszym własnym.

– Naszym własnym? – zapytała.

– Naszym własnym cytrynowym sadzie. Na wzgórzu z widokiem na morze, razem z Bonnie i Jenny. W miejscu, w którym zakochaliśmy się w sobie.

Julia kiwnęła głową i tuliła go mocno do siebie, póki nie usłyszała zbliżających się kroków. Plan był taki, że Roberto i Rosa spędzą noc u Marisol, a jutro rodzina zawiezie ich do domu – do niewielkiego miasteczka na południe od Puebla.

– Julia – zwróciła się do niej Marisol – czy mielibyście ochotę

wpaść do nas razem z Jackiem i zjeść coś ciepłego? Nie mieszkamy daleko.

Julia spojrzała na Jacka. Kiwnął głową, gotowy przyjąć zaproszenie.

– To bardzo miło z twojej strony, ale nie. Powinam już wracać – odpowiedziała.

– *Amor...* Do Casa jest kawał drogi. Proszę...

Pokiwała przecząco głową. Czuła, jak jej gardło się zaciska, i nie była pewna, czy będzie w stanie coś z siebie wykrztusić. Pożegnania raniły do żywego. Przez całe lata zastanawiała się, co by powiedziała Jenny, gdyby mogła ją jeszcze zobaczyć. W tamtym momencie wiedziała, że jej serce rozsypuje się właśnie na milion małych kawałeczków, i godzina czy dwie nic by tu nie zmieniły.

Objęła Roberto wokół szyi i stanęła na palcach, żeby móc spojrzeć mu głęboko w oczy.

– *Siempre*. Tak jak powiedziałeś – szepnęła, tak żeby nikt inny nie usłyszał.

– *Siempre* – odparł.

Jego ramiona zdawały się takie silne i znajome. Zamknęła na chwilę oczy, aby już na zawsze zapamiętać to uczucie. Rosa na niego czekała. Julia schyliła się i pocałowała dziewczynkę w głowę. A potem pocałowała lalkę i zwróciła się do niej:

– Mario, zaopiekuj się, proszę, Rosą i Roberto.

– Na pewno tak zrobi – zapewniła ją Rosa.

Julia i Roberto trzymali się za ręce, ale po chwili Julia zaczęła się powoli odsuwać, aż w końcu spojrzała na niego po raz ostatni, odwróciła się gwałtownie i odeszła w przeciwnym kierunku. Słyszała, jak siostry rozmawiały w języku hiszpańskim, a potem dotarł do niej dźwięk zamykanych drzwi i ryk silnika.

Jack otworzył przed nią SUV-a, a ona wślizgnęła się do środka.

– Może chcesz pomachać – przerwał ciszę. – Roberto stoi na ulicy i patrzy na ciebie.

– Po prostu już jedźmy – odpowiedziała.

I tak zrobili. Kiedy odjeżdżali, Julii udało się zerknąć szybko do tyłu i zobaczyła Roberto stojącego obok samochodu należącego do

sióstr. Stał nieruchomo i patrzył. Jack zatrzymał samochód, dając jej ostatnią szansę na zmianę decyzji. Nie zrobiła tego. W bocznym lusterku dostrzegła, że Roberto zniknął wreszcie w samochodzie. Ronnie zapaliła światła i zatrąbiła na pożegnanie, na co Jack odpowiedział tym samym.

Julia odwróciła się i zobaczyła, jak ich samochód wjeżdża na drogę, skręca i znika.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jack.

– Nie.

– Ale będzie. Zobaczysz – odparł.

Odstawił ją na parking, upewnił się, że bezpiecznie wsiadła do swojego samochodu, i odeskortował ją poza granice Nogales. Kiedy skierowała się na zachód, wiedziała, że jedzie za nią. Opuścił dopiero w okolicy Yumy, gdzie ich drogi rozbiegały się w przeciwnych kierunkach.

Zanim jednak odjechał, dał jej znać, żeby zatrzymała się na poboczu, opuścił szybę i wręczył jej płytę Tima O'Briena.

– Przyda ci się – stwierdził.

– Nie mogę tego przyjąć. To twoja ukochana płyta.

– Twój przodek na pewno chciałby, żebyś ją miała – odpowiedział.

– Tak jak moja żona. Miała romantyczną duszę, wiesz? Może Louella i John Riley zainspirują cię, żebyś wybrała się w podróż do starego Meksyku. Jestem pewny, że Roberto będzie tam na ciebie czekał.

– Dzięki, Jack – odpowiedziała i odjechała.

Samochód pachniał Roberto – mieszanką potu, piachu, wody toaletowej marki Polo i aromatu świeżych cytryn. Pragnęła, aby ten zapach przywarł do jej skóry. Nie chciała, żeby kiedykolwiek zniknął. Spojrzała w lusterko, na miejsce, gdzie leżała Maria. To stare volvo woziło kiedyś Jenny. Czuła jej obecność w każdej minucie swojego życia, a teraz ich rodzinny samochód wypełniała również miłość do Roberto i Rosy.

Siempre, powiedział.

Julia nie odczuwała w ogóle zmęczenia. Wiedziała, że pojedzie prosto do Los Angeles, do ojca Roberto, by opowiedzieć mu o wszystkim i odebrać Bonnie. Nie mogła się doczekać, aż ją zobaczy.

Może zabierze ją prosto do Liona. Późna godzina nie była żadną

przeszkodą, na pewno ucieszy się na ich widok. Julia opowie mu niezwykłą, cudowną historię o tym, jak odnaleźli zaginioną córkę Roberto. Czuła, że Lion będzie przeszczęśliwy.

A jednak puste miejsce obok, które zajmował zazwyczaj Roberto, było niczym otwarta rana. Julia patrzyła uważnie na drogę, żeby nie musieć katować się tym widokiem. Puściła płytę CD i, słuchając muzyki, rozmyślała o niepodważalnej wierze Louelli w potęgę miłości. A potem zatraciła się w marzeniach o Meksyku.

TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Lemon Orchard

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja: Paulina Rynkiewicz

Korekta: Adrian Kyć

Projekt okładki: Krzysztof Kibart

Zdjęcie na okładce: 371819 (depositphotos.com)

Skład: skladigrafika@gmail.com

Copyright © 2013 by Luanne Rice

Copyright © 2016 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE,

an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Alicja Laskowska

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek
techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego
uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

ISBN 978-83-65506-31-3



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are small, colored dots: a blue dot above the first 'o', a purple dot above the second 'o', a pink dot above the 'l', and an orange dot above the 'i'.

woblink.com

